

Hiaasen Carl

Podwójne oszustwo

Pamięci Clyde'a Ingalisa

Wczesnym rankiem szóstego stycznia, dwie godziny przed świtem, Robert Clinch podźwignął się z łóżka i przetaił zaspane oczy. Włożył trzy pary skarpet, niebieską flanelową koszulę, oliwkowe drelichowe spodnie, wodoodporny zegarek firmy Timex i wiśniową czapkę z napisem nad daszkiem: „Robaki Manna”.

Podreptał do kuchni i przygotował sobie kubek kawy, jajecznicę z czterech jaj (z keczupem), pęto kielbasy i dwa tosty z dżemem winogronowym. Jedząc, słuchał radia w oczekiwaniu na prognozę pogody. Na dworze było zaledwie pięć stopni ciepła, wilgotność powietrza wynosiła trzydzieści pięć procent, wiatr wiał z północnego wschodu z prędkością jedenastu kilometrów na godzinę. Na autostradzie między Harney a jeziorem Jesup zaległa gęsta mgła. Robert Clinch uwielbiał jeździć we mgle, albowiem miał wówczas okazję włączyć bursztynowe lampy przeciwmgielne zainstalowane w nowym pikapie. Kosztowały go czterysta pięćdziesiąt pięć dolarów. Jego żona Clarisse, która w tej chwili jeszcze spała, nie mogła mu darować, że wyrzucił tyle pieniędzy w błoto. Po powrocie z jeziora powie jej, że uratowały mu życie na trasie, gdy kierowca załadowanej pomarańczami ciężarówki, jadący przez nieuwagę środkiem drogi, skręcił w ostatniej chwili w bok, widząc bursztynowy blask reflektorów. Nie był jednak pewien, czy ona uwierzy w tę bajeczkę; prawdę powiedziawszy, nie był nawet pewien, czy się nie wścieknie, że uszedł cało. Może będzie żałowała, że ciężarówka nie roztrzaskała w ułamku sekundy furgonetki, łodzi i jego samego. Niezbyt zachwycało ją hobby męża.

Włożył na nogi buty o miękkich podeszwach i wciągnął jaskrawoczerwoną kamizelkę pokrytą plakietkami z różnych zawodów wędkarskich. Poszedł do garażu i popatrzył z dumą na łódź, przesuając rękoma po błyszczącym falochronie. Ranger V, blisko sześć metrów długości. Podwójne sadze, wykonana na zamówienie tapicerka i wykładzina (błękit paryski) oraz dwa baki, na tyle pojemne, że można było popłynąć do Okeechobee i z powrotem. Do tego jeden z najpotężniejszych silników, jakie kiedykolwiek wyprodukowano, mercury o mocy dwustu koni mechanicznych. Robert Clinch osiągnął kiedyś na tej łodzi prędkość stu kilometrów na godzinę, co zostało poświadczone przez jego przyjaciela. Nie było żadnego powodu, by mknąć tak szybko, ale popisy tego rodzaju sprawiały mu cholerną frajdę.

Robert Clinch kochał swą łódź bardziej niż cokolwiek innego na świecie. Bardziej niż żonę, dzieci, kochankę i obłożony hipoteką dom. Bardziej niż okonie, na które lubił się wyprawiać. Pędząc po jeziorze o wschodzie słońca, czuł, że tę łódź kocha nad życie.

Tego ranka postanowił dla pozorów wziąć wędkę. Zdjął ze stojaka na ścianie tani spinning — po co narażać dobry sprzęt? Zakładając żyłkę zauważył, że drżą mu ręce. Może to efekt picia kawy? A może ma tak rozdygotane nerwy? Uporawszy się wreszcie z żyłką, uwiązał na jej końcu plastikową

przynętę. Odszukał latarkę, sprawdził, czy się pali, i włożył ją do luku w dziobie. Następnie zamocował przyczepę do pikapa.

Włączył silnik, żeby się rozgrzał. W sioferce było tak zimno, że z ust szła para. Nastawił do oporu ogrzewanie. Miał ochotę na jeszcze jeden kubek kawy, ale się powstrzymał: było zbyt zimno, by sikać za burtę.

Przyszło mu do głowy, by wziąć broń, odsunął jednak tę głupią myśl. Nikt, kto rusza na jezioro, nie zabiera ze sobą pistoletu.

Wślizgnął się z powrotem do kuchni i napisał do Garisse kartkę: „Kochanie, będę przed południem. Może pójdziemy potem zobaczyć tę zaslonę do prysznic, którą chciałaś kupić? Całuję — Bobby.”

Położył ją na stoliku obok tosteru.

Robert Clinch nigdy nie wrócił do domu.

Około trzeciej po południu jego żona tak się rozeźliła, że sama pojechała do sklepu i kupiła nie tylko zaslonę do prysznic, ale także elektryczną lokówkę do włosów i różowy dywanik. W porze kolacji wpadła we wściekłość i wyrzuciła męzowską porcję pieczonego kurczaka za płot ku uciesze mieszkającego po sąsiedzku labradora.

Po północy zatelefonowała do matki w Valdosta, by jej oznajmić, że się pakuje, zabiera dzieci i na zawsze wyprowadza się od tego obiboka.

Nazajutrz, gdy przetrząsała biurko męża w poszukiwaniu pieniędzy, zadzwonił szeryf. Miał niedobre wieści.

Opylający lasy samolot dostrzegł z góry purpurową plamkę na wodach odległego zakątka jeziora Jesup, zwanego Trzęsawiskiem Szopów. Przy drugim podejściu spostrzeżono jakieś pięćdziesiąt metrów od brzegu połyskujący kadłub wywróconej do góry dnem zatopionej do połowy łodzi. W pobliżu unosiło się na wodzie coś dużego i czerwonego.

Clarisse Clinch zapytała, czy owo „coś” miało przypadkiem jasne włosy, na co szeryf odpowiedział, że już nie, albowiem przez całą noc było dziobane przez stado kaczek.

Spytała zatem, czy przy ciele znaleziono jakieś dokumenty, ale stróż prawa odparł, że nie, że widocznie portfel wypadł Bobby'emu z kieszeni podczas wypadku i utonął. Podziękowała szeryfowi i natychmiast zadzwoniła do Visa Card, aby donieść o stracie karty kredytowej.

— Zna się pan na wędkarstwie?

— Co nieco — odparł R. J. Decker. Rozmowa nadal pozostawała na etapie, kiedy powinien zachowywać się skromnie i mówić jak najmniej, gdyż klient właśnie oceniał jego powierzchowność. Decker wiedział jednak, że z tej próby wychodzi zazwyczaj zwycięsko. Miał posturę futbolisty: metr osiemdziesiąt siedem centymetrów wzrostu, osiemdziesiąt siedem kilogramów wagi, pierś jak dzwon, ramiona jak kafary. Do tego ciemne kręcone włosy i bystre

brązowe oczy, które nie zdradzały żadnych uczuć. Rzadko uśmiechał się w obecności nieznajomych. Potrafił pilnie słuchać lub być może tylko udawał, że to robi. Nie był ani nieśmiały, ani zbyt ciepły. Nie lubił mieć do czynienia z frajerami. Życie trwa zbyt krótko, by tracić na nich czas. Chyba że wymaga tego konieczność, jak w tym wypadku.

— Czy lubi pan aktywne życie na wolnym powietrzu? — zadał pytanie Dennis Gault.

Decker wzruszył ramionami.

— Jeśli pyta pan, czy potrafię rozpalić ognisko, to odpowiedź brzmi „tak”, jeśli pyta pan, czy umiem gołymi rękami pokonać byka, to pewnie nie.

Gault nalał sobie dzinu z tonikiem.

— Ale przypuszczam, że jest pan zaradny?

— Dobrze pan przypuszcza.

— Bo wie pan, postura niczego nie dowodzi. Może być pan mięczakiem.

Decker westchnął. Jeszcze jeden twardek.

— Więc co pan wie o łowieniu ryb? — spytał Gault.

— Nic szczególnego, łowiłem kiedyś na morzu. Wargacze, babki, delfiny.

— Gówniane ryby — prychnął Gault. — Dla turystów.

— Aha, pan pewnie gołymi rękami chwyta rekiny.

Gault łypnął okiem znad szklanki.

— Ej, panie, taka gadka nie robi na mnie wrażenia.

Decker słyszał już kiedyś coś takiego. Jednak owo „Ej, panie” było zgrabnym dodatkiem.

— Wyglądasz pan, jakbyś chciał mnie walnąć — rzekł Gault.

— Zabawne.

— No, nie wiem — odparł Gault, mieszając drinka. — Zdaje się, że świerzbią pana ręce.

— A po co miałbym pana bić? — spytał Decker. — Gdy mam ochotę palnąć dupka w ucho, idę na Biscayne Boulevard i wybieram sobie jakiegoś.

Myślał, że Gault będzie potrzebował zaledwie paru sekund na ciętą odpowiedź, ale minęło trochę więcej czasu.

— Gwarantuję panu, że nigdy jeszcze nie spotkał pan takiego dupka jak ja — rzekł.

Decker zerknął na zegarek ze znużoną miną — miał to wyćwiczone do perfekcji.

Gault się skrzywił. Był ubrany w ciasny jasnoniebieski pulower i workowate płócienne spodnie. Wyglądał na co najmniej czterdzieści lat. Przyglądał się Deckerowi przez ciemne okulary.

— Nie przypadłem panu do gustu, co?

— Nie znam pana.

— Wie pan przecież, że jestem bogaty i że mam pewien kłopot. To wystarczy.

— Wiem tylko, że przez dwie godziny trzymał mnie pan w dusz

— Jeśli pyta pan, czy potrafię rozpalić ognisko, to odpowiedź brzmi „tak”, jeśli pyta pan, czy umiem gołymi rękami pokonać byka, to pewnie nie,

Gault nalał sobie dżinu z tonikiem.

— Ale przypuszczam, że jest pan zaradny?

— Dobrze pan przypuszcza.

— Bo wie pan, postura niczego nie dowodzi. Może być pan mięczakiem.

Decker westchnął. Jeszcze jeden twardziel.

— Więc co pan wie o łowieniu ryb? — spytał Gault.

— Nic szczególnego, łowiłem kiedyś na morzu. Wargacze, babki, delfiny.

— Gówniane ryby — prychnął Gault. — Dla turystów.

— Aha, pan pewnie gołymi rękami chwyta rekiny.

Gault łypnął okiem znad szklanki.

— Ej, panie, taka gadka nie robi na mnie wrażenia.

Decker słyszał już kiedyś coś takiego. Jednak owo „Ej, panie” było zgrabnym dodatkiem.

— Wyglądasz pan, jakbyś chciał mnie walnąć — rzekł Gault.

— Zabawne.

— No, nie wiem — odparł Gault, mieszając drinka. — Zdaje się, że świerzbą pana ręce.

— A po co miałbym pana bić? — spytał Decker. — Gdy mam ochotę palnąć dupka w ucho, idę na Biscayne Boulevard i wybieram sobie jakiegoś.

Myślał, że Gault będzie potrzebował zaledwie paru sekund na ciętą odpowiedź, ale minęło trochę więcej czasu.

— Gwarantuję panu, że nigdy jeszcze nie spotkał pan takiego dupka jak ja — rzekł.

Decker zerknął na zegarek ze znużoną miną — miał to wyćwiczone do perfekcji.

Gault się skrzywił. Był ubrany w ciasny jasnoniebieski pulower i workowate płócienne spodnie. Wyglądał na co najmniej czterdzieści lat. Przyglądał się Deckerowi przez ciemne okulary.

— Nie przypadłem panu do gustu, co?

— Nie znam pana.

— Wie pan przecież, że jestem bogaty i że mam pewien kłopot. To wystarczy.

— Wiem tylko, że przez dwie godziny trzymał mnie pan w dusznym, neomoderaistycznym korytarzu — odparł Decker. — Wiem, że pańska sekretarka, Ruth, nie ma w biurku żadnych tabletek od bólu głowy, bo ją pytałem. Wiem też, że pana tatuś jest właścicielem tego drapacza chmur, a dziadek cukrowni, i jeszcze, że ten pulower pasuje do tych spodni jak pięść do nosa. I to już wszystko.

Skłamał. Wiedział również o dwóch bankach w Boca Raton, o centrum sklepowym w Daytona Beach i o siedemdziesięciu pięciu tysiącach akrów ziemi porosłej trzcina cukrową na zachód od jeziora Okeechobee.

Dennis Gault usiadł za niskim stolikiem z pleksiglasu, który przypominał muzealne gabloty z ceramiką Majów.

— Tak, ma pan rację, jestem jak ten cukier kryształ. A chce się pan przekonać, co ja wiem o panu — detektywie, a niegdyś przestępcy?

„O rany, ale mam pecha” — pomyślał Decker.

— Nie. Proszę mi powiedzieć, jaki ma pan problem, albo wychodzę — rzekł.

— Zawody wędkarskie — padła odpowiedź. — Co pan wie o zawodach wędkarskich?

— Nic.

Gault podniósł się i wskazał ręką czarną rybę umocowaną na ścianie.

— Wie pan, co to jest?

— Nie mam pojęcia — odparł Decker, choć doskonale wiedział. Trudno byłoby żyć na Południu i nie wiedzieć.

— Okoń wielkopyski! — wykrzyknął Gault. Patrzył na rybę jak na święty obraz. Nazwa była trafna. Ten okoń miał tak wielką paszczę, że mógłby połknąć piłkę nożną.

— Sześć kilo czterdzieści dwa deko. Złapałem go na błysk na jeziorze Toho. Czy pan ma pojęcie, ile ta ryba była warta?

Decker czuł się bezradny, jakby utknął w windzie ze świadkiem Jehowy.

— Siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów — oznajmił Gault.

— Chryste!

— Teraz będzie już pan słuchał uważniej, co? — rzekł z uśmiechem Gault. Poklepał rybę po boku, jak psa.

— Dwa lata temu wygrałem z tą rybą zawody regionalne. Za pierwsze miejsce dawano siedemdziesiąt pięć tysięcy i forda thun-derbird. Samochód dałem jakimś włóczęgom.

— Za jedną rybę? — spytał zdumiony Decker. Najwyraźniej cywilizacji groziła zagłada.

— W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku — ciągnął Gault — brałem udział w siedemnastu turniejach i zarobiłem sto siedem tysięcy dolarów. Niech pan się tak nie dziwi. Nagrody pochodzą od sponsorów — producentów łodzi, sprzętu, przynęt, silników. Wędkarstwo sportowe to ogromnie dochodowy interes, najszybciej rozwijający się sport w Ameryce. A same zawody to oczywiście nie żadna rekreacja, tylko ostra walka.

— Przecież pan nie potrzebuje pieniędzy.

— Ale potrzebuję rywalizacji.

„Syndrom Teda Turnera *” — pomyślał Decker.

— Więc w czym problem?

— W przestępcach.

— Może pan mówić jaśniej?

— W oszustach.

— To znaczy, że ludzie oszukują na wadze złapanych...

Gault roześmiał się cierpko.

— Nie można oszukiwać na wadze. Martwe czy żywe, ryby zwozi się na brzeg i waży komisyjnie.

— Więc jak się oszukuje?

— Otóż to! — wykrzyknął Gault i opowiedział w czym rzecz.

Podczas zawodów wędkarskich w północnym Teksasie zdarzył się pewien incydent. Turniej sponsorowała słynna firma produkująca plastikowe robaki, która wyłożyła na nagrody ćwierć miliona dolarów. W finale Dennis Gault złowił czternaście kilogramów okonia, w tym jeden okaz ważący ponad cztery i pół kilograma. Zwykle taki połów daje pierwsze miejsce, więc dumny Gault prezentował na brzegu swe zdobycze, gdy nagle podpłynęła ostatnia łódź. Wskoczył z niej niejaki Dickie Lockhart i pokazał wszystkim okonia monstrualnych wręcz rozmiarów — ważącego pięć kilogramów dwadzieścia dwa dekagramy — dzięki któremu, rzecz jasna, wygrał zawody.

— Ta ryba — stwierdził z wściekłością Gault — była martwa od dwóch dni.

— Skąd pan wie?

— Bo potrafię rozpoznać zdechłą rybę. Ta ryba była zimna, jakby ją wyjęto z chłodni. Rozumie pan?

* Potentat telewizyjny, właściciel stacji CNN (przyp. tłum.).

— Czarny koń mistrzostw. — Decker ledwo powstrzymał śmiech.

— Wiem, co pan sobie myśli: kogo to obchodzi, że jakiś bałwan kantuje na zawodach? Ale proszę sobie wyobrazić, że z siedmiu ostatnich dużych turniejów rozegranych w Stanach Zjednoczonych Dickie Lockhart wygrał pięć, a dwa razy był drugi. Zarobił w ten sposób dwieście sześćdziesiąt tysięcy dolarów, więc nie jest chyba takim bałwanem. Zasluguje na szacunek. Nie wiem, czy da pan wiarę, ale ma swój własny program w telewizji.

— Czy oskarżył go pan o podstawienie ryby?

— Nie, skąd. To poważna sprawa, a ja nie miałem niezbitych dowodów.

— Nikt inny nie miał podejrzeń?

— Cholera, wszyscy mieli podejrzenia, ale zabrakło im ikry, by się wychylić. Potem, nad kuflem piwa, to i owszem, mówili, że była sztywna. Ale nikt nie powiedział tego Dickiemu w

twarz.

— Ten Lockhart to musi być naprawdę twardy gość — rzekł Decker, żeby podjudzić Gaulta do zwierzeń.

— Nie twardy, tylko wpływowy. Zawodowi wędkarze boją się z nim zadrzeć. Jeśli chce się być zapraszany na wielkie turnieje, to lepiej żyć z Dickiem w zgodzie. Jeśli chce się mieć sprzęt od sponsorów, to trzeba włożyć mu w dupę. Tak samo, jeśli chce pan kupić nowy silnik po cenach hurtowych. Wszystko się zająbia. Wielu go nie znosi jak zarazy, ale lubią się pokazywać w telewizji.

— Tylko on oszukuje?

Gault ryknął śmiechem.

— No więc o co chodzi?

— O to, że Dickie Lockhart oszukuje na największych imprezach. Że oszukuje m n i e. To taka sama różnica jak między pokerkiem w domu starców a rozgrywką w kasynie w Las Vegas.

Rozumie pan?

— Doskonale rozumiem — odparł Decker. Usłyszał wystarczająco dużo. — Niestety, wątpię, bym mógł panu pomóc.

— Proszę usiąść.

— Wie pan, nie za bardzo się na tym znam i..v

— A na czym się pan zna? Na rozwodach? Odzyskiwaniu samochodów? Odszkodowaniach?

Jeśli tak dobrze panu idzie, to może mi pan wyjaśni, dlaczego dorabia pan na czarno w tej podejrzanej firmie ubezpieczeniowej, w której pana znalazłem?

Decker ruszył do drzwi.

— Pańskie honorarium wyniesie pięćdziesiąt tysięcy dolarów — rzucił Gault.

Decker przystanął, odwrócił się i spojrzał na niego.

— Panu potrzeba nie detektywa, ale lekarza.

— Tyle pan dostanie, jeśli złapie pan tego mineciarza na gorącym uczynku i potrafi to udowodnić.

— Udowodnić?

— Był pan przecież kiedyś fotografem. Dostał pan nawet kilka prestiżowych nagród. Wiem co nieco o panu. Wiem, że ma pan gwałtowny temperament i że zadarł pan z prawem. I wiem też, że woli pan spać w namiocie niż w hotelu Hilton, i to świetnie się składa. Mówią, że jest pan lekko stuknięty, a ja właśnie kogoś takiego potrzebuję.

— Więc chce pan mieć zdjęcia? — spytał Decker. — Zdjęcia ryb?

— A jaki byłby lepszy dowód? — Gault najwyraźniej upajał się swym pomysłem. — Pan dostarczy mi zdjęcie oszukującego Lock-harta, a ja załatwię, że zostanie ono opublikowane we

wszystkich czasopismach wędkarskich w całym wolnym świecie. To będzie dodatkowa premia.

„Okładka «W lesie i na biwaku» — pomyślał Decker. — Oto ziszczają się moje marzenia.”

— Mówiłem już panu, że nie znam się na wędkarstwie.

— Jeśli dzięki temu poczuje się pan różnie, to powiem, że nie pana pierwszego najmuję do tej roboty.

Decker nie poczuł się różnie.

— Facet, którego zaangażowałem przed panem, wiedział mnóstwo o wędkowaniu. Był zawodowcem.

— I co?

— Nie sprawdził się. Potrzebuję kogoś nowego.

Dennis Gault zasepił się. Odstawił szklankę i otworzył szufladę biurka. Wyjął książeczkę czekową oprawioną w imitację jaszczurczej skóry. A może to nie była imitacja?

— Dwadzieścia pięć tysięcy zaliczki — rzekł, sięgając po pióro.

R.J. Decker doszedł do wniosku, że ma niewielki wybór, i wzruszył ramionami.

— Niech będzie trzydzieści — rzekł. LJ

Zaszczyt dokonania sekcji zwłok Roberta Clincha przypadł w udziale doktorowi Michaelowi Pembroke'owi.

Doktor Pembroke nie czuł się jednak tym zaszczycony, albowiem nie był koronerem *, lecz patofizjologiem klinicznym. Z pewnością siebie przystępował do oględzin kurzajek, cyst, nacieków i polipów, ale trupy wzbudzały w nim przerażenie, podobnie jak cała medycyna sądowa.

Większość okręgów stanu Floryda zatrudnia etatowych biegłych lub koronerów, którzy zajmują się ludzkimi zwłokami. Jednakże władze wiejskiego okręgu Harney nie potrafiły przekonać do podobnego zbytku swoich podatników, tak więc każdego roku rada głosowała za zatrudnieniem na pół etatu patofizjologa, który w razie konieczności przeobrażał się w koronera. Za zawrotną sumę pięciu tysięcy dolarów doktor Michael Pembroke spełniał swój obowiązek. Praca ta nie zajmowała zbyt dużo czasu, jako że okręg liczył zaledwie cztery tysiące mieszkańców, którzy nieczęsto umierali. Większość z tych, którzy popełniali tę nieostrożność, miała na tyle przyzwoitości, że robiła to w szpitalu bądź w zwykłych okolicznościach, które nie wymagały sekcji zwłok ani wszczęcia dochodzenia.

* Lekarz a zarazem urzędnik sądowy dokonujący sekcji zwłok ludzi, którzy zmarli nienaturalną śmiercią (przyp. tłum.).

Nielicznych, którzy przenieśli się na tamten świat w sposób nienaturalny, można by sklasyfikować następująco: a) ofiary domowych kłótni b) ofiary wypadków samochodowych c) ofiary wypadków na polowaniach d) topielcy e) ofiary wyładowań elektrycznych w atmosferze. W

okręgu Harney pioruny porażały śmiertelnie częściej niż w jakimkolwiek innym okręgu na Florydzie, choć nikt nie wiedział dlaczego. Tamtejsi fundamentaliści mieli czym grozić grzesznikom. Gdy zastępca szeryfa zjawił się w laboratorium, doktor Pembroke przyglądał się akurat pospolitej brodawce (verruca vulgaris) usuniętej z palca hodowcy arbuzów. Łuskowata brązowa narośl nie była piękna, ale stanowiła nieskończenie przyjemniejszy widok niż opuchnięte ciało martwego wędkarza. Lekarz usiłował grać na zwłokę, udając, że jest zajęty przy mikroskopie, ale zastępca szeryfa czekał cierpliwie, przeglądając jakieś ulotki dermatologiczne. W końcu dał więc za wygraną i wsiadł do radiowozu, by przyjechać do pobliskiej kostnicy.

— Może mi pan powiedzieć, co się stało? — spytał z tylnego siedzenia.

— To Bobby Clinch — rzucił zastępca szeryfa przez ramię. — Pewnie pośliznął się i wpadł do wody.

Doktor Pembroke poczuł ulgę. Miał już hipotezę, więc wkrótce będzie mieć też przyczynę zgonu. Szybko powróci do swej brodawki. Może nie będzie tak źle, jak myślał.

Radiowóz zatrzymał się przed niskim budynkiem z czerwonej cegły, który służył za okręgową kostnicę. Niegdyś mieścił się tu bar Burger King, o czym świadczyło pozostawione wyposażenie. Szyld wprawdzie zdjęto (i sprzedano bractwu studenckiemu), ale lady, stoły i okno dla kupujących kierowców przypominały o czasach, gdy serwowano tu potrójne hamburgery. Doktor Pembroke napisał kiedyś list do rady okręgu, w którym zasugerował, że bar szybkiej obsługi nie jest odpowiednim lokum na kostnicę, ale rada odpowiedziała krótko, że to jedyny budynek wyposażony w dużą chłodnię.

Zerkając przez okno, doktor Pembroke spostrzegł przysadzistego mężczyznę o rumianej, nieco pomiętej twarzy. Był to Culver Rundell, o ramionach (jak dobrze pamiętał) pokrytych brązowymi pieprzykami. Zostały one fachowo przebadane i diagnoza potwierdziła, że są nieszkodliwe.

— Cześć, doktorze! — krzyknął Rundell, kiedy Pembroke wszedł do środka.

— Witam. Jak tam pieprzyki? — Patofizjologzy rzadko zajmują się ogólnym stanem zdrowia swych pacjentów, tak więc zdawkowa rozmowa nie jest ich najlepszą stroną; rychło przechodzą do sedna.

— Znowu się pokazują. Setki. Żona bierze flamaster i gra sobie w „połącz kropki” od karku aż po tyłek.

— Proszę wpaść do mnie, to może coś poradzimy.

— Nie, pan już swoje zrobił. Przyzwyczailem się do nich, Jeannie tak samo.

Culver Rundell prowadził obóz wędkarski nad jeziorem Jesup. Nie był wprawdzie zawołanym wędkarzem, ale lubił łowić na żywca, na robaki i na błyszczki. Pełnił również szacowaną funkcję sędziego wagowego w kilku prestiżowych zawodach wędkarskich, którą zawdzięczał swej długoletniej przyjaźni z Dickie Lockhartem, mistrzem połowów.

— Czy to pan znalazł denata? — spytał lekarz.

— Nie, chłopaki Davidsonow.

— Którzy?

W Harney były trzy rodziny Davidsonow.

— Daniel i Desi. Znaleźli Bobby'ego w trzęsawisku i przyholowali go do obozu. Powiedziałem im, że zajmę się ciałem. Nie mieliśmy karawanu, więc wziąłem mój wóz.

Doktor Pembroke wspiął się na ladę i przeskoczył na drugą stronę, gdzie niegdyś mieściła się kuchnia. Culver Rundell z pewnym trudem poszedł w jego ślady.

Ciało Roberta Clincha spoczywało na długim stole z nierdzewnej stali. Smród zatykał gardło: trupia woń zmieszana z zapachem frytek.

— Jezu! — zawołał doktor Pembroke.

— Ano właśnie — odparł Rundell.

— Jak długo był w wodzie?

— Myśleliśmy, że pan nam to powie — wtrącił zastępca szeryfa. Stał po drugiej stronie lady, jakby czekał na koktajl waniliowy.

Doktor Pembroke nienawidził topielców, a ten okazał się wprost wyjątkowy. Oczy wyłaziły Bobby'emu z orbit, podobne do kulek na sprężynach. Poszarpany język^{^jS^gf^ust} niczym obły, rdzawy węgorz.

— Podwójne oszustwo

— Co mu się stało w głowę? — spytał lekarz. Włosy denata zostały w licznych miejscach powyrywane, tak że jego czerep wyglądał jak główka łysawej lalki.

— To kaczki — odparł Culver Rundell. — Stado kaczek.

— Myślały, że to coś do jedzenia — wyjaśnił zastępca szeryfa.

— W wodzie włosy wyglądają jak wodorosty, szczególnie takie jasne jak Bobby'ego — dodał Rundell.

— O tej porze roku kaczki zjedzą wszystko — rzekł zastępca szeryfa.

Doktor Pembroke poczuł mdłości. Czasem żałował, że nie został radiologiem jak jego kuzyn. Ciężkimi chirurgicznymi nożycami zaczął rozcinać ubranie Clincha, ale szło mu niesporo, gdyż kończyny i tors topielca były opuchnięte. Jak tylko rozkroił przemoczone drelichowe spodnie i ukazało się więcej różowego ciała, Culver Rundell i zastępca szeryfa postanowili zaczekać po drugiej stronie lady, gdzie przysiedli przy stoliku, by podyskutować

ostatnim skandalu związanym z drużyną futbolową z uniwersytetu florydzkiego.

Doktor Pembroke pojawił się przed nimi piętnaście minut później, z kartą w dłoni. Pisał na niej i jednocześnie mówił:

— Ciało przebywało w wodzie co najmniej dwadzieścia cztery godziny. Przyczyna zgonu:

utonięcie.

— Czy był pijany? — spytał Rundell.

— Wątpię, a wyniki badania krwi będą najwcześniej za tydzień.

— Czy mam powiedzieć szefowi, że to był wypadek? — spytał zastępca szeryfa.

— Na to wygląda — odparł lekarz. — Na głowie jest rana, która mogła powstać w wyniku uderzenia przy znacznej prędkości.

W rzeczywistości był to duży siniak, ale doktor Pembroke chętnie ubarwiał swe słowa.

Większość wiadomości z zakresu medycyny sądowej czerpał z telewizyjnego serialu pod tytułem Biegły Quincy. Koronerowi Quincy'emu wystarczyło jedno spojrzenie na denata, by określić, o czym świadczy rana, i doktor Pembroke usiłował postępować tak samo. Gdy tylko Rundell

zastępca szeryfa odeszli od stołu, pospiesznie wykonał rutynowe czynności, by mieć je już za sobą. Utoczył denatowi krwi, zanotował, że na jego głowie widnieje siniak wielkości piłki golfowej, następnie wykonał niezbyt precyzyjne cięcie od szyi aż po miednicę. Włożył do środka rękę, pochwycił dłonią płuco i szybko ocenił, że zawiera ono słonawą wodę z jeziora. Oznaczało to, że Bobby Clinch utonął, tak jak doktor podejrzewał. Kolejnym dowodem trafności tej hipotezy była obecność martwego ciernika w prawym oskrzelu, wskazująca, że Bobby Clinch w ostatniej chwili życia zachłysnął się wodą. Ustaliwszy powyższe, doktor Pembroke nie zamierzał spędzić ani chwili dłużej nad namokłymi zwłokami. Nie obrócił ich nawet na brzuch, by zerknąć na plecy, tylko szybko zawiózł do chłodni, w której niegdyś przechowywano hamburgery.

Następnie podpisał świadectwo zgonu i wręczył je zastępcy szeryfa. Culver Rundell przeczytał dokument nad ramieniem policjanta i skinął głową.

— Zadzwoń do Clarisse — rzekł — a potem muszę umyć samochód.

Okoń wielkopyski jest najpopularniejszą rybą łowną w Ameryce Północnej, ponieważ można go znaleźć w ciepłych wodach niemal wszystkich stanów. W ostatnim dziesięcioleciu powstało tysiące klubów wielbicieli okonia, do których wciąż napływają rzesze nowych członków. Według danych producentów sprzętu rekreacyjnego na połowy okonia wydaje się co roku w Stanach Zjednoczonych więcej pieniędzy niż na jakikolwiek inny sport na wolnym powietrzu. Czasopisma wędkarskie promują ową „rybę dla ludzi pracy”, dostępną dla każdego, kto znajduje się o parę kroków od jeziora, rzeki, stawu, glinianki czy rowu odwadniającego; okoń nie wybrzydza. Jest wytrzymały, płodny i połknie nawet najżałoś-niejszą przynętę, jaką wędkarz zarzuci mu przed paszczę. Złapany na haczyk, walczy zaciekle, ale szybko się męczy. Skacze z podziwu godną zręcznością, choć daleko mu do pełnego gracji pstrąga tęczowego czy nitkoplewa. Jako danie na stół jest godny uwag, a odpowiednio przyprawiony może zadowolić najwybredniejs podniebienie. Jego zdumiewająca popularność bierze się z połączeni powyższych cech, a także z prostego faktu, że tyle go wszędzie dokoła, iż każdy głupek złowi coś na obiad.

Ów demokratyczny charakter czyni z okonia idealną wprost rybę turniejową oraz sprawia, że spełniają się największe marzenia producentów sprzętu wędkarskiego. Jako że okon z Seattle nie różni się niczym od swego kuzyna z Everglades", kosztowne artykuły wędkarskie mogą być wytwarzane w ogólnokrajowych standardach i podobnie reklamowane. Stąd fanatyczni poławiacze okonia wyglądają zawsze tak samo bez względu na to, gdzie mieszkają, począwszy od samochodów, a na wędkach i odzieży skończywszy. Czy łowią na wsi, czy w mieście, na jeziorze czy w rowie, strój i arsenał tego bractwa można rozpoznać na pierwszy rzut oka. I każdy jego członek stawia sobie za zadanie złapać jeden z tych osobliwie wielkich okazów zwanych „krówkami". W wielu częściach kraju ryba ważąca powyżej dwóch i pół kilograma uważana jest za trofeum i nierzadko się zdarza, że zapalony wędkarz trzyma u siebie w domu na ścianie trzy lub cztery takie okazy: w salonie, w warsztacie... Geograficzny obszar występowania okoni iście gargantuicznych rozmiarów — o wadze od pięciu do ośmiu kilogramów — ograniczony jest do wilgotnego Południa, zwłaszcza do Georgii i Florydy. Tam właśnie toczy się ostra, bezpardonowa walka, której celem jest złowienie największego okonia świata. Dla zawodowych wędkarzy sianowi to ekstraklasę. Nagroda za pierwsze miejsce w dwudniowym turnieju może wynieść nawet siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Jeśli pogoda nie dopisze albo woda będzie zbyt zimna, pulę można zgarnąć złowiwszy dwukilogramowego przeciętniaka. Najczęściej jednak trzeba złapać zdrowego „byczka", żeby wygrać poważne zawody, a niewielu jest takich, którzy potrafią to robić dzień w dzień.

Niedzielni wędkarze lubią przypominać, że największego okonia złowiono wcale nie na żadnych zawodach. Wyciągnął go, na bagnach jeziora Montgomery, dziewiętnastoletni wiejski chłopak z Georgii, George W. Perry. Jak łatwo się domyślić, młody Perry nigdy nie słyszał o echosondach rybackich Lowrance'a, silnikach trolingowych Thrustera czy grafitowych wędkach Fenwicka. Wypłynął na zwykłej łodzi wiosłowej i wziął jedną jedyną przynętę, jaką miał — wysłużony błysk. Wyruszył na połów tylko dlatego, że jego rodzina była głodna, i wrócił z okoniem, który ważył dziesięć kilogramów i trzynaście dekagramów. Wydarzenie to miało miejsce w roku . Od tego czasu, mimo rewolucyjnych zmian w technice łowienia, nikt nie wyciągnął okonia, który choćby trochę przypominał rozmiarami olbrzyma spożytego przez Perry'ego i jego rodzinę. Na autostradzie w pobliżu Lubmer City widnieje tablica upamiętniająca owego lewiatana. Stanowi ona prowokujące wyzwanie dla dzisiejszych wędkarzy, uzbrojonych w nowoczesny sprzęt. Niektórzy ichtiolodzy sugerowali nawet, że potwór z Montgomery był mutantem i stanowi rekord wszechczasów, który nigdy nie zostanie pobity. Jednakże Dickie Lockhart w swojej audycji telewizyjnej stwierdził: „Perry, za tydzień twój wieloryb przejdzie do historii!" *

W nadchodzącym tygodniu nie było żadnych zawodów, więc Dickie Lockhart miał przygotować własny program. Zdjęcia kręcono na jeziorze Kissimmee, niedaleko centrum Disneya.

Tytuł odcinka brzmiał „Łowimy okazy”, więc Dickie potrzebował okonia ważącego powyżej pięciu kilogramów; tylko takie uznaje się za „byczki”.

Jak zwykle używał dwóch łodzi: w jednej siedział on sam, a w drugiej ekipa filmowa. Podobnie jak inni autorzy programów wędkarskich, wykorzystywał taśmy wideo, a nie taśmy filmowe, ponieważ były tańsze i nadawały się do wielokrotnego użytku. Tylko wariat kręciłby na filmowej szesnastce, zdarzało się bowiem, że przez kilka dni nie było nic do pokazania prócz moczących kije i plujących tytoniem facetów. Dzięki wideo nie groziło to rozwaleniem budżetu, ponieważ taśmę można było cofnąć i kręcić od nowa.

Przez cały ranek łowił drobnicę. Odgadywał wagę okonia, jak tylko połknął on haczyk.

— Cholera jasna! — wrzeszczał. — Przewińcie kawałek z tym sukinsynem i zaczniście jeszcze raz!

Podczas wyczekiwania robił się spięty i wulgarny.

— No, paszczaki — mrucał, zarzucając wędkę — łykajcie to gównu albo jutro przywiozę dynamit. Zrozumiano?

Około dziesiątej zerwał się wiatr, burząc jego lśniąca czarna czuprynę.

— Cholera jasna! — wrzasnął. — Zatrzymajcie taśmę! — Wydobywszy z pudełka grzebień, przycesał włosy, po czym kazał kamerzyście kręcić od nowa.

— Jak wyglądam? — spytał.

— Jak mistrz — odparł kamerzysta bez przekonania. Marzył

dniu, kiedy Dickie Lockhart schla się do nieprzytomności i spuści spodnie, by zadziwić wielbicieli w całej Ameryce. A następnie wypadnie z łodzi, co mu się często zdarzało, kiedy był pijany. Kamerzysta udałby, że kasuje niecenzuralne sceny, ale oczywiście nie zrobiłby tego. Zachowałby je dla siebie, a potem zagroziłby Dickiemu, że opublikuje taśmę. Wówczas Dickie okazałby się hojnym jegomościem i kamerzysta mógłby wreszcie zabrać żonę na Wyspy Dziewicze.

Gdy taśma ponownie poszła w ruch, Dickie rozpoczął męską rozmowę z wędkarzami, którzy będą go oglądać. Musiał trafić do serc widowni, a stanowiły ją głównie wiejskie ciemniaki z Południa. Zarzucając wędkę, zdradzał im, jakiej przynęty używa, jak grubą żyłkę założył na kołowrotek, jakiego rodzaju okulary (o bursztynowych czy zielonych szklach) nadają się na słoneczny dzień. Nawijał swobodnie, podczas gdy tak naprawdę chodziło o to, by podczas dwudziestu czterech minut programu wspomnieć o jak największej liczbie wyrobów. Na tym zależało sponsorom. Przynętę wyprodukowała firma Bagley, żyłkę Du Pont, kołowrotek Shimano, okulary Polaroid i tak dalej. Patrzył w kamerę i zręcznie wplatał w swój monolog handlowe nazwy.

Około południa do miejsca połowu podpłynęła trzecia łódź. Dickie zaczął wrzeszczeć jak opętany.

— Cholera jasna! Zatrzymać taśmę! — Podskakiwał na dziobie wygrażał pięścią mężczyźnie w

łodzi. — Ej, nie widzisz, że kręcimy tu program? Masz dla siebie całe pieprzone jezioro, musiałeś się zatrzymać akurat tutaj i wszystko zepsuć?! — W tej samej chwili spostrzegł, że intruzem jest Ozzie Rundell, brat Culvera, więc zamilkł. Nie przeprosił go wprawdzie, ale się opanował.

— Nie chciałem przeszkadzać — mruknął Ozzie.

Dickie powiedział mu, żeby mówił głośniej.

— Nie chciałem przeszkadzać! — krzyknął Ozzie. Nigdy nie złowił okonia, który ważyłby ponad dwa kilogramy, więc odczuwał nabożny lęk przed Dickiem Lockhartem.

— Czego chcesz?

— Myślałem, że chciałby pan wiedzieć...

Dickie pokręcił głową. Włączył nogą mały silniczek i zbliżył się do Ozziego.

— Zaczynj od początku — rzekł niecierpliwie, gdy łodzie stanęły burta w burte.

— Myślałem, że chciałby pan wiedzieć. Znaleźli Bobby'ego Clincha.

— Gdzie?

— Martwego.

Ozzie nigdy nie odpowiadał wprost na zadawane mu pytania. Jego umysł funkcjonował w osobliwy sposób.

— Jak zginął?

— W jeziorze pod Harney.

— Kiedy?

— Poślizgnął się i wpadł do wody.

— O cholera!

— Wczoraj — zakończył Ozzie.

— Na dziś dosyć — zwrócił się Dickie do kamerzysty.

Ozzie najwyraźniej nie posiadał się ze szczęścia, że znajduje się tuż przy łodzi wielkiego Lockharta. Spoglądał na jego sprzęt tak, jak chłopiec z podstawówki spoglądałby na piłkę, którą gra Michael Jordan.

— Przepraszam, że przeszkodziłem — mruknął.

— Nie ma sprawy — odparł Dickie. — Przestały brać dwie godziny temu.

— Jakiej przynęty pan używa?

— Mam takie swoje cacko — odparł Dickie. — Dwa Skrzydełka.

Dwa Skrzydełka były najmodniejszą przynętą w środowisku zawodowych wędkarzy, w dużej mierze za sprawą Lockharta. Stwierdził on bowiem któregoś dnia, że właśnie dzięki nim — czyli obracającej się samoczynnie wokół własnej osi blaszce z dwoma srebrnymi piórkami — wygrał ostatnie osiem turniejów. Nikomu nie udało się powtórzyć tego fenomenalnego sukcesu, choć wszyscy próbowali, zapełniając swe kasetki różnorodnymi

imitagami oryginału. Wielu chwyciło na Dwa Skrzydełka duże ryby, ale Dickie Lockhart łowił najwięcej i jak na zamówienie.

— Niezła podpucha, co? — spytał Ozzie.

— Jasne — odparł Dickie. Wziął żyłkę między zęby i oderwał pobrzękującą przynętę. —

Chcesz?

Ozzie Rundell rozpromienił się jak dziecko w bożonarodzeniowy poranek.

— Niech pan rzuca!

Dickie Lockhart cisnął Skrzydełka. Rozradowany Ozzie niezręcznie próbował je złapać i haczyk wbił mu się w policzek. Najwyraźniej nie poczuł tego, nie zwracał uwagi na to, że krew spływa mu po brodzie.

— Dzięki! — zawołał, gdy Dickie Lockhart włączył silnik. — Wielkie dzięki!

— Nie ma sprawy — odparł mistrz, pochylając się nad przepustnicą.

R.J. Decker urodził się w Teksasie. Jego ojciec pracował w FBI, a cała rodzina mieszkała do roku w Dallas. Dwa tygodnie po zabójstwie Kennedy'ego ojciec Deckera został przeniesiony do Miami i włączony do wydziału narkotyków, którego zadaniem było dopilnować, by żaden kumpel Fidela Castro nie próbował handlować w Ameryce. Nadszedł trudny, acz ekscytujący okres. Ostatecznie jednak ojciec skończył za biurkiem, gdzie odwałął ogłupiającą papierkową robotę. Roztył się i w wieku czterdziestu dziewięciu lat umarł na miażdżycę. Jeden z dwóch starszych braci Deckera został policjantem w Minneapolis. Drugi sprzedawał samochody handlarzom kokainy w San Francisco.

Decker był zapalonym sportowcem i pilnym studentem. Dlatego też jego koledzy zdziwili się, gdy wybrał profesję fotografa. Aparaty fotograficzne stanowiły jego pasję; fascynowała go sztuka zamrażania życia w szklanym oku. Nigdy nikomu tego nie mówił, ale stało się tak za sprawą filmu Zaprudera. Kiedy „Life” opublikował owe gruboziarniste fotografie zabójstwa Kennedy'ego, Decker miał zaledwie osiem lat. Mimo to doznał wstrząsu na widok rannego prezydenta i jego żony. Róż jej sukni, rozmazana czerń limuzyny — przerażające zdjęcia o wielkiej sile wyrazu. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że taką chwilę można uchwycić i zachować dla potomności.

Dla Deckera fotografia była czymś więcej niż hobby, była sposobem patrzenia na świat. Pan Bóg obdarzył go porywczym temperamentem i cyniczną powierzchownością, tak więc ciemnia stała się dla niego miejscem wytchnienia, a rytuał wywoływania zdjęć uspokajającą terapią.

Ku jego rozczarowaniu fotografowanie studyjne okazało się nieznośnie nudną i nad wyraz dochodową profesją. Uwieczniał uroczystości rodzinne i religijne, wykonywał portrety oraz różne zlecenia, przeważnie reklamy do czasopism. Pewnego razu zapłacono mu dziewięć tysięcy dolarów za zrobienie perfekcyjnego zdjęcia buteleczki perfum. Reklama ukazała się w kilku największych czasopismach dla pań. Decker zachował sobie parę egzemplarzy i wysłał je potem do przyjaciół, by

się z niego pośmiali.

Rzecz jasna, zdarzały się też sesje z zawodowymi modelkami. Pierwszego roku Decker zakochał się siedemnaście razy. Później pozwalał, by to naczelni redaktorzy czasopism w nim się zakochiwali. Robił bardzo dobre zdjęcia, zarabiał dużo pieniędzy i nudził się jak mops.

Pewnego dnia, gdy był na plaży w Miami, przygotowując reklamę nowego olejku do opalania o zapachu teąuili, stojąca nie opodal młoda dziewczyna nagle zrzuciła z siebie ubranie i skoczyła do wody, chcąc się utopić. Ratownicy dopłynęli do niej w ostatniej chwili. Decker pstryknął kilka razy, kiedy nieśli ją na piasek. Zmierzwione jasne włosy na policzkach, nabrzmiałe, przymknięte oczy, szare wargi. Ale tym, co stworzyło naprawdę wspaniałe zdjęcie, była twarz jednego z ratowników, który uratował niedoszłą samobójczynię. Zasłonił on nagie piersi dziewczyny przed gapiami, a w jego oczach obiektyw aparatu uchwycił paniczny strach i litość.

Decker dał film pewnemu dziennikarzowi, który przyjechał na plażę za karetką pogotowia. Nazajutrz „Sun” opublikował jego zdjęcie na pierwszej stronie i zapłacił mu astronomiczną sumę trzydziestu dolarów. Dzień później redaktor naczelny zaproponował mu etat w gazecie, a on się na to zgodził.

W pewnym sensie było to najlepsze posunięcie, jakie Decker zrobił w swoim życiu. Pod innym jednak względem — najgorsze. Żałował, że nie wytrwał dłużej.

I

Wspominał to wszystko podczas podróży do okręgu Harney, gdzie miał rozpocząć nową sprawę, zaangażowany przez faceta, który bardzo mu nie przypadł do gustu.

Harney było rodzinnym miastem Dickiego Lockharta i głównym ośrodkiem jego wędkarskiego imperium.

Po przyjeździe na miejsce Decker natychmiast odszukał Otta Pickneya. Nie było z tym problemu, albowiem stary nie należał do ludzi ruchliwych.

Pickney pisał nekrologi dla harneyowskiego „Sentinel”, który wychodził dwa razy w tygodniu, a podczas sezonu łowieckiego — trzy. Odpowiadał mu leniwy rytm życia małej gazety, albowiem pozostawało mu dużo czasu na golf i uprawianie ogródka. Zanim przeniósł się na środkową Florydę, pracował w Miami, w „Sun”, i tam właśnie poznał go Decker. Z ospałości Pickneya Decker wnosił początkowo, że ma przed sobą twardego dziennikarza zmierzchu jego kariery. Wkrótce stało się oczywiste, że w karierze Pickneya nigdy nie było jaśniejszych okresów. Stary przetrwał tak długo w Miami tylko dlatego, że w redakcji istniała rozbudowana biurokracja, dzięki której zawsze znalazło się dla niego coś do roboty bez względu na to, jak był nieprzydatny. Ott należał do tych dziennikarzy, których ciągle przesuwano z jednego działu do drugiego. Z biegiem lat stają się oni tak żałośni, że żaden naczelny nie chce być zapamiętany jako ten, który ich zwolnił.

W rezultacie nigdy go nie zwolniono. Odszedł z „Sun” na pełną emeryturę

przeprowadził się do Harney, by pisać nekrologi i hodować nagradzane na wystawach orchidee.

R. J. Decker znalazł go w skromnym pokoju serwisowym. Były tam trzy maszyny do pisania, pięć biurków i cztery telefony. Ott siedział przy maszynie do kawy, jak za dawnych dobrych lat.

Uśmiechnął się na widok Deckera.

— R.J.! Dobry Boże, co cię tu sprowadza? Zepsuł ci się samochód na autostradzie?

Decker również się uśmiechnął i uściśnął dłoń kolegi. Ott miał aa sobie workowate spodnie i niebieską koszulę nonajron; prawdopodobnie ostatnią koszulę nonajron w Ameryce. Jak nie lubić faceta, który nie wstydzi się tak ubierać?

— Świetnie wyglądasz — odezwał się Decker.

— I świetnie się czuję. Naprawdę. Wprawdzie tu nie metropolia, ale to już zaliczyłem, nie? — Ott mówił odrobinę za głośno. — Wyszliśmy w samą porę, i ty, i ja. Ta gazeta wykończyłaby nas.

— Niewiele brakowało.

— Tak, chłopie, niewiele. Sandy! Chodź tutaj! Chcę, żebyś kogoś poznał.

Podszedł do nich mężczyzna o ptasiej twarzy, w grubych okularach. Skinął Deckerowi głową.

— R.J., to jest Sandy Kilpatrick, mój naczelny. Sandy, to R.J. Decker, z którym pracowałem w Miami. Ja pisałem, on robił fotki. Zrelacjonowaliśmy razem to wielkie agrafkowe morderstwo, pamiętasz?

Decker pamiętał. Pamiętał, że nie było ono wcale tak wielkie. Jakiś wsioch z Hialeh zabił własną żonę, wpinając jej agrafki w ciało. Setki agrafek. Przeczytał coś o murzyńskich czarach w jakimś czasopiśmie, ale wszystko poplątał. Upił ją rumem i przystroił agrafkami, aż wykrwawiła się na śmierć. Potem udawał, że znalazł ją w takim stanie po powrocie z pracy. O morderstwo oskarżył małżeństwo Haitańczyków, które mieszkało na tej samej ulicy. Twierdził, że rzucili czary na jego dom i samochód. Policja nie dała się nabrać na tę bajeczkę i facet skończył w kolejce do krzesła elektrycznego.

Podczas gdy Ott koloryzował fakty, Sandy Kilpatrick przypatrywał się Deckerowi w sposób, w jaki w tej części Florydy ludzie przypatrują się przyjezdnym z Miami. Jakby przynosili oni same kłopoty. Kilpatrick najwidoczniej słyszał od Otta o tym morderstwie z czterysta razy.

— Miło mi było pana poznać — rzekł Decker.

Naczelny ponownie skinął mu głową i wymknął się z pokoju.

— Dobry chłopak — powiedział dobrodusznie Ott. — Szybko się uczy.

Decker nalał sobie kawy. Nogi miał zdrętwiałe od długiej jazdy.

— Po coś przyjechał?

— Na ryby.

— Nie wiedziałem, że wędkujesz.

— Postanowiłem spróbować. Słyszałem, że Harney to królestwo dużych okoni.

— „Krów” — poprawił Ott.

Decker zerknął na niego niepewnie.

— Tu nie mówi się „duże okonie”, tylko „krówska” — wyjaśnił mu Ott. — Największe okonie na tej półkuli.

— „Byczki” — dodał Decker, przypomniawszy sobie jedno z określeń Dennisa Gaulta.

— Brawo, coś jednak wiesz!

— Gdzie najlepiej spróbować w tym roku?

Ott Pickney usiadł za swoim biurkiem.

— Chłopie, niewiele potrafię ci pomóc. Powinieneś pogadać z Jamie'em Bellirosso, naszym serwisowcem sportowym.

— Gdzie go znajdę?

— W Maui.

Okazało się, że Jamie Bellirosso należał do zanikającego gatunku dziennikarzy sportowych, którzy gotowi są na każdą robotę, byle oznaczała ona dobre żarcie i długą podróż. W tym miesiącu na Hawajach odbywały się połowy marlina, sponsorowane przez firmę produkującą przynęty z polietylenu. Bilet lotniczy, pokój i wyżywienie dla Bellirosso opłacił sponsor po cichym porozumieniu, że dziennikarz ośmiokrotnie wymieni w swoim artykule jego nazwę firmową, ponadto napisze ją bezbłędnie — co w wypadku Bellirosso nigdy nie było pewne. Tymczasem błękitne marliny brały, a Jamie bawił się wspaniale w Maui.

— Kiedy wraca? — spytał Decker.

— Kto to wie. Z Hawajów leci na Wyspę Bożego Narodzenia.

— A może ktoś inny mógłby mi pomóc? Wspomniano mi o przewodniku Dickie Lockhartcie. Ott się roześmiał.

— Przewodniku? Dickie Lockhart nie jest przewodnikiem, jest bogiem. To wielki poławiacz okoni. Największy.

— Co to znaczy?

— To, że nie wsiądzie do jednej łodzi z takim żółtodziobem jak ty. Poza tym on nie jest do wynajęcia.

Decker postanowił nie wspominać o poważnych zarzutach Dennisa Gaulta, albowiem Ott najwyraźniej był wielbicielem Lock-larta. Ciekawe, czy całe miasteczko jest tak nim oczarowane.

— Mamy paru dobrych przewodników, którzy pracują na eziorze — rzekł Ott. — Biorą chyba do dwustu dolarów za dzień.

„Świat zwariował” — pomyślał Decker.

— Trochę drogo jak na mój portfel — odparł.

— Tak, to sporo, ale nie pozostawiają turystom wielkiego wyboru. Wszyscy należą do związku.

— Do związku?

Tego już za wiele.

— Tak do Związku Zawodowego Wędkarzy Jeziora Jesup. Mają ustalone stawki.

— Jezu, Ott, ja tu przyjechałem zamoczyć kij, a ty mi mówisz, że całe jezioro jest w łapach harpagonów zrzeszonych w związku zawodowym? Ładne miasteczko, nie ma co.

— To nie tak — zaprotestował Ott z wyrzutem. — Poza tym, są inne możliwości. Wynajmij łódź i spróbuj sam...

— Nawet nie wiedziałbym gdzie.

— No to idź do tego faceta, który mieszka nad jeziorem.

— Chcesz powiedzieć, że on nie należy do związku?

— Jako jeden jedyny. Gdy go zobaczysz, zrozumiesz dlaczego.

— Chcesz mi dać do zrozumienia, że facet jest stuknięty?

— Mówią, że zna się na okoniach. I że jest niebezpieczny.

Decker nie bał się wariatów. Uznał, że trafia mu się dobra okazja.

— Ile on bierze? — spytał, udając skąpca.

— Nie mam pojęcia. Ale jak go zobaczysz, być może zmienisz zdanie i będziesz musiał wziąć jednego z zawodowców z ośrodka Rundella.

— Oni wyglądają mi na fanatyków wędkarstwa, a ja chcę tylko odpocząć.

Ott zmarszczył czoło.

— Znam ich, R. J. I lubię. Nie mam zamiaru udowadniać ci, że są oni całkowicie normalni, bo to nieprawda. Ale nieprawdą jest również to, że są kompletnie nienormalni. Mają lekkiego fioła, zgadza się. Kupują łodzie, które by prześcignęły porsche, i gdy wypłyną na wodę, to im trochę odbija. Zaledwie przedwczoraj pisałem o chłopaku, który miał wypadek, mknąc po jeziorze ponad setkę. Uderzył w korzeń cyprysa i rozwalil łódź.

— Zginął?

— Tak. Świt, mgła. Pewnie chciał być na miejscu przed kumplami. — Pickney zachichotał chrapliwie. — W łodzi nie ma hamulców, kolego.

— Czy coś podobnego nie zdarzyło się kilka lat temu na iużych zawodach? — spytał Decker.
— Czytałem o tym w Orlando. Zderzyły się dwie łodzie.

— Tak, na jeziorze Apopka. Oficjalnie nazywa się to zawodami grand prix, ale chłopcy mówią „wypierducha”. Pięćdziesiąt łodzi startujących z miejsca. No i trrach! Cholera, te zawody to jest coś, I. J. Powinieneś kiedyś zrobić serię kolorowych zdjęć.

— Słyszałem, że różne rzeczy się dzieją. Podobno niektórzy)szukują?

— Tak, też słyszałem, tyle że w to nie wierzę. Jak można jszukać? Albo masz rybę na haczyku, albo nie. — Skrzywił się. — inam tych ludzi i nie wierzę, by mogli kantować. Może w Teksasie akie rzeczy się zdarzają, ale nie tu.

Pickney zachowywał się tak, jakby to były bajeczki miastowych, akby stał się autorytetem w sprawach Harney —jego biurko, jego gazeta, jego miasto. Decker doszedł do wniosku, że ten stary :awodowiec z Miami zdołał się przystosować do wiejskiego życia.

Pickney się ożywił.

— Masz pokrywane wydatki? — spytał.

— I to z nawiązką.

— Postawisz mi lunch?

— Jasne.

— Ten facet, który mieszka nad jeziorem, nazywa się Skink. ak już wspominałem, gadają o nim, że ma nie po kolei w głowie, kięc lepiej uważaj. Kiedyś wysłaliśmy chłopaka, żeby napisał o nim rtykuł, a Skink złapał za siekierę i powybił mu wszystkie szyby v samochodzie. Mieszka w chacie przy Szlaku Mormonów. Trafisz am łatwo, to nad samym jeziorem. Chata wygląda jak szopa.

— Skink i co dalej? — spytał Decker.

— Skink i kropka — odparł Ott. — Tu więcej nie trzeba. —)dchylił się na krześle do tyłu i położył nogi na biurku. — Nie ;steś w Miami.

— Jazda stąd! — zawołał Skink.

— Muszę z panem pogadać.

— Daję ci trzydzieści sekund. — Miał broń, remingtona, jak auważył Decker. Trzymał karabin na kolanach.

Skink chyba nie miał jeszcze pięćdziesięciu lat. Siedział na składanym krzeselku na werandzie swej chaty. Miał na sobie wojskowe buty i pomarańczowy kombinezon przeciwdeszczowy, który świecił nawet o zmierzchu. Trudno było dostrzec kształt i rysy jego twarzy. Lekko przyprószone siwizną, związane w kucyk włosy opadały mu na plecy. Decker wiedział, że w tej części Ameryki długie włosy to ryzykowna fryzura, ale najwyraźniej Skink nie bał się nikogo i wprowadzał własną modę.

— Nazywam się Decker.

— Jesteś z urzędu podatkowego?

Niski, chropawy głos, przypominający dźwięk osuwającego się rynną błota.

— Nie.

— Bo ja nie płacę podatków.

Na głowie miał kapelusz przeciwdeszczowy, choć nie padało, na oczach okulary przeciwsłoneczne, choć słońce już zaszło.

— Od czasów Nixona, tego złodzieja, nie obchodzą mnie podatki — dodał.

— Nie jestem urzędnikiem — zapewnił go Decker. — Jestem prywatnym detektywem.

Skink chrząknął.

— Podobnie jak Barnaby Jones — spróbował wyjaśnić Decker.

Skink podniósł broń i wycelował w jego pierś.

— Nie obchodzi mnie telewizja — odparł.

— W takim razie proszę zapamiętać, że o niej wspomniałem.

Nie opuścił broni. Decker poczuł na karku kropelkę potu.

— Proszę odłożyć karabin — rzekł.

— Mam ochotę dzisiaj postrzelać.

„A ja mam pecha” — pomyślał Decker.

— Podobno jest pan przewodnikiem.

Skink opuścił nieco broń.

— Zgadza się.

— Chodzi o ryby. Chcę połowić okonie.

— Stówa za dzień.

— Dobra.

— Będziesz mi mówił „kapitanie”?

— Jeśli pan chce.

Skink położył karabin na kolanach. Decker sięgnął do kieszeni i wyjął studolarowy banknot.

Rozpostarł go i wygładził.

— Schowaj to — rzekł Skink, najwyraźniej rozzłoszczony. — Zapłacisz, jak będziesz miał rybę w łodzi. Zachowujesz się, jakbyś chciał jeszcze o czymś pogadać.

Z jakiegoś powodu Deckerowi tłukła się po głowie grana na janjo melodia z Deliverance. Za każdym razem, kiedy spoglądał na warz Skinka, stawała się głośniejsza.

— No, gadaj, szybko — rzekł Skink. Odstawił karabin w kąt, ufą do góry. Następnie zdjął okulary. Miał zielone oczy, ciemnozielone jak igliwie sosen. Szare, splątane brwi rosły pod takim kątem, że nadawały jego opalonej twarzy wyraz wiecznej irytacji. Decker był ciekaw, ilu stałych klientów może mieć taki człowiek.

— Czy łowi pan na zawodach?

— Już nie. Jeśli chodzi ci o ryby na turniej, to zatrzymaj te pieniądze.

— Chodzi mi o oszustów — rzekł Decker.

Skink wyprostował się tak gwałtownie, że jego plastikowy combinezon zapisał.

Ciemnozielone oczy wpiły się w Deckera. Skink zagryzł wąsy. Wciągnął głęboko powietrze, a jego pierś urobiła się dwa razy większa. Lecz dopiero gdy wstał, Decker zobaczył, ile w nim drzemie energii.

— Jestem głodny — powiedział. Ruszył do swojego pikapa, lecz nagle zatrzymał się i rzekł: — No, Miami, idziemy.

— Kapitanie, skąd wiedziałeś, że jestem z Miami? — spytał Decker, gdy jechali wyboistym Szlakiem Mormonów.

— Po fryzurze.

— Tak okropna?

— Charakterystyczna.

Nie było to słowo, którego Decker spodziewałby się po tym :złowieku. Najwyraźniej facet należał do tych, których nie można owszyforwać w kilka dni.

Wjechali na dwupasmówkę i ruszyli na południe. Skink prowa-Iził teraz wolno, znacznie wolniej niż na szlaku. Siedział zgarbiony a kierownicą i łypał oczyma przcz przednią szybę jak myszołów.

— Co jest? — spytał Decker.

— Zamknij się.

Mijały ich samochody i ciężarówki pędzące ze sto kilometrów

— Podwójne oszustwo na godzinę. Skink jechał marne czterdzieści. Decker czekał, że zaraz stuknie ich w tyłek jakiś traktor.

— Wszystko w porządku? — spytał.

— Nie obchodzą mnie inne samochody — odparł Skink. Skręcił w prawo i zjechał na żwirowe pobocze. Zanim Decker zdążył zareagować, wyskoczył z szoferki i wbiegł na drogę. Przystanął przy czymś, co leżało na asfalcie.

— Cholera, co robisz?! — krzyknął Decker, ale jego głos został zagłuszony przez dudnienie przejeżdżającej cysterny. Wysiadł, rozejrzał się i podbiegł do Skinka.

Dziwak klęczał na środku drogi przy dużym, zakrwawionym, szarym futrze.

Był to martwy opos. Skink dotknął brzucha zwierzęcia.

— Jeszcze ciepły — rzekł.

Decker milczał.

— Przejechany — dodał Skink gwoli wyjaśnienia. Wyjął nóż zza pasa. — Jesteś głodny, Miami?

— A może lepiej skoczmy gdzieś coś zjeść? — spytał niepewnie Decker.

— Po co?

Skink uciął oposowi łeb, po czym złapał resztę za różowy ogon i ruszył do pikapa. Decker teraz

dopiero zrozumiał, na co mu fluoryzujący kombinezon. Widać go było na kilometr, wyglądał jak neonowy yeti.

— Będzie ci smakować — rzekł Skink, kiedy Decker wszedł do szoferki.

— Chyba sobie daruję.

— Nie.

— Słucham?

— Jemy razem, taki jest układ. Potem wynocha. Innego dnia porozmawiamy o rybach. —

Nacisnął kapelusz mocno na głowę. — A później — dodał, włączając zapłon — możemy nawet pogadać o oszustach.

— Wiesz coś o tym?

Zaśmiał się gorzko.

— A jakże, choć wolałbym nie wiedzieć.

Chmary owadów pojawiały się w świetle reflektorów, gdy jechali wyboistą drogą. Nagle Skink zgasił reflektory i wyłączył silnik. Stanęli.

— Słyszysz? — spytał Skink.

Decker usłyszał warkot silnika. Jakby pracowała gdzieś kosiarka lo trawy.

Skink wyskoczył z szoferki i pobiegł między drzewa. Tym razem Becker trzymał się tuż za nim.

— Mówiłem skurwielom — rzekł zdyszany Skink.

— Jakim skurwielom? — spytał Decker. Wyglądało na to, że négną w kierunku tajemniczego pojazdu.

— Mówiłem im — powtórzył Skink.

Wypadli z lasu prosto na urwisko i Skink natychmiast ukląkł la jego skraju. W dole płynął mały strumień, wzdłuż którego, nieco 0wyżej, ciągnęła się leśna droga. Podskakiwało na niej pojedyncze wiatło.

Decker widział już wyraźnie samotnego motocyklistę. Z tej odległości odgłos silnika brzmiał jak warkot piły tarczowej, odbijając się echem po okolicznych wzgórzach. Za chwilę nieznajomy miał przejechać tuż pod nimi.

Nagle Decker spostrzegł, że Skink trzyma w ręku pistolet.

— Co ty robisz, do cholery?

— Zamknij się, Miami.

Skink wycelował. Decker podbił mu rękę, ale za późno. Gruchnął wystrzał. Motocykl zwałił się na ziemię niczym okulawiony koń, i motocyklista z krzykiem przeleciał nad kierownicą.

Plując ziemią spod tylnego koła, maszyna zsunęła się po skarpie wpadła do strumienia. Silnik kichnął i ucichł wśród bulgotania.

Motocyklista jęcząc usiłował wyplątać się z krzaków przy drodze.

— Chryste — rzekł przerażony Decker.

Skink włożył pistolet do kieszeni spodni.

— Przednie koło — rzekł. — Mówiłem ci, że mam ochotę zisiaj postrzelać.

Po powrocie do chaty Skink upiekł na rożnie oposa i podał go e świeżą kukurudzą, kapustą i truskawkami. Decker najchętniej idłby same warzywa i owoce, ponieważ mięso było skruszałe smakowało okropnie; kto wie, czy to zwierzę nie leżało na drodze d tygodnia.

Gdy tak jedli przy ogniu, zastanawiał się, dlaczego moskity atakują zajadle tylko jego, podczas gdy Skinka zostawiają w spokoju. Może krew kapitana była trująca?

— Kto cię wynajął? — spytał Skink z pełnymi ustami.

Decker powiedział kto i dlaczego.

Skink znieruchmiał patrząc przed siebie w milczeniu.

— A co, znasz Gaulta? — spytał Decker.

— Znam wielu ludzi.

— Dickiego Lockharta też?

Skink przegryzł kostkę.

— Jasne — odparł.

— To on kantuje.

— Jesteś blisko.

— A co, są inni?

— Jasne, że są, cholera! — Skink cisnął kostkę do jeziora, płosząc kaczkę. — Wielu, wielu innych.

— No to wał, kapitanie.

— Kiedy indziej — rzekł. Wypluł coś brązowego do ognia i nie wiadomo czemu zmarszczył czoło. — Ile ci płaci?

Decker zawahał się.

— Pięćdziesiąt patoli — odparł.

Skink nawet nie mrugnął okiem.

— Mało — rzekł. — No dobra, Miami, kończ tę cholerną kolację.

Dtt Pickney przyjechał do motelu nazajutrz przed ósmą rano. Zastukał głośno do drzwi pokoju R. J. Deckera.

Zaspany Decker wpuścił go do środka.

— No i jak poszło? — spytał Ott.

— Wspaniały wieczór.

— Czy jest aż tak kopnięty, jak mówią?

— Trudno powiedzieć.

Życie w Miami zmuszało człowieka do rewidowania poglądów i szaleństwo.

Ott powiedział, że jedzie na pogrzeb.

— Wiesz, chodzi o biedaka, o którym ci mówiłem.

— O tego wędkarza?

— Tak, o Bobby'ego Clincha. Sandy chce mieć coś łzawego do weekendowego numeru.

Przynajmniej to możemy zrobić dla tego ihłopaka. A ty ze Skinkiem na ryby?

— Nie dziś.

Skink pozostawił sprawę nie rozstrzygniętą i Decker zamierzał spotkać się z nim później.

— To może pojedziesz ze mną? — zaproponował Ott.

— Na pogrzeb?

— Całe miasto się wybiera. Poza tym pomyślałem sobie, że może chciałbyś zobaczyć z bliska paru wielkich wędkarzy. Bobby miał sporo przyjaciół.

— Tylko wezmę prysznic.

Decker nienawidził pogrzebów. Gdy pracował dla gazety, musiał chodzić na setki podobnych uroczystości, począwszy od pochówku gliniarza zastrzelonego przez narkomana na haju, a skończywszy na dwuletniej dziewczynce zgwałconej przez swego opiekuna. Morderstwom dzieci poświęca się wiele miejsca na łamach dzienników, a fotka zrozpaczonych rodziców zapełnia co najmniej cztery kolumny. Pogrzeby to najbardziej znienawidzona przez dziennikarzy robota. Decker nie bardzo wiedział, czego się spodziewać po Harney. Nadarzała się jednak okazja, by się rozejrzeć. „Może przyjdzie Dickie Lockhart — pomyślał, wycierając się ręcznikiem. — Z chęcią zobaczyłbym owo bożyszcze miasteczka.”

Na cmentarz pojechali samochodem Otta. Niemal wszyscy mieszkańcy Harney jeździli dużymi fordami albo chevroletami, natomiast Ott miał nowiutką toyotę.

— Orchidee nie zabierają zbyt dużo miejsca — wyjaśnił nieco asekurancko.

— Fajny wózek — pochwalił Decker.

Ott zapalił papierosa, więc Decker opuścił szybę. Poranek był chłodny, dał porywisty wiatr z północy.

— Mogę ci zadać osobiste pytanie? — zagadnął Ott.

— Wal.

— Słyszałem, że rozszedłeś się z żoną.

— Zgadza się.

— Szkoda, R. J. Wyglądała na wspaniałą kobitę.

— To przez pieniądze. Tamten facet miał ich trochę, a ja nie.

Żona Deckera uciekła z agentem turystycznym, który przekwalifikował się na kręgarza. Już gorzej być nie mogło.

— Przykro mi.

Jednak nie o rozwodzie chciał mówić Ott. Chodziło mu o co innego.

— Słyszałem coś jeszcze.

— Pewnie prawdę — odrzekł Decker. — Odsiedziałem dziesięć miesięcy w Apalachee, jeśli to masz na myśli.

Pickney zaciągał się tak mocno, że popiół na końcu papierosa miał już pięć centymetrów długości. Jeszcze chwila i spadnę staremu spodnie, które zajmą się ogniem. Kiedyś przydarzyło mu się to w redakcji w Miami. Żadna z gaśnic nie działała, więc musiał usiąść krakiem na wodotrysku, żeby ugasić płomień.

— Masz coś przeciwko temu, żebyśmy o tym pogadali? — spytał Dtt. — Zrozumiem cię, jeśli będziesz wolał zachować milczenie.

— To się zdarzyło po meczu Delfinów — rzekł Decker. — Zaparkowałem ze cztery przecznice od stadionu. Kiedy wracałem, zobaczy-em, że jakiś fagas włamuje mi się do bagażnika. Wyciągnął aparaty. Zwiedziałem mu, żeby je zostawił, ale on zaczął uciekać. Zabrał dwa nikony i nowiuteńką leicę. Nie mogłem pozwolić mu uciec.

— Dorwałeś go?

— Tak, upadł i wtedy go dogoniłem. No i mnie poniosło.

Pickney pokręcił głową i wypluł niedopałek przez okno.

— Dziesięć miesięcy! Aż trudno uwierzyć, że dali ci tyle za ivymłócenie jakiegoś złodzieja.

— Nie jakiegoś byle złodzieja, tylko gwiazdora futbolu z Pal-metto High — poprawił go Decker. — Jego trzy siostry zeznały, że yły świadkami zdarzenia. Powiedziały, że ich wspaniały braciszek niczego nie ukradł. Stał sobie spokojnie, kiedy ja nagle wyjechałem z za rogu i spytałem go, gdzie można dostać trochę zielska. Braciszek powiedział mi, żebym spadał, a ja wtedy wyskoczyłem z samochodu i zrobiłem z niego miazgę. Stek kłamstw.

— I co?

— Prokurator stanowy wycofał oskarżenie o kradzież przeciwko naszemu bohaterowi i przygwoździł mnie za napad i pobicie. Szczeniak dostał stypendium na studia, a ja bilet wstępu do więzienia. Ot i koniec historii.

— No i straciłeś pracę — westchnął Pickney.

— Gazeta nie miała wyboru.

Ojciec gówniarza narobił szumu. A był nim nie kto inny jak Levon Bennett, ważniak z komisji Orange Bowl, prezes zarządu około setki Janków. Decker był zdania, że po odsiadce gazeta zatrudniaby go ponownie, gdyby nie to, że Bennett grywał w golfa z jej prezesem.

— Zawsze miałeś temperament.

— I szczęście. Ze wszystkich złodziei w Miami musiałem trafić akurat na przyszłego zdobywcę

Super Bowl. — Decker zaśmiał się aerpko.

— A więc teraz jesteś...?

— Prywantym detektywem — odparł. Ott najwyraźniej miał problemy z przejściem do sedna sprawy.

A sednem było to, czym Decker zajmuje się jako detektyw.

— Skreśliłem ze swoich planów gazety — wyjaśnił Pickneyowi.

— Ty to mógłbyś robić, co byś chciał, R. J. Czasopisma, agencję nowojorskie, niezależna fotografia. Mógłbyś przebierać.

— Jako karany, nie bardzo.

To było wygodne kłamstwo. Pewien znajomy prawnik załatwił Deckerowi czyste konto, dopilnował, by jego akta kryminalne zostały zniszczone, informacje o nim wykasowane z komputera, więc nie na tym polegał problem.

Prawda była taka, że Decker miał dość dziennikarstwa. Potrzebował rozvodu z fotografią, ponieważ zaczął postrzegać życie i śmierć w formie następujących po sobie kadrów. Jego umysł zaczął funkcjonować niczym te cholerne aparaty i to go przerażało. Z fotografią prasową postanowił skończyć w dniu, kiedy dział miejski wysłał go z — jak się wszystkim zdawało — rutynowym zadaniem. Miał sfotografować ofiarę zbrodni. Z bagażnika nowego forda, zaparkowanego na najwyższym piętrze garażu przy lotnisku w Miami, wyciekało coś cuchnącego. Decker zjawił się na miejscu w chwili, gdy policjanci wyważali zamek. Przygotował leicę i przykląkł na jedno kolano. Poczul przez spodnie zimną wilgoć. Deszcz lał jak skurwysyn. Bagażnik został otwarty. Była w nim młoda kobieta, a w każdym razie coś, co kiedyś było młodą kobietą. Szpilki, pończochy, śliczna jedwabna suknia, tyle że z brązowymi plamami. Smród taki, że muchy by pozdychały. Spodziewał się ujrzeć jakiegoś gangstera — Latynosa pod trzydziestkę, ociekającego złotem, bez dokumentów, z wieloma ranami postrzałowymi. A nie dziewczyny z paskiem zaciśniętym wokół szyi. To Leslie! Nie! Decker nastawia ostrość. Leslie! Jezu przenajświętszy, on zna tę dziewczynę, pracował z nią w gazecie! Szybko naciąga migawkę. Pisywała o modzie; kto, do kurwy nędzy, chciałby zabić dziewczynę piszącą o modzie? Facet z dochodzeniówki mówi, że był to jej mąż. Decker zmienia kąt, by uchwycić włosy dziewczyny, a nie twarz. Gazety nie drukują twarzy denatów, taka jest zasada. Pstryka bez końca, myśląc: „Znam tę dziewczynę, dlaczego więc to robisz?” Leica gra cicho w deszczu: klik, klik, klik. „O Boże, przecież to moja koleżanka, dlaczego nie mogę przestać?” „Mąż powiedział jej, że lecą do centrum Disneya na romantyczny weekend” — wyjaśnia iacet z dochodzeniówki. Decker wkłada następną rolkę, nie może się powstrzymać. „Udusił ją tu, w tym miejscu, złapał nesesor poleciał do Key West wraz z barmanką z North Miami Beach.” „Zaledwie trzy miesiące temu wzięli ślub”. „Cztery — poprawia go policjant. — Witajcie w bajkowym świecie małżeństwa. Ej, nie wystarczy już tych zdjęć?”

„Jasne” — odpowiada Decker, ale może patrzeć na Leslie jedynie przez szkło obiektywu. Biegnie więc do swojego samochodu i rzyga przy drzwiach.

Trzy dni później syn Levona Bennetta usiłował ukraść mu aparaty fotograficzne. Decker dogonił go i zbił do nieprzytomności. „To moje oczy — wrzeszczał, waląc gnoja. — Bez nich jestem ślepy jak kret, nie rozumiesz, skurwielu?!”

W więzieniu poznał sympatycznego lekarza odsiadującego cztery lata za oszustwa, który dał mu adres firmy ubezpieczeniowej poszukującej detektywa. Czasami detektyw musi robić zdjęcia. Całe szczęście, że tylko „czasami”. Decker pomyślał, że chyba jakoś to wytrzyma. Poza tym nie miał grosza, a nie chciał więcej przestąpić progu żadnej redakcji. Tak więc na próbę wykonał jedno zlecenie dla firmy — zrobił zdjęcie jachtu, który powinien był spoczywać na dnie morza, ale nie spoczywał — i dostał za to dwa tysiące dolarów. Przekonał się, że tego rodzaju praca jest zupełnie bezbolesna i dochodowa. Gdy jego akta kryminalne zostały zniszczone, wystąpił o licencję detektywa i kupił dwa aparaty — nikona i canona, oba używane. Robota szła jak z płatka. Wprawdzie na nagrodę Pulitzera widoki były marne, ale niewiele też było zachodu. A co ważniejsze, z czasem odkrył, że nadal kocha swoje aparaty, tyle że, dzięki Bogu, może się już bez nich obejść. Żadnej kwi ani porozrywanych ciał w ciemni, jedynie portreciki ludzi i samochodów oraz gruboziarniste teleskopowe ujęcia zonatych facetów wymykających się z podejrzanych hotelików.

Nie powiedział o tym Pickneyowi. Stwierdził natomiast, że robota prywatnego detektywa wcale nie należy do najgorszych profesji, a płaca jest całkiem zadowalająca.

— To tak na razie — skłamał — aż uświadomię sobie, co chcę robić.

Ott zmusił się do uśmiechu. Zgrywał równego kolegę.

— Byłeś świetnym fotografem, R. J. — rzekł.

— Nadal nim jestem — odparł Decker, robiąc do niego oko. — Wyszedłem z redakcji z torbą pełną darmowych filmów Kodaka.

Takiego pogrzebu, jaki odbył się w Harney, R. J. Decker jeszcze nie widział, choć zaliczył w swoim życiu wiele słynnych pochówków: w Jonestown, Bejrucie, Bengazi.

Ale o tym można było napisać książkę. Kwalifikował się do księgi Guinnessa. Pochowali Roberta Clincha w jego łodzi motorowej.

Dokładnie mówiąc, w części odpiłowanego, błękitnego kadłuba przerobionej na trumnę.

Clarisse Clinch uważała ten pomysł za odrażający do chwili, gdy Klub Okonia zaproponował pokrycie kosztów. Przedsiębiorca pogrzebowy był zapalonym wędkarzem i przymknął oko na przepisy dotyczące materiałów, z jakich powinno się wykonywać trumny.

R. J. Decker odczuwał pokusę, by wyjąć aparat i zrobić kilka zdjęć, ale się pohamował. Nie zależało mu na tym, by ujrzeć w wizjerze twarz wygrażającej mu, rozwrzeszczanej wdowy.

Trzydziestoakrowy cmentarz znany był w okolicy pod nazwą cmentarza Naszej Pani od Tropików, ponieważ znajdował się w przetrzebionym zagajniku cytrusów. Żałobnicy stali w słońcu na łagodnym zielonym stoku. Pastor skończył modlitwę i przygotowywał się do ułożenia Clincha na wieczny spoczynek.

— Kilku z was było dziś rano na jeziorze i opuściło mszę żałobną — rzekł. — Jednakże Clarisse pozwoliła nam otworzyć trumnę raz jeszcze, by wszyscy przyjaciele Bobby'ego mogli go pożegnać na zawsze.

Decker nachylił się ku Pickneyowi.

— Który z nich to Lockhart? — spytał.

— Nie widzę go.

Kilkunastu mężczyzn, wielu ubranych w szare kurtki lub jaskrawe kamizelki, kilku wciąż w wysokich rybackich butach, stanęło szeregiem przy błyszczącej niebieskiej trumnie. Przedsiębiorstwo pogrzebowe wykonało fachową robotę w każdym calu. Opuchlizna na twarzy Clincha została ukryta pod grubym artystycznym makijażem. Denat nie przypominał wprawdzie zbytnio tego Bobby'ego Clincha, którego wszyscy znali, ale mógłby być jego starszym i nieco puciołowatym bratem. Podczas gdy niektórzy wędkarze wyciągali ręce i dotykali daszka jego czapki (która ukrywała o, co kaczkę zrobiły z czerepem), inni wkładali do trumny sentymentalne dowody sympatii: spławiki, przynęty, kawałki żyłek. Niektóre jrzynęty były popękane i wypłowiałe, haczyki powyginane i pordzewiałe, ale każdy przedmiot przypominał o dniu spędzonym przez jego właściciela nad wodą w towarzystwie Bobby'ego Clincha. Clarisse idawała, że jest wzruszona owymi dowodami braterskiej miłości, ale ;o innego zaprzętało jej myśli. Miała już kupca na wóz męża.

Ott Pickney i R. J. Decker byli jednymi z ostatnich, którzy jrzeszli obok trumny. Jej wnętrze wyglądało teraz jak wystawa ;klepu wędkarskiego. Koło zmarłego, niczym miecz u boku rycerza, eżała wędka.

— Bracia Pearl wykonali świetną robotę, nie sądzisz? — za-lważył Ott.

Decker się skrzywił.

— Nie znałeś go — rzekł ugodowo Ott.

— Nikt nie wygląda dobrze, gdy wyzienie ducha — odparł Decker. Zwłaszcza topielcy.

Wreszcie zamknięto wieko. Uprzątnięto kwiaty, włącznie z im-jonującym wieńcem w formie potężnego okonia wśród petunii, jrzysłanym przez Związek Zawodowy Wędkarzy Jeziora Jesup. ! Zeremonia dobiegła końca i żałobnicy zaczęli się rozchodzić małymi grupkami do samochodów.

— Muszę zdobyć jakieś cytaty od żony — szepnął Ott do Deckera.

— Dobra, nie spiesz mi się.

Ruszył ku wdowie i przysiadł obok niej na składanym krzeselku. dy wyjął notes, wzdrygnęła

się, jakby zobaczyła tarantulę. Decker parsknął śmiechem.

— Widać, że lubi pan pogrzeby — rozległ się za jego plecami coby głos.

Odwrócił się.

— Słyszałam pański śmiech.

— Każdy smuci się na swój sposób — rzekł Decker z poważną miną.

— Chrzanisz pan. — Powiedziała to niemal przyjaznym tonem.

Miała ze trzydzieści pięć lat, ciemnoniebieskie oczy i jasno-

)rązowe kręcone włosy do ramion. Decker był pewien, że gdzieś ją już widział. Była pięknie opalona, pewnie na plażach Curaçao albo Kajmanów. Miała na sobie czarną suknię ze zbyt dużym jak na pogrzeb dekoltem. Ta suknia nadawała się raczej do opery.

— Nazywam się Decker.

— A ja mam na imię Lanie.

— Elaine?

— Kiedyś. Teraz Lanie. — Zerknęła na Otta Pickneya. A może na Clarisse Clinch? — Nie znał pan Bobby'ego, co?

— Nie.

— To co pan tu robi?

— Jestem kolegą Otta.

— Nie wygląda pan na to. I chciałabym, żeby przestał pan gapić się na moje cycki.

Decker poczerwieniał. Nic mądrego nie przychodziło mu do głowy, więc milczał ze wzrokiem wbitym w ziemię.

— Jakie wrażenie zrobiła na panu ostatnia posługa? — spytała.

— Duże.

— Całkowite zboczenie, to jedyne określenie na coś takiego.

Nagle od strony grobu usłyszeli ostry zgrzyt. Spej'alnie zrobiona dla Clincha trumna wyslizgnęła się z lin i wpadła do grobu, gdzie stanęła pionowo. Wyglądała jak olbrzymi lizak.

— O Jezu! — jęknęła Lanie, odwracając głowę w drugą stronę.

Ubrani w kombinezony robotnicy cementarni zeszli do dołu, by zrobić porządek. Decker zauważył, że Clarisse Clinch kręci głową z obrzydzeniem. Ott pisał zawzięcie, pochylony niczym bocian.

— Dobrze go pani znała? — spytał nieznajomą Decker.

— Lepiej niż ktokolwiek inny. — Wskazała palcem drogę dojazdową, na której stały samochody żałobników. — Widzi pan tę ciemnopomarańczową korwetę? Dostałam ją od niego w prezencie, gdy zajął drugie miejsce w Atlancie. Jak dotąd zrobiłam tylko dwie minuty, panie

Decker, i ta korweta jest za jedną z nich.

Miał ochotę spytać o drugą. Próbował sobie przypomnieć jakieś frazesy, które nadawałyby się w sytuacji, gdy piękna nieznajoma rozpoczyna rozmowę o seksie oralnym, ale nie przychodziło mu do głowy nic odpowiedniego na ceremonię pogrzebową.

— Zglądał pan do trumny? — spytała.

— Tak. Niebywałe.

— To była jego ulubiona wędka. Grafitowy Fenwick.

„O nie — pomyślał Decker — czyżby i ona była szurnięta na tym punkcie?”

— Dałam mu ją na gwiazdkę. To był mój pomysł, żeby go z nią jochować.

— Nie domyśliłbym się tego.

Patrzyli, jak robotnicy ustawiają trumnę w pozycji poziomej opuszczając do grobu, gdzie wylądowała z hukiem, po czym łapią ją łopaty, by przysypać ziemią. Leslie włożyła okulary przeciwsłoneczne i poprawiła włosy. Miała eleganckie ruchy, wyćwiczone przez lustrami, jakich nie wieszano w domostwach Harney. Najwyraźniej była spoza tego miasta.

— To nie tak, jak pan myśli. Wie pan, chodzi mi o Bobby'ego o mnie.

— Ja nic nie myślę — odparł Decker. Dlaczego one zawsze »dczuwają potrzebę zwierzenia się? Czy on wygląda na księdza? Izy wygląda na pocieszyciela?

— Bobby naprawdę mnie kochał.

— Oczywiście — odrzekł. Korweta była najlepszym tego dowo-em. Trudno znaleźć bardziej miłującego człowieka niżli ten, co arowuje białogłowie sportowy samochód z podnoszonym dachem wielkimi kołami.

— Mam nadzieję, że odkryje pan, co się naprawdę wydarzyło — powiedziała. — Bo przecież po to pan tu jest, prawda? Jednak tym razem będzie pan musiał ciężko zapracować na swoje honorarium.

Odeszła. R. J. Decker nieświadomie przyglądał się, jak idzie do samochodu. Miała oszalałymi zmysłami i rozkołysane biodra. Może był to skutek zakrapianego alkoholem śniadania? Decker robił już w życiu gorsze rzeczy, niż przypatrywanie się na pogrzebie kobiecym nogom, ale czuł, że powinien myśleć o czymś innym. Na przykład o tym, skąd pogrążona w żałobie kochanka o nim wie? Wstał i ruszył za nią. Zawołał ją po imieniu, pojrzała na niego przez ramię i uśmiechnęła się, ale nie przystanęła, a Decker ją dogonił, zdążyła wsiąść do korwety, zamykając drzwi na zamek. Pomachała mu ręką zza przyciemnionej szyby, po czym ruszyła ostro, o mało nie przejeżdżając mu kołami po stopach.

Kiedy Decker wrócił na cmentarz, Ott Pickney kończył właśnie wywiad z wdową. Skinął jej głową na pożegnanie.

— Zimna kobieta — powiedział do Deckera. — Mam wrażenie, że Bobby za dużo czasu spędzał

na jeziorze.

W drodze do samochodu Decker spytał go o wędkę w trumnie.

— Cacko — odparł Ott.

— Tak, ale mnie ciekawi co innego. Jak to jest? Przecież facet wypłynął wczesnym rankiem na ryby, wypadł z łodzi i utonął.

— No i co?

— Jak odnaleźli jego wędkę?

Ott wzruszył ramionami.

— Skąd mam, cholera, wiedzieć? Może ją wyłowili.

— Z mulistej wody o głębokości dziesięciu metrów? Wątpię.

— Może jej ze sobą nie zabrał. Może zostawił w domu.

— Ale to była przecież jego ulubiona zabawka.

— Do czego zmierzasz, R. J.?

— Po prostu mnie to dziwi.

— Tacy fanatycy jak Bobby Clinch mają po sto wędek. Każdą na inny dzień. Ważne tylko, żeby złapać wielką rybę.

— Może masz raq'ę.

— Odpręż się — rzekł Ott. — Najwyraźniej potrzebujesz odpoczynku.

Gdy tylko wsiedli do toyoty, Pickney natychmiast zapalił papierosa. „Nie może kurzyć na świeżym powietrzu? — pomyślał poirytowany Decker. — Musi to robić w ciasnej kabinie?” Miał ochotę wysiąść i wrócić do motelu autostopem. Potrzebował chwili samotności, by podumać nad tajemniczą Lanie.

— Clarisse wcale nie wypłakuje oczu — rzekł Ott. — To bardzo zgorzkniała kobieta.

Wołałbym raczej porozmawiać z twoją nową śliczną znajomą.

— A kim ona jest?

— Ostra babka. Tylko mi nie mów, że ci spodnie w kroku pękają.

— Najwyraźniej wiedziała, kim jestem. A przynajmniej czym się zajmuję.

— Nie dziwię się.

— Powiedziała, że na imię ma Lanie.

— Słodka Lanie.

— A więc ją znasz.

— R.J., wszyscy znają Lanie Gault. Jej brat jest jednym z najbardziej znanych wędkarzy w kraju.

Dickiego Lockharta zabrakło na pogrzebie, ponieważ musiał polecieć do Nowego Orleanu na spotkanie ze swym szefem, wielbnyim Charlesem Weebem, prezesem, dyrektorem naczelnym i

duchowym przywódcą Chrześcijańskiej Sieci Telewizyjnej, która emitowała program Taaka ryba.

Lockhart w żadnym razie nie był człowiekiem religijnym — każdą niedzielę spędzał z wędką w dłoni — więc nie zaprzętał sobie głowy, jakiego wyznania jest wielebny Weeb. Weeb nigdy nie wspominał w jego obecności o grzechu, Bogu, Jezusie, Dziewicy Maryi czy którymś z apostołów. Mówił natomiast o rankingach, dochodach oraz kłopotach ze sponsorami. Podczas tych rozmów raęsto się unosił i używał wówczas określeń typu „popierdolec” i „mineciarz” znacznie swobodniej niż jakikolwiek inny duchowny, których Lockhart miał okazję spotkać w swoim życiu.

Dwa, trzy razy do roku Weeb wzywał Lockharta do Nowego Orleanu na dokładne przeanalizowanie Taakiej ryby. Mimo że prowadził własny program religijny, emitowany przez sieć, którą derował, najwyraźniej bardzo interesował się kręconymi za niewiel-de pieniądze pogadankami wędkarskimi.

W dniu pogrzebu Bobby'ego Clincha Lockhart i Weeb spotkali ję w różowym apartamencie dużego hotelu przy Chartres Street. W pokoju było pełno koszyków z owocami oraz butelek alkoholu. Sia kredensie przy drzwiach stała osobliwa kolekcja małych statu-:tek — przeznaczone na deski rozdzielcze aut plastikowe figurki jwiętych, które pracownicy hotelu zostawiali u wielebnego, by je pobłogosławił w wolnej chwili.

— Stuknięci katolicy — warknął Weeb. — Umieją tylko dwie zeczy: pieprzyć się i błagać o przebaczenie.

— Czy mogę się poczęstować jabłkiem? — spytał Dickie ^ockhart.

— Nie — odparł wielebny. Ubrany był w drogi brązowy dres, aipiony za gotówkę na Rodeo Drive w Beverly Hills. Jego jasne włosy były jak zwykle wypielęgnowane. Zapewne też czesał z równą itarannością swe krzaczaste jasne brwi. Położył nogi na stoliku, włożył na nos okulary do czytania i zerknął na wyniki ostatnich mkiet Nielsena.

— Nieźle — rzekł.

— Dziękuję panu — powiedział Lockhart. Nie lubił tych potkań. Myślał już o Bourbon Street i o tym, co może się wydarzyć później.

— Wyjaśnij sprawę Macon — polecił wielebny, spoglądając na niego znad okularów.

Lockhart skulił się na kanapie. Nie miał zielonego pojęcia, o czym jego szef mówi. Opuścił jakieś zawody? A może jakąś akcję promocyjną jednego ze sponsorów? Czy w Macon nie produkują przypadkiem przynęt zapachowych?

— Macon — westchnął Weeb. Zachowywał się jak rozczarowany rodzic. — Straciliśmy Macon na rzecz tego gównojada.

— Spurlinga?

— A kogóżby innego?! — wykrzyknął wielebny. Zgniółł w dłoni kartkę z wynikami ankiet.

Ed Spurling prowadził program zatytułowany Łowimy z Edem, emitowany za pośrednictwem

satelity przez sto siedemnaście stacji telewizyjnych. Sto osiemnaście, wliczając Macon.

W nieprzejdanej walce o prymat nad opętaną wędkowaniem Ameryką Ed Spurling był śmiertelnym wrogiem Lockharta.

— Macon — powtórzył Dickie ze smutkiem. Miasteczko znajdowało się w Georgii, ale w końcu Georgia to też kraina okoni.

— A więc mamy sto dwadzieścia pięć stacji przeciw stu osiemnastu — zauważył wielebny. — Nasza przewaga niebezpiecznie się kurczy.

— Ale w kilku ośrodkach jedziemy łeb w łeb — rzekł Lockhart. — Mobile, Gulfport, Fort Worth.

— I Little Rock.

W miastach tych telewizja kablowa nadawała oba programy; tamtejszy rynek był wystarczająco duży, aby oba pomieścić.

— Aha, omal nie zapomniałem — powiedział Weeb. — Straciłeś sobotę wieczór w Little Rock. Przesunęli cię na niedzielę rano, po kręglach.

Lockhart jęknął. Program Spurlinga poprzedzały mecze baseballu, mające największą oglądalność.

— Widzisz więc, co się dzieje — rzekł ponuro wielebny.

— Ale przecież ogólnie dobrze nam idzie. Widział pan odcinek z jeziora Jackson?

— Rozchybotane zdjęcia — warknął. — Twój kamerzysta miał chyba febrę.

— Robimy, co możemy — mruknął Dickie — za te wszawę tysiąc dolarów. — Tyle wynosił budżet jednego odcinka Takiej ryby, wyłączając jego honorarium. Dieta na podróż była tak skąpa, że jeździł karawanem, by zaoszczędzić na motelach.

— Twój program trzeba uatrakcyjnić — rzekł Weeb.

— Na jeziorze Jackson złapałem trzy pięciokilogramowe „byki”!

— Spurling ma nową piosenkę. Grają na banjo, śpiewa Mac-avis. Słyszałeś?

Lockhart pokręcił głową. Zazwyczaj nie sprzeczał się z szefem, de czasem nie mógł się powstrzymać.

— Widział pan ostatni RW? — spytał.

Chodziło o ranking publikowany przez czasopismo „Wędkarz”, obejmujący najlepszych poławiaczy okoni w kraju. Był on tym samym lla wędkarzy, co ankiety opracowane przez Nielsena dla telewizji.

— Zauważył pan, kto jest znowu na pierwszym miejscu? — Lockhart nie dawał za wygraną.

— Tak. — Weeb zdjął nogi ze stolika i usiadł prosto. — I całe zwycięstwo, kurwa mać, bo na razie nie mamy nic prócz twojego lazwiska. Jesteś zwycięzcą, a widzowie lubią oglądać zwycięzców, jednak nie zapomnij, że Spurling wygrał zawody w Tennessee...

— Trzecia liga, panie Weeb. W Atlancie go zakasowałem, »kończył na ósmej pozycji, nie miał nic do ważenia.

Weeb wstał i wygładził dres, za który musiał zapłacić kupę brsy. Usiadł ponownie.

— Jak już mówiłem, bardzo nas cieszy, że jesteś na szczycie. Ue boję się, żebyś nie zaczął się zsuwać. Dojdzie do tego, jeśli nie »ędziesz uważał. Dzieje się tak w interesach, dzieje się tak i w węd-:arstwie. To jedno i to samo.

Rozdarł folię pokrywającą kosz z owocami i rzucił Lockhartowi ibłko. Lockhart poczuł ogromną ochotę, by mu powiedzieć, że go dres przypomina piżamę.

— Nadchodzą główne zawody, Dickie. Jeśli nie wygrasz, pó-iziesz w odstawkę. — Weeb zdjął okulary. — Mam jednak iadzieję, że nadal będziesz wygrywał. I szczerze ci to radzę.

Rzecz jasna, Lockhart życzył sobie tego samego.

Podjechawszy do chaty Skinka, Decker zatrąbił dwa razy, krótko, nie natarczywie, żeby ten szajbus znów nie nabrał ochoty do polowań.

Chata była pochylona w jedną stronę i wyglądało, że gwałtowniejszy podmuch wiatru z łatwością może ją przewrócić. Panowała wokół cisza, w której bzycały tylko końskie muchy. Decker włożył ręce do kieszeni i ruszył w stronę jeziora. Mniej więcej sześćset metrów od brzegu dryfowała łódź z dwoma wędkarzami. Za każdym razem, kiedy jeden z nich zarzucał wędkę, połyskująca żyłka leciała w górę niczym nić babiego lata, po czym opadała na powierzchnię wody. Malinowy kadłub łodzi błyszczał w południowym słońcu. Deckerowi nawet nie przyszło do głowy, by do nich wołać. Jeśli Skink łowił ryby, to na pewno sam. I nie w takie motorówce.

Podreptał z powrotem do chaty i usiadł na werandzie. Chwilę później usłyszał trzask w koronie drzewa i Skink zeskoczył z pobliskiej sosny.

— Przystaję tobą pogardzać, Miami — rzekł, podnosząc się z ziemi.

— Miło mi to słyszeć.

— Nie wszedłeś do środka.

— To nie mój dom.

— Otóż to — mruknął Skink, wchodząc na werandę ciężkim rokiem. — A jednak niektórzy weszliby.

W dziennym świetle powierzchowność Skinka nie ujawniała owych szczegółów. Tego dnia miał na sobie maskujący mundur ołowy, okulary przeciwsłoneczne i czepek kąpielowy w kwiaty, pod którego wymykał się długi kucyk.

Nalał Deckerowi kawy, sobie nie.

— Na drugie śniadanie mam świeżego królika — rzekł.

— Nie, dziękuję.

— Naprawdę świeży.

— Dopiero co jadłem — powiedział Decker bez przekonania.

— Jak tam pogrzeb?

Wzruszył ramionami.

— Znałeś Roberta Clincha? — spytał.

— Znam ich wszystkich.

— Lanie Gault też?

— Jej brat to ten bonza, który cię wynajął.

— Zgadza się. — Deckerowi ulżyło, gdy Ott mu powiedział, że Jennis Gault jest bratem Lanie.

Dzięki Bogu, że nie mężem.

— Pani Gault uważa, że za śmiercią Roberta Clincha coś się ryje — rzekł.

Skink ukucnął na ziemi, by rozpałcić ogień. Odezwał się dopiero wówczas, gdy drzewo zajęło się na dobre.

— Trudno znaleźć dobrego królika. Najczęściej są rozjechane a miazgę i nie ma grama mięsa. Najlepiej gdy samochód tylko go ahaczy i odrzuci na pobocze. Ten jest cacy, nawet byś nie wiedział, dzie dostał. Doskonałe mięso. Równie dobrze mógłby wykorkować a serduszko. — Układał kawałki mięsa na patelni.

— Dobra, wezmę trochę — poddał się Decker.

Wtedy Skink uśmiechnął się po raz pierwszy. Był to jeden najbardziej nieprawdopodobnych uśmiechów, jakie Decker kiedykolwiek widział, albowiem Skink miał doskonałe uzębienie. Proste, deskazitelnie białe zęby, z jakimi nikt się nie rodzi. Godne irezentera telewizyjnego.

— Byłem w sobotę rano przy Trzęsawisku Szopów — rzekł Ikin.

— Wtedy, gdy to się stało?

— Tuż przed tym.

— Mówią, że zasuwał z sześćdziesiąt węzłów.

Skink polał skwierczące mięso masłem. Podniósł oczy i powiedział:

— Ja widziałem, że łódź stała w miejscu.

— Clinch jeszcze wtedy żył?

— Tak.

— A więc wypadek musiał się zdarzyć później.

Skink prychnął.

— Czy on cię widział? — spytał Decker.

— Nie. Byłem schowany wśród drzew, obierałem ze skóry grzechotnika. Nikt mnie nie widział — odparł Skink i podał mu kawałek smażonego królika.

Decker podmuchał na mięso, żeby odrobinę wystygło, i ugryzł ostrożnie. Było bardzo smaczne.

— Dlaczego zwróciłeś uwagę na Clincha?

— Bo nie łowił.

Decker połknął to, co miał w ustach, i wydał cichy okrzyk zdziwienia.

— Nie łowił ryb — powtórzył Skink. — I to mnie uderzyło. Wstawać o świcie, pędzić na złamanie karku nad jezioro tylko po to, by poszperać wiosłem wśród lilii wodnych? Obserwowałem go, bo chciałem zobaczyć, czy znajdzie to, czego szuka.

— I znalazł?

— Nie wiem. Odszedłem, żeby skończyć z wężem.

— Jezu — rzekł Decker. Wyciągnął rękę i szybko chwycił palcami kolejny kawałek mięsa z patelni. Skink skinął głową z aprobatą.

— I co z tego wnosisz? — spytał Decker.

— To ty jesteś tu od myślenia.

— Jeśli pracujesz dla mnie, to mi pomóż.

— Nie pieprz.

Patelnia była pusta. Skink wlał żółtawy tłuszcz do kartonu po mleku.

— Tego ranka okonie niemal same wskakiwały mu do łódki — rzekł — ale ten skurwiel nawet nie wziął wędki do ręki. Czy to nie dziwne?

— Dziwne — przyznał Decker.

— Boże, ty na gwałt potrzebujesz korepetycji — mruknął Skink. — Tacy faceci jak Clinch wolą łowić niż pieprzyć kobiety, o prawda, Miami. Zawiesz ich rankiem nad dobre jezioro z mety im staje. A więc pytanie brzmi: dlaczego ostatniej soboty lobby Clinch nie łapał ryb na Trzęsawisku Szopów.

Deckerowi nic nie przychodziło do głowy.

— Chcesz usłyszeć coś ciekawszego? — rzekł Skink. — Była jeszcze jedna łódka, niedaleko. Z dwoma facetami.

— I oni też nie łowili, co?

— Ha! — zarechotał Skink. — Widzę, że zmądrzałeś od jóliczego mięsa.

Kawa Deckera zrobiła się całkiem zimna, ale to nie miało znaczenia. Wypił wszystko jednym haustem.

Skink się ożywił; napinał mięśnie karku.

— Może mi powiesz, Miami, co to oznacza? — spytał, wy-jzebując scyzorykiem włókna mięsa spomiędzy pięknych zębów.

— Sam chciałbym wiedzieć.

— Usłyszysz moją hipotezę na ten temat dziś wieczór na jeziorze.

— Na jeziorze?

— Czeka cię chrzest bojowy — odparł Skink i wdrapał się ; powrotem na sosnę.

Ott Pickney wycofał się z wielkomijskiego dziennikarstwa bez większych oporów. Wiedział, że mógłby zostać w „Sun” do końca rnych dni, ale uważał, że już zrobił, co do niego należy. Mimo iż przez ostatnie dziesięć lat nie napisał nic znaczącego, opuścił gazetę v tryumfalnym nastroju. Przetrwiał wynalezienie fotoskładu, nadejście związków zawodowych, najazd chamów ze szkół prywatnych, władzę zachłannych dyrektorów. Przychodzili do nich pierwszorzę-Ini fachowcy i niezwykli skurwiele, a on przeżył większość z nich, ponieważ nie był chorobliwie ambitny. Stanowił chodzący dowód la to, że dobry dziennikarz nie musi być koniecznie cwany agresywny, nawet na południu Florydy.

Pracę w Harney uważał za taki sam bieg do mety, tylko po wolniejszej nawierzchni.

Dlatego oburzyły go podejrzenia Deckera dotyczące śmierci Bobby'ego Clincha. Brawurowy wędkarz rozbija łódź i tonie — co w tym dziwnego? W Miami byłaby z tego niewielka notatka, na którą nikt by nie spojrział dwa razy. Pickneya rozdrażniły aluzje Deckera, że coś tu śmierdzi. To nie Nowy Jork. Zarzut zorganizowanych oszustw na zawodach wędkarskich wydał mu się niedorzeczny, natomiast sugestia, że Clinch nie zginął w wypadku, stanowiła obrazę dla społeczności Harney. Ott postanowił pokazać Deckerowi, że grubo się myli.

Po pogrzebie udał się do redakcji. „Sentinel” nie wychodził codziennie, więc miał dwa dni na dokończenie artykułu o Clinchu. Przeglądając zapiski w notesie, uświadomił sobie, że zdoła wystukać zaledwie pięć, dziesięć linijek tekstu.

Z bezprzykładnym jak na niego uporem postanowił, że jeszcze raz spróbuje podejść Clarisse Clinch.

W domu wdowy panował nieopisany bałagan. Przed drzwiami stała żółta ciężarówka firmy przewozowej; ekipa krzepkich robotników wynosiła z domu meble. Clarisse założyła punkt dowodzenia w kuchni; pod jej surowym okiem tragarze zwijali się jak mrówki.

— Przepraszam, że przeszkadzam — rzekł Ott — ale mam jeszcze kilka pytań.

— Nie mam już nic do powiedzenia — warknęła. — Zaraz wyjeżdżamy do Valadosta.

Ott usiłował ją sobie wyobrazić w zwiewnej, półprzezroczystej sukni, zasiadającą z obnażonymi nogami za kierownicą ciemno-pomarańczowejej korwety. Nic z tego. Ta kobieta była z innej gliny niż Lanie Gault.

— Chciałbym się więcej dowiedzieć o pasji pani męża. Może zna pani jakieś anegdoty o nim?

— Anegdoty! — burknęła. — Pisze pan o nim książkę?

— Nie, tylko obszerny artykuł. Podobno był zawołanym wędkarzem.

— Widział pan trumnę, nie? I widział pan też jego przyjaciół. — Klasnęła głośno w dłonie. —

Ej, Pablo, uważaj na otomanę, chyba że zamierzasz mi kupić nową!

Pablo mruknął coś wulgarnego pod nosem.

— Wędkuje pan? — spytała Clarisse Otta.

Pokręcił głową.

— Dzięki Bogu, przynajmniej jeden.

Spojrzała na biblioteczkę w salonie. Na jej półkach zamiast książek stały trofea wędkarskie.

Każde zwieńczone tandetną, Domalowaną na złoto figurką skaczącej ryby. „Okonie” —pomyślał tt. Policzył puchary i zapisał w notesie: osiemnaście. Jeden i tragarzy otworzył duże kartonowe pudło i zaczął pakować statuetki.

— Nie! — krzyknęła Clarisse. — To do śmieci.

Robotnik wzruszył ramionami.

Poszli do garażu.

— Muszę sprzedać ten złom — powiedziała do Otta.

Miała na myśli sprzęt wędkarski męża. Wędki bambusowe, spinningi, teleskopówki, po kilka z każdego rodzaju. Ott Pickney policzył je i zapisał: dwadzieścia dwie. Wszystkie znajdowały się w idealnym stanie.

— Warte są dużo pieniędzy — rzekł.

— W takim razie dam ogłoszenie w pańskiej gazecie.

— Dobry pomysł.

Dziennikarzy harneyowskiego „Sentinel” przeszkolono w przyjmowaniu zleceń reklamowych. Właśnie na wypadek takich sytuacji. Ott przyniósł formularze z samochodu.

— Dwadzieścia dwie wędki — zaczął.

— Trzy pary długich butów — rzekła Clarisse, szperając wśród wyposażenia męża.

— Dwa podbieraki — zapisał Ott.

— Cztery kamizelki — dodała — w tym jedna z wodoszczelnymi kieszeniami.

— Czy to nie elektryczna ostrzałka do haczyków?

— Nowiuteńka. Niech pan zapisze, że jest nowa.

— Mam.

— Ale co z tym zrobić, nie mam pojęcia. — Spod ławki wyciągnęła plastikowy kufer z wytłoczonym na wieku napisem „Sejf”. — Nie mogę nawet podnieść tego cholerstwa. I boję się zajrzeć do środka.

— Co to jest?

— Jego największy skarb. Skrzynka na przybory wędkarskie.

Ott złapał za rączkę i postawił kufer na stole. Ciężki, ważył z dwadzieścia pięć kilogramów.

— Trzyma w nim te śmiecie, odkąd skończył dziesięć lat. Przynęty, splawiki i tak dalej — powiedziała Clarisse cicho. Mrugała oczami, jakby chcąc powstrzymać łzy.

Ott otworzył zatrzaski i podniósł wieko. Nigdy w życiu nie widział tak różnorodnej zbieraniny gadżetów: tęczowe robaki i żabki, plastikowe kaczki, małe gumowe węże, jeżące się haczyki.

Przynęty umieszczone były starannie na ośmiu składanych plastikowych tackach. Na dnie kufru leżały noże, szczypce, usuwalniki haczyków z nierdzewnej stali, ciężarki, kołowrotki, szpulki żyłek. W fioletowym woreczku z aksamitu spoczywała mała waga z brązu do ważenia okoni. Skala kończyła się optymistycznie na trzynastu kilogramach, choć nikt nigdy nie złapał tak ciężkiego okazu.

— To cholerstwo kosztowało czterdzieści dolarów — zauważyła Clarisse. — Bobby powiedział, że jest opatrzona certyfikatem sędziowskim. Podobno wszyscy mają ten sam model i dlatego nikt nie może oszukiwać.

Ott Pickney schował ostrożnie wagę do woreczka. Włożył woreczek do kufru i zamknął wieko. Clarisse usiadła na betonowych stopniach i zapatrzyła się na szereg osieroconych wędek.

— To było całe jego życie. Nie liczyłam się ani ja, ani dzieci, ani praca w telekomunikacji... Tylko to. Szczęśliwy był jedynie wtedy, gdy łowił na jeziorze — powiedziała.

„Wreszcie jakiś przyzwoity cytat” — pomyślał Ott i zapisał pospiesznie w notesie: „Szczęśliwy był jedynie wtedy, gdy łowił na jeziorze.”

Dopiero w powrotnej drodze do redakcji uderzyła go pewna myśl: R. J. Decker miał rację, coś tu nie w porządku.

Jeśli Bobby Clinch zabrałby kufer w swoją ostatnią podróż, to by go stracił. A więc nie zabrał. Dlaczego? Przecież trzymał w nim wszystkie przybory.

Łódź Skinka miała ledwo cztery metry długości, popękane wiosła i drzazgi w drewnianych ławeczkach.

— Wsiadaj — powiedział do Deckera.

Decker wskoczył na dziób i odpłynęli. Chłodna noc pod wysokim baldachimem zachmurzonego nieba. Rzeński wiatr gnał na południe jednolitą masę szarych obłoków. Skink postawił na dnie łodzi latarnię, tuż obok nieprzemakalnej torby, w której Decker trzymał aparaty fotograficzne.

— Przy takim wietrze nie ma komarów — rzekł.

Wziął ze sobą dwie wędkę, które wyglądały tak, jakby je kupił na pchlim targu. Włókno szklane było zbrązowiałe, kołowrotki joobijane i zmatowiałe. Żadnego podobieństwa do arcydzieła, które Decker ujrzał w trumnie obok Bobby'ego Clincha.

Skink wiosłował bez wysiłku. Kiedy płynęli środkiem jeziora, niewielkie fale lizały dziób łodzi. Przyjemnie było na jeziorze w tę :ichą, chłodną noc. Decker nadal czuł się odrobinę nieswojo v obecności Skinka, ale zaczynał go już lubić, nawet jeśli facet cwalifikował się do szpitala dla umysłowo chorych. Spotkał w swoim iyciu kilku mu podobnych, ekscentrycznych samotników. Jeden się :hował przed ludźmi, drugi przed czymś uciekał, inny z kolei czekał la kogoś lub na coś. Tak właśnie było ze Skinkiem, który najwyraż-liej na coś czekał. Decker nie zatrzasnąłby mu drzwi przed nosem.

— Wygląda na to, że nikt poza nami nie łowi — rzekł.

— Oni są wszędzie — odparł odwrócony plecami Skink. Decker chciał, żeby Skink zdjął ten cholerny czepek kąpielowy, ale nie wiedział, jak o to zagaić.

— Skąd wiesz, gdzie płynąć? — spytał.

— Na północny zachód jest parking dla przyczep kempingowych. Latarnie przeświecają przez drzewa. Zostawia się je napalone na noc. Ludzie, którzy tam mieszkają, boją się ciemności, i w mroku słychać różne dziwne odgłosy — zauważyłeś to, Miami? Jważaj teraz: łódź to cyferblat, a ty jesteś godziną dwunastą, parking jest dziesiątą...

— Rozumiem.

— Brawo. A teraz spójrz na wół do trzeciej, widzisz? Następne światła. To motel przy trasie — powiedział, nie odwracając ani na moment głowy. — A w jakim kierunku płyniemy?

— Wygląda na to, że na północ.

— Brawo. Widzę, że trafił mi się pieprzony skaut.

Decker nie wiedział, o co temu pomyślcowi chodzi, ale stwierdził w duchu, że przejażdżka łodzią była znacznie atrakcyjniejsza niż nocne dybanie na niewiernych mężów.

Po dwudziestu minutach Skink przestał wiosłować. Postawił łódkę na ławeczce i wziął do ręki jedną z wędek. Decker patrzył: dziobu, jak walczy z żyłką, i słyszał, jak klnie pod nosem.

Wreszcie Skink obrócił się na siedzeniu i podał mu spinning. Na końcu żyłki wisiała długa purpurowa przynęta z gumy. Decker pomyślał, że pewnie ma to imitować węgorza, węża albo robaka chorego na tarczycę.

— No to zobaczmy, jak rzucasz — rzekł Skink.

Decker trzymał wędkę w prawej dłoni. Zamachnął się i wykonał ruch podobny do rzutu piłką baseballową. Gumowa przynęta pacnęła do wody zaledwie półtora metra od łódki.

— Kiepsciuchno — rzekł Skink. — Nie wygrałbyś meczu.

Pokazał Deckerowi, jak odblokowywać kołowrotek, jak czubkiem palca wskazującego kontrolować żyłkę, jak nadgarstkiem, a nie ramieniem, nadawać rzutowi siłę. Po sześciu próbach Decker cisnął przynętę na odległość ponad dwudziestu metrów.

— Dobra jest — rzekł Skink i zgasił latarnię.

Łódź dryfowała przy wejściu do małej zatoczki, gdzie powierzchnia wody była gładka niczym lustro z przydymionego szkła. Nawet w bezgwiezdną noc jezioro emanowało własne, szare światło. Decker dostrzegł pasmo sosen na brzegu; wokół łodzi było gęsto od lilii wodnych, splątanych konarów cyprysów i kęp wysokich wodorostów.

— Rzucaj — rzekł Skink.

— Tutaj? Zaplącze się.

— Ten haczyk się nie zaplątuje. Rzuć mocno i zacznij myśleć jak nocny łowca. Niech ta

zabawka wije się jak robal, który wie, że za chwilę zostanie pożarty.

Decker rzucił daleko i przynęta wpadła między lilie. Kręcąc kołowrotkiem, poruszał niezgrabnie wędką, by wprawić kawałek gumy w ruch.

— Kurwa mać, nie maczasz w zupie bułki, tylko udajesz węża! — syknął rozsierdzony Skink. Wyrwał mu wędkę i zamachnął się potężnie. Daleko, nie opodal brzegu, rozległ się plusk. — A teraz patrz na koniec kija i na moje ręce.

Gumowy wąż mknął wśród lilii, wijąc się na powierzchni wody jak żywy.

Kiedy był nie dalej niż półtora metra od łodzi, w wodzie tuż pod nim zakotłowało się. Skink mocno zaciął wędkę. Gumowy wąż wyskoczył z wody i wbił się haczykiem w jego czepek kąpielowy.

Deckerowi serce skoczyło do gardła. Na wodzie pozostały tylko bąbelki powietrza i piana.

— Co to było? — spytał osłupiały.

— „Byczek” — odparł Skink. — I to niezły. — Odczepił haczyk ze swego nakrycia głowy i wręczył wędkę Deckerowi. — Spróbuj, tylko szybko, dopóki jest napalony.

Decker zarzucił wędkę w tym samym kierunku. Drżącymi łonmi szarpał za nią, ciągnąc przynętę po wodzie.

— Zaczyna się gotować. Zwolnij trochę.

— Tyle?

— Tak.

Decker usłyszał to, zanim poczuł. Potężny wstrząs, jakby ktoś wrzucił do wody bal drzewa. W tej samej chwili coś omal nie wyrwało mu wędki z dłoni. Instynktownie pociągnął do siebie. Żyłka skrzypiała rozpaczliwie na starym kołowrotku, wyginając wędkę w odwrócone do góry nogami U. Ryba zataczała koła przy prawej jurcie, posuwając się w kierunku rufy, mącąc lustro wody. Miała delonoczarny grzbiet, brązowe boki i płaski, niemal śnieżnobiały >rzuch. Skrzele grzechotały jak kości, gdy miotła olbrzymią głową.

— Cholera! — wysapał Decker.

— Duże krówsko — rzekł Skink, obserwując, co się dzieje.

Okoń zanurkował, pociągnął odrobinę żyłkę, odczekał chwilę

popłynął między korzenie lilii. Przejęty grozą Decker ledwo mógł itrzymać wędkę. Skink wiedział, co się zaraz stanie, i nie omylił się. Iyba owinęła zmyslnie żyłkę wokół wodorostów i urwała się : haczyka z głośnym traskiem. Walka trwała trzy minuty.

— Cholera — powiedział Decker. Zapalił latarnię i przyjrzał się Irwanej żyłce.

— Miał z pięć kilo — rzekł Skink. — Jeśli nie więcej. — Prze-zucił nogi na drugą stronę ławeczki i złapał za wiosła.

— Masz jeszcze jednego takiego węża?

— Wracamy.

— Ostatni raz, kapitanie. Poprawię się.

— Całkiem dobrze ci poszło, Miami. Masz to, czego ci było rzeba. Połknąłeś bakcyła. Tylko oszczędź mi głupich pytań po Irodze — odparł Skink, wiosłując miarowo.

— Muszę przyznać, że to frajda.

— Tak mówią.

W drodze powrotnej Decker nie mógł przestać myśleć o wielkim »koniu, o zdumiewającej żywotności i sile, przeciwstawiającej się sgo własnym mięśniom. Może jednak w obsesji Bobby'ego Clincha był jakiś element mistyki? Przyznał w duchu, że doświadczył zegoś czystego i radosnego. Samotność i mrok jeziora pogwałcone »rzez bestię z odmętów. Nie ma porównania z połowami za pomocą sieci czy z wędkowaniem z mostu. To zupełnie coś innego. Czuł się podekscytowany jak mały dzieciak.

— Chcę spróbować jeszcze raz — rzekł do Skinka.

— Innym razem, kiedy już odwalimy brudną robotę. Chcesz poznać moją hipotezę?

— Jasne. — Przecież czekał na to całą noc.

— Robert Clinch dowiedział się o oszustwach. Wiedział kto i jak. Myślę, że szukał dowodu, gdy go złapali na trzęsawisku.

— Kto go złapał? Dickie Lockhart?

— Dickiego nie było w drugiej łodzi. Taki głupi to on nie jest.

— A więc wysłał kogoś, żeby zabił Clincha?

— Nie jestem tego pewien. Może to była pułapka, a może Clinch po prostu zjawił się w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiedniej porze.

— Ale czego szukał?

Skink wykonał trzy ruchy wiosłami, po czym odpowiedział:

— Ryby. Konkretniej ryby.

Tak brzmiała jego hipoteza, a przynajmniej ta jej część, którą zechciał się podzielić. Decker dwukrotnie spytał go, co to znaczy, o jaką konkretną rybę mu chodzi, ale nie doczekał się odpowiedzi. Skink wiosłował jak automat. Ciszę mącił tylko jego chrapliwy oddech i rytmiczne skrzypienie zardzewiałych dulek. Decker stopniowo zaczął rozróżniać szczegóły południowego brzegu jeziora, gdzie stała chata. Wycieczka dobiegała końca.

— Wypływasz co noc? — spytał Skinka.

— Tylko gdy mam ochotę zjeść rybę.

— I zawsze na przynętę używasz kawałka purpurowej gumy?

— Nie — odparł Skink, uderzając po raz ostatni wiosłami. — Zwykle metalowej rury.

Wróciwszy do motelu, Decker znalazł w drzwiach wiadomość od nocnego recepcjonisty.

Dzwonił Ott Pickney, ale nie powiedział, czego chce.

Decker włożył już klucz do drzwi, gdy usłyszał zajeżdżający pod motel samochód. Zerknął za siebie, sądząc, że być może ujrzy toyotę Pickneya.

Zobaczył ciemnopomarańczowego chevroleta. Korwetę.

Decker nigdy nie pamiętał, kto się jak nazywa. Zapamiętywał twarze, ale nazwiska wylatywały mu z głowy.

— Robiliśmy sesję zdjęciową kolekcji wiosennej — powiedziała Lanie Gault. — Zachowywałeś się, jakbyś wolał być na wojnie w Salwadorze.

— Ach, teraz sobie przypominam. Na Sanibel Beach, tak? Skinęła głową. Siedziała na skraju łóżka, całkowicie odprężona.

Dziwny motel, dziwny facet, a ona taka pewna siebie. Za to Decker aul się znacznie mniej swobodnie.

— To było chyba z pięć, sześć lat temu — rzekł. Próbował zgrywać nieprzystępnego i nie patrzeć na jej nogi.

— Przytyłeś trochę. Ale dobrze ci z tym, nie martw się. Włączył telewizję w poszukiwaniu wiadomości. Przestał przerzucać kanały, gdy natrafił na jeden z tych okropnych teleturniejów. Usiadł ciężko na kanapie i udawał, że ogląda zacieklą rywalizację.

— Bardzo się zmieniłam? — spytała Lanie. Nie powiedziała tego tak, jakby domagała się komplementu.

— Wyglądasz świetnie — odrzekł Decker, odwracając na chwilę głowę od telewizora.

— Może nie wierzysz, ale chyba wciąż mam ten kostium kąpielowy, w którym mnie fotografowałeś.

Te słowa ożywiły pamięć Deckera. Żółty, jednoczęściowy kostium.

— Poszedłeś wtedy do łóżka z jedną z modelek, prawda?

Decker westchnął.

— Chwaliła się w drodze powrotnej do Boca.

— Mam nadzieję, że nie za bardzo — odparł. Miała na imię Dianę; bardzo miła kobietka. Nie wyglądała na paplę, a proszę. Zachował jej numer telefonu, tyle że była teraz żoną postawnego portorykańskiego kapitana policji. Trzymał jej numer pod literą „S”, czyli samobójstwo.

Lanie Gault zrzuciła sandały i usiadła w kucki na środku łóżka. Była ubrana w kolorową koszulkę bez rękawów i białe szorty. Ramiona, nogi, nawet stopy, miała opalone na złoty brąz. Podobnie szyję i piersi, przynajmniej na tyle, na ile Decker mógł dostrzec. Ciekaw był reszty, zastanawiał się, czy warto spróbować. Doszedł jednak do wniosku, że to nieodpowiednia pora.

— Czy możesz ściszyć to draństwo? — spytała. W telewizorze młoda para z Napa wygrała

właśnie oldsmobile'a, więc publiczność w studiu szalała z radości.

Decker wstał i przekręcił gałkę.

— Słuchaj — rzekła — przepraszam za dzisiejszy ranek. Łyknęłam parę martini na rozruch.

— To nic zdrożnego.

— Pewnie gadałam jak wyrachowana kurwa, a wcale taka nie jestem.

Decker postanowił potakiwać.

— To musiało cię dużo kosztować — rzekł. — Tym bardziej że była tam jego żona.

— No właśnie.

— Zanim opowiesz mi o Bobby'm, chciałbym, byś mi wyjawiała, skąd wiesz tyle o mnie. Skąd wiesz, po co się znalazłem na cmentarzu. — Domyślał się, że to sprawka jej brata, ale chciał mieć pewność.

— Dennis mi powiedział.

— Dlaczego?

— Bo wie, że jestem tym wszystkim osobiście zainteresowana. Albo może czuje się winny z powodu śmierci Bobby'ego i chciał, żebym wiedziała, że nie zamierza się wycofać.

„Albo żebyś mnie wypróbowała” — pomyślał Decker.

— Poznałam Bobby'ego dwa lata temu na zawodach wędkarskich w Dallas. Robiłam tam wtedy sesję zdjęciową dla katalogu Jeiman-Marcus — szlafroki plażowe, ubranka na piknik i tym podobne ciuszki. W zawodach startował Dennis, więc pojechałam pewnego popołudnia nad wodę, żeby się z nim zobaczyć. Było tam sześćdziesiąt łodzi, ze stu facetów i wszyscy wyglądali identycznie. Jyli ubrani tak samo, chodzili tak samo, gadali to samo i żuli tytoń. 'i o i oczywiście łowili ryby dla sędziów. Potem zebrali się wokół lużej tablicy, żeby zobaczyć, kto prowadzi. Jezu, miałam wrażenie, e umarłam i znalazłam się w męskim piekle.

— I wtedy pojawił się Bobby?

— Tak. Przywitał się, przedstawił. Zachowywał się dość staro-wiecko, ale wiedziałam, że jest inny niż wszyscy.

Decker słuchał bez słowa. Spodziewał się, że zaraz zacznie się >pis sceny miłosnej.

— Tej samej nocy, kiedy inni rznąli w pokera albo pili wódę, :abrał mnie łodzią na jezioro. Byliśmy sami. Pamiętam doskonale, x świecił księżyc i nie było ani jednej chmury. — Roześmiała się acho i spuściła oczy. — No i skończyło się na tym, że zrobiliśmy o na wodzie. Na dziobie był bajerancki fotelik obrotowy, no i na lim właśnie... Dobrze, że nie wyróciliśmy łodzi.

„Ta dziewczyna ma wybujałą wyobraźnię” — pomyślał Decker.

— Bobby nie należał do tych obłąkańców, którzy myślą tylko) zawodach — ciągnęła. — Miał dobrą pracę, układał kable dla Irmy telekomunikacyjnej. Startował w pięciu, może sześciu tur-liejach rocznie, więc nie był dla nikogo żadnym zagrożeniem. Nie miał wrogów. Wszyscy go lubili.

— Więc czym się tak wyróżniał?

— Bawił się lepiej niż inni. Wydawał się szczęśliwy, że tam jest. Jo dniach spędzonych na jeziorze przeżywaliśmy wspaniałe noce. "nawet jeśli nic nie złowił, był zadowolony. Śmiał się z tych wszystkich ceremonii. Uwielbiał łowić, co do tego nie ma wątpliwości, ale przynajmniej wiedział, jak niedorzecznie to wygląda z boku. swoim bracie nie mogę tego powiedzieć.

R. J. Decker wstał i wyłączył telewizor. Na to właśnie czekał.

— Czy Dennis wyjawiał ci dokładnie, dlaczego mnie zaangażował?

— Nie — odparła — ale może chodzić tylko o jedno. O oszustwa.

Jakby wszystkie okoliczne wierzby o tym szumiały.

— Dennis wie, że Dickie Lockhart kantuje na zawodach — powiedziała. — Tylko o tym mówi. Początkowo chciał nawet wynająć płatnych zabójców. Powiedział, że tak właśnie postąpiłby Hemingway.

— Nie, Hemingway sam by to zrobił.

— Około pół roku temu sprowadził dwóch gangsterów z Queens. Zaproponował im osiemdziesiąt pięć patyków za przerobienie Dickiego na psią karmę. Nie wiedział, że jeden z tych cwaniaków pracuje dla federalnych. Ten facet wszystko wypaplał. Na szczęście nikt w FBI mu nie uwierzył, ale przez parę miesięcy Dennis trzął portkami ze strachu. Teraz nie chce już zabijać Lockharta, mówi, że wystarczy mu sprawa w sądzie.

— I tak następnym ruchem twego brata było wynajęcie mnie.

Lanie pokręciła głową.

— Nie ciebie, tylko Bobby'ego.

Decker miał nadzieję, że tego nie usłyszy.

— Dennis poznał Bobby'ego na jakimś spotkaniu wędkarzy — mówiła dalej. — Od razu przypadli sobie do serca, łowili nawet razem w kilku zawodach i zawsze plasowali się w czołówce. Dennis opowiedział Bobby'emu o swoich podejrzeniach względem Lockharta i zaproponował mu worek pieniędzy za dowód oszustwa.

— A cóż takiego mógł zrobić Bobby, czego nie mógł zrobić twój brat?

— Myszkować niepostrzeżenie. Wszyscy wiedzą, że Dennis poluje na Lockharta. Lockhart też o tym wie i dlatego jest bardzo ostrożny, gdy Dennis pojawia się na horyzoncie. Tak więc mój brat wpadł na pomysł, by zrezygnować z najbliższych zawodów pod pozorem nawału pracy, w nadziei, że Dickie przestanie się pilnować.

— A Bobby Clinch miał nie spuszczać z niego oka.

— Tak.

— Ile pieniędzy zaoferował mu Dennis?

— Mnóstwo. Bobby nie był chciwy, ale te pieniądze miały mu umożliwić uwolnienie się z

małżeństwa. Chciał, żeby Clarisse zatrzymała dom. Nie zamierzał nic robić kosztem żony, ani kosztem dzieci.

Trudno powiedzieć, by Decker wzruszył się do łez. Opowieść Lanie wydała mu się mocno naciągana i miał już ochotę życzyć jej dobrej nocy.

— Czy twój brat wiedział o tobie i Bobbym?

— No pewnie. Nigdy nie rzekł słowa na ten temat, ale daje łowę, że wiedział. — Wsparła podbródek na dłoniach. — Sądziłam, że powie coś po zabójstwie Bobby'ego, że chociaż napisze parę słów albo zadzwoni, żeby mi po prostu dać znać, że wie, jak cierpię. Ale o nie w jego stylu. Ten skurwiel ma freon w żyłach, ostrzegam cię. Zhce jedynie przygwoździć Dickiego, a jeśli po drodze ty zginiesz, nie wyśle nawet wieńca na pogrzeb. Pojawi się ktoś nowy na twoje miejsce, tak jak ty pojawiłeś się na miejsce Bobby'ego.

Decker spochmurniał. To nic zabawnego stracić życie przez edną zdechłą rybę. Sfotografował niegdyś kilku ludzi, którzy ginęli z błahszych powodów, oraz niezliczone rzesze takich, którzy kończyli podobnie, choć za nieporównywalnie większe sprawy. Z biegiem lat jał patrzeć na śmierć beznamietnym wzrokiem mdlinożercy: nie ma znaczenia, w jaki sposób to się stało — smród est zawsze ten sam.

— Myślisz, że to Lockhart zabił twójego miłego?

— A któżby inny?

— Jesteś pewna, że to nie był wypadek?

— Całkowicie. Bobby znał jezioro jak własną kieszeń. Mógłby nim pływać z zamkniętymi oczami.

Decker skłonny był jej uwierzyć.

— Kto robi program telewizyjny Dickiego?

— Chrześcijańska Sieć Telewizyjna. Słyszałaś o niej?

— Ekranowi święci.

Lanie wyprostowała się.

— To coś więcej niż religijni fanatycy — rzekła. — CST to iowoczesne przedsiębiorstwo. Zajmują się ubezpieczeniami zdrowotnymi, tworzeniem trustów, poszukiwaniami złóż ropy, handlem nieruchomościami...

— Przyjrę się im — obiecał Decker. — Słuchaj, Lanie, jestem męczony. Jutro czeka mnie ciężka podróż.

Skinęła głową, podniosła się i wsunęła stopy w sandały. Stała przed lustrem i zaczęła poprawiać włosy energicznymi, pewnymi ruchami.

— Jeszcze jedno — rzekł Decker. — Jak mnie rozpoznałaś na pogrzebie? Ostatni raz widzieliśmy się wiele lat temu.

Lanie parsknęła śmiechem.

i — Podwójne oszustwo

— Kpisz sobie? — spytała.

— Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że rzucałem się w oczy?

— Owszem, rzucałeś się, ale Dennis przesłał mi faxem twoje zdjęcie na wypadek, gdybym nie mogła cię rozpoznać.

— Zdjęcie?

Sięgnęła do torebki.

— Zdobyte dzięki uprzejmości pracowników służb penitencjarnych okręgu Dade — rzekła.

Decker rozpoznał więzienne portreciki. „Cwana zagrywka, Dennis — pomyślał. — Celny kopniak.”

— Widziałam w swoim życiu radośniejsze twarze — rzekła, przyglądając się policyjnym zdjęciom. — Wciąż fotografujesz?

— Czasami.

— Może pstryknąłbyś mnie kiedyś? Myślę o powrocie do zawodu. — Włożyła torebkę pod pachę i otworzyła drzwi. — To było tak dawno temu, że chyba już zapomniałam, jak się pozuje.

„Nie zapomniałaś, robisz to świetnie” — pomyślał Decker.

— Dobranoc — rzekł.

Musiał wrócić do Miami, żeby przygotować zdjęcia na proces o oszustwa ubezpieczeniowe. Postanowił, że podczas tej długiej podróży porozmyśla o Dennisie Gaulcie i owym rybim smrodzie. Nie podobała mu się obsada sztuki; intuicja podpowiadała mu, by zrezygnować ze sprawy. Tylko że pozostawała nie wyjaśniona śmierć Roberta Clincha.

„A co mnie to obchodzi” — powiedział sobie w duchu, pakując walizkę. Natychmiast jednak obruszył się na własne myśli, albowiem rozumował jak pierwszy lepszy leniwy glina lub detektyw. Sam poznał paru takich. Duża sprawa, duże kłopoty, mawiają. Trzeba wyciągać łapę po łatwe dolce.

Dobrze wiedział, że nie zrezygnuje. Bobby Clinch zginął, ponieważ szukał jakiejś tajemniczej ryby; nad tak osobliwą zbrodnią trudno przejść do porządku dziennego. Myśl, że ktoś stał się mordercą z powodu jednego okonia, sprawiała, że z całego serca pragnął zrobić temu facetowi portret fotograficzny.

Uznał, że przede wszystkim musi się ponownie spotkać z Giful-tem, co nie było miłą perspektywą. Postanowił wpaść do niego wieczorem, tylko na chwilę. Z motelu zadzwonił na lotnisko zarezerwował miejsce na wieczorny lot do Nowego Orleanu. W tym tygodniu przystankiem na trasie zawodowych wędkarzy były pucharowe zawody w Cajun. Decker doszedł do wniosku, że o doskonała okazja, by po raz pierwszy zobaczyć Dickiego Lockharta w akcji. Widział już jego twarz na reklamie naprzeciwko klepu wędkarskiego przy trasie: „Dickie Lockhart uwielbia »rzynęty

zapachowe! Wielkie okonie też je lubią!" Tak go to aciekawiło, że wysiadł, by spytać, czy firma opracowała podobny pecyfik dla ludzi. Sprzedawca udał się posłusznie na zaplecze, by prawdzie, po czym wrócił i powiedział, że niestety nie.

Przed wyjazdem Decker zadzwonił do redakcji „Sentinel”, by porozmawiać z Ottem Pickneyem. Sandy Kilpatrick, ów redaktor łączelny o ptasiej twarzy, poinformował go, że Ott jest w terenie i robi akieś wywiady. Nuta troski w jego głosie świadczyła o tym, że taki wypad przed obiadem to rzecz niezwykła dla starego dziennikarza. Decker zostawił wiadomość, by Ott zatelefonował do niego do Miami.

W tym czasie Ott Pickney siorbał czarną kawę w sklepie wędkarskim Culvera Rundella na południowym brzegu jeziora Esup. Culver stał za kontuarem, natomiast jego brat Ozzie moczył wędkę w wodzie. Ott usiłował zagadnąć o Roberta Clincha, ale nie mrdzo mu szło. W leżącym na ławie już od dwudziestu minut łotesie nie pojawiło się żadne nowe słowo.

— Przepraszam, ale niewiele panu pomogę — rzekł Culver Rundell. — Z Bobby'ego był fajny chłop i niekiepski wędkarz. Tyle tylko wiem. I jeszcze, że wolał łowić na blachę.

— Na blachę?

— Tak, nie na plastiki.

— Podobno był pan tu, gdy przywieźli ciało? — spytał Pickney.

— Tak. Chłopaki Davidsonow go znaleźli. Daniel i Desi.

— Straszne.

— Zawieźliśmy go do kostnicy moim gratem.

Ott nie chciał nagabywać Rundella o sekcję zwłok. Trzecią osobą do odpytania na jego liście był doktor Pembroke.

— Nie byliśmy, choroba, na pogrzebie, bo mieliśmy pełno roboty — wyjaśnił Culver Rundell.

— Trumnę zrobiono z kadłuba łodzi.

— Tak, słyszałem. Fajny pomysł. Szkoda, że nie widziałem.

Ott postukał długopisem w ławę i rzekł:

— Wspaniale ją wykonano.

— Słyszałem, że przywieźli normalną dębową trumnę, oheblowali ją do gładkości i obili długimi listwami z kadłuba. Wiem, że kosztowało to dodatkowe dwa patyki. Klub wędkarski zapłacił.

— A gdzie to zrobiono, w domu pogrzebowym?

— Nie, coś pan, u Larkina, w jego zakładzie.

Larkin to stolarz. Jego dziełem były wszystkie ławy w sądzie okręgowym oraz drzwi wejściowe na poczie.

— To najlepszy rzemieślnik w mieście — stwierdził Rundell. Sądził, że robi Larkinowi

przysługę, reklamując go dziennikarzowi.

— Tak, to była cholernie dobra robota — przyznał Ott. Położył na ladzie dwa jednodolarowe banknoty, pożegnał się i pojechał prosto do zakładu Larkina. Miał nadzieję, że znajdzie tam coś ciekawego, choć właściwie nie wiedział, czego szuka.

Zakład mieścił się w budynku przypominającym szopę, wyposażonym jednak w nowoczesne, elektrycznie uruchamiane drzwi garażowe, używane zwykle w dużych hurtowniach. Były podniesione. Ott spostrzegł mnóstwo surowych mebli, ale ani jednego pracownika. Larkin był nieobecny. Ponieważ nie miał tego ranka dużo pracy, pojechał, rzecz jasna, na ryby.

Młody terminator, Murzyn o nazwisku Miller, spytał Pickneya, czego chce.

— Piszę artykuł o Robercie Clinchu, tym młodym człowieku, który zginął w wypadku na trzęsawisku.

— Aha — odparł Miller. Miał przepoconą koszulę. Czarne niczym węgiel ramiona pokrywał pył i trociny. Wyglądało na to, że chce jak najszybciej wrócić do pracy.

— To u was wykonano trumnę? — spytał Pickney, by zagaić rozmowę.

— Tak, tę łódź.

— To było coś. Jak wyście ją zrobili? Nie masz nic przeciwko temu, żebym sobie co nieco zapisał...

— Pan Larkin sam ją zrobił — odparł Miller. — Chyba znał zmarłego.

Ostatnie słowo zaskoczyło Otta. Podniósł wzrok znad notesu nadział się na zimne spojrzenie Millera, które mówiło: „Nie traktuj mnie protekcyjnie, koleś.”

— Niebieska oprawa. Człowieku, to wyglądało jak gigantyczny jłut.

Ott odchrząknął.

— Pewnie chcieli jak najlepiej — rzekł. — W końcu to miał być symboliczny gest. Gest pożegnania.

— No człowieku, chyba cię zaraz pożegnam — rzekł groźnie ylller. W tej samej chwili w odległym kącie szopy zadzwonił telefon. Murzyn poszedł spieszenie w tamtą stronę, a Pickney zaczął się ukradkiem rozglądać po warsztacie, zastanawiając się, dlaczego nie potrafi rozmawiać z czarnymi i dlaczego oni zawsze patrzą na niego jak na karalucha.

Miller mówił głośno do telefonu. Sprawa dotyczyła stołu : orzecha i nie zapłaconego rachunku.

Ott Pickney poszedł w drugi koniec szopy, gdzie był niewidoczny. od jedną ze ścian stały dwa ogromne, zielone kontenery wypełnione wieżami odpadkami drewna. Pachniały najśłodziej ze wszystkich jojemników na śmieci, przy których Ott kiedykolwiek się znalazł, itanął na palcach i zajrzał do środka. W pierwszym zobaczył kupę wiórów, ścinki drewna, drewniane trójkąty i prostokąty, złamany :ozioł do piłowania, beczkę oraz puste pojemniki po żywicy werniksie. Śmiecie pana Larkina.

W drugim kontenerze ujrzał podobne odpadki: pękniętą sklejkę, kawałki drewna, ale także coś jeszcze: fragmenty niebieskiego włókna szklanego. Były to pozostałości po łodzi Bobby'ego Clincha, »odętej na kawałki podczas przygotowywania trumny.

Wspiął się na odwróconą do góry dnem dużą puszkę lakieru. Wepchnął notes do tylnej kieszeni spodni i pochylił się nad brzegiem kontenera, by sięgnąć do środka. Grzebiąc wśród resztek włókna szklanego, uzmysłowił sobie, że z tych fragmentów nie ułoży całej układanki.

Jedynym, co rozpoznał, była konsola. Odnalazł ją na dnie. Każda profesjonalna łódź wędkarska wyposażona jest w ukrytą w zagłębieniu za szybą konsolę, która burzy spokój jeziora. Wędkarz ma wrażenie, że ściga się na zawodach motorowych. Konsola łodzi Bobby'ego Clincha przypominała deskę rozdzielczą nowoczesnego myśliwca. Wśród zegarów Pickney zauważył kompas, echosondę, obrotomierz cyfrowy, wskaźnik temperatury wody na pięciu różnych głębokościach, regulator mocy, samoster, nadajnik radiowy oraz zestaw stereofoniczny z magnetofonem. Cała ta elektronika mocno ucierpiała od wody, ale mimo to zrobiła na Pickneyu duże wrażenie. Wyciągnął ciężką konsolę z kontenera, by się jej lepiej przyjrzeć.

Położył ją na kolanach i wyobraził sobie, że stoi u steru łodzi motorowej z dwustukonnym silnikiem. Ukryty za pleksiglasową szybą płynie w górę krętego strumienia. Oto ostry zakręt, ale ster ani drgnął.

Ott odwrócił konsolę, myśląc, że trzon steru zablokował się wśród kabli. Okazało się jednak, że blokowała go krótka czarna linka z nylonu. Została ciasno owinięta wokół podstawy kolumny steru pod konsolą, gdzie, rzecz jasna, była niewidoczna. Ott szarpnął ją, ale bez skutku: ster pozostał całkowicie unieruchomiony.

Oznaczało to, że łódź Bobby'ego Clincha mogła płynąć tylko w jednym kierunku. Oznaczało to również, że, być może, nie stał on przy sterze w chwili wypadku. Może nie żył już, lub właśnie umierał, gdy kierowana niewidzialną ręką łódź wywróciła się i zanurkowała dziobem w chłodną toń.

Ott Pickney nie od razu to sobie uświadomił. Był tym tak zaskoczony, że przestał zwracać uwagę na to, co się dzieje dokoła. Kiedy wreszcie usłyszał kroki, podniósł wzrok, sądząc, że to Miller. Zamiast niego ujrzał trzech mężczyzn, ubranych na tutejszą modłę — w czapki, dzinsy i flanelowe koszule. Jeden z nich trzymał w dłoni kawał drewna, drugi pętlę grubego drutu, trzeci, z pustymi rękoma, patrzył tępo na niego. Ott chciał coś powiedzieć, ale jego słowa zagłuszyło wycie piły tarczowej. To Miller wrócił do swojej pracy. Trzej mężczyźni podeszli bliżej. Tylko jeden z nich mieszkał w Harney; rozpoznał Pickneya i wiedział, że on także rozpozna jego. Na nieszczęście ani on, ani żaden z jego kolesiów nie mieli ochoty ujrzeć swego nazwiska w gazetach.

Dennis Gault otworzył drzwi. Trzymał w rękach stos kaset wideo, wiał na sobie szorty łososiowego koloru i luźną siatkową koszulkę, która mogłaby świetnie służyć do podbierania ryb.

Zaprowadził Beckera do salonu z niskimi meblami. Dominował tu odcień urawiny.

Gault włożył jedną z kaset do magnetowidu i powiedział Beckerowi, żeby usiadł.

— Napije się pan czegoś? — spytał. Cuchnęło od niego tak, akby był już po dziesiątym kieliszku czystej wódki.

Decker poprosił o zimne piwo.

Na ekranie telewizora pojawił się program wędkarski. Gault niotem zaczął przesuwac taśmę do przodu. Decker dostrzegł dwóch nęzczyzn w łodzi: raz za razem zarzucali wędki, wyciągając małe rybki. Tak, to widowisko dało się obejrzeć tylko na szybkich obrotach.

Nagle pojawiła się reklama i Gault natychmiast zatrzymał taśmę.

— Jeeest, Dickie! — zawołał szyderczo.

Na ekranie pojawił się stojący nad jeziorem Dickie Lockhart, nrużący oczy w słońcu. Miał na sobie idealnie dopasowaną camizilkę wędkarską w kolorze piasku pustyni. Stał z gołą głową, i jego fryzura była wymodelowana do perfekcji.

W uniesionej dłoni trzymał butelkę zapachowej przynęty i uśmiechał się od ucha do ucha.

— Czy to naprawdę działa? — spytał Gaulta Decker.

— Trudno powiedziec. Jedno jest pewne: śmierdzi jak wór zdechłych kotów.

Gault znów zaczął przewijać taśmę do przodu, aż wreszcie znalazł fragment, o który mu chodziło: wędkarz w łodzi wyciągnął z wody dużego czarnego okonia i podsunął go do kamery.

— O, tutaj! — wykrzyknął Gault. — Niech pan teraz uważa! — Podniecony, opadł na kolana i podpełzł na czworakach do olbrzymiego telewizora o ekranie zajmującym niemal całą ścianę. — Patrz pan! Ta ryba to zdechlak!

— Skąd pan wie?

— Oczy, widzi pan oczy? Są całkiem matowe. Nie lekko zamglone, ale matowe jak drewno. I z boków zesła barwa. Nie widać poziomych pasków, ani jednego. Trupi kolor.

— Rzeczywiście/nie wygląda zbyt rześko — przyznał Decker.

— Rześko? Panie, to rybia mumia. Spójrz pan na grzbiet. Facet porusza płetwami przed kamerą, a wie pan, dlaczego? Bo inaczej by się poskręcały. Ta ryba zdechła już dawno temu.

— Ale przecież było widać, jak ją wyciągają z wody — zaoponował Decker.

— Nieprawda. Przyjrzyj się pan jeszcze raz. — Gault cofnął taśmę i powtórnie pokazał scenę połowu. Wędka była wygięta, woda wokół łodzi wzburzona i spieniona, ale filmowano pod takim kątem, że nie można było zobaczyć dokładnie, jak wielką schwymano rybę. Pokazano ją dopiero w chwili, gdy jako trofeum znalazła się przed kamerą.

— Ten żółtodziób złapał okonia — rzekł Gault — tyle że innego. — Cofnął taśmę. — Chce pan spojrzeć jeszcze raz?

— Nie muszę.

— Widzi pan, jak łatwo można oszukać.

— Widzów przed telewizorami.

— Na zawodach jest jeszcze łatwiej — powiedział Gault — zwłaszcza gdy pomaga panu kolega w łodzi. I sędzia przy wadze. Nie wspominając o cholernych sponsorach. — Poszedł do kuchni i wrócił z piwem dla Deckera i kolejną wódką z tonikiem dla siebie.

— Niech mi pan opowie, co się wydarzyło w Harney.

— Poznałem faceta, którego nazywają Skink — powiedział Decker.

Gault zagwizdał i zmarszczył brwi.

— To psychiczny — rzekł. — Łowiłem z nim kiedyś.

— On pomoże mi złapać Lockharta.

— Ale nie za moje pieniądze!

— Jest mi potrzebny.

— To wariat.

— Nie sądzę.

— Żywi się przejechanymi zwierzętami!

— Po co mają się marnować? To jedyny człowiek w tej dziurze, któremu ufam. Bez niego rezygnuję.

Gault skrzyżował ręce na piersi. Decker napił się piwa.

— No dobrze — zgodził się Gault — ale niech pan będzie ostrożny. Ten facet ma obłęd w oczach. Jak się rozkręci, obaj wylądujemy w pudle, a chyba żaden z nas tego nie chce.

Miało to znaczyć: jeśli będą jakieś kłopoty, moje nazwisko zostaje wyłączone ze sprawy.

— Co jeszcze pan robił?

— Poszedłem na pogrzeb.

Gault obliznął nerwowo dolną wargę.

— Roberta Clincha — dopowiedział Decker. — Do niedawna pańskiego człowieka. Miło, że jest pan ze mną szczery.

Gault udawał, że porządkuje stos kaset.

— Czy wiedzą, co się naprawdę wydarzyło? — spytał, nie podnosząc wzroku.

— Koroner twierdzi, że to był wypadek.

Uśmiechnął się cierpko.

— Ale my wiemy, że to gówna prawda, co? — rzekł. — Pozostaje tylko pytanie: jak tego dokonali.

— A raczej kto.

— Kto? Dickie Lockhart. Nie bądź pan głupcem. Dickie wiedział, że dobieram mu się do skóry

i że Bobby dla mnie pracuje. Co znaczy więc „kto”?

— Pewnie ma pan rację — odparł Decker — ale ja wolałbym mieć pewność.

— Człowieku, nie słyszysz, co się do ciebie mówi? Chryste, chyba wynająłem skończonego kretyna.

— Poznałem też pańską siostrę. — Decker postanowił, że najlepsze zachowa na deser.

— Elaine? — spytał tępo Gault. Tak jak przewidywał Decker, najwyraźniej poczuł się tym zaskoczony. Warto było poczekać.

— Pogawędziliśmy sobie. — Deckerowi zależało, żeby to Gault zakończył rozmowę. Nie chciał jej już dalej prowadzić, ale nie miał wyboru. Musiał się zorientować, co Gault wie. — Nie powiedział mi pan o paru istotnych szczegółach. Choćby o Clinchu i o siostrze w Harney.

— Ona zjawia się to tu, to tam — odparł Gault. Opróżnił szklankę. Miał coraz czerwieńszą twarz.

„Uparty skurwysynu, niech będzie po twojemu” — pomyślał Decker.

— Wiedział pan, że sypia z Clinchem — rzekł beznamiętnie.

— Kto tak twierdzi? — warknął Gault. Poczzerwieniał jeszcze bardziej.

— Lanie.

— Jaka Lanie?

— Tak podobno ma teraz na imię.

— Aha, to ja nie nadążam.

— Dla mnie może się pieprzyć z połową Ameryki, ale muszę wiedzieć to, co i pan.

— Milcz, chamie! — krzyknął Gault, cały purpurowy.

„Oho, wreszcie trafiliśmy w czułe miejsce” — pomyślał Decker.

Widząc jednak rzucane mu mordercze spojrzenia, uznał, że lepiej teraz nie drażnić tematu. Wstał i ruszył do drzwi, ale Gault chwycił go za ramię i warknął:

— Zaraz, zaraz.

Decker wyrwał rękę, pchnął go do tyłu i posadził na kanapie.

— Do widzenia — rzekł.

Gault stracił panowanie nad sobą. Skoczył do przodu i chwycił Deckera za gardło. Dusząc się, Decker poczuł, jak wypielęgnowane paznokcie wbijają mu się w szyję. Widział przed sobą brązowe, poznaczone nabrzmiałymi żyłami i ścięgnami ręce, płonące policzki i blade wargi, drżącym bezkrwistym robaki.

Runęli na kanapę. Gault znalazł się na górze, z przekrzywionymi okularami, plując i wrzeszcząc wściekle, jakim to śmieciem i gów-nojadem jest Decker. A on usiłował wyzwolić się z uścisku, czując, że zaraz straci przytomność. Kontury przedmiotów poczęły się zacierać, a czaszkę rozsadał

przenikliwy ból.

i

Żelazna zasada dobrego detektywa brzmi: nie bij własnego dienta. Ale czasem trzeba odstąpić od zasad. I Decker to zrobił. Wyrwał się Gaultowi i trzasnął go pięścią w zębra. Gault stracił iech i wówczas Decker przerzucił go nad sobą, po czym na dobre zabrał się do dzieła.

Gault wiedział, że Decker nie jest ułomkiem, ale nie spodziewał się po nim takiej siły. Dwa mocne uderzenia rozkważyły mu nos, zgnioty doszczętnie okulary i podbiły oko.

Gdy już doszedł do siebie i dowlókl się do łazienki, nie mógł wyjść ze zdumienia, co potrafią dokonać dwa ciosy. Na nocnym stoliczku, obok buteleczki z aspiryną, znalazł wiaderko z kostkami lodu.

A przy nim notatkę od Deckera:

„Honorarium wzrosło do stówki, dupku”.

Harney było na tyle małym okręgiem, że zainicjowanie poważnego programu wychowania fizycznego na poziomie szkoły średniej stanowiło nie lada problem. Była tu tylko jedna szkoła średnia. Co roku przyjmowano do niej od stu siedemdziesięciu pięciu do iwustu dziesięciu uczniów, tak więc zasób potencjalnych talentów był bardzo ograniczony. W rzadkich i wytęsknionych okresach, dedy to w Harney doczekiwano się mistrzowskiej drużyny, jej :zołowi zawodnicy zachęcani byli do oblania egzaminów, aby opóźnić chwilę ukończenia szkoły i tym samym przedłużyć tłuste ata harneyowskiego sportu. Kilku idealistycznie myślących nau-:zycieli sprzeciwiało się gwałtownie owemu przejawowi lokalnego patriotyzmu, ale prawda była taka, że wielu najlepszych graczy tak miało dwóje.

Ukochaną dyscypliną sportową Harney był futbol amerykański. Niestety, lokalna drużyna futbolowa nigdy nie odniosła żadnych sukcesów. Pewnego sezonu, aby poprawić swoją opinię, doprowadzeni do desperacji harneyczycy rozegrali trzy mecze z najgorszą drużyną uczniowską z okręgu Duval. Przegrali wszystkie trzy. Trener stracił pracę i wyjechał z miasta.

Nic więc dziwnego, że animatorzy sportu w Harney postanowili skupić się na innej dyscyplinie — koszykówce. Pierwszym posunięciem było wybudowanie sali gimnastycznej z boiskiem oraz przenośnymi trybunami. Następnym — wysłanie delegaq'i trenerów i nau-

czycieli do murzyńskiej dzielnicy w celu dyplomatycznego pozyskania kilku dobrych koszykarzy. Niektórzy starsi utyskiwali i klęli, iż będą musieli oglądać na boisku bandę czarnuchów, co w ich opinii było nie fair w stosunku do dzieciaków z porządnymi chrześcijańskimi rodzin białych, ale ktoś zauważył słusznie, że dzieciaki z porządnymi chrześcijańskimi rodzin białych są przeważnie powolne i grube, i nie potrafią nawet skoczyć do wody z trampoliny.

Gdy przystąpiono do rozgrywek, drużyna radziła sobie lepiej, niż ktokolwiek się spodziewał. Pierwszego roku dotarła do finałów regionalnych, a w następnym do stanowych dogrywek czwartej ligi. Co prawda, najlepszy środkowy napastnik zespołu miał dwadzieścia siedem lat, ale wyglądał znacznie młodziej. Nikt nie protestował. Wraz ze zwycięstwami szkolnych graczy, koszykówka zawładnęła mieszkańcami Harney.

Drużynę ochrzczono „Pancernikami”. Wyboru tej nazwy dokonano w drodze długotrwałej eliminacji. Początkowo szkoła chciała, by jej bohaterowie nosili nazwę „Grzechotniki”, ale ów gadzi gatunek został zarezerwowany przez zespół klasy A z Orlando. Drugim pomysłem były „Rysie”, tyle że do tego dumnego miana rościł sobie prawo college biblijny z Leesburga. I tak trwało kilka miesięcy — „Tygrysy”, „Jastrzębie”, „Pantery”, wszystkie dobre nazwy były już zajęte — aż w końcu doszło do wyboru: albo „Sowy”, albo „Pancerniki”. Rada pedagogiczna głosowała za „Sowami”, ponieważ nazwa miała mniej liter i stroje byłyby znacznie tańsze, ale uczniowie podnieśli krzyk. Zebrawszy setki podpisów, wysmażyli petycję, stwierdzając, że „Sowy” to „pedalska” nazwa i nikt nie będzie przychodził na ich mecze. Rada cofnęła swą decyzję bez komentarzy.

Kiedy już „Pancerniki” z Harney zaczęły dawać na parkiecie baty innym gatunkom zwierząt, dawni wychowankowie szkoły doszli do wniosku, że drużyna potrzebuje maskotki, czegoś w rodzaju słynnego Kurczaka z San Diego, tyle że za mniejsze pieniądze. W „Sentinel” ogłoszono konkurs i spośród szesnastu zgłoszeń wybrano zwycięzcę. Pewna matrona z Koła Krawieckiego wykonała niewiarygodny kostium ze starych pokrowców na fotele samochodowe oraz mat podłogowych.

Tak powstał mierzący metr osiemdziesiąt wzrostu pancernik o lśniącym, pokrytym płytkami zadzie, z długim mrówkożernym nosem wykonanym ze starego odkurzacza oraz łuskowatym ogonem.

Znana pod imieniem Pan Piernik maskotka uatrakcyjniała wszystkie mecze koszykówki rozgrywane w Harney. Stało się tradycją, że wychodziła na parkiet przed pierwszym gwizdkiem, aby zatańczyć do piosenki Micheala Jacksona Billie Jean. W przerwach meczu wykonywała niezdarne akrobatyczne popisy na deskorolce do każdej melodii, której zespół muzyczny akurat się w danym tygodniu wyuczył.

Występy Pana Piernika nie były nazbyt gustowne, ale młodzi ludzie (przynajmniej ci poniżej czwartego roku życia) uważali je za najzabawniejsze ze wszystkiego, co kiedykolwiek wydarzyło się pod dachem sali gimnastycznej. Dorośli natomiast podziwiali, ile to ikry ma człowiek ukryty pod powłoką Pana Piernika.

Dnia dwunastego stycznia „Pancerniki” z Harney stały w pełnej gotowości bojowej, by

wystąpić przeciw „Oblatywaczom” z Valencii w meczu o pierwsze miejsce w czwartej lidze środkowej Florydy. W sali gimnastycznej zasiadło dwustu zagorzałych kibiców, więcej niż trenerzy i menażerowie kiedykolwiek widzieli; tak wielu, że gdy odśpiewano hymn państwowy, po raz pierwszy nie było słycać fałszowania.

Ostatnie słowa pieśni — „kraina walecznych ludzi” — stanowiły sygnał dla Pana Piernika, by wytoczył się na parkiet i pomachał widzom łapą wykonaną z wyszywanej cekinami rękawicy. Potem zaczynał się mecz.

Ale tego dnia maskotka się nie pojawiła.

Po dłuższej chwili ogólnej konsternacji ktoś wyłączył Michaela Jacksona i puścił Ricky'ego Scaggsa, podczas gdy organizatorzy zarządzili poszukiwania. Przez dwa lata swej kariery Pan Piernik nigdy nie opuścił ani jednej sportowej imprezy (nawet biegów), więc nikt nie wiedział, co o tym myśleć. Po chwili tłum, a wraz z nim kibice „Oblatywaczy”, zaczął skandować: „Chcemy Piernika! Chcemy Piernika!”

Pan Piernik nie przebierał się w szatni. Nie naoliwiał kółek deskorolki. Nie cerował w pośpiechu jęzora zrobionego z różowej myjki.

Pan Piernik — albo raczej człowiek, który go stworzył i tchnął w niego życie — zagiął.

Jego nazwisko było w okolicy tajemnicą poliszynela. Brzmiało, rzecz jasna, Ott Pickney.

DE

R.J. Decker mieszkał w przyczepie na parkingu położonym

mniej więcej półtora kilometra od autostrady do Palmetto. Przyczepa miała dwanaście metrów długości i trzy szerokości

zrobiona była z najlepszej blachy aluminiowej. Od wewnątrz ściany pokrywała tania boazeria, która się wypaczyła od tropikalnej wilgoci. Na podłodze leżał poprzecierany ciemnobrązowy dywan. Jeśli chodzi o wygody, przyczepa wyposażona była w kuchenkę elektryczną, kąpielnicę i zepsutą klimatyzację, z której wszędzie wyciekała szara ciecz. Ciemni Decker urządził w klozecie; do wywoływania zdjęć nie potrzebował więcej miejsca. Jeśli musiał w niej zawitać trzy razy w tygodniu, mógł mówić o nawale pracy.

Nie chciał mieszkać na parkingu; mierzila go sama myśl o tym, ale po rozwodzie nie mógł sobie na nic innego pozwolić. Nie chodzi o to, że żona go oskubała. Zabrała tylko to, co do niej należało, a że oznaczało to praktycznie wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, to już inna sprawa. Wyjątek stanowiły aparaty fotograficzne. Razem były warte ze dwa razy tyle co przyczepa, ale Decker nie obawiał się złodziei, ponieważ niemal wszyscy jego sąsiedzi mieli bulterierki. Tym psim psychopatom nie ośmieliłby się stanąć na drodze żaden włamywacz.

Z niewiadomego powodu psy nigdy nie skakały do gardła

Catherine. Decker właśnie wywoływał zdjęcia, gdy wpadła. Pokręciła nosem, jak tylko otworzył drzwi.

— Tfu, tiosiarczan — rzekła. Dobrze znała zapach utrwalacza.

— Skończę za chwilę — powiedział i wślizgnął się z powrotem do ciemni. Był ciekaw, co się wydarzyło i gdzie jest James, ów kręgarz, za którego wyszła niespełna dwa tygodnie po rozwodzie.

W dniu, kiedy połączyła się węzłem małżeńskim z doktorem Jamesem, Decker obił mordę złodziejowi. Catherine czuła się winna, jakby to ona spowodowała tę chryję. Pisywała do Deckera do więzienia dwa, trzy razy w miesiącu; pewnego razu przysłała mu swoje zdjęcie w czarnej bieliźnie. Jakoś prześlizgnęło się pod okiem więziennego cenzora. „Za dawne czasy” — nabazgrała na odwrocie dla żartu. Decker był pewien, że doktor James nie miał o tym pojęcia. Przez wszystkie lata po rozwodzie wciąż telefonowała lub wpadała do Deckera, ale zawsze wieczorem i nigdy w weekendy. Podtrzymywało go to na duchu.

Wypłukał odbitki i powiesił na sznurku. Mógł już zapalić światło bez obawy o zdjęcia, ale wolał pracować przy poświęcie czerwonej żarówki. Catherine zastukała dwa razy, po czym weszła do środka, zamykając za sobą szybko drzwi. Znała obowiązujące tu zasady.

— Gdzie pan małżonek? — spytał Decker.

— W Tampa. Na wielkim zjeździe. Co drugi tydzień jest wielki zjazd. Co my tu mamy? — Stała na palcach i przyjrzała się odbitkom. — Kim jest ten zapaśnik sumo?

— Strażakiem z pierwszą grupą inwalidztwa.

— Więc co robi na tej żaglówce?

— To właśnie chciałyby wiedzieć firma ubezpieczeniowa — odparł Decker.

— Straszne nudy.

— Szykuje się coś ciekawszego — rzekł.

— Tak, a co?

W czerwonym świetle wyglądała wspaniale. Jak zawsze.

— Wziąłem na warsztat pewnego wędkarza. Podobno oszukuje ła zawodach.

— Żartujesz.

— Poważnie.

Catherine skrzyżowała ręce na piersi i spojrzała na niego zatroskana.

— Dlaczego nie wrócisz do gazety?

— Bo gazeta nie płaci stu patyków za łowienie ryb.

— Rany!

Cudownie pachniała. Wiedziała, jakie perfumy lubi Decker, więc zawsze się nimi skrapiała, gdy

miała się z nim spotkać. Nie pamiętał, jak się nazywały. Decker miał nadzieję, że ten zapach nie nęci tak doktora Jamesa. Ciekaw był, czy te perfumy pochodzą z buteleczki, którą kupił jej trzy lata temu na urodziny.

Pęsetą wyjął z utrwalacza kolejne czarno-białe zdjęcie nieuczciwego strażaka i wyplukał je.

— A ryb nie ma? — spytała Catherine.

— Jeszcze nie.

— Naprawdę ktoś zapłaci za to sto tysięcy?

— No, przynajmniej pięćdziesiąt.

— Co zrobisz z taką forszą?

— Spróbuję cię odzyskać.

Roześmiała się sucho; najwyraźniej poczuła się urażona.

— To nie jest śmieszne, R. J.

— Chyba nie.

— Nie mówiłeś poważnie?

— Nie.

— Czasami jesteś obrzydliwy.

— Gdy byłem dzieckiem, dostawałem za to lanie.

— Możemy stąd wyjść? Od tych chemikaliów kręci mi się w głowie.

Decker zabrał ją do smażalni na South Dixie Highway. Catherine zamówiła pół kurczaka i mrożoną herbatę, a on piwo i żeberka. Rozmawiali o tysiącu mało ważnych spraw. Decker nadal czuł się z nią dobrze, ale wiedział, że kiedyś to minie. To, co dobre, zawsze przemija.

— Nie myślałeś o Nowym Jorku? — spytała.

Oho, będzie gadka o niezależności. Znal ją na pamięć.

— Spójrz na Foleya — ciągnęła. — Ostatniego lata zrobił okładkę do „Sports Illustrated”.

Foley był fotografem, który porzucił gazetę i stał się wolnym strzelcem.

— Hale Irwin — rzekł Decker pogardliwie.

— Co?

— To on był na tym cudownym zdjęciu Foleya. Golfista Irwin. Pieprzony golfista, Catherine. Nie to chcę robić. Nie mam zamiaru łązić po słońcu za bandą fagasów w białych sweterkach, by zrobić jedno głupie zdjęcie.

— Foley ma mnóstwo roboty, odkąd przeprowadził się do Nowego Jorku. Fotografuje nie tylko golfistów, więc nie patrz na mnie z taką złością.

— Facet zna się na rzeczy.

— Ale ty jesteś o niebo lepszy. — Wyciągnęła rękę i uszczypnęła go lekko w ramię. — Ej,

przecież to wcale nie musi oznaczać harowy. Żadnych Salvadorów, morderstw, zabitych kobiet w cadil-lakach. Trzymałbyś się przyjemnych rzeczy, zasłużyłeś sobie na to.

Decker wiedział, że zbliża się pora nudzenia o marnowaniu talentu.

— Nie mogę patrzeć, że tak marnujesz swój talent — usłyszał słowa Catherine. — Czaisz się jak złodziej, z za węgła robisz zdjęcia...

— Facetom, którzy oszukują firmy ubezpieczeniowe.

— No właśnie.

— Może masz rację.

— Pomyślisz o Nowym Jorku?

— Zjedz trochę tych żeberek, ja już nie mogę.

— Nie, dzięki. Najadłam się.

— No to opowiedz o swoim konowale.

— Przestań — powiedziała. — Pacjenci Jamesa bardzo go sobie chwalą. Poświęca im mnóstwo czasu.

— A łamanie kręgosłupów popłaca.

— Owszem, choć mogłoby być lepiej. James rozmyśla o przeprowadzce.

Decker się uśmiechnął.

— Chyba wiem dokąd — rzekł.

Catherine splonęła rumieńcem.

— Jego brat prowadzi praktykę na Long Island. James mówi, że ma kolejki klientów.

— Nie chrzani?

— Nie bądź taki kogut, R. J. To nie ma nic wspólnego z tobą.

— A więc nie wpadałabyś do mnie pogadać, gdybym się przeniósł do Nowego Jorku, a ty wylądowałabyś na Long Island?

Catherine wytarła dłonie o obrus.

— Podwójne oszustwo

— Jezu, nie wiem — powiedziała innym głosem, z którego znikła beztroska pewność siebie. — Czasami zastanawiam się nad tym, co zrobiłam. James to wyjątkowy mężczyzna i jestem świadoma, że mam szczęście, ale mimo to... Wiesz, on prasuje swoje skarpetki, mówiłam ci o tym?

Decker skinął głową.

— Zadzwońiłaś z podróży poślubnej, by mi o tym powiedzieć. Z Honolulu.

— No tak.

— W porządku — uspokoił ją — nie czułem się urażony. — Lepsze to niż stracić ją całkowicie. Tęskniłby za nią, gdyby ten pedantyczny kręgarz porwał ją do Nowego Jorku.

— I wiesz co, wciąż mnie jeszcze cholernie bolą plecy.

Gdy Decker wrócił do przyczepy, dzwonił telefon. Rozmówca nie musiał się przedstawiać.

— Cześć, Miami — rzekł.

— Witaj, kapitanie. — Decker był zaskoczony: Skink nie lubił korzystać z telefonu.

— Pancernik nie żyje — powiedział Skink.

Decker pomyślał, że facet gada o kolarz'u.

— Słyszysz?

— Słyszę, pancernik nie żyje.

— Właśnie. Twój kumpel z gazety.

— Ott?

— Oficjalnie tylko zginął. Ale pewnie nie żyje. Lepiej się pospiesz. Czas ruszyć z robotą.

Decker usiadł na kuchennym blacie.

— Zaczynaj od początku — rzekł.

Skink streścił fakty dotyczące zniknięcia, kończąc beznamiętnym opisem alter ego Otta, Pana Piernika.

— Podobno robił to bardzo udatnie — rzekł na pocieszenie.

Decker nie mógł wyobrazić sobie Otta w przebraniu pancernika na deskorolce. A jeszcze trudniej było go sobie wyobrazić martwego.

— Może zabrali gdzieś biedaka, żeby go postraszyć — zastanawiał się głośno.

— Nie ma mowy — odparł Skink. — Do zobaczenia wkrótce.

Aha, nie zatrzymuj się w motelu. Tam nie jest bezpiecznie. Lepiej przyjedź do mnie.

— Wolałbym nie.

— Daj spokój, będzie byczo — mruknął Skink. — Usmażymy sobie kiełbaski.

Decker jechał całą noc. Wyruszył autostradą międzystanową i na zachód od Wabasso skręcił w drogę. Półtorej godziny później był już w okręgu Harney. O wpół do piątej nad ranem dotarł do chaty Skinka. Na jeziorze pływało kilka łodzi. Warkot potężnych silników mącił ciszę nocną.

Słyszając zajeżdżający samochód, Skink wyszedł ciężkim krokiem na werandę. Miał na sobie buty, okulary przeciwsłoneczne i pomarańczowy kombinezon. Ciekawe, czy sypia w tym rynsztunku?

— To się nazywa jazda — rzekł Skink na powitanie. — Weź klamoty i włącz.

Decker chwycił torbę i ruszył do chaty. Po raz pierwszy miał przestąpić jej próg i nie bardzo wiedział, czego się spodziewać. Może są tu wypchane zwierzęta? Tapety ze skór króliczych?

Pchnąwszy drzwi, wszedł do środka i osłupiał. Poczul się jak w bibliotece. Na wszystkich ścianach, aż po sufit, wisiały sosnowe półki i każda i nica wypełniona była książkami. Ścianą

wschodnią zawładnęła literatura piękna: Poe, Hemingway, Dostojewski, Mark Twain, Jack London, Faulkner, Fitzgerald i Borys Pasternak. Zachodnią — biografie polityków: Churchilla, Lincolna, Hitlera, Eisenhowera, Josepha McCarthy'ego, Johna F. Kennedy'ego i Lyndona Johnsona. Na ścianie południowej stały wyłącznie wydawnictwa encyklopedyczne. Teraz Decker przekonał się, dlaczego ściana była tak niebezpiecznie pochylona — obciążały ją opasłe tomy.

Ściana północna podzielona była na dwa działy tematyczne. Na górnych półkach spoczywały dzieła z zakresu filozofii i nauk humanistycznych. Poniżej była literatura dziecięca: bracia Grimm, Tom Swift, doktor Seuss.

— Co się tak gapisz? — spytał Skink.

— Wspaniałe książki.

— Nie pieprz.

Na środku podłogi leżał goły materac i wojskowy koc bez poduszki. W kącie stał remington. Zwieszona pod sufitem latarnia gazowa rzucała blade światło. Decker uznał, że Skink musi czytać za dnia, bo inaczej już dawno byłby ślepy.

Nagle pod chatę zajechał jakiś samochód. Decker zerknął na Skinka. Ten dziwak najwyraźniej kogoś oczekiwał. Otworzył drzwi. W progu stanął policjant ze służby patrolowej — ubrany w sztywny kowbojski kapelusz, dobrze dopasowany szary mundur (z długimi rękawami, rzecz jasna). Na jednym naramienniku pyszniła się wyszyta florydzka pomarańcza. Facet był niemal tak rostry jak Skink, tyle że miał znacznie mniej lat.

Decker zauważył, że nieznajomy różni się od innych stróżów prawa. Większość z nich to młode, szczupłe, białe dryblasy. On był Murzynem. Trudno wyobrazić sobie gorsze miejsce dla czarnego policjanta niż okręg Harney.

— To Jim Tile — rzekł Skink. — Jim, to ten facet, o którym ci mówiłem.

— A, pan Miami! — powiedział Tile i podał Deckerowi dłoń. Skink wciągnął do chaty fotel bujany i składane krzeselko. Tile zdjął kapelusz i usiadł w bujaku, Decker na krzeselku, a Skink na gołej podłodze.

— Co się stało z Ottem? — spytał Decker.

— Nie żyje — odparł Skink.

— Ale co się, cholera, stało?

Skink westchnął i wskazał głową na Tile'a.

— Wczoraj o świcie — zaczął Murzyn głosem tak niskim, że od wibracji zatrzęsała się latarnia u sufitu — patrolowałem autostradę na Gilchirst, tuż przy Trzęsawisku Morgana.

— Niektórzy tam łowią, gdy woda się podnosi — wtrącił Skink. — Trzeba mieć płaskodenną łódź bez silnika. Dziesięć minut drogi od autostrady i jesteś w królestwie okoni.

— No i zobaczyłem reflektory samochodu w zagajniku — ciągnął Tile. — Zjechałem z drogi i zatrzymałem się. Mija dziesięć minut, a ten samochód ani drgnie. Reflektory wciąż włączone. Myślę sobie, że jeśli to dzieciaki się pieprzą, wyłączyłyby światła. Trzeba sprawdzić.

— Byłeś sam?

Tile się roześmiał.

— Najbliższe wsparcie jest w Orlando. — Tak, byłem sam jak alec. Wziąłem splawkę i latarkę i zacząłem się skradać między yprysami, żeby mnie nie zauważyli. Nagle słyszę, że trzaskają drzwi i samochód wyjeżdża z hałasem z zarośli. Przykucnąłem, odbezpieczyłem broń, ale nawet nie zwolnili, skierowali się prosto na autostradę.

— Trzech facetów — wtrącił Skink.

— W ciemnozielonym pikapie — dodał Tile. — Jestem pewien, że to był ford, ale nietutejszy. Nie dostrzegłem numerów.

— Czy oni cię widzieli? — spytał Decker.

— Ten obok kierowcy na pewno.

— Rozpoznałeś go?

— Daj mu skończyć, Miami — powiedział Skink.

— No więc polazłem tam, gdzie był zaparkowany ten pikap, nad samo trzęsawisko. Po śladach opon widać było, że podjechali tyłem do samej wody. Pomyślałem sobie, że może kłusowali na aligatory albo zaczęli się u wodopoju na jelenie. To miało sens, tylko że ziemia była sucha i czysta. Żadnych śladów krwi, skóry, łusek, nic.

— Poza tym — rzekł Skink. Sięgnął ręką pod kombinezon wyjął notes, typowy mały kołonoratnik. Podał go Deckerowi. Na

pierwszej stronie napisane było niebieskim atramentem: „Pick-ney/Clinch nekrol.”

Najwyraźniej część kartek wyrwano z notesu, a pozostałe były nie zapisane.

— Znalazłem to pod palmą — powiedział Jim Tile. — Jakies dziesięć metrów od miejsca, gdzie stał pikap.

— Masz coś jeszcze? — spytał Decker.

— Nie, proszę pana.

— Sporządziłeś raport?

— O czym? O samochodzie w lesie? Jeżdżenie do lasu nie jest zabronione.

— Ale znalazłeś notes, który należy do osoby zaginionej. Skink pokręcił głową.

— To koszykarze twierdzą, że Pickney zaginął, ale jak dotąd nikt tego nie zgłosił na policję — rzekł. — Szeryf wcale nie musi się tym zająć.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Że nazywa się Eddie Lockhart. Tak jak Dickie. Jest jego

wujem. A poza tym na ścianie w jego biurze wisi sześciokilogramowy okoń. Jim, opowiedz mi o twoich wspaniałych stosunkach z tutejszą policją.

— Nie ma żadnych stosunków — odrzekł Murzyn. — Ja dla nich nie istnieję. Nieodpowieni kolor skóry. I nieodpowiedni mundur.

— Jim i ja znamy się od dawna — wyjaśnił Skink. — Pomagamy sobie, zwłaszcza gdy są kłopoty. Dlatego właśnie przywiózł mi notes Pancernika.

— Ale skąd wiecie, że on nie żyje? — spytał Decker.

Skink wstał i zgasił latarnię. Przyniósł z dworu wędkę spin-ningową.

— Przejedziesz się? — spytał Murzyna.

— Jasne, przewiozę pana Deckera prawdziwym radiowozem.

— Miałem już kiedyś tę przyjemność — rzekł Decker.

— Kim był ten facet w pikapie, który cię rozpoznał? — odezwał się Decker.

Siedział w tyle radiowozu, za stalową siatką. Jim Tile zerknął na Skinka, który kiwnął głową.

— To Ozzie Rundell — odparł Tile.

— Pólgłówek — mruknął Skink.

— Czy on nie ma brata? — spytał Decker. Słyszał coś o Culverze Rundellu. Ott wspomniał o nim na pogrzebie Clincha. Powiedział, że to dziwne, iż ten facet nie przyszedł.

— Tak, Culvera — odrzekł Tile. — Culver ma sklep wędkarski nad jeziorem.

Decker pomyślał, że to pewnie ta buda, przy której zatrzymał się kilka dni wcześniej, by spytać o przynęty zapachowe. Może to właśnie Culver stał za ladą.

— Jest cwańszy od Ozziego — zauważył Skink — ale od Ozziego nawet gęś jest bardziej cwana.

Mknęli asfaltową dwupasmówką, nie przedzieloną linią i nie oznakowaną. Decker nie poznawał tej drogi. Jim Tile jechał szybko, z jedną ręką na kierownicy. Przez oka siatki Decker dostrzegł, że wskazówka szybkościomierza sięga stu pięćdziesięciu kilometrów. Dziękował Bogu, że nie ma mgły.

— Jak poznałeś kapitana? — spytał policjanta.

— Pracowałem kiedyś dla niego.

— W Tallahassee, dawno temu — wtrącił Skink.

— A co robiłeś?

— Różne gówniane rzeczy — odparł za Tile'a Skink.

Decker był zbyt zmęczony, by ich naciskać. Wyciągnął się

wygodnie do drzemki. Skink i Tile milczeli. Nie mógł jednak przestać myśleć o Otcie Pickneyu; zastanawiał się też, co go zaraz czeka. Po mniej więcej kwadransie poczuł, że hamują i zjeżdżają z drogi. Po chwili radiowóz zaczął podskakiwać na wybojach, a pod kołami słychać było trzask łamanych gałęzi i szelest liści.

Decker otworzył oczy i usiadł prosto. Dojechali nad Trzęsawisko Morgana.

Jim Tile wysiadł pierwszy i sprawdził teren. Nad bagnem rozpraszają się ciemności, już za pół godziny miało wzejść słońce. Skink wyjął z samochodu wędkę i podszedł do czarnej wody, pokrytej płataniną lilii i wodorostów, suchych gałęzi i żywych odrostów cyprysów. Z wysokich konarów zwisały splecione warkocze hiszpańskiego mchu. Był to isticie prehistoryczny widok.

Jim Tile stanął nad wodą z rękami wspartymi na biodrach. Skink raz po raz zarzucał wędkę i nawijał żyłkę.

— Co jest? — spytał Decker, opanowując senność. Chłodne zimowe powietrze pachniało lekko dymem.

— Ta przynęta nazywa się Wodna Czarnula — rzekł Skink. — Do tego średni ciężarek i dwa rzędy potrójnych haczyków. Naostrzyłem je przed twoim przyjazdem. Pewnie zauważyłeś, że założyłem nową żyłkę, inną od tej, na którą obaj łowiliśmy.

— Nie zauważyłem — mruknął Decker. Tyle jazdy dla głupiej lekcji wędkowania? Czy ci ludzie nigdy nie mogą powiedzieć prosto z mostu, o co im chodzi?

— Mocna — ciągnął Skink. — Wiesz, ile może udźwignąć?

— Nie mam pojęcia.

— Aż... oho, coś jest! — Wędka wygięła się niebezpiecznie. Zamiast odczekać chwilę, Skink zaczął wolno z wysiłkiem nawijać żyłkę. Zdobycz ledwo drgnęła.

— Zahaczyłeś o pień — rzekł Decker.

— Nie sędzę.

Skink kręcił korbką z takim wysiłkiem, że Decker bał się, iż

wygięta w pałak wędka pęknie. Żyłka była tak napięta, że aż dźwięczała.

— Już blisko — rzekł Jim Tile.

— Uwaga! — stęknął Skink.

Pociągnął mocno i coś wydostało się na powierzchnię. Był to żelazny łańcuch. Przynęta Skinka utknęła w jednym z ogniw. Jim Tile ukląkł i chwycił łańcuch, zanim z powrotem pogrążył się on w trzęsawisku. Uwolnił haczyki, by Skink mógł nawinąć żyłkę.

Teraz dopiero Decker zrozumiał, co się szykuje.

Policjant obiema rękami zaczął wyciągać łańcuch z wody. Wkrótce wyłonił się jeden koniec; była do niego przymocowana nowa, wykonana z żeliwa kotwica. Zwisały z niej wodorosty niczym

przemoczona zielona peruka.

Jim Tile rzucił kotwicę na brzeg. Bez słowa jął wyciągać resztę łańcucha.

Decker mimowolnie pomyślał o aparatach fotograficznych. Niestety, zostały w bagażniku jego samochodu, zaparkowanego pod chatą Skinka. Bez nich czuł się jak nagi. Niektóre sprawy łatwiej znieść, gdy patrzy się przez obiektyw; czasem jedyną ochronę stanowiło dla człowieka owo kruche szkło odgradzające oko od przerażającego widoku. Na przykład widoku martwej koleżanki wepchniętej do bagażnika auta. Rzecz jasna, ów dystans był ułudą, ale mimo to Decker po raz pierwszy od dawna pragnął mieć pod ręką swoje aparaty, tęsknił za ciężarem u szyi. Nie miał pewności, czy bez nich odważy się spojrzeć, choć wiedział, że musi. W końcu na tym polegała jego terapia — powinien nauczyć się patrzeć gołym okiem. I czuć to, co czują inni ludzie.

Jim Tile szarpał za łańcuch. Skink ukląkł obok niego i wsparł go siłą swoich mięśni.

— Teraz — sapnął zdyszany. Prawą ręką wyciągnął z wody drugi koniec łańcucha.

— Już blisko — powiedział Tile.

Do ostatniego ogniwa przywiązana była nylonowa linka. Skink zanurzył potężne ręce w bagnie aż po łokcie. Szukał na ślepo dłońmi pod powierzchnią; wyglądał jak olbrzymi szop polujący na ryby.

— Jest! — wykrzyknął.

Jim Tile wstał, wytarł palce o spodnie i cofnął się. Skink stęknął i wyciągnął makabryczny połów z dna trzęsawiska.

— O Boże! — jęknął Decker.

Na powierzchnię wypłynął Ott Pickney uwiązany na wędkarskiej żyłce. Niczym duży okoń, złowiony był za obie wargi na potężny haczyk.

Wracali do Harney autostradą.

— Nie możemy go tam zostawić — powiedział Decker.

— Nie mamy wyboru — rzekł z tylnego siedzenia Skink.

— Co ty gadasz? Przecież to morderstwo. O ile wiem, mordowanie ludzi nadal jest zakazane, nawet na takim zadupiu jak to.

— Pan nie rozumie — odezwał się Jim Tile. Skink nachylił się i zbliżył twarz do stalowej siatki.

— Jak wyjaśnimy naszą obecność na trzęsawisku? — spytał. — Czarny glina i taki świrus jak ja?

„No i były więzień” — dopowiedział w myśli Decker. Skink mrugnął do niego spod czepka kąpielowego.

— Najbardziej martwię się o ciebie, Jim — powiedział do Tile'a. — Na pewno chętnie by cię ustrzelili.

— Trzeba więc jechać prosto do prokuratury stanowej i donieść przestępstwie — rzekł Decker. — Mamy dwa trupy, Clincha Otta. Nie możemy pozwolić, by to przyszło.

— Nie pozwolimy — odparł Tile.

„Świetnie — pomyślał Decker. — Jesteśmy jak trzech muszkieterowie.”

— Czego tak się boisz? — spytał policjanta. — Naprawdę myślisz, że chcieliby nas zrobić?

— Gorzej. Zignorowaliby nas. Clinch już został uznany za ofiarę wypadku.

— Ale Ott pływa tam na żyłce — zaproponował Decker. — To chyba dowód, że coś jest nie tak? Tile zjechał na pobocze i zatrzymał samochód. Znajdowali się trzy kilometry od rogatki miasteczka. Z naprzeciwka zbliżały się reflektory.

— Niżej głowy — rzekł.

Skink i Decker pochylił się. Kiedy auto minęło radiowóz, Skink chwycił wędkę i wyskoczył na drogę.

— Wyłaż — rzekł do Deckera — dalej pójdziemy na piechotę. Lepiej żeby nikt nie widział Jima w naszym towarzystwie.

Decker wysiadł. Niebo na wschodzie przybierało barwę metalizowanego różu.

— Wyjaśnij mi wszystko — powiedział Tile do Skinka i odjechał.

Decker w podłym nastroju ruszył w stronę Harney. Czuł się tak, jakby miał sto lat. Najchętniej wróciłby do Miami. Usiłował sobie przypomnieć, czy Ott Pickney miał jakieś dzieci, żonę. Bardzo możliwe, że nie było nikogo.

— Przykro mi z powodu twego przyjaciela — odezwał się Skink — ale musisz zrozumieć.

— Co zrozumieć? Słucham.

— Zwłoki znikną do południa, jeśli już nie zniknęły. Wrócą po nie. Widzieli Jima nad trzęsawiskiem. Sprawa się ryła.

— Więc powinniśmy byli tam zostać. Jim mógł wezwać pomoc przez radio.

Skink, który szedł przed Deckerem, odwrócił się do niego twarzą.

— Biuro szeryfa łapie wszystkie policyjne częstotliwości — rzekł. — Natychmiast wysłaliby parę radiowozów. Zanim byś się obejrzał, tutejsza policja przejęłaby sprawę, przesłuchałaby nas i połączyłaby się z Tallahassee, żeby im powiedzieć, ileż to nieściskości jest w raporcie Jima oraz jak bardzo jest on bucowaty i niechętny do współpracy. Nagadaliby, co by im ślina na język przyniosła. Wiesz ilu jest czarnych w służbie patrolowej w tym stanie? Mniej niż liczy drużyna koszykówki. Jim to równy facet i nie zamierzam pozwolić, by dobrali mu się do dupy. Przynajmniej nie przez

głupią rybę.

Decker nie spodziewał się, że Skink może tyle powiedzieć jednym tchem.

— Więc jaki mamy plan? — spytał.

Skink przystanął.

— Nasz plan w tej chwili, to zejść jak najszybciej z drogi.

Decker obejrzał się i zobaczył zbliżającego się wolno pikapa.

Promienie porannego słońca oślepiająco odbijały się od przedniej szyby, tak że w ogóle nie widać było pasażerów.

Skink pociągnął Deckera za rękaw.

— Chodźmy przez las? — rzekł.

Zbiegli z asfaltu między drzewa. Usłyszeli, że samochód przyspiesza. Kiedy zrównał się z nimi, stanął. Trzasnęły jedne drzwi, drugie.

Skink i Decker znajdowali się około dwudziestu pięciu metrów od drogi, kiedy padły pierwsze strzały. Decker runął na ziemię i pociągnął za sobą Skinka. Kula odłupała korę z pnia tuż obok ich nóg.

— Świetnie, że masz na sobie to pomarańczowe ubranko. Widać cię na kilometr — powiedział Decker.

— Półautomat? — spytał Skink przez zaciśnięte zęby.

Decker skinął głową.

— Pewnie ruger mini- — odparł. W Miami była to popularna broń, zwłaszcza wśród facetów rozprawiających biały proszek, ale na takiej wsi jak Harney raczej jej nie znano.

Znów wypalono z karabinu, tym razem tak szybką serią, że trudno było odróżnić wystrzały od echa. Grad kul przetrzebił liście na pobliskich drzewach. Decker i Skink widzieli ze swego miejsca stojący na drodze samochód i słyszeli męskie głosy.

— Ruszą na nas? — spytał Decker.

— Tak myślę — odparł Skink. Policzek miał przyciśnięty do igliwia. W plątaninie jego wąsów utknęła czerwona mrówka. Nie strzepnął jej; nasłuchiwał z uchem przy ziemi.

— Jest ich tylko dwóch — rzekł.

— Tylko?

Jeden facet z rugerem to aż nadto.

Skink sięgnął pod kombinezon i wyjął pistolet.

Decker usłyszał trzask gałęzi.

— W nogi — szepnął. Nie mieli żadnych szans.

— Biegnij sam — rzekł Skink.

„I ściągnij na siebie ogień” — pomyślał Decker. Wspaniały pomysł. W Bejrucie człowiek miał przynajmniej szansę dzięki murom otaczającym domy, które stanowiły wspaniałą kryjówkę. Biegło się zygzakiem od jednych do drugich. Ale niestety w lesie nie ma domów. Co gorsza, pnie sosen wyglądały tak, jakby przeszły kurację odchudzającą.

Nagle usłyszał szelest w pobliskich zaroślach. Skink kiwnął, by ruszał w drogę.

Decker klęknął, wbił czubki butów w poszycie i wystartował niczym sprinter. Biegł klucząc wśród drzew i odpychając z drogi gałęzie. Ktoś krzyknął i znów padły strzały. Skulił się na odgłos gwizdzących kul. Najwyraźniej strzelający też biegł, w dodatku miał kiepskie oko.

Decker nie znał terenu, więc wybrał drogę ucieczki na chybił trafił. Tuż za małą polaną ujrzał gęste zarośla i rzucił się w ich kierunku, kuląc głowę w ramiona. Był już blisko celu, gdy nagle coś smagnęło go boleśnie po oczach. Aż zgiął się wpół.

Jedna z kul trafiła w sosnową gałąź, która uderzyła go w twarz. Leżał zdyszany na ziemi, z dłońmi przyciśniętymi do oczu. Może pomyślał, że dostał. Może ruszą na Skinka.

Nagle strzelanina ucichła.

Decker usłyszał klakson. Rozległo się nawoływanie, ale Decker nie zrozumiał słów. Opuścił dłonie i z ulgą przekonał się, że nie stracił wzroku. Miał mokre od łez policzki, oczy piekły go jak diabli, ale widział.

Poruszył się dopiero wówczas, gdy usłyszał, że pikap odjeżdża. Nie wiedział jednak, w którą stronę iść. Najrozsądniej byłoby kierować się jak najdalej od szosy, ale nie chciał zostawić Skinka. Jeśli jeszcze żył.

Podczołgał się do drzewa i wstał ukryty za pniem. Wokoło panował bezruch; ranek był cichy, przerażone ptactwo zamilkło.

— Skink! — krzyknął na całe gardło.

Po drugiej stronie polany poruszyło się coś wielkiego, białego.

— Miałeś mi mówić „kapitanie”!

Skink był zdrow i cały. Stał nagi, jak go Pan Bóg stworzył, tylko na nogach miał wojskowe buciory.

— Zobacz, co ten dupek zrobił z moim kombinezonem! — war-

knął. Podniósł do góry plastikowe ubranie: między łopatkami widniały trzy małe dziurki. — Wskoczyłem z niego w samą porę i powiesiłem na drzewie, a kiedy zaszeleściłem gałęzią, facet wycelował i rąbnął. Tyle że wtedy to już ja polowałem na niego.

Owłosiony, z gołym tyłkiem, zaprowadził Deckera do zwłok. Między płowymi brwiami zabitego mężczyzny widniała czarna krwawa dziura.

— Miałeś rację, to ruger — rzekł Skink. Karabin leżał przy boku denata. Brakowało magazynku. — Uprzedzam twoje pytanie: nigdy go przedtem nie widziałem — dodał. — To najen.nik, czyjś kuzyn spoza miasta. Jego kumpel został przy drodze na czatach.

— Pewnie myśleli, że jedna lufa wystarczy — powiedział Decker.

— Nie ma chyba trzydziestu lat — zadumał się Skink, patrząc na trupa. — Głupi fagas.

— Czy mam rozumieć, że nie powiadomisz władz?

— Szybko się uczysz.

W połowie lat siedemdziesiątych gubernatorem Florydy został niejaki Clinton Tyree. Uosabiał wszystko to, za czym tęsknili wyborcy — wysoki, olśniewająco przystojny eks-gwiazdor futbolu (środkowy drugiej reprezentacji Stanów Zjednoczonych), odznaczony medalem weteran wojny wietnamskiej (strzelec wyborowy, który bez jedzenia i amunicji spędził szesnaście dni za linią wroga), kawaler, zapalony sportowiec i — co najważniejsze — florydczyk od urodzenia, co w ówczesnym czasie było wśród tamtejszych polityków rzadkością. Początkowo Clinton Tyree reprezentował poglądy zarówno konserwatywne — gdy tego wymagała sytuacja — jak i liberalne — gdy nie robiło to różnicy. Mając metr dziewięćdziesiąt osiem centymetrów wzrostu, wybijał się ponad innych kandydatów. Media go uwielbiały. Został gubernatorem z ramienia Demokratów, ale nie przypominał żadnego znanego na Florydzie Demokraty ani Republikanina. Ponadto, ku najwyższej konsternacji obywateli Tallahassee, okazał się nieskazitelnie uczciwym człowiekiem. Gdy po raz pierwszy odmówił wzięcia łapówki, płacący — bogaci inwestorzy, którzy mieli chrapkę na rezerwat dzikiej przyrody — pomyśleli naturalnie, że suma była za mała. Wkrótce ponowili ofertę. Tym razem zaproponowali tyle pieniędzy, że nowy guber-

nator mógłby prowadzić wygodne życie do końca swych dni w dowolnym zakątku świata. Sposób wypłaty został sprytnie obmyślony. Pieniądze miałyby nadejść od zagranicznej korporacji mającej konto w banku w Nassau. Następnie zostałyby przelane na konto holdingu na Kajmanach, a stamtąd na rzecz założonego naprędce trustu, posiadającego konto w jednym z banków panamskich. W ten sposób na nowo zdobyte bogactwa nowo wybranego gubernatora spuszczone by zasłonę tajemnicy bankowej trzech różnych państw.

Przedsiębiorcy uważali swój plan za ideał pomysłowości i prostoty, poczuli się więc całkowicie zbici z tropu, gdy Tyree powiedział im, żeby się odczepili. Wsparli naiwnie jego kampanię wyborczą i nie mogli uwierzyć, że ich niedawny beneficjent to ten sam człowiek, który teraz odpisuje im — na urzędowym papierze! — „że są zgniłym robactwem”.

Ich gniew przemienił się w najwyższe osłupienie, gdy odkryli, że gubernator nagrywał na taśmie prowadzone z nimi rozmowy. Dowiedzieli się o tym pewnego dnia, gdy pod ich ekskluzywny biurowiec na Brickell Avenue podjechały samochody pełne małomównych agentów

FBI, którzy wtargnęli do środka wymachując nakazami i aresztowali wszystkich obecnych.

Wkrótce do śledztwa włączył się z entuzjazmem urząd podatkowy i nie minęło sześć miesięcy, gdy jedna z największych firm inwestycyjnych na południowym wschodzie Stanów Zjednoczonych padła brzuchem do góry niczym śnięta płoć.

W dziejach Florydy była to przełomowa, historyczna chwila. Gazety wychwalały gubernatora pod niebiosa za lwią odwagę i uczciwość, a polityczni analitycy sieci telewizyjnych ogłosili go Mesjaszem Nowego Południa.

Rzecz jasna ci, którzy naprawdę liczyli się w grze — a więc ludzie mający władzę i pieniądze — nie uważali nowego gubernatora za bohatera, lecz za niebezpiecznego wariata. To prawda, że każdy polityk gardłuje zawsze o uczciwej władzy, ale niewielu wie, co to znaczy, a jeszcze mniej usiłuje swoje zapowiedzi realizować. Clinton Tyree był inny; sprawiał kłopoty, bo dawał zły przykład.

Odkąd Floryda przestała być wyłącznie krainą dziewiczej przyrody, walka chciwych spekulantów przybrała brutalne formy. Wygrywali ci, którzy najlepiej smarowali i mieli najlepsze koneksje.

W owej krainie słońca zbierał nie ten, kto zasiał, ale ten, kto umiejętnie dawał w łapę. Każdy, kto był przeciw korupcji, był przeciw postępowi. Z nowym gubernatorem należało coś zrobić.

Przedsiębiorcy mieli dwa wyjścia: zaczekać, aż Tyree skończy kadencję, i nie dopuścić, by go ponownie wybrano, lub działać za jego plecami.

Postawili na drugie rozwiązanie, korumpując wszelkimi dostępnymi środkami każdego, kogo się dało. Szło im jak po maśle. Gubernator miał większość w rządzie stanowym tylko dzięki jednemu głosowi, tymczasem zaskarbienie sobie lojalności opozycji nie stanowiło dla jego politycznych wrogów najmniejszej trudności. Trzeba było tylko pieniędzy. Podobnie łatwe, choć nieco droższe, okazało się skonsolidowanie przeciwników gubernatora w obu izbach stanowych, by odrzucano jego weta.

Wkrótce Tyree spostrzegł, że przegrywa każdą istotną batalię polityczną. Uświadomił sobie, że wywiady w telewizji czy pozowanie do okładki „Time'u” nie mają większego znaczenia w sytuacji, gdy jego koledzy głosują za tym, by całe wybrzeże oddać we władanie bonzów z sygnalami na palcach. Z każdą nową porażką stawał się coraz bardziej małowówny, przygnębiony i zamknięty w sobie. Urzędowe pisma, które dyktował, brzmiały tak posępnie i bluźnierczo, że sekretarze bali się je wysyłać i pisali później na nowo. Zaczęto szeptać, że gubernator stracił dużo na wadze, że jego garnitury nie zawsze są dobrze dopasowane, że przestał dbać o włosy. Niektórzy Republikanie jęli nawet rozpuszczać plotki, że cierpi na pewną straszliwą chorobę przenoszoną drogą płciową.

Tymczasem sprawa nieuczciwych przedsiębiorców trafiła do sądu i gubernator wystąpił jako

główny świadek oskarżenia. Media urządziły prawdziwe przedstawienie. Przyjaciele Tyree'ego podkreślali, że sprawił się na tyle dobrze, na ile można było oczekiwać; jego wrogowie wytykali mu, że wygląda niechlujnie niczym narkoman.

Proces zakończył się skromnym zwycięstwem gubernatora. Przedsiębiorcy zostali uznani za winnych korupcji, ale otrzymali wyroki w zawieszeniu. „Mają na utrzymaniu rodziny — wyjaśnił sędzia. — Poza tym chodzą do kościoła.”

Zrządzeniem okrutnego losu dzień po skazaniu inwestorów rząd Florydy stosunkiem głosów sześć do jednego postanowił zamknąć Rezerwat Wróbla i sprzedać te tereny za dwanaście

milionów dolarów pewnej korporacji budowlanej. Rzekomym powodem sprzedaży był nagły zgon ostatniego wróbla, tego gatunku, dla którego założono rezerwat. Skoro ostatni ptak kipnął — rozumowali członkowie gabinetu — to po co blokować tereny doskonale pod zabudowę? Jedynym głosującym przeciw był, rzecz jasna, Tyree, który dopiero po pewnym czasie dowiedział się, że głównym udziałowcem korporacji jest nie kto inny tylko jego zaufany współpracownik, wicegubernator.

Nazajutrz po głosowaniu Clinton Tyree zrobił coś, czego nie uczynił przed nim żaden gubernator Florydy. Odszedł.

Nie uprzedził o tym nikogo w Tallahassee. Wyszedł ze swej rezydencji, wsiadł do limuzyny i rozkazał szoferowi ruszać.

Sześć godzin później polecił mu się zatrzymać. Stanęli przy dworcu autobusowym w centrum Orlando. Tam gubernator pożegnał się z szoferem i kazał mu wracać.

Przez dwa dni gubernator Clinton Tyree był obiektem najszerzej zakrojonych poszukiwań w historii stanu. FBI, policja, straż przybrzeżna, prokuratura i gwardia narodowa wysyłały w teren funkcjonariuszy, agentów, psychiatrów, psy gończe i śmigłowce.

Szofer gubernatora został sześć razy poddany testowi na wykrywanie kłamstw i choć za każdym razem wychodził z próby zwycięsko, uważano go za głównego podejrzanego.

Poszukiwania zakończono, gdy do Capitolu dotarła notarialnie potwierdzona rezygnacja Tyree'ego. W krótkim liście wysłanym do prasy były gubernator napisał, że odszedł z urzędu z powodu „trudnych konfliktów wewnętrznych”. Podziękował swym przyjaciołom i zwolennikom i zakończył wypowiedź wzruszającym, acz pozornie nie mającym związku ze sprawą cytatem z piosenki zespołu Moody Blues. Po jego rezygnacji zaczęto na dobre wyprzedawać Florydę kawałek po kawałku. Lojalni dotąd wobec Tyree'ego ludzie udzielali wywiadów, stwierdzając, że od dwóch lat wiedzieli, iż w gruncie rzeczy był to facet stuknięty. Kilku upartych dziennikarzy naraziło swoje redakcje na spore koszty, usiłując wysledzić Clintona Tyree'ego i poznać prawdę, ale bez powodzenia. Ostatni raz widziano go na dworcu autobusowym w Orlando. Pod nazwiskiem Black

Leclere kupił bilet w jedną stronę do Fortu Lauderdale, ale nigdy tam nie dotarł. Po drodze autobus zatrzymał się na stacji benzynowej i kierowca nie zauważył, że wysoki pasażer

— Podwójne oszustwo

w niebieskim garniturze w prążki, który wysiadł, by skorzystać z toalety, nie wrócił przed odjazdem. Owa stacja położona była naprzeciw straganu z owocami na trasie, sześć kilometrów od miasta Harney.

Clinton Tyree wybrał Harney nie tylko ze względu na piękno tamtejszej przyrody — jeziora, łąk, cyprysów i lasów sosnowych — ale także dlatego, że Harney miało najniższy procent głosujących per capita ze wszystkich okręgów Florydy. Miasteczko to znajdowało się też na czarnej liście zarówno agencji Gallupa jak i Lou Harrisa, ponieważ sześćdziesiąt trzy procent ankietowanych nie potrafiło podać nazwiska ani obecnego, ani żadnego byłego wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych. W przedostatnich wyborach gubernatorskich na każdym pięciu mieszkańców Harney głosował tylko jeden, głównie z tej przyczyny, że tego samego dnia odbywała się doroczna aukcja byków.

Clinton Tyree był pewien, że w takiej okolicy nigdy nie zostanie rozpoznany, że będzie mógł wybudować tu dom i żyć tak, jak ma na to ochotę. Że będzie mógł nazwać się Rajneesh, Buzz albo Skink i nikt go o nic nie zapyta.

Skink dopiero wieczorem pozbył się zwłok. Gdy zapadła ciemność, zostawił Deckera w chacie i odjechał. Decker o nic nie pytał, bo nic nie chciał wiedzieć.

Nie było go godzinę. Gdy wrócił, miał znowu na sobie fluoryzujący strój. Wszedł różnym krokiem do chaty i zrzucił buty z nóg, na których nie miał skarpetek. Pod pachą trzymał dwie wiewiórki, świeże ofiary ruchu na drodze.

— Pancernik wciąż tam jest — oznajmił.

Decker natychmiast domyślił się wszystkiego: Skink wrzucił ciało nieznanego do Trzęsawiska Morgana, zahaczywszy je pewnie na tej samej żyłce.

— Nie mogę tu dłużej zostać — powiedział.

— Jak chcesz. Ale radiowozy szeryfa są wszędzie. Dwa stoją nawet przy Szlaku Mormonów, a tam rzadko się pojawiają. Coś wisi w powietrzu.

Decker siedział na gołej podłodze, oparty plecami o surowe

deski biblioteczki. Potrzebował snu, ale za każdym razem, gdy zamykał oczy, widział zwłoki Otta Pickneya. Obraz był bardzo wyraźny, jak na fotografii.

Pierwsze ujęcie: wyłaniająca się na powierzchnię głowa, z włosami ociekającymi wodą niczym brązowa trawa.

Później następowało zdjęcie bezkrwistego czoła i szeroko rozwartych oczu, skupionych na wieczności.

A potem pełny obraz śmierci: zwłoki przywiązane groteskowo do żyłki, trzymane nad wodą przez potężne ręce Skinka, widoczne w lewym dolnym rogu klatki.

Niezatarte obrazy. Tak właśnie R. J. Decker miał zapamiętać Otta Pickneya. Przekleństwo zawodu fotografa.

— Czyżbyś chciał skapitulować — zapytał Skink.

— A mam inne wyjście?

— Rób dalej swoje, jakby nic się nie stało. Dobierz się Lockhartowi do skóry. W tym tygodniu są zawody...

— W Nowym Orleanie.

— Tak. Pojedziemy?

— Razem?

— Plus twój pan Nikon. Chyba masz jakiś porządny statyw?

— Jasne, w bagażniku — odparł Decker.

— I przynajmniej sześćsetmilimetrowy obiektyw?

— Tak. — Miał niezawodny obiektyw, którego używał na meczach futbolowych. Można było przez niego zajrzeć zawodnikowi do nosa.

— Więc? — spytał Skink.

— Nie warto — odrzekł Decker.

Skink zerwał z głowy czepek kąpielowy i cisnął go w kąt. Ściągnął gumkę z włosów i potrząsnął głową.

— Mam coś na kolację — powiedział. — Ale zjem sam, jeśli nie jesteś głodny.

Decker nie miał ochoty na jedzenie.

— Nie mogę uwierzyć, że zabili kogoś z powodu głupiej ryby — rzekł.

Skink wstał, trzymając obie wiewiórki za tylne łapki.

— Tu nie chodzi o rybę — rzekł.

— No to o pieniądze.

— Tylko częściowo. Jeśli zrezygnujemy, nie poznamy reszty.

A Lockhart wywinie się tanim kosztem. Nie mogą go wsadzić za zabójstwo, przynajmniej jeszcze nie teraz.

— Wiem — odparł Decker. Ozzie Rundell prędzej dałby się posłać na krzesło elektryczne, niż sypnąłby swego idola.

— Wiedzą, że to my?

— Zależy, czy ten drugi widział nasze twarze. I czy Pancernik powiedział o tobie, zanim go zabili. Jeśli im powiedział, kim jesteś, będziesz miał kłopoty.

— Ja? A ty? To od twojej spluwy zginął ten facet.

— Jakiej spluwy? — spytał Skink, rozkładając ręce. — O jakiej spluwie pan mówi, panie władzo? — Błysnął w uśmiechu zębami. — O mnie się nie martw, Miami. A jeśli już musisz się o coś martwić, to pomyśl, jak zrobić dobre zdjęcia paru rybom.

Wyszli na dwór. Skink upiekł wiewiórki na rożnie. Decker przyniósł piwo i patrzył, jak noc zapada nad jeziorem. Jedli w milczeniu. Decker miał całkiem niezły apetyt. Potem wypili jeszcze po jednym piwie, wpatrując się w żar ogniska.

— Jim Tile będzie z nami do końca — rzekł Skink.

— Czy to dla niego bezpieczne?

— Ani dla niego, ani dla nas. Ale on jest bardzo ostrożny. Ja też. A i ty powoli się wyrabiasz. — Skink ustawił puszkę piwa na kolanie. — Samolot do Nowego Orleanu wylatuje z Orlando w południe.

Decker zerknął na niego.

— Jesteś zdecydowany? — spytał.

— Tak. Lepiej byłoby jednak pojechać na lotnisko osobno.

Decker skinął głową. Nie wpuszczą go do samolotu, nie ma mowy. W tym ubranku?

— W takim razie spotkamy się przed odlotem — rzekł. — Mam jeszcze coś do załatwienia. Skink wrzucił puszkę do gasnącego żaru.

— Co?

— Muszę się zobaczyć z pewną osobą — odparł Decker — choć nie bardzo wiem, gdzie jej szukać. Nie wiem nawet, czy jest w mieście. Chodzi mi o siostrę Dennisa Gaulta.

Skink prychnął.

— Jest. — Ściągnął z siebie kombinezon. — Mieszka w Days Inn, a przynajmniej stawia tam swoją cukierkową korwetę.

— Dzięki. A co z policjantami na drodze?

— Już ich nie ma. Zmiana skończyła się pół godziny temu. Skink odprowadził Deckera do samochodu.

— Uważaj na nią — ostrzegł. — A jeśli już koniecznie będziesz musiał opowiedzieć jej historię swojego życia, to nie wspominaj o dzisiejszym wydarzeniu.

— Jestem na to zbyt zmęczony — westchnął Decker.

— Zawsze się tak mówi.

Była w Days Inn, w pokoju numer . Gdy otworzyła drzwi, miała na sobie jedwabną koszulkę, która ledwo zakrywała jasnożółte majtki. Zauważył kolor majtek, kiedy wyciągnęła rękę, by zdjąć szlafrok z haczyka po wewnętrznej stronie drzwi szafy. Udawał, że nie patrzy w tamtą stronę.

— Co masz w torbie? — spytała.

— Bieliznę na zmianę.

— Wybierasz się gdzieś?

— Tak, jutro.

— Gdzie?

— Na północ.

Usiadła na łóżku, a on na krześle. W telewizji pokazywali starego Jamesa Bonda.

— Sean Connery był w tej roli najlepszy — stwierdziła. — Widziałam to już ze dwadzieścia razy.

— Dlaczego jeszcze nie wyjechałaś z miasta?

— Wyjeżdżam jutro.

— Nie odpowiedziałaś na pytanie. Dlaczego wciąż tu jesteś? Dlaczego nie wróciłaś do domu zaraz po pogrzebie?

— Byłam dziś na cmentarzu — odparła. — I wczoraj też. Po prostu nie miałam jeszcze ochoty wyjeżdżać. Każdy smuci się po swojemu, czy nie tak powiedziałaś?

„Ostro” — pomyślał Decker. Uwielbiał takie sytuacje.

— Wiesz, co? — rzekł. — Sądzę, że rodzina Gaultów powinna zostać gruntownie przebadana. W sposób naukowy. Może macie jakąś wadę genetyczną, która nie pozwala wam mówić prawdy? Na pewno niejedna klinika byłaby tym zainteresowana.

Wzruszyła ramionami, ale widać było, że jest podenerwowana.

— Nie zostanę u ciebie długo — uspokoił ją Decker. — Musimy jednak pogadać.

— Nie mam ochoty na pogaduszki — odparła. — Ale możesz zostać tak długo, jak chcesz. Nie jestem zmęczona.

Skrzyżowała nogi pod szlafrokiem i zerknęła na Deckera. W zatęchłym motelowym pokoju coś roztaczało świeży, cudowny zapach. To Lanie tak pachniała; należała do kobiet, których ciało ma naturalny zapach wiosennego dnia. A może tak się tylko Deckerowi zdawało, bo wyglądała bardzo ładnie. Był jednak dostatecznie przytomny, by mieć świadomość, że znajduje się w niebezpieczeństwie, że wszedłszy do tego pokoju i pozwoliwszy jej wskoczyć na łóżko, stracił kontrolę nad rozwojem wypadków i nadzieję na wydobywanie z niej prawdy. Wiedział, że traci czas, ale nie miał ochoty wychodzić.

— Kiepsko wyglądasz — powiedziała Lanie.

- Miałem ciężki dzień.
- Węszyłeś?
- I owszem.
- Coś nowego na temat śmierci Bobby'ego?
- Podobno nie miałaś ochoty na pogaduszki.
- Zwykła ciekawość. A właściwie coś więcej. Kochałam go przecież. Zapomniałeś?
- Wciąż to powtarzasz, jakbyś sobie wmawiała.
- Dlaczego mi nie wierzysz?

Szkoła Lee Strasberga *. Lanie o zranionym sercu. I ten ton głosu — urażona do żywego, lecz nie oburzona. I ani cienia fałszu w pięknych oczach; najwyraźniej rzeczywiście zbierało się jej na płacz. Tak wspaniałe przedstawienie, że Decker również zadał sobie w duchu pytanie: „Dlaczego jej nie wierzę?”

* Słynny amerykański aktor i pedagog (przyp. tłum.).

- Ponieważ Bobby Clinch nie był w twoim typie — odparł głośno.
- Skąd wiesz?
- Ty jesteś jak ta korweta, co stoi przed domem. A Bobby to był obdrapany pikap. Być może go lubiałaś, może spałaś z nim, może nawet zrobiłaś mu tę minetę, z której jesteś tak dumna, ale na pewno go nie kochałaś.

— Wystarczy ci jedno spojrzenie na pieprzony samochód, by to wiedzieć?!

— Jestem ekspertem w podobnych sprawach — rzekł Decker. — Na tym polega moja praca.

To była prawda. Najlepiej poznać człowieka po jego samochodzie. Każdy dobry glina tak twierdzi. Decker nie zastanawiał się nad tym do dnia, gdy został prywatnym detektywem i musiał spędzać połowę życia na szukaniu, śledzeniu i fotografowaniu różnych aut. Kiedy dłużyły mu się godziny na parkingach, zabijał nudę kojarzeniem ludzi i samochodów w pary i doszedł w tym do perfekcji. Marka, model, kolor, nawet lśniące felgi na kołach, wszystko stanowiło ślad wiodący do rozwiązania zagadki. On sam miał zwykłego szarego plymoutha volar z roku, najbardziej niepozorne auto, jakie kiedykolwiek wyprodukowano w Detroit. Taki pojazd doskonale do niego pasował, ponieważ odpowiadało to naczelnej zasadzie jego profesji: „Nie rzucać się w oczy.”

— A więc według ciebie moim żywiołem jest Miami — kpiła Lanie. — Z kim mnie sobie wyobrażasz, co? Z jakimś młodym Kolumbijczykiem? Rolex, złoty naszyjnik i czarne ferrari. A może uważasz, że jestem za stara na kokainową kurwę? Może widzisz mnie u boku posiwiąłego dziwaka, grającego na wyścigach?

— Każdy tylko nie Clinch — rzekł Decker. — Ty i on, to ogień i woda.

Naturalnie wówczas połały się łyzy i zanim Decker się obejrzał, siedział na łóżku, obejmował

ramieniem Lanie i powtarzał jej, by przestała płakać. Oto ckliwa scena z tandetnego filmu o detektywach: skończony cham, nieudolnie pociesza mażącą się długonogą dziewczynę, wie, że powinien udawać twardziela, ale nie potrafi się powstrzymać przed okazaniem odrobiny ciepła i wrażliwości.

Doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że postępuje głupio, ale nie miał ochoty wypuścić z objąć Lanie Gault.

Śmigłowiec czekał na Charlesa Weeba na lotnisku w Fort Lauderdale. Wielebny miał na sobie granatowy garnitur w prążki, drogie okulary przeciwsłoneczne i buty z jaszczurczej skóry. Podróżował w towarzystwie wiceprezesa Chrześcijańskiej Sieci Telewizyjnej oraz pewnej brunetki, uchodzącej za jego sekretarkę, która zdołała podczas krótkiego lotu wsunąć pilotowi do kieszeni karteczkę ze swoim numerem telefonu.

Wylądowali koło rowu wodnego na skraju Everglades. Na wschód od grobli budowano autostradę. Spychaczami usunięto zwały ziemi, ułożono pierwszą warstwę drogi i sprowadzono filary pod wiadukty. Ciężarówki z materiałami budowlanymi jeździły tam i z powrotem, a wzdłuż przyszłej arterii, wśród tumanów kurzu, pełzały jednostajnie równiarki.

— Pokaż mi jeszcze raz — odezwał się Weeb do wiceprezesa.

— Nasz teren zaczyna się mniej więcej tam — wskazał wiceprezes palcem — i ciągnie wzdłuż boku autostrady siedem kilometrów na południe. Stanowy zarząd budowy dróg przyznał nam łaskawie trzy bezkolizyjne skrzyżowania.

„Łaskawie? Dobrze sobie — pomyślał Weeb. — Kosztowało mnie to dwadzieścia patyków w obligacjach dla każdego z tych cholernych chciwców.”

— Daj lornetkę — powiedział.

— Przepraszam, ale zostawiłem ją na lotnisku.

— Ja wracam do śmigłowca — jęknęła brunetka.

— Masz zostać tutaj — warknął Weeb. — Jak mam obejrzeć kompleks jezior bez lornetki?

— Możemy tamtędy polecieć w drodze powrotnej — odparł wiceprezes. — Kanały są już prawie gotowe.

— Niech cię cholera, Billy — prychnął gniewnie Weeb, kręcąc głową. — Zapamiętaj sobie raz na zawsze: ludzie nie kupują domów nad kanałami. „Kanał” to ohydne słowo. Do kanału spuszcza się ścieki. Nikt nie chce mieszkać nad kanałem. Zapłaciłbyś sto pięćdziesiąt patoli za coś takiego? Nie, bo chciałbyś mieszkać nad jeziorem, nad wielkim malowniczym jeziorem. I właśnie jeziora im sprzedajemy.

— Rozumiem — odparł wiceprezes. — To są jeziora. Proste, wąskie jeziora, przez które z

łatwością można przerzucić kamień. Jeziora o identycznym kształcie.

Przedsiębiorstwo wynajęte do robót przez Chrześcijańską Sieć Telewizyjną pogłębiało kiedyś ujścia rzek w Port Everglades i Government Cut oraz długi odcinek toru wodnego dla frachtowców w Tampa Bay. Pracowało z imponującą szybkością i wydajnością, robiąc wszystko jak pod sznurek, co wskazane jest w wypadku budowy kanału komunikacyjnego, ale nie jezior. Kilkakrotnie już zwracano wielebnemu uwagę na ten problem, ale on za każdym razem odpowiadał, że im większe jezioro, tym więcej wody. Im więcej wody, tym mniej ziemi na sprzedaż. Im mniej ziemi na sprzedaż, tym mniej domów do wzniesienia.

— Jeziora nie muszą być okrągłe — powiedział do wiceprezesa. — Czy mam ci to bez przerwy powtarzać?

— Nie, już rozumiem.

Weeb zwrócił się ku zachodowi i zapatrzył na Everglades.

— Przypomina mi to Saharę — rzekł — tyle że tam nie ma błocka.

— Poziom wody podnosi się późną wiosną i wczesnym latem — oznajmił wiceprezes.

— Dickie obiecał mi tu okonie.

— Tak, zrobimy raj dla wędkarzy.

— Dopilnuj, żeby tak było.

Weeb, przechadzając się wzdłuż rowu podziwiał pasmo autostrady. Wiceprezes szedł kilka kroków z tyłu. Sekretarka nie ruszyła się z miejsca, rzucając spojrzenia w kierunku przydymionej kabiny śmigłowca.

— Dwadzieścia dziewięć tysięcy mieszkań — mruczał Weeb. — Dwadzieścia dziewięć tysięcy rodzin. Całe chrześcijańskie miasto!

— Tak — przytaknął wiceprezes. Nie dawała mu spokoju nazwa przyszłego osiedla. Jeziora Okoniowe. To poważny problem marketingowy. Jego zdaniem nazwa była zbyt potoczna, zbyt prowincjonalna. Wielebny Charles Weeb nie zgadzał się z nim. „Chodzi o widzów naszej telewizji — odpowiadał — a ja już dobrze wiem, co oni kupią. Jeziora Okoniowe to doskonała nazwa. Strzał w dziesiątkę”.

Wielebny skierował się w stronę śmigłowca.

— Billy, powinniśmy pomyśleć o nakręceniu jakiejś reklamy —

rzekł. — Przyszła stolica wędkarskiej Ameryki, coś w tym rodzaju. Sprowadź tu Dickiego. Może wykorzystać własną ekipę, ale chciałby zrobić to pod okiem twoim albo Johnsona.

— Przecież w jeziorach nie ma jeszcze ryb — zaoponował wiceprezes.

Przecisnął się na siedzenie za plecami Weeba, który pierwszy wszedł do śmigłowca. Sekretarka ulokowała się z przodu, obok pilota, co wielebnemu najwyraźniej nie przeszkadzało.

— Wiem, że nie ma ryb. Powiedz Dickiemu, żeby nakręcił trochę taśmy po drugiej stronie rowu. Będzie wiedział, co robić.

Śmigłowiec wystartował i na niskiej wysokości skierował się na wschód.

— Leć tam —polecił pilotowi wiceprezes — gdzie kopią jeziora.

— Jakie jeziora?! — spytał zdziwiony pilot.

Skink spóźnił się na lotnisko. Decker nie był tym zaskoczony. W oczekiwaniu na niego wszedł do budki telefonicznej i zadzwonił do harneyowskiego „Sentinel”, by się dowiedzieć, czy strzelanina w lesie wyszła na jaw. Przygotował sobie bajeczkę o tym, jak miał się spotkać z Ottem w barze, ale stary się nie zjawił.

Odebrał Sandy Kilpatrick.

— Mam dla pana złe wieści — powiedział.

Decker wstrzymał oddech.

— Chodzi o Otta — ciągnął naczelny szeptem niczym ksiądz w konfesjonale.

— Co się stało? — spytał Decker.

— Miał straszliwy wypadek dziś rano na autostradzie do Gilchrist. Pewnie zasnął za kółkiem. Samochód zjechał z drogi i uderzył w wielki cyprys.

— O Jezu! — jęknął Decker. „Rozpieprzyli mu toyotę, żeby zamaskować morderstwo” — pomyślał.

— Palił się ze dwie godziny, nawet las się od tego zajął. Niewiele pozostało. Szczątki są w kostnicy, ale... Mają nadzieję, że będzie wystarczająco dużo krwi, by sprawdzić, czy nie był pijany. U nas jazda po pijanemu to największa plaga.

A więc ciało Otta spaliło się na popiół. Tak jak nikt nie podejrzewałby, że gnije w wodzie, tak też nikt się nie domyśli, jak

naprawdę było z tym wypadkiem samochodowym. Prymitywne zagranie, ale w takiej miejscinie jak Harney — skuteczne. Decker już widział oczami wyobraźni, jak przemalowują znak ostrzegawczy na trasie : „Jedź ostrożnie. Nie bądź piątą śmiertelną ofiarą.”

Nie wiedział, co odrzec. Rozmowy o zmarłych peszyły go, jednak nie chciał stwarzać wrażenia, że nic go ta sprawa nie obchodzi.

— Ott chyba nie zaglądał często do kieliszka — powiedział niezręcznie.

— I mnie się tak wydaje — odparł Kilpatrick. —Ale zdziwiłem się, gdy nie przyszedł przedwczoraj na mecz koszykówki. Był maskotką drużyny.

— Panem Piernikiem?

— Tak. — Zapadła cisza. Kilpatrick zastanawiał się, jak opowiedzieć o społecznej pracy Otta. — U nas istnieje taka nie pisana zasada, że każdy daje coś na cele charytatywne. Kilka dolców z

pensji... wie pan. Gazeta ma taką politykę.

— Rozumiem.

— A Ott zawsze odmawiał, mówił, że im nie ufa.

— Zawsze miał węża w kieszeni — odrzekł Decker. Ott należał do najskąpszych ludzi, jakich ziemia nosiła. Kiedyś, relacjonując sensacyjny proces o morderstwo, spóźnił się na ogłoszenie wyroku, ponieważ nie mógł znaleźć pod sądem miejsca z zepsutym parko-metrem.

— Nasz wydawca twardo obstaje przy tej polityce. Gdy usłyszał, że Ott Pickney nie chce dawać, kazał go wylać. No i żeby uratować Otta, wymyśliłem ten kompromis.

— Pana Piernika?

— Tak, drużyna potrzebowała maskotki.

— To chyba nie w jego stylu — rzekł Decker.

— Początkowo się wzbraniał, ale w końcu polubił to zajęcie. Sam mi powiedział. Był jak dynamit na tej deskorolce. W jego wieku... Dzieciaki mówiły, że gdyby był młodszy, pewnie uprawiałby surfing.

— Musiało to być niezłe widowisko — rzekł Decker, próbując sobie wyobrazić wyczyny starego.

— Nigdy nie opuścił żadnego meczu, więc gdy nie przyszedł przedwczoraj, zacząłem się martwić. Pomyślałem, że wyjechał gdzieś

w sobotę i zalał się. Że wybrał się na Cocoa Beach, załapał jakąś dziewczynę i został tam na weekend.

Ott w łóżku z kociakiem z plaży — całe Harney pewnie już wrze od tej plotki.

— Może tak właśnie było — łąał jak z nut Decker. — Pewnie wracał do domu, gdy to się stało. Straszne. Trudno mi uwierzyć, że nie żyje. — Tym razem mówił prawdę, podobnie jak prawdziwy był jego smutek.

— Pogrzeb odbędzie się jutro — rzekł Kilpatrick. — Uznaliśmy, że kremacja będzie najlepszym rozwiązaniem.

Decker pożegnał się i odwiesił słuchawkę. Następnie zadzwonił do kwiaciarni w Miami i zamówił dla Otta orchideę. Najpiękniejszą, jaką mieli.

\

Jim Tile urodził się w miasteczku Wilamette w stanie Floryda, skorumpowanej dziurze zabitej dechami, nie tkniętej przez obce jej pojęcia integracji rasowej, sprawiedliwości i równych szans. Był jednym z niewielu czarnych, którzy uciekli z tego zapomnianego przez Boga miejsca nie korzystając ze stypendium futbolowego. Swój sukces zawdzięczał rodzicom, którzy nakłaniali go do nauki, a także do rozwijania tężyzny fizycznej. Większość dzieciaków na podwórkach uważała,

że sposobem walki godnym mężczyzny jest młócka na pięści, natomiast Jim wołał zapasy. Z tego powodu koledzy uważali nawet Jima za babę, aż do dnia, gdy trzech białych nastolatków zaczęło się, by wepchnąć go twarzą w krowie łajno. Naturalnie poczekał, aż będzie sam. Udało im się nawet sprowadzić go do parteru, ale nie założyli mu nelsona i od tej chwili wszystko potoczyło się inaczej. Jeden wylądował w szpitalu ze złamanym obojczykiem, drugi z powyrywaniem ze stawów rękoma, a trzeci z pękniętymi żebrami, ponieważ Tile założył mu nożyce. I to oni przybyli na izbę przyjęć z krowim łajnem na twarzach.

Po ukończeniu szkoły średniej Jim Tile wstąpił na stanowy uniwersytet w Tallahassee. Specjalizował się w prawie karnym i po zdaniu egzaminów końcowych zgłosił się do policji patrolowej. Koledzy mówili mu, że zwariował, że przecież młodego Murzyna z przeciętną oceną cztery na dyplomie uniwersyteckim przyjmie

z otwartymi ramionami Urząd do Zwalczenia Narkotyków albo służby celne, może nawet FBI. Mógłby przebierać. Poza tym każdy wiedział, co oznacza robota w patrolowce: najgorszą płacę i największe ryzyko utraty życia, nie wspominając o wstydlivym fakcie, że ta zaszczytna formacja stanowiła bastion twardogłowych ciemniaków, którzy, choć przyjmowali do pracy przedstawiciele mniejszości rasowych, to jednak nie witali ich w swoich szeregach szampanem i konfetti.

W latach siedemdziesiątych każdego czarnego policjanta ze służb patrolowych czekała zsyłka na najgorsze drogi w najbardziej zacofanych okręgach. W ten sposób nieszczęśnik spędzał całe dni na wypisywaniu mandatów opryskliwym farmerom z legitymacją Ku-Klux-Klanu w kieszeni, którzy z uporem jeździli ciągnikami środkiem drogi, naruszając w ten sposób kilkanaście artykułów kodeksu drogowego. Dwa, trzy lata takiej pracy wystarczały, by czarny policjant zaczął sobie szukać innego zajęcia. Jim Tile jednak nadal trwał na posterunku. Kiedy inni policjanci pytali go dlaczego, odpowiadał, że zamierza pewnego dnia zostać dowódcą patrolu. Niektórzy myśleli, że żartuje, ale kiedy te podawane z ust do ust ambitne słowa dotarły wyżej, natychmiast przeniesiono go do okręgu Harney, by patrolował tamtejsze drogi i strzegł mieszkańców, z których większość zwracała się do niego per „chłopcze”, „synu” albo „Ej, Zulu”.

Pewnego dnia Jim Tile otrzymał polecenie, by towarzyszyć mało znanemu kandydatowi na gubernatora w przedwyborczym objeździe po Harney. Dzień zaczął się od śniadania w barze z naleśnikami, a skończył kolacją z pieczeni nad jeziorem Jesup. Kandydat na gubernatora, niejaki Clinton Tyree, siedem razy wygłosił to samo gładkie przemówienie. Jim Tile z nudów szybko nauczył się go na pamięć. Pod koniec dnia nieświadomie mruczał pod nosem nagradzane brawami słowa, zanim padły one z ust kandydata. Reakcje i skąpe datki sponsorów świadczyły o tym, że myśleli, iż Clinton Tyree mówi pod dyktando czarnego dryblasa.

O zmierzchu, gdy dziennikarze i politykierzy wylizali do czysta talerze i rozjechali się do

domów, Clinton Tyree wziął Jima Tile'a na stronę i rzekł:

— Wiem, że masz w głębokim poważaniu moje przemówienie, zobaczysz jednak, że w listopadzie zostanę gubernatorem.

— Nie wątpię — odparł Tile — ale będzie to pan zawdzięczał swoim zębom, a nie poglądom.

Jednym z pierwszych posunięć Tyree'a po zwycięstwie w wyborach było przeniesienie Jima Tile'a z okręgu Harney do specjalnej gubernatorskiej jednostki w Tallahassee, która stanowiła odpowiednik służb ochrony rządu i była najbardziej prestiżowym awansem w służbie patrolowej. Jak dotąd żaden czarny policjant nie pełnił takiej funkcji i koledzy ostrzegali Tyree'a, że stwarza niebezpieczny precedens. Gubernator śmiał się i odpowiadał, że Jim Tile okazał się najbardziej przewidującym człowiekiem, jakiego spotkał podczas przedwyborczej kampanii. Sonda opinii publicznej z dnia wyborów wykazała, że ludziom najbardziej podobały się nie otwarcie wyrażane poglądy kandydata w sprawie kary śmierci, toksycznych śmieci czy podatków płaconych przez korporacje, lecz jego uśmiech, a w szczególności — zęby.

Podczas swej krótkiej i burzliwej kadencji Tyree często radził się Jima Tile'a, który szczerze zaczął go podziwiać. Uznał, że gubernator jest odważny, ogromnie pomysłowy, pracowity i... z góry przegrany. Dlatego też nie zdziwił się, gdy Tyree zrezygnował z urzędu i zniknął ze sceny.

Chwilę po tym wydarzeniu został z powrotem przeniesiony na bezdroża Harney. Liczono na to, że pójdzie po rozum do głowy i opuści służbę.

A on, nie wiadomo czemu, nie zrobił tego.

Jim Tile pozostał wierny Clintonowi Tyree'emu, który teraz zwał się Skink i jadał smażone ryby oraz zeszkrobrywane z jezdni, przejechane przez samochody, zwierzaki. Jego lojalność była tak wielka, że zawiózł byłego gubernatora na lotnisko w Orlando, gdy miał on odbyć jedną ze swoich nieczęstych podróży do innego stanu.

— Mógłbym wziąć trochę wolnego i polecieć z tobą — zaproponował.

— Dziękuję ci, ale nie trzeba — odparł Skink. — Lecimy na zawody do Luizjany.

Jim Tile skinął głową ze zrozumieniem.

— Dobra jest — rzekł. — Chętnie posłuchałbym jazzu nowoorleańskiego na Bourbon Street, ale łowienie ryb to co innego.

— Miej uszy otwarte podczas mojej nieobecności — powiedział Skink. — I lepiej unikaj Trzęsawiska Morgana.

— Nie martw się.

Skink widział, że to Tile się martwi. Na pewno nie myślał teraz o prowadzeniu samochodu, gdyż jechali ledwo dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

— O siebie się martwisz czy o mnie? — spytał Skink.

— Myślę o czymś, co zdarzyło się wczoraj rano. Jakies dwadzieścia minut po tym, jak wysadziłem was na szosie, zatrzymałem pikapa, który tak zasuwał, że ledwie wytrzymał to mój radar.

— Tak? — mruknął obojętnie Skink.

— Wypisałem mu mandat za przekroczenie szybkości. Facet grzał sto czterdzieści cztery kilometry na godzinę. Powiedział, że jest spóźniony do pracy. Spytałem go więc, gdzie pracuje, a on mi na to, że w magazynie Millera. Powiedziałem, że chyba jest nowy, a on, że tak. Na to ja, że to chyba jego pierwszy dzień, bo zapieprza w przeciwnym kierunku, a on wtedy zamknął jadaczkę.

— Widziałeś go kiedyś przedtem?

— Nie.

— A samochód?

— Nie. Miał tablice z Luizjany. Obwód Jefferson.

— Hm.

— Ale najzabawniejsze jest to — ciągnął Tile — że na przednim siedzeniu leżał magazynek od karabinu. Broni nie było, tylko nowy magazynek. Trzydzieści nabojów. Od rugera. Facet powiedział, że ukradli mu go w West Palm. Że jakies czarnuchy to zrobiły.

Skink zmarszczył czoło.

— Powiedział ci to w twarz? Powiedział „czarnuchy”? I co ty na to, Jim? Mam nadzieję, że rozwalileś mu łeb.

— Gdzie tam. I wiesz, co jeszcze było dziwne? Na siedzeniu obok magazynka walały się dwa kubki do kawy. Nie jeden, tylko dwa.

— Może mu mocno doskwierało pragnienie — odparł Skink.

— Albo z drugiego kubka pił jego kumpel. — Tile wyprostował się w fotelu, ziewnął. — Może to ten drugi miał karabin? Może tam na drodze coś się wydarzyło?

— Ty to masz wyobraźnię — rzekł Skink. — Powinieneś pisać scenariusze. — Nie było sensu mówić Tile'owi o zabójstwie. W każdym razie nie teraz. I tak miał się czym martwić.

— Zapisaleś nazwisko faceta? — spytał Skink.

— Podwójne oszustwo

Tile skinął głową.

— Thomas Curl — odrzekł.

— Nie wydaje mi się, żeby pracował u Millera.

— Ja też tak sądzę.

— Może popytam w Nowym Orleanie.

— Mógłbyś? Nie daje mi to spokoju.

— Nie dziwię się. Facet nie okłamałby gliniarza bez powodu. Może coś da się wywachać.

Ostatnie piętnaście kilometrów przejechali w milczeniu. Jim Tile modlił się w duchu, by Skink przestał udawać i wyjawiał mu, co się stało. Ten drugi nie żył, tego był pewien. Kiedy podjechali pod terminal, rzekł:

— Uważasz, że ten Decker jest w porządku?

— Morowy gość.

— Pamiętaj tylko, że nie pracuje dla ciebie.

— Może pracuje, tylko o tym nie wie.

— Jeszcze nie wie.

R.J. Decker przechadzał się niecierpliwie przed stanowiskiem Eastern Airlines, gdy nagle do holu wkroczył Skink, wyglądający jak rowerzysta, który zaaplikował sobie sporą dawkę amfetaminy. Ogólnie jednak biorąc, kapitan prezentował się odrobinę lepiej niż zwykle.

— Wykąpałem się — oznajmił Skink. — Jesteś ze mnie dumny?

— Dziękuję ci.

— Nienawidzę samolotów.

— Chodź, zapowiedzieli już nasz lot.

Przy odprawie Skink wdał się w sprzeczkę ze stewardesą, ponieważ chciał wziąć do kabiny sprzęt do nurkowania.

— Nie wciśnie pan tego pod fotel — zaproponowała.

— Powiedzieć pani, gdzie to zaraz wciśnie? — warknął.

— To nadaj na bagaż tylko butle — zaproponował Decker.

— Rozwał ją.

— Kupię ci nowe.

— Nasi pracownicy są bardzo ostrożni — rzekła stewardesa.

— To troglodyci! — krzyknął Skink i pomaszerował do samolotu.

— Pana kolega jest bardzo uparty — powiedziała stewardesa do Deckera, odbierając od niego kartę pokładową.

— Nerwy przed lotem, wie pani. Ale się uspokoi.

— Mam nadzieję. Niech pan mu powie, że mamy na pokładzie uzbrojonego strażnika.

„Och, wspaniały pomysł” — pomyślał Decker.

Odnalazł Skinka skulonego w fotelu na samym końcu samolotu.

— Zamieniłem się z parą katolickich misjonarzy — wyjaśnił Skink. — Ostatni rząd to najbezpieczniejsze miejsce. Gdzie masz sprzęt?

— W walizie, nie martw się, kapitanie.

— Wzięłeś statyw?

— Tak.

Skink wiercił się, sapał, rozglądał. Drapał się nerwowo po szczecinie na policzkach.

Decker jeszcze nigdy nie widział go w takim stanie.

— Nie lubisz latać? — spytał.

— Coś ty! Połowę życia spędziłem w samolotach. Nie boję się. Nienawidzę ich, ale się nie boję. — Skink włożył rękę do kieszeni czarnej dzinsowej kurtki i wyjął okulary przeciwsłoneczne oraz czepek kąpielowy w kwiaty.

— Nie, błagam cię, nie zakładaj tego teraz.

— A ty co, dorabiasz sobie w ochronie lotniska? — Skink naciągnął czepek na głowę. — Kogo obchodzi, co ja noszę?

„Jezu, wygląda tragicznie” — pomyślał Decker. Skinkowi najwyraźniej nie chodziło o samolot. Nie mógł znieść obecności tylu ludzi. Po włożeniu czepka, uspokoił się nieco. Decker wyczuł, że zamknął oczy za czarnymi szklami okularów.

— Nie zwracaj na mnie uwagi — rzekł Skink.

— Zdrzemnij się — poradził mu Decker. Silniki zagłuszyły jego słowa; wydawało się, że są zawieszane tuż nad ich głowami. Samolot kołował na pas startowy. Skink milczał do chwili, gdy wznieśli się w powietrze.

Wtedy poruszył się w fotelu i rzekł:

— Złe wieści, Miami. Lecą z nami Rundellowie. Siedzą w pierwszej klasie, jeśli dasz wiarę.

Rzygać mi się chce.

Decker nie zauważył ich na lotnisku, albowiem cały czas był zajęty Skinkiem.

— Widzieli cię? — spytał.

— A jak myślisz? — odparł Skink zgryźliwie.

— Nie było więc po co tak się czaić.

Skink zachichotał.

— Culver o mało się nie zesrał na mój widok — powiedział.

— Jak tylko wylądujemy, zadzwoni do Lockharta.

— Nie możemy na to pozwolić. — Patrzył przez okno. Gdy pojawiły się stewardesy z przekąskami, otworzył stolik i oparł na nim potężne ręce.

— Oni cię nie znają — rzekł.

— Chyba nie, ale nie mam pewności. Zatrzymałem się kiedyś przy ich sklepie.

— Cholera! — Skink poprawił czepek i zaczął nawijać na palec kosmyk długich włosów.

Najwyraźniej coś kombinował.

— Dokąd ten samolot leci z Orleanu? — spytał.

— Do Tulsa.

— To świetnie. Leć tam, a potem pierwszym samolotem wracaj do Orleanu. Masz gotówkę?

— Tak, i bombę również — zażartował Decker.

— Potrzebna ci będzie tylko gotówka. Na kartę kredytową nie wypuszczają za kaucją.

Decker nie wiedział, co szykuje Skink, ale już mu się to nie podobało.

— Kto będzie potrzebował kauq'i? Ty czy ja?

— Ojej, nie przejmuj się — rzekł Skink.

Gdy stewardesa przyniosła im przekąski, Skink spojrział na nią spode łba i warknął:

— Na Boga, co to za rzygowiny?

— Wołowina, bułeczki, świeża sałata i ciastko z marchewką.

— A nie ma pani jakiegoś oposa?

— Nie, proszę pana, ale może jest jeszcze kurczak po kijowsku z lotu z Atlanty.

— A wiewiórki? — spytał Skink. — Wiewiórka po kijowsku bardzo by mi odpowiadała.

— Niestety nie mamy tego w zestawie — odparła stewardesa odrobinę zniecierpliwiona. —

Może chciałby się pan czegoś napić?

— Mam ochotę na oposa. I jeśli go zaraz nie dostanę, rozpieprzę ten samolot. — To rzekłszy, Skink najspokojniej w świecie wyrwał

stolik z zawiasów i podał go stewardesie, która wycofała się przerażona.

Gdy wołała strażnika, Skink nagle zerwał się na równe nogi i ryknął:

— Obiecywaliście mi oposa! Dzwoniłem wcześniej i powiedzieliście, że zarezerwujecie jednego! Miał być koszerny!

R. J. Decker siedział jak sparaliżowany. Zrozumiał już plan Skinka.

— Albo dacie mi świeżego oposa, albo wszyscy zginiemy! — wrzasnął Skink. Panika sięgała coraz dalszych rzędów; kobiety i dzieci pędziły na przód samolotu, podczas gdy mężczyźni naradzali się, co robić. Postura, wygląd oraz maniackalne zachowanie Skinka nie zachęcały do bohaterkiej konfrontacji na wysokości dziesięciu kilometrów:

Wszyscy odwrócili głowy i patrzyli na wariata w czepku kąpielowym.

Naraz w przejściu zrobiło się luźniej, ponieważ z przodu samolotu nadszedł mężczyzna z odznaką na piersi.

— Pamiętaj, nie znamy się — szepnął Skink do Deckera.

— O, na pewno nie!

Strażnik, niski, krępy mężczyzna z sumiastym wąsem, poprosił Deckera, by przesiadł się kilka

rzędów do przodu.

— Z wielką chęcią — odparł Decker.

Mężczyzna nie miał broni, tylko krótką pałkę i kajdanki. Usiadł na miejscu Deckera.

— Czy przyniósł pan oposa? — spytał go Skink.

— Zachowuj się pan spokojnie — rzekł strażnik ostrym tonem — albo będę musiał ich użyć.

— Zadzwoił złowieszczo kajdankami.

— Nie, błagam — rzekł Skink. — Pozostaję pod ścisłą opieką lekarską.

Strażnik skinął głową.

— W porządku, nie ma sprawy. Zostało nam tylko pół godziny lotu do Nowego Orleanu.

Wkrótce podróżni się uspokoiili i powrócono do rozdawania posiłków. Odwróciwszy głowę, Decker zobaczył, że Skink i strażnik gaworzą sobie po przyjacielsku.

Po wylądowaniu pilot poprosił pasażerów, by pozostali przez

kilka minut na miejscach. Otwarły się drzwi i do środka wkroczyło trzech policjantów oraz dwóch agentów federalnych w ciemnych garniturach. Skuli Skinkowi ręce i nogi i wyprowadzili go z samolotu. Wychodząc, Skink pocałował jedną ze stewardes w ucho i ostrzegł pilota, by uważał na prądy powietrzne nad Little Rock.

Bracia Rundell patrzyli zaskoczeni.

— Gdzie go zabierają? — spytał Ozzie.

— Miejmy nadzieję, że do czubków — odparł Culver. — Chodź, idziemy.

R. J. Decker poleciał dalej, do Tulsa. Oprócz pijanego turysty, który miał na sobie kupioną w centrum Disneya koszulkę i uszy psa Pluto, nikt nie zakłócił spokojnego lotu.

Wieczorem piętnastego stycznia Dickie Lockhart zalał się w trupa na Bourbon Street, po czym został wyrzucony z knajpy za rzucanie gumowymi dżdżownicami w tancerki. Dżdżownice dostał za darmo od przedstawicieli dużej firmy produkującej przynęty, którzy przyjechali do Nowego Orleanu na zawody wędkarskie. Dali mu cztery torby przynęt i haczyków oraz tysiąc dolarów w gotówce, by go zachęcić do wygrania turnieju przy użyciu wyrobów ich firmy. Dickie wydał wszystkie pieniądze w dzielnicy francuskiej, głównie na kokainę i tęczowe koktajle dla pięknie umalowanych pań, z których większość okazała się pedrylami łaknącymi koki. Pełen obrzydzenia wycofał się do lokali ze striptizem, gdzie przynajmniej cycki były prawdziwe. Kłopoty zaczęły się z chwilą, gdy skończyły mu się pięciodolarowe banknoty na napiwki; w kieszeniach znalazł jedynie ośliżle gumowe dżdżownice. Zaczął nimi ciskać w nagie tancerki. Miał niezłą frajdę widząc, jak lepkie robaki czepiają się kobiecych ud i piersi, po czym spadają, wplątując się we włosy na łonie. Dżdżownice wyglądały tak realistycznie, że dziewczyny piszczały ze strachu, zrzucając je z siebie pospiesznie; jedna tancerka padła nawet na podłogę i zaczęła się tarzać, jakby się paliła. Dickie

zdziwił się po co ta histeria. Czyżby żadna z nich nie była nigdy na rybach? Został nieprzyjemnie zaskoczony, gdy wyrzucono go na ulicę (nie widzieliście mnie w telewizji?!), ale poczuł też pewną

satysfakcję, ponieważ inni klienci jęli głośno protestować, że tak się z nim tu brutalnie obeszli.

Potem wypił jeszcze kilka drinków i ruszył na poszukiwanie swego szefa, wielbnego Charlesa Weeba. Decyzję, by spotkać się z nim nie umówiony, mógł podjąć jedynie w stanie upojenia alkoholowego; z reguły nikt nie wpadał do Weeba bez zaproszenia.

Wdrapał się na ostatnie piętro eleganckiego hotelu przy Chartres Street i zastukał mocno do drzwi. Dochodziła północ.

— Kto tam? — rozległ się kobiecy głos.

— Urząd do Zwalczania Narkotyków! — wrzasnęła Dickie. — Otwieraj, kurwo!

Drzwi się otworzyły. Stała w nich piękna, długowłosa dziewczyna. Przynajmniej taka się wydawała Lockhartowi. Cudowne zjawisko. Miała na sobie jedynie długie płócienne buty na szelkach, spod których wystawały śliczne piersi. Przez chwilę Dickie zapomniał, że podaje się za funkcjonariusza służb antynarkotykowych.

— Mam nakaz aresztowania Charlesa Weeba — warknęła.

— A po co panu ta wędka? — spytała dziewczyna.

Przez cały wieczór nie wiadomo czemu nosił ze sobą dwumetrową wędkę. Ktoś dał mu ją w barze, pewnie jeszcze jeden agent jakiejś firmy.

— To nie wędka. Zamknąć się!

— Ależ wędka — upierała się dziewczyna.

— To wykrywacz heroiny. Proszę się odsunąć. — Przepchnął się obok i wkroczył do salonu, ale wielbego tam nie było. Ruszył więc do sypialni, a naga piękność poczłapała za nim.

— Czy ma pan nakaz? — spytała.

Otworzywszy drzwi, Dickie zobaczył Weeba leżącego na łóżku. Siedziała na nim okrakiem dziewczyna, podskakując radośnie. Miała na sobie koszulkę drużyny „Świętych” z numerem dwunastym.

— Charlie, ten człowiek przyszedł cię aresztować — zza pleców Lockharta oznajmiła dziewczyna w butach.

Weeb popatrzył gniewnie w kierunku drzwi i zawołał:

— Precz stąd, grzeszniku!

Nagle Lockhart doszedł do wniosku, że nie był to najlepszy pomysł zjawić się tu bez zapowiedzi. Wrócił do salonu, włączył telewizor i opadł na kanapę. Dziewczyna nalała mu burbona.

Powiedziała, że nazywa się Ellen 'Jakaś tam i że właśnie awansowała na stanowisko sekretarki

Pierwszego Zielonoświątkowego Kościoła Odkupienia Pańskiego, którego założycielem i duchownym przywódcą jest wielbny Charles Weeb. Przeprosiła za to, że otworzyła drzwi na wpół naga, i wyjaśniła, że to Weeb kazał jej włożyć te rybackie buty. Dickie pomyślał, że wygląda w nich diablo ponętnie. Powiedział jej, by uważała, żeby nie obetrzeć sobie ud. Znał ten ból z własnego doświadczenia.

— Fajna wędka — zauważyła dziewczyna.

— Ale nie nadaje się na okonie. Za mocno podrywa.

Kiwnęła głową.

— Myślałam raczej o łowieniu w strumieniach — odparła. — Sztuczny ciernik, czwórka albo szóstka.

— A, to tak — zgodził się Dickie, zdumiony, oniemiały, zakochany po uszy. — Łowisz?

W tej chwili do salonu wpadł wielbny Charles Weeb, przewiązany w pasie fioletowym ręcznikiem. Piękność przeprosiła ich na chwilę i poczłapała do sypialni. Dickie miał złamane serce. Był pewien, że nigdy więcej jej nie zobaczy. Charles Weeb na pewno się o to postara.

— Co cię tu, do kurwy nędzy, sprowadza, mój synu? — odezwał się wielbny. — Jaki diabeł cię opętał, jaki wąż podstępny, jaki pierdolony bakcyl wkradł ci się do mózgu i pozbawił rozsądku? Co miałeś na myśli, gdy przyszedłeś, by zapukać do mych drzwi?

— Schlałem się — odparł Dickie.

— No i co z tego? Widzisz, coś narobił? Ta młoda dama...

— W sypialni?

— Ćśś. Ta młoda dama już miała doznać wielkiego objawienia, gdy wpadłeś i zniszczyłeś wszystko. Nie pochwalam tego, Dickie, ona też nie.

— Noc jeszcze długa — zaproponował Lockhart. — Może pan spróbować od nowa.

Wielbny spojrzał na niego wściekłym wzrokiem.

— Po coś tu przylazł?

Dickie wzruszył ramionami.

— Chciałem pogadać — odrzekł.

— A o czym? — Weeb podciągnął ręcznik, by zakryć fałdę tłuszczu na różowym brzuchu. — Co nagle stało się tak-ważne, że o tej godzinie pogwałciłeś moją prywatność?

— Program — odparł prosto z mostu Lockhart, ośmielony podanym przez Ellen burbonem. — Wydaje mi się, że pan nie docenia mojego programu. Pan traktuje mnie jak wyrobnika.

— Czyżby?

Lockhart wstał. Nie przyszło mu to łatwo. Wycelował długą wędką wielbnemu w brzuch, tak że końcem połechttał szare włosy wokół pępka.

— Łowienie okoni to nie taka prosta sprawa — rzekł, czując, jak wzbiera w nim gniew, podsycany jeszcze wyimaginowanym obrazem jego ukochanej Ellen 'Jakiejś tam podrygującej na tej tłustej świni. — Łowienie okoni to wielka sztuka.

— Rozumiem, Dickie — odparł Weeb. Układał się już z niejednym rozwścieczonym pijakiem i wiedział, że najlepszą taktyką jest ostrożność i potakiwanie. Nie podobało mu się wprawdzie, że Lockhart gmera mu wędką przy brzuchu, ale należało to zlekceważyć. — I uważam, że radzisz sobie z tym bardzo dobrze.

— To dlaczego traktuje mnie pan jak gówno?

— Zaraz, zaraz, przecież płacę ci bardzo dobrze.

Wtem Lockhart zaczął wymachiwać wędką, jakby smagał batem konia. Aż gwizdało powietrze. Weeb cofnął się o krok.

— Obiło mi się o uszy — ciągnął Lockhart — że gada pan z Edem Spurlingiem.

— Od kogo to słyszałeś? — W oczach wielebnego pojawił się niepokój.

— Od ludzi, którzy z nim łowią. Podobno Ed mówił im, że pańska telewizja chce kupić jego program.

— To niedorzeczne, Dickie — rzekł Weeb. — Mamy najlepszy program wędkarski w całej Ameryce. Twój program. Nie potrzebujemy innego.

— To właśnie odrzekłem tym facetom, ale oni powiedzieli mi jeszcze coś innego. Podobno Ed się chwalił, że obiecał go pan zrobić za dwa lata pierwszą gwiazdą. Że Taaka ryba zejdzie z ekranu.

„Wsiowe dupki — pomyślał rozeźlony Weeb — mają języki długie jak wędkę. Że też Ed Spurling nie umie trzymać gęby na kłódkę!”

— Dickie — zaczął cierpliwie — ktoś cię robi w konia. W życiu nie spotkałem się ze Spurlingiem. Nie dziwię się, że jesteś zdenerwowany, ale przysięgam ci, chłopie, że nie masz się o co martwić.

Pomyśl tylko. Kogo wybrałem ze wszystkich wędkarzy na świecie, by wziął udział w reklamie Jezior Okoniowych? Kogo? Ciebie, bo jesteś najlepszy. Wszyscy w naszej stacji tak myślą: jesteś nie do pobicia.

— Cieszę się, że to słyszę — odparł Lockhart — bo nie wiem, co by się stało, gdybym odkrył, że jest inaczej. Nie wiem. Pamięta pan tego faceta z zarządu w Lauderdale? Tego, którego kazał mi pan zabrać na ryby? Jezu, powiedział wiele ciekawych rzeczy o tych Lagunach Okoniowych.

— Jeziorach — poprawił go Weeb.

— Powiedział, że dzięki panu ma nowy basen. Z sauną!

— Coś podobnego.

Dickie uśmiechnął się chytrze.

— Nie potrafię sobie wyobrazić, co by pomyśleli wierni, gdyby się dowiedzieli, że ich wielbny dyma młode dziewczęta z kościoła.

— O co ci idzie?

— O co? — Lockhart zamachnął się wędką i zręcznym ruchem rozwiązał supel na ręczniku Weeba. Zasłona opadła.

— Och, jaki śliczny — rzekł, puszczać oko. — Śliczniusi jak ptaszek.

Weeb spłonął. Nie mógł uwierzyć, że sytuacja tak szybko obróciła się przeciw niemu i że tak błędnie ocenił tego skurwiela.

— Czego chcesz? — spytał.

— Nowej umowy. Na pięć lat, bez możliwości rozwiązania. Do tego dziesięć procent z praw do sprzedaży programu. Niech wielbny się tak nie frasuje. Najpierw wygram tu zawody. Pojawię się z pucharem na konferencji prasowej i wtedy zrobimy przedstawienie.

— Dobra — rzekł Weeb, zasłaniając dłońmi krocze. — Co jeszcze?

— Chcę, żeby podwojono budżet. Dwa tysiące na każdy odcinek.

— Najwyżej tysiąc pięćset.

— Niech będzie, nie jestem chciwy.

— Coś jeszcze?

— Tak, idź pan do Ellen i powiedz jej, że odwiozę ją do domu.

Jeziro Maurepas, na którym miały się odbyć zawody pucharowe w wędkarstwie, było miniaturą olbrzymiego jeziora Pontchart-rain. Ten obfitujący w okonie bagnisty akwen znajdował się przy

autostradzie międzystanowej na północ od Nowego Orleanu i w Pass Manchac, kilka kilometrów na południe od miasteczka Hammond, łączył się z rzeką Maurepas. Tam właśnie R. J. Decker i Skink zatrzymali się w motelu. Tam też wynajęli aluminiową płaskodenną łódź z silnikiem o mocy piętnastu koni mechanicznych. Powiedzieli recepcjonistce, że o zmierzchu wyruszają na jezioro. Kobieta spoglądała na nich podejrzliwie aż do chwili, gdy Skink przedstawił się jako słynny podróżnik Philippe Cousteau i wyjaśnił, że przygotowuje film dokumentalny o ikrze węgorzy Luizjańskich, którą można obejrzeć jedynie w nocy. Kobieta pokiwała głową i powiedziała, że coś o tym słyszała. Następnie poprosiła kapitana Cousteau o autograf, na co Skink odparł (z cudownym francuskim akcentem), że dla tak pięknej istoty zwykły autograf to za mało. Obiecał, że nazwie jej imieniem pierwszy nie znany gatunek mięczaka, który odkryje.

Postawienie Skinka w stan oskarżenia, a potem zwolnienie go za kaucją, zabrało cały ranek i dopiero w południe wyszedł na wolność. Było słonecznie, ale nie gorąco jak to w styczniu na tych terenach. Skink powiedział, że nie ma sensu wypływać na ryby, albowiem o tej porze okonie kryją

się w głębinach. Zwinął się na podłodze w pokoju i zasnął, natomiast Decker zaczął czytać nowoorleańską gazetę „Times-Picayune”. U dołu strony z wiadomościami lokalnymi znalazł małą notatkę o zaginionym mężczyźnie, który pojechał wędkować na Florydę i najprawdopodobniej utonął w mrocznych odmętach jeziora Okeechobee. Ów młody człowiek nazywał się Lemus Curl i gdyby nie szerniała dziura w czole, jego portret z gazety odpowiadałby dokładnie twarzy mężczyzny, którego Skink zastrzelił niedaleko Trzęsawiska Morgana. Najwidoczniej Jim Tile wkleił mandat jego bratu. Co ciekawe, w tejże gazecie zamieszczono wypowiedź Thomasa Curla, który twierdził, że jego brat Lemus wypadł z łódki w zachodniej części jeziora. Nieszczęśnik usiłował jakoby wyciągnąć z wody wielkiego okonia i to właśnie stało się przyczyną tragicznego wypadku. Ta ostatnia informacja dodawała posmaku ironii całej historii.

Skink chrapał w najlepsze i Decker poczuł się bardzo samotny. Naszła go ochota, by zadzwonić do Catherine. Tuż obok motelu znalazł budkę telefoniczną. Podniosła słuchawkę po piątym sygnale; najwyraźniej wyrwał ją ze snu.

— Obudziłem cię? — spytał.

— To ty, skąd dzwonisz?

— Z motelu pod Nowym Orleanem.

— Hm, brzmi romantycznie.

— I tak jest. Dzielę pokój z przejawiającym mordercze skłonności, wielkim jak dąb odludkiem.

Na obiad szykuje dla mnie zeskrobanego z szosy lisa, a potem mamy wypłynąć dziurawą łajbą na wzburzone jezioro, żeby śledzić niewydarzonych wędkarzy. Żałuj, że cię tu nie ma.

— Przylecę jutro i wynajmę pokój we francuskiej dzielnicy.

— Nie żartuj sobie, Catherine.

— Oj Decker, Decker. — Słyszał, jak przeciągała się, budziła na dobre, odgarniała kołdrę.

— Muszę wcześniej wstać, żeby zawieźć Jamesa na lotnisko — powiedziała.

— Dokąd tym razem?

— Do San Francisco.

— I oczywiście nie chciał, żebyś z nim leciała?

— Nieprawda, chciał. Ale te kongresy są śmiertelnie nudne, a poza tym mam własne plany. Co robisz nad jeziorem?

— Snuję rozważania nad teorią Darwina. Niektórzy z tych facetów na pewno nie pochodzą od małpy. Wręcz odwrotnie.

— Powinieneś być wynajmając sobie miły pokój w centrum.

— Miałem na myśli wędkarzy, a nie tutejszych mieszkańców — odparł Decker.

— Rób notatki, bo to wszystko brzmi jak scenariusz do wspaniałego filmu. Inwazja

Ryboludów. A teraz szczerze, nie wolałbyś jednak robić zdjęć golfistom?

— Muszę już kończyć.

— Tak szybko?

— Mam ci wiele do powiedzenia, ale nie przez telefon.

— Dobrze, pogadamy, kiedy tylko będziesz chciał.

Decker pragnął całym sercem, by przyleciała do Nowego Orleanu. Ale może tu być niebezpiecznie. Lepiej niech zostanie w domu.

— Zadzwoń, jak to się skończy — powiedział.

— Uważaj na siebie — rzekła na pożegnanie.

O zmierzchu Skink był gotów. Nieodłączny czepek i okulary przeciwsłoneczne, kombinezon, sieć, latarka, płetwy, butla z tlenem, nóż, kusza i, dla zachowania pozorów, kilka tanich wędek spinnin-gowych. Decker obawiał się, że łódka zatonie pod ciężarem tego wszystkiego. Doszedł do wniosku, że nie ma sensu zabierać aparatów fotograficznych, ponieważ była noc, a lampa błyskowa jest bezużyteczna przy dużych odległościach. Prawdopodobnie Dickie Lockhart i tak trzyma się o tej porze z daleka od jeziora.

Zanim załadowali łódź i odpłynęli, upewnili się, czy w pobliżu nikogo nie ma. Noc była chłodna, wiał ostry wiatr z północy. Siedzącemu przy silniku Skinkowi najwyraźniej nie było zimno i dopisywał mu humor. Wiedział, dokąd płynąć. Skierował się pod szarą wstęgę międzystanowej autostrady, która biegła wśród bagien wsparta na potężnych betonowych filarach. Filary były gładkie i okrągłe, wielkie niczym drzewa mamutowe, tyle że obce w tym plenerze; warkot mknących górą pojazdów zakłócał bezlitośnie spokój zamglonego jeziora. Po dwudziestu minutach Skink wyłączył silnik.

— Wolę wiosła — rzekł. — Więcej wtedy słyhać.

Decker zrozumiał, o czym mówi. Woda niosła odbite od filarów głosy ludzkie — strzępy rozmowy i gardłowy śmiech.

— Podryfujmy przez chwilę — zaproponował Skink. Wziął do ręki jedną z wędek i zarzucił ją kilka razy. Ciemności zapadły na dobre i jezioro nabrało głębokiej szarości. Skink nastawił ucha, łowiąc odgłosy z drugiej łodzi.

— Chyba ich widzę — rzekł Decker. W ciemności kołysało się białe światełko wielkości główki od szpilki.

— Mają latarnię — dodał Skink. — Są przynajmniej ze dwieście metrów od nas.

— Wydaje się znacznie bliżej — zaproponował Decker.

— To złudzenie.

Po kilku minutach światło zgasło i usłyszeli warkot silnika. Skink błyskawicznie szarpnął za

linkę, zapuścił silnik i ruszył w stronę tajemniczej łodzi. Sterował stojąc na szeroko rozstawionych nogach. Decker nie miał pojęcia, jak w takich ciemnościach udaje mu się omijać filary autostrady, nie mówiąc już o pniach drzew, którymi usiane było jezioro. Co jakiś czas Skink wyłączał zapłon i nasłuchiwał, by się upewnić, czy druga łódź nadal płynie. Tak

długo, jak mają włączony silnik, nie będą wiedzieć, że ktoś ja nimi podąża. Siedząc przy silniku o mocy dwustu koni mechanicznych nie można usłyszeć nawet własnych myśli.

Po kilku minutach łódź zatrzymała się i rozbłysła latarnia. Decker i Skink znów usłyszeli głosy ludzkie, ale tym razem bardzo niewyraźne; widocznie dochodziły z dalszej odległości niż przedtem.

— Nigdy się do nich nie zbliżymy — mruknął Skink — chyba że pójdziemy brzegiem.

Pchani wiatrem, wpłynęli w zatoczkę porośniętą liliami wodnymi. Skink zaczął ciągnąć za ich łodygi i w ten sposób dotarli do brzegu, gdzie Decker przywiązał łódź do drzewa. Chwycił latarkę i wyskoczył z łodzi w ślad za Skinkiem. Biegli ostrożnie po grząskiej ziemi, co jakiś czas oświetlając sobie drogę. Parking dla przyczep kempingowych ominęli wielkim łukiem, gdyż nie chcieli, by wzięto ich za niedźwiedzie i podziurawiono salwą z karabinów. Mimo że Skink znajdował się daleko od swego matecznika, doskonale orientował się w terenie. Wkrótce doprowadził Deckera nad jezioro, gdzie w odległości zaledwie trzydziestu metrów od brzegu dryfowała łódź.

W świetle latarni dostrzegli dwóch mężczyzn. Nie byli to jednak bracia Rundell.

— Tutejsi — szepnął Skink. — Wszystko pasuje. Potrzebni im tacy, którzy znają dobrze jezioro.

Wędkarze siedzieli nieruchomo i wpatrywali się w wodę. Ich łódź najeżona była wędkami. W półcieniu podrygiwało leniwie przy burcie sześć czy siedem czerwonych spławików.

— Łowią na żywca — wyjaśnił Skink. — Albo może na robaki.

— Przecież to mogą być zwykli wędkarze na rybach — rzekł Decker.

— Nie. Są tu po to, by załadować łódź.

I rzeczywiście. Co jakiś czas któraś z wędek wyginała się, a w liliach miotał się okoń. Wtedy jeden z mężczyzn nawijał na kołowrotek żyłkę, zdejmował rybę z haczyka i wkładał ją do sadzu na rufie.

To metodyczne kolekcjonowanie ryb trwało dwie godziny. Przez cały ten czas Skink nic nie mówił i prawie się nie poruszył. Deckerowi nogi zdrętwiały od siedzenia w kucki, ale gdyby wstał, zostałby zauważony. Dzięki Bogu, gdy wiatr się wzmógł i zrobiło

się chłodniej, wędkarze zaczęli zwijać manatki. Schowali wędkę i włączywszy potężny silnik, odpłynęli powoli — diabło powoli — w kierunku południowo-wschodnim. Trzymali się autostrady, klucząc między filarami; od czasu do czasu błysk latarni oświetlał ich twarze, gdy wychylali się

przez burtę, patrząc na coś, czego nie mógł dostrzec ani Decker, ani Skink.

Rzecz jasna to Skink prowadził w drodze powrotnej do łodzi. Gdy dotarli na miejsce, na jeziorze zrobiło się cicho i pusto; kłusownicy skończyli robotę i odpłynęli do domu.

Skink rozebrał się do bielizny i sięgnął po ekwipunek do nurkowania.

„Tego się obawiałem — pomyślał Decker. — Ciemno choć oko wykol, dziesięć stopni Celsjusza, a ten szaleniec będzie nurkował.”

— Umiesz sterować łodzią? — spytał Skink.

— Chyba sobie poradzę.

— Płyn między filarami tak jak tamci.

— Ja bym nie nurkował w tej zupie — rzekł Decker.

— Nikt cię o to nie prosi. No, jazda.

Podpłynęli do łowiska dwóch nieznanomych. Skink założył na plecy żółtą butlę z tlenem, zamocował na głowie latarkę i zsunął się do wody. Zrobił sobie wokół talii pętlę z długiej nylonowej linki, której drugi koniec przywiązał do belki rufowej. Jedno szarpnięcie miało być dla Deckera sygnałem, by zatrzymał łódź, dwa, by cofnął, a trzy oznaczało wołanie o ratunek.

— W takim wypadku wciągaj mnie jak najszybciej — powiedział Skink. — Jeśli ci się nie uda, spieprzaj, bo ze mnie będzie już tylko potrawka dla aligatora

Decker w napięciu sterował łodzią, śledząc bąbelki powietrza, które pojawiały się w wodzie nad zanurzonym Skinkiem. Co też myślą teraz ryby i żółwie, niepokojone przez siwego, bulgoczącego stwora. Przepustnica silnika ustawiona była na minimum i łódź płynęła w ślimaczym tempie, tym bardziej że nie tak łatwo było holować Skinka.

Gdy Skink znalazł to, czego szukał, pociągnął za linkę tak mocno, że rufa omal nie poszła pod wodę. Decker natychmiast przełączył na bieg jałowy, żeby śruba się nie obracała, gdy Skink będzie wypływał.

Wychynał na powierzchnię gwałtownie niczym morświn. W rękę trzymał drucianą klatkę o rozmiarach metr na metr. Wewnątrz

znajdowały się trzy duże okonie, bijące bezradnie ogonami o ścianki. Wrzucił klatkę do łodzi. Zamknął butlę, wypluł ustnik i zdarł z twarzy maskę.

— Bez pudła! — wysapał. — Spójrz tylko.

Z klatki zwisała gruba przezroczysta żyłka, zupełnie niewidoczna z odległości metra. Skink odciął ją nożem.

— Przywiązali to do gałęzi wierzby. Nigdy byś nie znalazł, gdybyś nie wiedział, gdzie szukać — wyjaśnił. — Weź nożyce.

Decker otworzył zadrutowaną klapkę. Skink włożył do środka rękę i wyjął po kolei wszystkie

okonie, delikatnie wpuszczając je do wody. Robił to z niezwykłą czułością, a twarz mu pojaśniała. Po uwolnieniu ryb zanurkował i przywiązał klatkę na dnie.

Decker przyznał w duchu, że oszustwo obmyślono bardzo sprytnie: nałowiono mnóstwo ryb, które tylko należało wybrać z klatek w dniu zawodów. Dennis Gault miał rację — ci faceci zrobią wszystko, by wygrać. Im bardziej Decker rozmyślał nad całą sprawą, tym większe obrzydzenie go ogarniało. Kłusownicy zbrukali ten piękny zakątek, zniszczyli jego intymną tajemniczość. Nie mógł się doczekać, jakie będą mieli miny, gdy odkryją, co się stało. Koniecznie musi zrobić im zdjęcia.

Decker i Skink wpłynęli między filary i rychło znaleźli jeszcze trzy zatopione klatki, wszystkie ze świeżymi okoniami. Naliczyli jedenaście ryb. W ostatniej były cztery. Największego okonia Skink oszacował na ponad pięć kilogramów.

— Ten biedak zapewniłby Dickiemu pierwsze miejsce. Adios, chłopie — powiedział wypuszczając okonia do wody.

Zostawił tylko dwa mniejsze okazy, które miały się po drucianej celi, kłapiąc w niemym proteście pyszczkami, poruszając ciężko brodowymi skrzelami.

— Przykro mi — rzekł — ale zostałyście wybrane na pod-puchę. — Szczypcami obciął dwa pierwsze kolce płetw grzbietowych obu ryb.

— Co robisz? — spytał Decker.

— Znakuję je.

Dokładnie zamknął klapkę i opuścił klatkę z rybami do wody. Upewnił się, że jest mocno przywiązana do betonowego filaru, przy którym Dickie Lockhart będzie jej szukał. Mistrz wpadnie tu w panikę, zastanawiając się gorączkowo nie tylko nad tym, kto opróżnił jego ukryte klatki, ale również, jak ma wygrać zawody.

W dniu rozpoczęcia zawodów pucharowych w Cajun Dennis Gault znajdował się setki kilometrów od Nowego Orleanu, w Miami. Żałował, że musi opuścić turniej, ale w ten sposób jego śmiertelny wróg Dickie Lockhart przestanie się mieć na baczości.

Ranek spędził w podłym nastroju, warcząc na sekretarki i zamęczając maklerów, którzy dzwoniли, by dostać cynk na temat nowych zbiorów trzciny cukrowej. Sprawdził w gazecie pogodę i ucieszył się, że w Nowym Orleanie jest wietrznie i zimno. Oznaczało to, że zawody będą trudne. Potem zadzwonił R. J. Decker, by donieść, że wszystko idzie dobrze, ale nie raczył podać żadnych szczegółów. Nie raczył też przeprosić Gaulta za rozkwaszenie mu nosa. Gaulta denerwowała postawa detektywa, ale jednocześnie czuł podniecenie, że gra wreszcie się rozpoczęła. Trawiła go nienawiść do Lockharta; nie miał zamiaru spocząć, dopóki nie damie mu kariery i całkowicie go nie zniszczy.

Nie chodziło wyłącznie o oszustwa. Czasami Gault sam chętnie kantowałby, gdyby znalazł godnych zaufania pomocników. Głównym źródłem jego zapiekłej nienawiści do Lockharta była

świadomość, że ten ciemniak jest członkiem bractwa wędkarskiego, do którego on sam nigdy nie będzie należał. Lockhart był mistrzem, gwiazdą telewizyjną, wędkarzem światowej sławy; wprawdzie nie wiedział, do czego służy książeczka czekowa, i nie potrafił zawiązać

krawata, ale za to znał osobiście różnych wielkich ludzi. A to bardzo się liczy.

Przegrana z Lockhartem na zawodach to rzecz przykra, ale świadomość, że ten cwany dupek przechytrza wszystkich, stanowiła zniewagę nie do zniesienia. Gault nie mógł również znieść tego, w jaki sposób patrzyli na niego inni wędkarze, gdy pojawiał się na zawodach; był autsajderem, dyletantem z forsą. „Twoje miejsce jest na polu golfowym” — mówiły ich spojrzenia. Przezywano go „bogaczem z Miami”. Miami to było dla nich coś tak odległego jak Boliwia. Wszyscy pochodzili z głębokiego południa i nosili takie imiona jak Jerry, Larry, Chet, Greg, Jeb albo Jimmy. Gdy gadali, żując prymkę, padały słowa w rodzaju „człeku”, „poszłem”, „chodźta”. Kiedy zaś on otwierał usta i przemawiał angielszczyzną giełdy towarowej i dzienników ekonomicznych, patrzyli na niego, jakby był trędowaty.

Z początku Gault sądził naiwnie, że powszechna wrogość w stosunku do niego zacznie słabnąć wraz ze wzrostem jego umiejętności wędkarskich. Pomylił się okrutnie, albowiem po pierwszych odniesionych przez niego zwycięstwach sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót. Błędnie ocenił środowisko, do którego chciał się dostać. Z uporem godnym lepszej sprawy zjawiał się na każde zawody bordowym rolls-royce'em. Widok luksusowej limuzyny ciągnącej łódź wędkarską w drodze na Florydę był na tyle niecodzienny, że na autostradzie zamierał ruch. Gault wielokrotnie odkrywał po powrocie z jeziora, że ma przebite opony albo że jakiś dowcipniś zaparkował jego bordowe cudo pod drzewem, na którym siadywały cierpiące na rozwolnienie wrony. Trudno dyskutować o gustach. Ojciec Denisa jeździł rolls-royce'em i on sam również nie widział żadnego powodu, by przesiadać się na coś innego. Nie lubił pikapów, a właśnie kupno pikapa pomogłoby mu wkraść się w łaski wędkarskiej braci. Z rolls-royce'em nie miał szans. Ostateczną ekskomunikę przypieczętował incydent ze śmigłowcami.

Zanim jeszcze Gault zebrał jakiegokolwiek dowody przeciw Lockhartowi, zaproponował wprowadzenie oficjalnej kontroli zawodników biorących udział w sownicie opłacanych turniejach. Pogłoski o wykorzystywaniu złowionych wcześniej ryb pojawiły się nawet w mało demaskatorskich czasopismach wędkarskich. Wyszło na jaw kilka gorszących spraw. Organizatorzy zawodów, pragnąc

podreperować nadszarpniętą reputację środowiska, zdecydowali się przyjąć niecodzienne propozycje Dennisa Gaulta.

Oto, na czym polegał jego plan: rywalizujący ze sobą zawodnicy mieli być obserwowani przez

niezależnych arbitrów w śmigłowcach. Gault zaproponował nawet, że z własnej kieszeni zapłaci za wynajem maszyn, z czego natychmiast skorzystano.

Problem polegał jednak na tym, że okonie niezbyt lubią hałas, natomiast śmigłowce robią go aż nadto dużo. Ryby uciekały przed donośnym dudnieniem silników oraz wzbijanymi na wodzie falami. Widać to było wyraźnie podczas zawodów w Tuscaloosa, gdy powietrzny plan Dennisa Gaulta został po raz pierwszy i ostatni wprowadzony w życie. Jak tylko śmigłowiec pojawiał się nad łodzią z wędkarzami, okonie natychmiast nurkowały w głębinę. Podmuchy wiatru wzbijane przez rotory uniemożliwiały zawodnikom zarzucanie wędek i zrywały im czapki z głów. Kilku straciło nawet w ten sposób przeciwsłoneczne okulary Polaroida za czterdzieści dolarów para. Tak więc pomysł spalił na panewce. Drugiego dnia doszło nawet do tego, że kilku wściekłych wędkarzy wypaliło do śmigłowców z karabinów. Ponieważ nikt nie został ranny, ukarano ich jedynie odjęciem pięciu kilogramów od ogólnej wagi połowu. Dennis Gault ukończył zawody na czternastym miejscu i został na zawsze wykluczony z Krajowej Komisji Regulaminowej.

Wkrótce potem zaczął podejrzewać Dickiego Lockharta o oszustwa. Rychło obsesja na punkcie mistrza rozplenila się w jego sercu i umyśle niczym dzikie wino. Oplotła mu duszę tak szczelnie, że nawet informacje o postępach, jakie Decker czynił w dochodzeniu, nie przynosiły mu pocieszenia. Bardzo chciał być na zawodach w Nowym Orleanie, ale zarazem dobrze wiedział, że gdyby tam pojechał, byłby to z jego strony wielki błąd. W rozmowie telefonicznej Decker zwracał się do niego tym samym lodowatym tonem co wędkarze. Najwyraźniej już zapomniał, z kim ma do czynienia.

„Zanosi się na to, że jeśli wybuchnie jakaś bomba, ja ostatni się o tym dowiem” — pomyślał Gault.

Postanowił więc zadzwonić do siostry i poprosić ją o kolejną przysługę.

Decker wstał przed świtem. Wciągnął na siebie niebieskie dzinsy i włożył zawilgotniałą niebieskozieloną kurtkę. W radiu oznajmiono, że temperatura w Hammond wynosi dziewięć stopni Celsjusza. Wzdrygnął się na to i włożył dwie pary skarpet; życie na południu Florydy zamieniało człowiekowi krew w gorący barszcz.

Skink siedział na podłodze i czyścił zęby żyłką. Miał na sobie jedynie szorty, okulary przeciwsłoneczne i czepek kąpielowy. Decker spytał go, czy pojedzie razem z nim, ale Skink przecząco pokręcił głową. Naprężona między białymi zębami żyłka zadzwijała niczym struna ukulele.

— Chcesz, żebym przywiózł kawę? — zapytał Decker.

— Wołałbym królika.

Decker westchnął i powiedział, że wróci przed dziesiątą. Wsiadł do wynajętego auta i ruszył w kierunku przystani w Pass Manchac. Na starej trasie napotkał strumień lśniących jeepów i pikapów

wszelkiej marki ciągnących łodzie nad jezioro Maure-pas. Wiele samochodów miało ogromne koła, przyciemniane szyby i potężne reflektory przeciwmgielne, które przebijały mrok snopami bursztynowego światła. Zdobywcze wierzchowce, zgarnięte przez najlepszych zawodowców w różnych turniejach. Nie warto moczyć wędki, jeśli wśród nagród nie ma samochodu z napędem na cztery koła. Wielu wygrywało trzy, cztery takie pojazdy w roku.

W obozowisku koło przystani panował nastrój powagi i skupienia; na mlecznozieloną wodę spuszczano z przyczep smukłe łodzie. Wszyscy wędkarze mieli czapki, kamizelki i kurtki pokryte kolorowymi naszywkami reklamującymi wyroby sponsorów; wszystko, począwszy od areozolu owadobójczego i tytoniu do żucia, a skończywszy na robakach, było w ten sposób oznaczone. Większość zawodników założyła gogle firmy Lucite, by ochronić twarze podczas „wypierduchy” do łowisk. Owa nowinka została wprowadzona w życie dość niedawno, po tym, jak pewien pechowiec poniósł śmierć, wjechawszy z prędkością pięćdziesięciu węzłów na godzinę w rój chrząszczy. Jeden owad — niczym kula z pistoletu — przebił mu gałkę oczną i wylądował w mózgu.

Decker stał w tłumie żon, dziewczyn i mechaników, popijając kawę ze styropianowego kubka. Na wielkiej czarnej tablicy widniały

nazwiska czterdziestu uczestników zawodów, wśród których znajdowali się najsłynniejsi wędkarze wszechczasów: Jimmy Houston z Oklahomy, Larry Nixon z Teksasu, Orlando Wilson z Georgii i, rzecz jasna, legendarny Roland Martin z Florydy. Nazwiska te wymawiane z nabożnym szacunkiem w świecie wędkarskim, były całkowicie obce R. J. Deckerowi. Znał tylko Dickiego Lockharta.

Ale jak na razie Decker nie dostrzegł tego skurwysyna. Wpatrywał mistrza, gdy światła reflektorów samochodowych przesuwają się po nabrzeżu, jednakże wszyscy zawodnicy, przyczajeni za konsoletami w swych łodziach, wyglądali identycznie: mieli takie same gogle, czapki, pulchne rumiane policzki. Wiedział, że on jest gdzieś wśród nich, ale żeby go zobaczyć, musiał zaczekać do ceremonii ważenia połowów.

O piątej trzydzieści brodaty mężczyzna w spodniach khaki, flanelowej koszuli i wąskim krawacie przeszedł na koniec pomostu i oznajmił przez megafon:

— Zawodnicy, przygotować się do startu!

Wędkarze jak na komendę włączyli silniki i zagotowała się woda w jeziorze. Ku niebu uniosły się wydmuchiwane z potężnych silników niebieskie spaliny. Łodzie odpłynęły nieco od zatłoczonej przystani i ruszyły powoli ku oświetlonej boi, wskazującej drogę na akwen Maurepas. Zatrzymały się przy niej.

— No, zaczyna się zabawa — powiedziała stojąca obok Deckera młoda kobieta. Trzymała w

ramionach dwójkę śpiących dzieci.

Starter podniósł pistolet i wystrzelił w powietrze. W tej samej sekundzie całą okolicą wstrząsnął potworny ryk silników — rozpoczął się wyścig. Rozdzierające rżenie, warkot, jazgot — łodzie nabierały prędkości, ryjąc rufami głęboko w wodzie, z dziobami uniesionymi niemal pionowo do góry, tak że Decker był przekonany, iż dojdzie do wywrotek. Jednakże zawodnicy doskonale wiedzieli, co robią, i już po chwili mknęli gładko po kryształowej tafli jeziora. Pieśń potężnych silników przypominała bzyczenie miliona rozwścieczonych os; piekielny hałas wdzierał się w każdy zakątek okolicy.

Był to doprawdy wspaniały widok, gdy czterdzieści łodzi mknęło tak w jednym kierunku z prędkością dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. W ciemności. Kibice nagrodzili start spontanicznymi brawami.

— Żeby tylko nikt się nie poturbował — rzekł Decker do kobiety z dwójkiem dzieci, które obudziły się z płaczem.

— Poturbował? Proszę pana, przy takiej prędkości można się tylko zabić.

Skink czekał przed motelem.

— Masz aparaty? — spytał.

— Tak, są gotowe — odparł Decker.

Pojechali z powrotem do wypożyczalni i wynajęli tę samą łódź co poprzedniego wieczora. Tym razem Decker poprosił o wiosło.

— Znalazł pan te węgorze, panie Cousteau? — zapytała Skinka recepcjonistka.

— Si — odparł Skink.

— Oui! — szepnął Decker.

— Oui — poprawił się Skink. — Bardzo dużo węgorzy.

— Cieszę się.

Pospiesznie zapakowali sprzęt. Decker schował aparaty do wodoodpornych aluminiowych kaset. Skink rozłożył równo ciężar, żeby nie było przechyłów. Mając świeżo w pamięci poranny wyścig zawrotnie szybkich łodzi, Decker odnosił wrażenie, że ich drobna skorupa z jedenastokonnym silnikiem stoi w miejscu. Gdy dotarli na miejsce, słońce już od godziny królowało na niebie.

Silnik zaczął rżać, bo śruba zaplątała się w zielskach. Używając wiosła, Skink podpłynął do filarów. Stanęli. Ukryli się w chłodnym cieniu autostrady międzynarodowej. Skink bez słowa zdjął pomarańczowy kombinezon i włożył strój maskujący, taki, jakich używają myśliwi. Drugi rzucił Deckerowi, każąc mu też się przebrać. Było to ubranie całkiem nowe, złożone w kostkę. Brakowało tylko opakowania.

— Skąd je masz? — spytał Decker.

— Pożyczyłem — odparł Skink. — Dawaj statyw. — Wiosłem oczyścił z sitowia teren do zdjęć. Wskazał palcem. — Tam jest ostatnia klatka.

Decker rozstawił statyw. Przykręcił do niego nikona z sześćset-milimetrowym obiektywem; całość wyglądała jak bazooka z zadartą lufą. Zdecydował się na film czarno-biały, albowiem jako materiał dowodowy ukazywał on grzechy w znacznie bardziej wymowny

sposób niż kolorowe odbitki. Kolor jest dobry na zdjęcia wakacyjne, a czerń i biel lepiej oddające okrutną rzeczywistość. Zrobione z dużej odległości zdjęcie będzie miało gruboziarnistą fakturę, podkreślając fakt, że przestępca został złapany na gorącym uczynku.

Przymknął jedno oko i ustawił ostrość, namierzywszy przywiązaną do betonowego filara żyłkę od klatki.

— Jak długo będziemy czekać? — spytał.

Skink westchnął.

— Tak długo, jak będzie trzeba — odparł. — Wkrótce przyplyną.

— Skąd wiesz?

— Ryby — odrzekł. Miał na myśli dwa okonie, które zostawił w klatce. — Im dłużej tam siedzą, tym gorzej będą wyglądać. Wałą łbami o ścianki. Będą się kiepsko prezentować podczas ważenia. Sztuka polega na tym, by wydostać je świeże.

— Brzmi sensownie — rzekł Decker.

— Ci faceci nie są głupi.

Kwadrans później usłyszeli ciche buczenie silnika. Skink opadł na kolana, a Decker zajął miejsce przy aparacie. W obiektywie nikona pojawiła się łódź o błyszczącym zielonym kadłubie. Mężczyzna zwrócony twarzą do niego używał pedału nożnego do kontrolowania pracy małego silnika elektrycznego, który pracował niemal bezgłośnie. Silniki tego rodzaju przeznaczone są do cichego zmieniania pozycji łodzi, by nie płoszyć ryb. Drugi mężczyzna, znajdujący się na rufie, zarzucał wędkę z czerwonym gumowym robakiem, nadając mu wężowe ruchy, tak jak Skink demonstrował to Deckerowi na jeziorze Jesup.

Tyle że żaden z nich nie był Dickiem Lockhartem; najwyraźniej Decker i Skink mieli przed sobą zwykłych, uczciwych wędkarzy. Po chwili nieznajomi odpłynęli, powoli posuwając się wzdłuż brzegu, rzadko się do siebie odzywając. Trudno było zgadywać, czy biorą udział w zawodach.

Minęła godzina, a żadna inna łódź się nie pojawiła. Skink siedział oparty o plastikową osłonę silnika. Był w znacznie pogodniejszym nastroju niż w motelu. W ich ocienionej kryjówce pojawiła nagle czapla. Z zadartą głową przechadzała się tuż obok po płyciźnie. W końcu złowiła małego samogłowa. Skink roześmiał się głośno i klasnął z zachwyty w dłoń.

— To się nazywa łapanie ryb! — wykrzyknął.

Przestraszona czapła odleciała, wypuszczając zdobycz. Ranna ryba pływała w koło, migocząc łuskami w brązowej wodzie. Skink pochylił się i chwycił ją błyskawicznym, pewnym ruchem.

— Proszę cię, nie! — zaprotestował Decker, albowiem dobrze wiedział, co się szykuje.

Skink wzruszył ramionami.

— I tak umrze — rzekł.

— Słuchaj, obiecuję, że kupię ci duży lunch w...

Było za późno. Skink połknął surową rybę.

— Jezu — jęknął Decker i odwrócił głowę. Żeby tylko nie pojawiły się tu węże.

— To dobre białko — wyjaśnił Skink.

— Wolę suchy chleb.

Decker wstał, by rozprostować zdrętwiałe nogi. Zaczynał się obawiać, że Lockhart nie nadpłynie. Może dostał pietra, gdy zobaczył, że pierwsze klatki są puste? A może zdecydował się nie ryzykować i łowi uczciwie? Skink jednak zapewniał, że taka zmiana planów nie wchodzi w rachubę, bowiem stawka jest zbyt duża. Nie chodziło tylko o nagrodę za pierwsze miejsce, ale także o punkty w rankingu krajowym, nie wspominając o prestiżu.

— Widziałeś dziś Rundallów? — spytał Skink.

— Ani śladu po nich — odrzekł Decker.

— Założę się, że zjawią się na finał. Musimy uważać. Czym się martwisz, Miami?

— Po prostu jestem niespokojny.

Skink usiadł prosto.

— Wciąż myślisz o truposzu z Harney, co?

— O truposzach. Liczba mnoga.

— Wiesz już, dlaczego Bobby Clinch zginął na trzęsawisku — rzekł Skink. — Szukał klatek z rybami, tak jak my wczoraj. Tylko że był za mało ostrożny. Lockhart pewnie ma tu kilku niezłych osiłków.

— To nie tylko o Clincha chodzi, również o pozostałych dwóch.

Skink wsparł podbródek na dłoniach.

— Pomyśl: gnój, którego zabiłem, prawdopodobnie załatwił twojego przyjaciela, Pancernika.

— Tak na to patrzysz?

— Ja na to w ogóle nie patrzę. Koniec, kropka.

— On strzelał pierwszy — rzekł Decker jakby do siebie.

— Zgadza się.

— Ale powinniśmy byli pójść na policję.

— Nie bądź głupi. Chciałbyś zobaczyć swoje nazwisko w jakieś popołudniówce? Bo ja swojego nie. Nie pragnę rozgłosu.

Decker od dawna chciał zadać to pytanie.

— Co robiłeś... przedtem?

— Przedtem? — powtórzył Skink. Zerwał z twarzy okulary. — Błędy.

— Coś w tobie wydaje mi się znajome — rzekł Decker. — Nie wiem, może usta?

— Miałem w zwyczaju dużo nimi kłapać.

— Nie, nie usta. To zęby.

Ciemnozielone oczy Skinka zabłyśły.

— A, zęby, powiadasz. — I uśmiechnął się szeroko.

Decker nie mógł sobie tego z niczym skojarzyć. Gubernator Clinton Tyree zakończył swą krótką kadencję, zanim Decker zaczął pracować w gazecie i interesować się polityką. Poza tym uśmiechające się oblicze pod czepkiem w kwiaty było tak poorane bruzdami, że nawet najbliżsi przyjaciele gubernatora z trudnością by go rozpoznali.

— Ale o co chodzi? — spytał Decker z niepokojem. — Jesteś poszukiwany?

— Nie. Zaginiony.

Zanim Decker zdążył zadać kolejne pytanie, Skink podniósł brązowy palec do ust. Zbliżała się jakaś łódź.

Płynęła szybko, z przeciwnego kierunku niż poprzednia. Skink skinął ręką Deckerowi, by padł na dno łódki. Warkot silnika urwał się nagle i usłyszeli męskie głosy. Dochodziły z bardzo bliska; Decker bał się unieść głowę i spojrzeć.

— Masz z nim, kurwa, dzisiaj pogadać — odezwał się pierwszy głos.

— Powiedziałem już, że to zrobię — odparł drugi.

— Dowiedz się, czy go nie śledzili.

— Powiedziałby co?

— Może. A jeśli chce nas wykiwać? Nie przyszło ci to do łba?

— Pogadam z nim. Który to był filar, trzeci czy czwarty?

— Czwarty. O, tam widać żyłkę.

Dopłynęli do miejsca, gdzie była zatopiona klatka z rybami. Decker przesunął się do statywu z aparatem. Skink kiwnął głową i pokazał gestem, że można się poruszać bez obaw. Głosy dwóch mężczyzn odbijały się od betonowej konstrukcji mostu.

— Skurwusyny, przynajmniej tej nie znaleźli.

— Wciągaj szybko.

Decker przyglądał się tym ludziom przez obiektyw. Byli odwrócenii do niego plecami. Mimo czapek widział, że jeden ma włosy jasne, a drugi czarne i gęste jak Lockhart. Obaj wydawali się korpulentni, choć może poszerzały ich grube ubrania. Łódź miała srebrzysto niebieski kadłub z nieczytalną nazwą wypisaną fantazyjnym liternictwem. Decker wycelował aparat. Palcem wskazującym naciskając migawkę, a kciukiem przesuwając film, zrobił sześć zdjęć, a mężczyźni wciąż siedzieli odwrócenii tyłem.

Zrobiło mu się gorąco. Widział, że wyciągają klatkę z wody.

— Widać tylko plecy — szepnął do Skinka. — Nie mam ich twarzy.

Skink opuścił okulary z czoła na nos.

— Przygotuj się — rzekł.

A potem wrzasnął tak wibrującym, dzikim głosem, aż Decker aż się wzdrygnął. Nieludzki ryk do tego stopnia przeraził obu wędkarzy, że upuścili klatkę. Z cennymi okoniami w dłoniach obrócili się, przekonani, że zaraz zaatakują ich rozwścieczony ryś albo pantera, ale zamiast tego ujrzeli jedynie obcą twarz z ciemnymi okularami na oczach. Decker pstrykał. Aparat uwiecznił malujące się na ich gębach osłupienie, a także błyski trwogi w źrenicach.

Tyle że żaden z nich nie był Dickiem Lockhartem.

I co teraz? — spytał Decker.

— Jedz — rzekł Skink z ustami pełnymi smażonej ryby. Siedzieli w barze. Nikt nie zwracał uwagi na ich maskujące ubiory.

— Zobaczysz, co się stanie, gdy Gault się dowie, że namierzyliśmy złych facetów.

Skink sięgnął do salaterki z surówką.

— A może dobrych — odparł. — Może oni pracują dla Lockharta.

Decker rozważył już tę możliwość. Niewykluczone, że mistrz był zbyt ostrożny, by wyciągać klatki osobiście. Być może wynajmował do tego ludzi, którzy oddawali mu połów gdzieś na jeziorze. Wielu zrobiłoby wszystko, gdyby im Lockhart obiecał, że wystąpią w telewizji.

Była jeszcze inna, równie prawdopodobna ewentualność: sfotografował inną grupę oszustów.

Tak czy owak, na zdjęciach nie będzie twarzy człowieka, o którego chodzi Gaultowi.

— Może jednak Lockhart nie kantuje?

— Kantuje — odparł Skink. — Ale jest milion miejsc, w których można ukryć okonie.

Wszędzie tu woda, jak okiem sięgnąć. Cholera, przecież on mógł ukryć klatki w Pontchartrain, a my nigdy nie odnaleźlibyśmy ich w tej zupie.

— Dlatego też namierzyliśmy najbardziej oczywiste miejsce — rzekł posępnie Decker.

— I trafiliśmy na najbardziej oczywistych dupków. — Skink kiwnął ręką na kelnerkę, by podała więcej ryby. — Wszystko się wyjaśni, Miami. Pojedziesz na ważenie, zobaczysz, co się

dzieje. I jedz te swoje pulpety. W najgorszym razie zastrzelę drania.

— Słucham?

— Zastrzelę Lockharta.

— Daj spokój. — Wyglądało na to, że Skink nie żartował.

— Gault byłby szczęśliwy — rzekł Skink. — Cholera jasna, przecież ja tu mam same ości. Czy to tak trudno przyrządzić dobrze filet? Czy do tego potrzeba chirurga?

Do ich stolika niepewnie zbliżyła się kelnerka, ale Decker machnął ręką, żeby się wyniosła.

— Nie chodzi o to, by go zabić — szepnął.

— Rozmyślałem nad tym — ciągnął Skink, nie zniżwszy głosu nawet o pół tonu. — Kogo to obejdzie, jeśli się przekręci? Jego sponsorów? Sieć telewizyjną? — Urwał, przeżuując kęs ryby.

— Zrobię mu zdjęcie i to wystarczy — przekonywał Decker.

— Łatwiej odstrzelić mu dupę. Znam jednego faceta w Thibo-daux, pożycz mi rusznicę.

— Nie! — warknął Decker, ale widział, że zwariowany pomysł już się zagnieździł w mózgu Skinka niczym kleszcz. — To szaleństwo. Kapitanie, jeszcze raz o tym wspomnisz i mnie nie ma.

— Odpręż się.

— Mówię poważnie!

Skink wyciągnął rękę i nadział na widelec jeden z pulpetów Deckera.

— Ostrzegalem cię — rzekł żartobliwie. — Miałeś szansę.

Łodzie, które odplynęły z przystani w zwartym szyku, wracały do niej w zupełnej rozsypce. Cermonia ważenia wyznaczona została na godzinę czwartą trzydzieści, więc wędkarze mknęli najkrótszą drogą, by zdążyć na czas. Napływali z różnych stron, goniąc na złamanie karku. Przy przystani tłoczyło się mnóstwo ludzi: widzowie, krewni, sponsorzy. Znalazła się nawet ekipa lokalnej telewizji. Obok tablicy ustawiono na podwyższeniu monumentalne akwarium

z zielonkawą wodą — niechętnie ustępstwo wobec ekologów — przeznaczone na złowione ryby, które miano później wypuścić do jeziora. W miarę jak wędkarze wracali, coraz więcej okoni zostawało zważonych i zmierzonych przez sędziów oraz sfotografowanych przez stanowego biologa Luizjany. Następnie wrzucano je do akwarium, gdzie większość natychmiast wypływała brzuchem do góry, wydając ostatnie tchnienie.

Na tablicy pojawiały się coraz to nowe wyniki. Ten, kto złowi największą rybę, miał otrzymać dziesięć tysięcy dolarów, natomiast za największy połów przewidziano dwadzieścia tysięcy, nową łódź, przyczepę kempingową i terenowego dodge'a, który najprawdopodobniej zostałby wymieniony na gotówkę.

Decker był sam, ponieważ Skink wrócił do motelu, mruknąwszy, że nie chce się napatoczyć na Rundellów. Bracia stali przy pompach benzynowych, dopiąć piwo. Ozzie, który kierował

samochodem odjeżdżającym z miejsca, gdzie ukryto ciało Pickneya, rzeczywiście był żalonym kretynem. Decker miał ochotę podejść do Ozzięgo i szepnąć mu coś aluzyjnego do ucha, by zobaczyć jego reakcję. Postanowił jednak trzymać się od nich z daleka, obawiał się bowiem, że Culver pamięta go ze sklepu.

Początkowo jego uwagę pochłonął rytuał ważenia — uściski dłoni, pomruki otaczającego sędziów tłumu, wypisywanie wyników — ale wkrótce wrócił myślami do Skinka. Miał wrażenie, że ten dziwak się rozkleja, co może przysporzyć poważnych kłopotów. Żałował, że nie ma z nimi Jima Tile'a, który mógłby go uspokoić albo przynajmniej doradzić, jak to zrobić.

Stojący przy sędziach ludzie zaczęli klaskać. Pozostali widzowie wspinali się na palce, by dojrzeć, co się dzieje. Szczupły, opalony, najwyraźniej dobrze wszystkim znany wędkarz prezentował złowione przez siebie trzy olbrzymie okonie; robił to w taki sposób, w jaki zwycięski bokser pokazuje tłumom mistrzowski pas. Jeden z sędziów wszedł na drabinkę i obok nazwiska „Ed Spurling” napisał liczbę .. Sparling wyprzedził prowadzącego dotąd wędkarza o niemal dwa kilogramy.

Uśmiechając się ujmująco, Szybki Eddie wrzucił ryby do akwarium i w geście tryumfu uniósł do góry złączone dłonie. Zamyślony Decker zrobił mu kilka zdjęć.

Oszuści w srebrzystoniebieskiej łodzi przyплыли dziesięć minut

przed zamknięciem klasyfikacji. Nie mieli dla swych kibiców dobrych wieści. Przywizli tylko cztery okonie, w tym dwa, które Skink oznaczył poprzedniej nocy. Kiedy położyli połów na szalach i stali w posępnym milczeniu, Decker zrobił im cztery zdjęcia.

— Trzy kilogramy dziewięćdziesiąt pięć — zaskrzeczał przez megafon sędzia.

„Dziesiąte miejsce” — zauważył Decker. Odczuł satysfakcję, że przegrali z kretesem, choć żaden z nich nie był Lockhartem.

Dickie Lockhart przyплыł ostatni. W tłumie nastąpiło poruszenie. Niektórzy wędkarze wyciągali szyje i mruzcili coś nerwowo, inni udawali, że nie zwracają uwagi na powracającego z połowu mistrza. Ed Spurling otworzył puszkę piwa Budweiser i odwrócił się plecami do jeziora, rozmawiając z jakimś ważniakiem z firmy produkującej żyłki.

Lockhart zdjął gogle, obciągnął kurtkę i pocesał grzebieniem nienaturalnie błyszczące włosy. Zrobił to wszystko, zanim wysiadł z łodzi.

— Cześć! — odrzyknął do wołającego go po imieniu kibica. — Wszystko w porządku? Miło cię widzieć! O, jak się masz? — mówił, przeciskając się przez tłum. Ekipa programu Taaka ryba filmowała zwycięski marsz.

Sternik Lockharta klęczał w tyle łodzi, próbując wyjąć złowione ryby z sadzu. Nie spieszył się. Wreszcie Ed Spurling odwrócił się, by popatrzeć.

Było pięć ryb, wszystkie okazałe. Decker ocenił, że najmniejsza musi ważyć około dwóch kilogramów, największa zaś była wręcz gigantyczna. Miała kolor spalonego mchu, a kształt pnia dębowego. Wytrzeszczała ogromne oczy. Otwarty pysk był jak wylot lufy armatniej.

Przedzierając się przez poruszony tłum, pomocnik Lockharta zaniósł ryby do sędziego, który wrzucił je do plastikowego kosza na bieliznę. „Byczek” poszedł na wagę pierwszy: pięć kilo siedemdziesiąt dwa deko. Kiedy na tablicy świetlnej firmy Rolex ukazał się wynik, kilka osób gwizdnęło z podziwem i klasnęło w dłonie.

„I już facet ma dziesięć kawałków w kieszeni” — pomyślał Decker. Zrobił zdjęcie Lockhartowi, jak czyści chustką okulary.

Następnie zważono cały połów.

— Czternaście kilo sześćdziesiąt osiem deko! — ryknął sędzia. — Mamy zwycięzcę!

Decker zauważył, że zaledwie parę osób zareagowało na to oklaskami, w tym oczywiście złopiący piwo Rundellowie, najwierniejsi wyznawcy Lockharta.

— Kpiny! — krzyknął ktoś gniewnie.

— Jego też zważcie! — wrzasnął wędkarz z drużyny Eda Spurlinga.

Dickie Lockhart puścił okrzyki mimo uszu. Złapał końce żyłki w dłonie i z myślą o fotoreporterach uniósł zawieszony na niej połów. Dobrze wiedział, że tego rodzaju zdjęcia, „z życia wzięte”, nakręcają reklamową koniunkturę w czasopiśmie fachowych. Wszyscy bez wyjątku sponsorzy chcieli mieć zdjęcie z prezentującym zdobycz zwycięzcą, a on bez oporu stosował się do ich życzeń. Gdy wreszcie skończył pozowanie i wrzucił duże ryby do akwarium, były zupełnie martwe i poszły na dno jak kamienie. Sędzia napisał na tablicy przy jego nazwisku liczbę ..

Deckerowi skończył się film w aparacie, ale nie miał ochoty zakładać drugiego. Wszystko to strata czasu.

Sędzia główny wręczył Dickiemu dwa czeki i trzy pary kluczyków.

— Właśnie brakowało mi jeszcze jednej łodzi — zażartował gwiazdor.

R. J. Decker miał już tego powyżej uszu i wrócił do samochodu. Wyjechawszy na szosę, wcisnął gaz do dechy, ale wynajęty samochód poruszał się dość anemicznie. Na trasie minął go błyszczący jeep, jadący co najmniej sto kilometrów na godzinę. Kierowca był podobny do Eda Spurlinga. Pasażer obok niego, ubrany w łososiowy dres, miał zadziwiająco jasne włosy. Obaj wydawali się pochłonięci rozmową.

Kiedy Decker wrócił do motelu, młody, chudy recepcjonista wziął go na stronę i mrugnawszy znacząco okiem, rzekł:

— Dałem klucz pana przyjaciółce. Chyba nie ma pan nic przeciwko temu?

— Oczywiście, że nie — odparł Decker. Catherine! A jednak przyjechała! Szybkim krokiem

poszedł do pokoju.

Gdy otworzył drzwi, pomyślał, że jednak Skina nie można zaliczać do ludzi normalnych.

Na podłodze leżała związana Lanie Gault.

Właściwie była nie tyle związana, co owinięta ciasno — od ramion po stopy, niczym mumia — żyłką wędkarską.

Ale przynajmniej żyła. Z jej szeroko otwartych oczu Decker nie mógł nic wyczytać. Była ubrana tylko w skąpe majtki i sportowe buty. Usta miała zakneblowane kilkakrotnie owiniętym wokół głowy przylepcem.

— Leż spokojnie — powiedział.

Z torby z aparatem wyjął scyzoryk. Ukląkł przy Lanie i zaczął z mozołem przecinać twardą żyłkę. Skink obwiązał biedaczkę ze czterysta razy. Przecięcie wszystkiego zabrało prawie pół godziny. Na końcu zdarł jej ostrożnie plaster z ust.

— Jezu — westchnęła, patrząc na czerwone pręgi na ciele. Decker pomógł jej dojść do łóżka i podał wyjętą z torby bluzkę.

— Wiesz co — powiedziała spokojna jak zawsze — twój przyjaciel ma zupełnie poprzestawiane w głowie.

— Co ci zrobił?

— Nie widziałeś?

— Nic więcej?

— To za mało? Związał mnie jak baleron. Co dziwniejsze, nie powiedział przy tym słowa.

Decker zawahał się, zanim zadał kolejne pytanie:

— Dlaczego cię rozebrał?

Lanie pokręciła głową.

— Sama się rozebrałam. Pomyślałam, że zrobię ci niespodziankę, gdy wrócisz. A potem wpadł on.

— Mieszkamy razem.

— Ślicznie.

— On śpi na podłodze.

— Masz szczęście.

— Nie zachowywał się agresywnie? — spytał.

— Nie, był chyba tylko trochę zły. Związał mnie, złapał swoje manele i poszedł stąd. Spójrz, co mi zrobił! Wszędzie mam pręgi, na piersiach, na udach.

— Zaraz znikną.

— Na nodze żyłka werznęła mi się w łydkę — ciągnęła Lanie, przyglądając się sobie w lustrze.

— Bardzo ci współczuję — odparł Decker. Był mile zaskoczony, że Lanie nie tragizuje. — Nie mówił, dokąd idzie?

— Podwójne oszustwo

— Nawet słowem się nie odezwał, tylko nucił tę cholerną piosenkę.

Decker niczemu się już nie dziwił.

— Piosenkę? Jaką?

— Coś o białym atłasie.

— Aha. — Przebój Moody Blues. Od razu widać, że młodość Skinka przypadła na lat sześćdziesiąte.

— Kiepski z niego śpiewak — stwierdziła Lanie.

— Ciesz się, że nie zrobił ci nic złego.

Rzuciła mu spojrzenie.

— Poza tym, że cię związał — dopowiedział Decker.

— Jeśli o to ci chodzi, to nie próbował mnie przelecieć. A jednak jest kopnięty.

— Wiem.

— Wiesz, że mogłabym zadzwonić na policję?

— Po co? Przecież już dawno się stąd wyniósł.

„Nie tak dawno — pomyślała Lanie — zaledwie kwadrans temu.”

— Mogę wziąć prysznic? — spytała.

— Jasne. — Decker opadł na łóżko i zamknął oczy. Chwilę później usłyszał szum wody w łazience.

Po kilku minutach do pokoju weszła ociekającą wodą Lanie. Purpurowe pręgi znikwały z jej umęczonego ciała.

— I znów razem — powiedziała nieco zbyt różnym tonem. — Kolejna noc, kolejny motel. Decker, popadamy w schemat.

— Można by tak powiedzieć.

— Pamiętasz ten ostatni raz?

— Jasne.

— No, no, nie podniecaj się za bardzo — rzekła surowo. Owinęła się ręcznikiem.

Decker ogromnie lubił kobiety, które właśnie wyszły spod prysznica. Z najwyższym trudem skupił się na prowadzeniu rozmowy.

— To twój brat powiedział ci, że tu jestem?

— Wspomniał coś o tym.

— A o czym jeszcze?

— O Lockharcie i zawodach — odparła Lanie. Usiadła na łóżku i skrzyżowała nogi. — Co ci

jest? Przejechałam szmat drogi, a ty mnie traktujesz tak, jakbym miała rzeźączkę.

— Jestem zmęczony.

Wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń.

— Nie martw się swoim kopniętym przyjacielem, trafi z powrotem do Harney.

— Zapomniał o bilecie lotniczym — odrzekł Decker myśląc o tym, że przecież Skinka wypuszczono z aresztu za kaucją, a zakłócenie porządku w samolocie było pogwałceniem prawa stanowego.

— Poradzi sobie — powiedziała Lanie. — Pójdzie autostradą na piechotę, a więc z głodu nie zginie.

Decker się ożywił.

— Więc wiesz o Skinku? — spytał.

— Ten facet to legenda — odparła. Zaczęła mu rozpinąć koszulę. — Jedna plotka głosi, że jest wielokrotnym zabójcą z Oregonu, druga, że pracował w CIA, pomógł w zabójstwie Trujillo. Jeszcze inna, że ukrywa się przed komisją Warrena.

— Wspaniale — rzekł Decker. Najemnik na emeryturze. Tajny agent Watykanu. Wokalista zespołu muzycznego z wariatkowa. Można sobie dowolnie wybierać.

— Chodź pod kołdrę — powiedziała Lanie. — No chodź, opowiesz mi o swoim ciężkim dniu.

„I to mówi kobieta, która parę minut temu leżała związana nago przez szaleńca — pomyślał Decker. — Niezrównana Lanie Gault.”

Kiedy Lane zgłodniała, Decker powiedział, że na tej ulicy jest dobry barek z hamburgerami. Namówiła go jednak, by pojechali do centrum Nowego Orleanu. Wrzuciła torbę na tylne siedzenie i oznajmiła, że wynajmie sobie pokój w dzielnicy francuskiej, ponieważ Skink może tu jeszcze wrócić. Decker wcale się jej nie dziwił.

Poszli do restauracji na piwo i ostrygi. Lanie bez przerwy robiła aluzje na temat małomówności Deckera, a on uśmiechał się grzecznie, marząc, żeby być w Miami, sam w swojej przyczepie. Kiedy figlował z nią w łóżku, sprawiało mu to przyjemność, ale teraz myślał już o czymś innym.

Wkrótce po północy przeprosił ją na chwilę, poszedł do budki

telefonicznej i zadzwonił do Jima Tile'a. Opowiedział mu o Skinku, Lanie i o zawodach na jeziorze.

— O rany! — zawołał policjant. — Tak po prostu ją związał?

— I zniknął.

— Wracaj pan.

— A co z nim?

— Da sobie radę. Miewa takie nastroje.

Decker powiedział mu o przedstawieniu, które Skink dał w samolocie.

— Jutro ma sprawę w sądzie federalnym — rzekł. — Przypomnij mi, jeśli zadzwoni.

— Niech pan na to nie liczy — odparł Tile.

Wróciwszy do stolika, Decker zobaczył, że Lanie zamówiła kolejną porcję ostryg.

— Dennis mówił mi, że dobierasz się do Lockharta — powiedziała.

Od początku próbowała dowiedzieć się, co wydarzyło się na zawodach, ale Decker nie chciał zdradzić jej żadnych tajemnic.

— Słyszałam w radiu, że wygrał — rzekła.

— Zgadza się. — W radiu? Jaka stacja relacjonuje zawody wędkarskie? Istny obłąd.

— Czy znów oszukał?

— Nie wiem. Prawdopodobnie. Wyślę twemu bratu pełny raport.

— Będzie wkurzony.

Decker miał ochotę powiedzieć, że jej brat może się wypchać, ale zamiast tego rzekł:

— Nie rezygnujemy.

— Ty i twój kumpel?

— On ma szczególny talent.

— Nie do kobiet.

Decker wysadził ją przy Bienville House. Nie miał pretensji, że nie zaprosiła go do siebie na noc.

Nie spieszył się w drodze powrotnej do Hammond. Było już dobrze po drugiej w nocy, ale drogą ciągnęły niezliczone ciężarówki i furgonetki, wszystkie w stronę Nowego Orleanu. Od oślepiających świateł łzawiły mu oczy.

Dotarłszy do skrzyżowania w pobliżu Laplace, postanowił jechać dalej trasą zamiast nową autostradą międzystanową. Wyboista i nie oświetlona szosa była w typie Skinka. Decker włączył długie światła i jechał powoli, mając wbrew zdrowemu rozsądkowi nadzieję, że dojrzy gdzieś na poboczu pomarańczowy kombinezon. Na odcinku do Pass Manchac napotkał jednak szarego lisa, dwa młodziutkie szopy i martwego węża.

Dojechawszy do przystani, zatrzymał się. Latarnie były zapalone, co go zdziwiło, bo przecież zawody skończyły się wiele godzin temu i wszyscy porozjeżdżali się do domów. Zawrócił powoli, ale nie odjechał.

Wysiadł. Nad jeziorem było znacznie cieplej niż poprzedniej nocy. Wiatr nareszcie — dla wędkarzy o wiele godzin za późno — zmienił się z północnego na południowy; była to kojąca bryza znad zatoki, która poruszała zawieszonymi na słupach lampami. Jedna oświetlała turniejową tablicę

z wynikami, druga ogromne akwarium.

Decker przypomniał sobie o złowionych okoniach. Był ciekaw, czy ktoś pamiętał, by je uwolnić.

Pompa wciąż pracowała, bulgocząc hałaśliwie. Woda w akwarium nabrała już szaroburego odcienia. Decker przetarł wierzchem dłoni zaparowane szkło i spojrział. Od razu zobaczył trzy martwe ryby, z otwartymi pyskami, o szklistym spojrzeniu, pływające leniwie we wzburzonej przez pompę wodzie. Czuł się trochę jak turysta na wycieczce po oceanarium.

Nad martwymi okoniami dostrzegł kątem oka cień czegoś większego. Zerknął w tamtym kierunku, ale zaraz odwrócił wzrok, osłepiony wisząca nad akwarium lampą.

Aby uniknąć silnego światła, wszedł po drewnianych schodkach na podwyższenie, z którego korzystał sędzia zapisujący wyniki na tablicy i z którego wrzucano ryby do akwarium. Stąd dostrzegł więcej martwych, pływających na powierzchni okoni i coś jeszcze, co obracało się w wirze spowodowanym pracą pompy. Było wielkie i brązowe; z początku Decker sądził, że to krowa morska, wrzucona tutaj przez dowcipnisia.

Kiedy owo coś podплыnęło bliżej, przyjrzał się dokładnie.

Był to człowiek, pływający twarzą do dołu. Krzepki mężczyzna ubrany w brązową kurtkę.

Decker patrzył, jak zwłoki dryfują powoli po akwarium. Gdy się zbliżyły, chwycił sztywne, zimne ręce i podciągnął trupa do góry.

Dickie Lockhart patrzył szeroko rozwartymi oczyma, choć nic już nie widział. Na prawej skroni miał siniak wielkości śliwki. Jeśli cios nie zabił go na miejscu, to na pewno uczynił niezdolnym do nocnego pływania.

Ostatni pomysł zabójcy był isticie diaboliczny: w dolną wargę Lockharta wbito haczyk z przynętą, owymi straszliwymi Dwoma Skrzydełkami. Wisiały mu one u ust niczym osobliwa bożonarodzeniowa ozdoba. Niestety ryby nie mogły docenić ironii mordercy.

Decker puścił trupa, który opadł z pluskiem do wody, i ruszył szybkim krokiem do samochodu. Ta scena aż się prosiła o zdjęcie, ale intuicja podszeptowała mu, a właściwie alarmowała gwałtownie, by się wynosił jak najszybciej. Ten alarmujący dzwonek słyszał podczas drogi powrotnej do motelu i później też, gdy już zapadł w niespokojny sen.

]

Według tego, co sam opowiadał, Charles Weeb zwrócił się ku Bogu po przeżyciu trudnego dzieciństwa, które spędził w ubóstwie, zaniedbany przez rodziców. Jego ojciec umarł jako alhoholik, matka — jako narkomanka, zdążywszy przed śmiercią sprzedać chińskiej szajce obie córki za sześćdziesiąt pięć dolarów i trzy gramy czystego opium.

Wyssana z palca historia o zaginionych siostrach była częstym tematem telewizyjnych kazań

wielebnego Weeba, emitowanych przez Chrześcijańską Sieć Telewizyjną; nic nie wyciągało z kieszeni widzów większych pieniędzy, jak pokazanie zdjęcia dwóch dziewczynek, June-Lee i Melissa, opatrzonego pytaniem retorycznym: „I cóż szatan uczynił z tymi aniołkami?”

Wielebny Charles Weeb wiedział, rzecz jasna, co. Oba aniołki żyły i miały się całkiem dobrze; prawdopodobnie wciąż pracowały dla Hugh'a Hefnera * w tym samym charakterze co dawniej, kiedy Weeb zwrócił na nie uwagę. Własnoręcznie wyrwał wówczas z rozkładówki „Playboya” wzruszającą fotografię rodzinną — zdjęcie roznegliżowanych sióstr. Dawno zapomniał prawdziwe nazwiska modelek. Wcale nie obawiał się, że dziewczyny zostaną rozpoznane, a jego oszustwo wyjdzie na jaw, ponieważ żaden z widzów

* Założyciel czasopisma „Playboy” (przyp. tłum.).

Chrześcijańskiej Sieci Telewizyjnej nie mógłby się przyznać do czytania takiego bezceństwa jak „Playboy”. Wielebny nie omieszkiwał co jakiś czas ostrzec swej trzódki, że owo pisemko to paszport do piekła.

W rzeczywistości Charles Weeb nie miał sióstr, tylko starszego brata imieniem Bernie, który niegdyś sprzedawał fałszywe dzierżawy pól naftowych, a obecnie odsiadywał siedem lat za kradzieże i oszustwa. Ich ojciec, abstynent ze względu na owrzodzenie żołądka, handlował obuwiami, matka zaś nie była narkomanką, tylko wziętą agentką od nieruchomości i to ona właśnie natchnęła Charlesa cudowną myślą o budowie osiedla wędkarskiego.

Weebowie nigdy nie byli szczególnie religijni, więc sąsiedzi przyjęli ze zdziwieniem, a nawet lekkim niedowierzaniem wiadomość, że Charlie stał się kaznodzieją. Weebowie byli bowiem Żydami. Znanych ogarniało jeszcze większe zdumienie, gdy oglądali w telewizji Charlesa gadającego bez przerwy o wyrodnym rodzicach i sprzedanych siostrach.

Droga Weeba na szczyty kariery religijnej była dość osobliwa. Wyrzucony z seminarium za niemoralne postęпки, przez dziesięć lat miał się różnych zajęć, mając nadzieję, że wreszcie trafi na żyłę złota. „Od osiemnastki do dwudziestki piątki!” — brzmiało jego motto, albowiem swej klienteli szukał właśnie w tym przedziale wiekowym. Jednak jego plany były zawsze o dobre dwa lata spóźnione i o pięćdziesiąt procent niedokapitalizowane. Przez pewien czas prowadził sklep ze zdrową żywnością w Tallahassee, następnie dyskotekę w Gulf Shores, potem fabrykę wanien w Orlando. Śledząc wówczas jego karierę, można było sądzić, że jest życiowym pechowcem, ale w rzeczywistości miał głowę na karku. Bez względu na to, jak kończyły się jego przedsięwzięcia, konto bankowe Weeba stale rosło. W późnych latach siedemdziesiątych wszechwładny urząd podatkowy zaczął się bardzo interesować fortuną Charlesa Weeba; przyszły wielbny uznał to wówczas za znak, by zwrócić się ku Bogu, i to szybko. Tak powstał Pierwszy Zielonoświątkowy Kościół Odkupienia Pańskiego.

Weeb wprawdzie nie miał kościoła, ale miał coś lepszego: stację telewizyjną. Nabył ją za dwa miliony dolarów. Program składał się wyłącznie z teleturniejów, basaballu i skeczy. Przez długie miesiące nic się nie zmieniało, aż pewnego niedzielnego poranka na ekranach

pojawił się stojący za tekturową mównicą mężczyzna o słomianych włosach i mesjanistycznych brwiach, który przedstawił się jako przewielebny Charles Weeb. Od tej chwili, oznajmił, Weeb-TV będzie głosem Jezusa Chrystusa.

Następnie na oczach wszystkich uzdrowił kalekiego kota.

Widziało to setki widzów. Pstrokaty kociak przydreptał kulejąc do mównicy, po czym — gdy wielebny odmówił żarliwie modlitwę za jego duszę i pogłaskał go po łebku — pierzchnął, całkowicie zdrów.

W następną niedzielę wielebny uleczył w ten sam cudowny sposób kulawego baseta. W kolejną — prosiaka. Dwa tygodnie później młodziutką lamę, wypożyczoną z cyrku objazdowego.

Najlepsze zachował na niedzielę Bożego Narodzenia, a więc na początek tygodnia największej oglądalności. Przed najliczniejszą jak dotąd widownią uzdrowił baranka.

Było to wspaniałe przedstawienie, pełne biblijnej symboliki. Niewielu znalazło się takich, którzy nie ocierali łez, gdy wełniasta istotka podniosła się o własnych siłach. Nikt nie miał za złe wielebnemu, że cudotwórstwo zabrało mu godzinę dłużej, niż zostało zapowiedziane w programie. Uważano, że ponieważ nastał gorączkowy okres Bożego Narodzenia, Pan Bóg ma pełne ręce roboty i dlatego nie zdążył na czas. W rzeczywistości opóźnienie w wyleczeniu baranka spowodowane było tym, że asystent Weeba przed audycją wstrzyknął zwierzęciu w zadnie nogi za dużą dawkę lidokainy, stąd działanie paraliżujące trwało zbyt długo.

Wielebny ochrypl wówczas od żarliwych modlitw i poprzysiął sobie, że raz na zawsze kończy z uzdrawianiem. I tak okrył się już sławą. Wkrótce wszystkie stacje na Południu emitowały jego program, zatytułowany Jezus w twoim domu, a cotygodniowe dotaq'e sięgały setek tysięcy dolarów. W teleewangelizmie Charles Weeb znalazł wreszcie żyłę złota, której nie zdążono jeszcze wyczerpać.

Tym razem zdecydował postawić wszystko na jedną kartę. Zamiast odkładać dochody w bankach na wyspach Bahama, jak to do niedawna czynił, zaczął inwestować w ekspansję swego imperium. Założył Chrześcijańską Sieć Telewizyjną, składającą się z sześć-dziesięciu czterech stacji. Repertuar był niewyszukany: religia, myślistwo, wędkarstwo, programy rolnicze i muzyka country. CST

zajęła się wkrótce także handlem nieruchomościami, inwestycjami bankowymi oraz innymi sferami działalności gospodarczej. Weeb zaskoczony był tak wielkim powodzeniem swojej

telewizyjnej formuły. Potwierdziło się to, co zawsze mówił o rodzaju ludzkim.

Początkowo nie dawał wiary, że dorośli ludzie mogą godzinami wpatrywać się w telewizor i słuchać pogadanek o rybach, wędkach i haczykach. Przecież nawet własnoręczne łowienie ryb jest piekielnie nudne; oglądanie, gdy robi to ktoś inny, wydawało mu się perwersyjną formą masochizmu. Tymczasem analitycy rynku przekonali go, że jest inaczej — prawdziwi mężczyźni pasjami oglądali programy wędkarskie i trudno o lepszą widownięć dla reklam piwa, tytoniu i samochodów, nie wspominając oczywiście o sprzęcie do połowów.

Weeb przejrzał analizy rynku i natychmiast zlecił produkcję godzinnego programu wędkarskiego. Osobiście przesłuchał trzech znanych wędkarzy. Pierwszy — Ben Geer — nie został zaangażowany z powodu swej wagi (sto siedemdziesiąt pięć kilogramów) oraz zaflegmionego kaszlu. Drugi — Art Pinkler — był dowcipny, wykształcony i wyjątkowo przystojny, lecz obciążony dziedzicznie skrzekliwym akcentem Nowej Anglii, od którego rozsadało membrany w głośnikach. Ponieważ budżet był zbyt szczupły, by pozwolić sobie na lekcje wymowy czy dubbing — Pinkler też odpadł. Charlie Weeb potrzebował wiejskiego chłopaka z krwi i kości.

Pozostawał więc Dickie Lockhart.

Wielebny uważał, że pierwszy odcinek Taakiej ryby był najgorszym programem telewizyjnym, jaki kiedykolwiek widział. Lockhart zachowywał się nerwowo, kamera pracowała beznadziejnie, a montażyści najwyraźniej schlali przy obrabianiu materiału. Lockhart złowił jednak trzy wielkie okonie i sponsorom podobała się każda sekunda tego „arcydziela”. Zbity z tropu Weeb kazał kręcić dalsze odcinki. W ciągu następnych trzech lat Taaka ryba okazała się najbardziej dochodowym programem sieci, choć ostatnio straciła kilka przyczółków na rzecz rywalizującego z Lockhartem Spurlinga. Program Spurlinga był robiony atrakcyjnie i z biglem, co trafiało Weebowi do przekonania, jak zresztą wszystko, co pozwalało dobrze zarobić i nie było jawną obrazą boską. Wyczuwając, że dni Lockharta jako Okoniowego Barona mogą być policzone, zbliżył się po cichu do Szybkiego Eddiego, by się przekonać, czy można

go kupić. W ostatnim tygodniu przed zawodami pucharowymi w Cajun pod Nowym Orleanem, kiedy to Lockhart przydybał go z dwiema nagimi kobietami, wciąż negoq'ował ze Spurlingiem jego honorarium.

Weeb nie mógł zignorować szantażu chcącego więcej pieniędzy Lockharta. Rywalizacją między teleewangelistami przypominała walki dinozaurów o przetrwanie i w takiej sytuacji najmniejsza plama na honorze oznaczała wypadnięcie z gry.

Zgodnie ze swą obietnicą Lockhart bez trudu wygrał zawody w Nowym Orleanie. Charlie Weeb nie pojawił się jednak na przyjęciu dla uczczenia wspaniałego zwycięstwa. Na następny dzień zaplanował konferencję, by ogłosić wszem i wobec nowy kontrakt z Lockhartem. Zadzwoił do

redaktora z „Times-Picayune”, by go

tym powiadomić. Następnie zatelefonował do paru dziwek.

O piątej trzydzieści do apartamentu hotelowego Weeba zapukał policjant. Rozpoznał jedną z prostytutek, ale nie wspomniał o tym słowem.

— Mam złe wieści — rzekł. — Zamordowano Dickiego Lockharta.

— Jezu drogi! — zawołał Charlie Weeb.

Policjant skinął głową.

— Ktoś dał mu porządnie w łeb, ukradł mu samochód, łódź

cały sprzęt. I pieniądze, które wygrał na zawodach.

— To straszne — wyszeptał wielebny.

— Więcej będziemy wiedzieć jutro, gdy nadejdą wyniki z laboratoriów — powiedział policjant w drodze do drzwi. — Niech wielebny wraca do łóżka.

— Dziękuję — odparł Weeb.

Wszystkiego mu się odechciało. Spławił prostytutki, po czym usiadł, by napisać niedzielne kazanie.

Po przebudzeniu Decker stwierdził, że Skink jeszcze nie wrócił. Nie zdziwił się. Miał wszelkie powody, by przypuszczać, że właśnie on zabił Lockharta. Po pierwsze, zapowiadał to otwarcie, a po drugie, perwersyjne szczegóły zbrodni zdawały się nosić jego piętno.

Zaspany Decker wziął prysznic i ogolił się. Ta cała sprawa wyglądała coraz groźniej, wręcz makabrycznie. Gazety będą miały

czym pisać. Zrobi się chryja na cały kraj. A Decker za nic w świecie nie chciał brać w niej udziału.

Rozliczywszy się w motelu, wpakował swoje rzeczy do bagażnika samochodu i ruszył w kierunku Pass Manchac. Była dziewiąta rano, z pewnością więc ktoś już odkrył zbrodnię.

Z daleka dostrzegł błyskające „koguty” na dachach zaparkowanych w przystani policyjnych wozów. Wsiadł z samochodu

wcisnął się w tłum, który otaczał olbrzymie akwarium. Było pięć radiowozów, dwie karetki, jeden wóz strażacki — wszystko po jednego trupa. Zwłoki Lockharta, spoczywające na noszach i okryte zielonym wełnianym kocem, wyłowiono z wody trzy godziny temu, ale jakoś nikomu się nie spieszyło, by zawieźć je do kostnicy.

W tłumie przeważali mężczyźni; Decker rozpoznał kilku zawodników, choć nie mieli na głowach czapek. Dwaj funkcjonariusze dochodzeniówki spisywali zeznania gapiów, mając nadzieję, że natrafią na naocznego świadka. O jeden z radiowozów opierała się ładna młoda kobieta. Zanosząc się szlochem, rozmawiała z ubranym po cywilnemu policjantem, który pisał

raport. Decker usłyszał, że dziewczyna nazywa się Ellen. Ellen 'Leary. Mówiła z nowoorleańskim akcentem.

Był ciekaw, co widziała i co wie.

A jeśli pojawi się tu Skink, by podziwiać własne dzieło? Na szczęście nie było go widać.

Wszedł do budki telefonicznej i zadzwonił do Dennisa Gaulta. Sądząc po głosie, wyrwał go ze snu.

— Czego pan chce? — spytał Gault.

— Pański kumpel, Dickie, złowił wczoraj ostatnią rybę w życiu — powiedział.

— Jak to?

— Nie żyje.

— O cholera — rzekł Gault. — Co się stało?

— Opowiem panu później.

— Niech pan nie wyjeżdża z Nowego Orleanu i siedzi cicho.

— Nie ma mowy — odparł Decker. Brakowało tylko tego, by ten dupek zjawił się w Nowym Orleanie, by to uczcić. Pewnie już mrozi szampana w lodówce.

— Czy ma pan te zdjęcia? — spytał oficjalnym tonem Gault, jakby to teraz miało jakieś znaczenie.

Decker nie odpowiedział. Patrzył przez szybę na Thomasa Curla i Rundellów. Stali razem na parkingu, przepytывani przez

jednego z policjantów. Gdy Ozzie otwierał usta, głowa mu podrygiwała jak lepek pluszowego pieska przy tylnym oknie samochodu. Policjant zapisywał coś w notesie.

— Gdzie pana można znaleźć? — spytał Gault.

— Nigdzie — odparł Decker.

Na autostradzie międzystanowej tuż pod miasteczkiem Kenner złapał gumę. Żeby wydobyć zapasowe koło, musiał wyjąć z bagażnika torbę i cały sprzęt fotograficzny. Ułożył je pieczołowicie na poboczu. Podstawił lewarek pod podwozie i zaczął kręcić korbą, gdy nagle usłyszał, że zatrzymuje się za nim jakiś samochód. Po kasznięciach silnika poznał, że to nie radiowóz policyjny.

Była to brązowa cordoba z roku z winylowym dachem pomarszczonym niczym odcisk na palcu. Na dużych kołach. Z zardzewiałego grata wysiadło trzech mężczyzn. Po ich podkoszulkach i tatuażach Decker zorientował się, że nie są dżentelmenami z automobilklubu. Wyrwał z lewarka żelazną korbę i schował ją za plecami.

— Dzień dobry panom — odezwał się.

— Co jest? — spytał najpostawniejszy z całej trójki.

— Guma — odparł Decker. — Poradzę sobie.

— Tak?

— Tak. Dzięki.

Tamci jednak jakby nie zrozumieli tego, co się do nich mówi. Dwóch podeszło do miejsca, w którym Decker położył torbę z aparatami, statyw i kasety z obiektywami. Jeden kopnął torbę czubkiem buta.

— Co to? — spytał.

— Pewnie grosiwo — powiedział drugi.

Decker nie mógł w to uwierzyć. Chcą go stuknąć w biały dzień, przy autostradzie, którą jechały setki samochodów i ciężarówek? „Cholerne nikony — pomyślał. — Czasem wygląda na to, że są źródłem wszystkich kłopotów.”

— Jestem zawodowym fotografem — rzekł. — Zrobić wam zdjęcie?

Dwaj szczuplejsi spojrzeli pytająco na dryblas. Najwyraźniej spodobał im się ten pomysł. Pozostawało mu przekonać przywódcę.

— Strzełę wam ładną fotkę — rzekł poufale. — Tak dla zabawy. — Wiedział, co dryblas myśli: „Czemu nie i tak go obrobimy.”

— Stańcie przed samochodem, to zrobię wam razem.

Podszedł do torby z aparatami i ukradkiem włożył do niej

korbę. Wziął aparat, nawet nie przykręcając doń obiektywu. Ci kretyni i tak się nie zorientują. Mruczając coś i przyglądając włosy brązowymi łapskami, stanęli w idiotycznych pozach przed poobijaną cordobą. Naciskając spust migawki, Decker żałował, że nie ma filmu w aparacie.

— Wspaniale, panowie — powiedział. — I jeszcze jedno, trochę z boku.

Dryblas spojrział wilkiem.

— Tak dla ubawu — przekonywał Decker.

— Starczy tych pierdoł — powiedział szef. — Chcemy twój samochód.

— Po co?

— Jedziemy na Florydę.

„Oczywiście — pomyślał Decker. — Floryda.” Powinien był się domyślić. Każdy przestępca, który czuje na karku oddech policji, prędzej czy później rusza na Florydę. Czysta fizyka — męty ściekają na dół, na Południe.

— Ostatnie zdjęcie — powiedział. — Musiał się spieszyć; nie chciał dostać po ryju, ale nie chciał też spóźnić się na samolot.

— Nie! — warknął dryblas.

— Tylko jedno, a potem weźmiecie sobie samochód, aparaty i resztę.

Decker zerknął na autostradę. Czy w Luizjanie nie mają patroli drogowych?

— Macie fajki? — spytał. — Zapalcie sobie, to będzie dobrze wyglądało.

Jeden z fagasów zapalił camela i trzymał go w ustach jak James Dean.

— Super — rzekł Decker. — O to mi chodziło. Czekaście, wezmę tylko szerokokątny obiektyw. — Podszedł do torby i wyjął zwykły obiektyw, który przykręcił do korpusu. Wziął też wajchę, którą wepchnął sobie niepostrzeżenie w spodnie. Poczul na udzie chłód czarnego żelaza.

Obróciwszy się, zobaczył, że wszyscy trzej mają w ustach papierosy.

— Dziewuchom na Florydzie spodoba się to zdjęcie.

Jeden z bandziorów wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Dobre tam cipy, nie?

— Najlepsze — odparł Decker. Zbliżył się do zbirów, zaciskając spust migawki. Śmierdziało od nich zepsutym piwem i tytoniem. Decker widział w obiektywie ich twarze; równie dobrze mogli mieć po dwadzieścia jak i po czterdzieści pięć lat. Wydawali się zahipnotyzowani aparatem i czynnościami Deckera. Tylko szef wyraźnie się niecierpliwił; nie mógł się doczekać, by skuć Deckerowi mordę, albo nawet go zabić, i ruszyć w drogę.

— Już kończę — mruknął Decker. — Stańcie trochę bliżej siebie... dobra... A teraz spójrzcie w prawo... Wydmuchajcie dym... Świetnie! Patrzcie na jezioro... Doskonale!

Gapiąc się posłusznie na wody jeziora Pontchartrain, bandyci nie dostrzegli, że Decker wyciągnął ze spodni korbę. Chwycił ją w obie ręce i zamachnął się niczym baseballista. Żelazo uderzyło w trzy czoła, jedno po drugim, jakby ktoś grał na ksylofonie. Bandyci runęli pokotem na ziemię.

Decker spodziewał się mniejszego hałasu i większej ilości krwi. Kiedy już się opanował, spojrzał na leżących, próbując sobie przypomnieć, czy uderzył raz czy więcej. Chyba raz.

Czas było jechać. Pospiesznie przepakował swoje rzeczy do cordoby. Kluczyk tkwił w stacyjce. Na przednim siedzeniu leżał oksydowany, brudny pistolet. Decker wyrzucił go w drogę na lotnisko.

Pierwszą osobą, do której Decker zadzwonił po powrocie do Miami, był Lou Zicutto. Lou kierował działem roszczeń owej olbrzymiej firmy ubezpieczeniowej, w której Decker pracował na pół etatu jako detektyw. Był drobnym, gderliwym człowiekiem z wielką czerwoną głową, którą codziennie golił. Wyglądał jak lizak na patyku. Mimo to cieszył się szacunkiem podwładnych i współpracowników, ponieważ wierzono niezachwianie, że jest członkiem mafii i wystarczy mu jeden telefon, by skasować człowieka. Lou nie robił nic, by rozwiać to błędne przekonanie. Czy jednak rzeczywiście błędne? Decker nie widział wielkiej różnicy między firmą ubezpieczeniową a mafią.

— Gdzieś ty był? — spytał Zicutto. — Zostawiłem ci mnóstwo wiadomości. — Miał chrapliwy

głos taksówkarza i bez przerwy ssał przeciwkaszlowe dropsy miętowe.

— Musiałem wyjechać w pewnej sprawie — odparł Decker. Słyszał, jak Lou cmoka cukierek.

— W tym tygodniu mamy Nufieza, pamiętasz?

Chodziło o dużą sprawę, którą firma wytoczyła maklerowi giełdowemu o nazwisku Nunez. Ukradł on własny jacht i próbował przedziurawić kadłub, żeby dostać odszkodowanie. Decker zrobił parę zdjęć i zebrał dowody. Miał składać zeznania w sądzie.

— Jesteś moim świadkiem — rzekł Lou.

— W tym tygodniu nie dam rady.

— Co to znaczy, do cholery?

— Konflikt interesów.

— Nie pieprz mi tu, dobrze? Jeśli się nie pokażesz, będziesz miał konflikt ze mną. Ten gnój chce nas naciąć na dwa miliony.

— Masz przecież moje zdjęcia, taśmy, raporty...

— Ale adwokaci chcą też zobaczyć twoją uśmiechniętą gębę. Lepiej, żebyś się pojawił. — To rzekłszy, Zicutto rzucił słuchawkę.

Następnie Decker zadzwonił do Catherine. Za pierwszym razem numer był zajęty. Kiedy zatelefonował dwie minuty później, słuchawkę podniósł mężczyzna, pewnie kręgarz James. Nie powiedział „halo”, jak to czynią normalni ludzie, tylko warknął: „tak?”

Decker bez słowa się rozłączył, otworzył piwo i nastawił płytę Boba Segera. Był ciekaw, jak wygląda nowy dom Catherine, czy jest tam wpuszczona w podłogę marmurowa wanna, o której zawsze marzyła. Obraz kąpiącej się Catherine odurzył go nagle i serce zabiło mu mocniej.

Leżał w półśnie na kanapie, gdy zadzwonił telefon. Automatyczna sekretarka włączyła się po trzecim sygnale. Usłyszawszy głos Ala Garcii, Decker usiadł.

„Zadzwoń do mnie jak najszybciej” — powiedział Garcia.

Garcia był funkcjonariuszem wydziału zabójstw policji miejskiej i starym przyjacielem Deckera. Tyle że tym razem jego głos nie brzmiał zbyt przyjacielsko. Decker poczuł niepokój. Wypił dwie szklanki rozpuszczalnej kawy i sięgnął po słuchawkę.

— Cześć, sierzancie, co się dzieje? — spytał.

— Jesteś w przyczepie?

— Nie, na tarasie hotelu Coconut Grove. Organizują tu wybory Miss Ameryki i ja jestem jednym z sędziów.

Normalnie Garcia zrewanżowałby się podobnym żartem, ale tym razem stać go było jedynie na to, by się zaśmiać.

— Musimy pogadać — rzekł. — Będę u ciebie za pół godziny.

Garcia miał coś ważnego w zanadrzu, to było pewne. Decker

ogolił się i włożył czystą koszulę. Przeczynał, co się wydarzyło. Pewnie gliniarze z Luizjany znaleźli tych trzech gnojów, którym przyłożył na autostradzie. A oni, rzecz jasna, przysięgli, że łobuz

— Podwójne oszustwo

z Miami pobił ich i obrabował. Wystarczył jeden telefon do firmy, z której wypożyczył samochód, i gliniarze mieli już jego nazwisko i adres. Al Garda zjawi się pewnie z nakazem aresztowania.

Decker nie miał ochoty wracać do Luizjany. Sądził wprawdzie, że uda mu się obalić fałszywe oskarżenie o napad, ale obawiał się, że tymczasem wypłynie sprawa Lockharta. Nie chciał być w pobliżu, gdyby aresztowano Skinka.

Skink stanowił teraz największy problem. Gdyby Decker go nie włączył do dochodzenia, Dickie Lockhart żyłby. Z drugiej jednak strony, to pewnie Lockhart zaaranżował zabójstwa Roberta Clincha i Otta Pickneya. Decker nie bardzo wiedział, co robić; wszystko się pochrzało. Polubił Skinka i ze smutkiem myślał o tym, że trafi on do komory gazowej z powodu tak pazernego cwaniaczka jak Lockhart. Ale morderstwo jest morderstwem. Sprzątając przyczepę — głównie upychając po kątach tygodniową porcję brudnej, zawilgotniałej garderoby — zastanawiał się, czy nie powiedzieć

wszystkim Garcii. Postanowił się jednak wstrzymać. Istniała spora szansa, że nie złapią Skinka ani nawet nie uznają go za podejrzanego. A może Skink nie widzi nic złego w tym, co zrobił,

pewnego dnia pojawi się, by odebrać gratulacje za spełnienie dobrego uczynku? Trzeba wziąć pod uwagę taką ewentualność, gdy ma się do czynienia z szajbussem.

Wieści z Luizjany były stosunkowo skąpe. W ostatnich dwóch dniach gazety poświęciły morderstwu Lockharta zaledwie jedną kolumnę. Uważano, że motywem był rabunek. Nie znaleziono żadnych odcisków palców, nie wytypowano podejrzanych. Pogrzeb miał się odbyć w okręgu Harney. Pewnie napisano by więcej, gdyby nie zdarzyło się w tym czasie masowe morderstwo w Oklahomie. Tym razem człowiek pobierający opłaty na autostradzie zastrzelił dwunastu motocyklistów, rozsierdzony tym, że nie mają oni drobnych.

Po telefonie do Catherine Decker trzykrotnie dzwonił do Dennisa Gaulta. Jedna sekretarka powiedziała mu, że baron cukrowy ma rozmowę z międzymiastową, druga — że jest na konferencji, trzecia — że wyjechał z miasta. Decker nie zostawił swego nazwiska ani żadnej wiadomości. Chciał mu osobiście powiedzieć, że sprawa (co oczywiste) dobiegła końca i że zatrzymuje dwadzieścia tysięcy zaliczki jako wynagrodzenie za stracony czas i poniesione wydatki.

Gault pewnie będzie się stawiał i złorzeczył, ale niezbyt długo. Chyba że zupełnie stracił rozum.

Al Garcia przyjechał w umówionym czasie. Decker usłyszał trzask drzwi samochodowych. A potem na zwirowej drodze zatrzymało się kolejne auto, i jeszcze jedno. Wyjrzał przez okno i zdębiał: zobaczył prywatnego chryslera Garcii oraz dwa radiowozy. Taka ekipa z powodu głupiej bójki na autostradzie? Nagle go zmroziło. A może chodzi o coś poważniejszego? Może któryś z trzech bandziorów kofnął i dlatego zjawiała się taka delegacja?

Policjanci wysiedli z samochodów i stanęli przed drzwami przyczepy. Papieros podrygiwał w ustach Garcii, gdy rozmawiał z mundurowymi.

— O cholera — mruknął Decker. Sąsiedzi będą wniebowzięci; wystarczy plotkarzom na rok. Gdy bulterieri są potrzebne, to nigdy ich nie ma!

Uznał, że najlepiej wyjść na dwór i jakby nigdy nic przywitać się z przybyszami. Został mu tylko krok do drzwi, gdy nagle coś twardego jak granit uderzyło go w podstawę czaszki. Runął w wirującą galaktykę rozdzierającego hałasu i oślepiających fajerwerków.

Ocknął się z takim bólem głowy, jakby mu ktoś powkręcał śruby w czaszkę. Otworzył oczy i spojrzał na świat nasycony teraz czerwienią.

— Nie ruszaj się, kurwa mać — usłyszał.

Ktoś obejmował go od tyłu za szyję zgiętą w łokciu ręką. Był to wojskowy chwyt, nie do przewyciężenia. Gdyby napastnik ścisnął trochę mocniej, Decker znów starciłby przytomność. Na ustach czuł dużą, szorstką dłoń. W prawe ramię miał wbity podbródek mężczyzny, a ucho owiewał mu jego ciepły, świszczący oddech.

Łupanie w głowie trochę zelżało, ale wszystko dokoła nadal skąpne było w czerwieni. Decker uświadomił sobie, że napastnik zaciągnął go do ciemni i zapalił lampkę. Z daleka dobiegało nawoływanie Garcii. Najwyraźniej policjant wciąż stał na dworze, pod oknem. Pewnie nie miał nakazu rewizji. „Cały Al — pomyślał Decker — wszystko robi zgodnie z cholernymi przepisami.” Modlił się w duchu, by Garcia podjął ryzyko i wyłamał zamek, a wtedy on narobiłby hałasu.

Napastnik musiał jednak coś wyczuć, albowiem brutalnie

wzmocnił ucisk. Deckerowi oczy zaszyły mgłą i chwyciły go md Jęknął mimo woli.

— Ćśś — usłyszał.

Zmuszony do oddychania nosem, poczuł ostry, zwierzęcy za napastnika. Zamknął oczy i skupił myśli. Zapach przypomin; i bagna, czuć w nim było padlinę, muł, pot i dym z ogniska. \ Decker zrozumiał. Zrezygnował z oporu.

— Jesteś grzeczny, Miami — szepnął mu do ucha napastn

Decker się nie mylił: Al Garcia rzeczywiście nie miał na rewizji. Zjawił się tutaj jedynie z

nakazem aresztowania, k przysłano z Nowego Orleanu. Dokument został sporządzony zarzutu, niemniej nie dawał policji prawa do wyłamania drzwi

— Czemu nie możemy tam wejść? — spytał jeden z mund wych policjantów.

— Nie ma dostatecznego powodu — warknął Garcia.

— Jak to nie ma? Ten facet siedzi w środku.

— Decker by się nie chował.

— Nie chcę tu sterczeć całą dobę — powiedział drugi polic

— A co, masz jakieś inne plany, Billy? — spytał Garci; Pewnie się spieszysz do opery, co? Mundurowy odwrócił się plecami.

— Mnie się też nie chce tu czekać — mruknął Garcia. Mia dość wrzeszczenia pod oknem.

Przyjechał tu, bo chdał Deckei wyświadczyć przysługę, i teraz tego żałował. Nienawidził parkin z przyczepami. Nie musiał tu przyjeżdżać, mógł wysłać radiowóz Decker był jego przyjacielem, a sprawa wyglądała poważnie. Za rzał najpierw usłyszeć całą historię z jego ust, albowiem nie chc mu się wierzyć w to, czego dowiedział się od facetów z Luizjai

— Mam mu unieruchomić samochód? — spytał polic imieniem Billy.

— Co? O czym ty gadasz?

— Przebiję mu opony, żeby nie mógł udec.

Garda pokręcił głową.

— To nie będzie konieczne — rzekł. Jak teraz uczą w akad< policyjnej? W dzisiejszych czasach każdy kretyn moż dostać odzn

— Mówił, że będzie w domu, tak? — spytał drugi poliqa'n

— Tak — mruknął Garcia. — Tak mówił.

Więc gdzie on, u licha, jest? Dlaczego zostawił samochód? Garcia był wściekły.

— A gdyby tak żaluzje odpadły z okna? Moglibyśmy wtedy wejść, nie? — spytał Billy.

— Lepiej usiądź pod palmą i zajmij się sobą — odparł Garcia.

Jezu, co za dzień! Zaczęło się o świcie, kiedy hieny cmentarne

wykopały siedem czaszek na cmentarzu miejskim. Początkowo Garcia odmawiał wszczęcia dochodzenia, tłumacząc się tym, że przecież nie doszło tu do morderstwa. Jedna z ofiar gryzła już ziemię, zanim się urodził, więc uważał, że nie ma sensu tym się zajmować. Wszyscy w komendzie zgadzali się, że nie jest to morderstwo, lecz drobna kradzież. Ile może być warta zmurszała czaszka? Piętnaście, najwyżej dwadzieścia dolców. Na nieszczęście okazało się, że jeden z okrutnie potraktowanych truposzy był wujem miejskiego urzędnika wysokiej rangi, tak więc sprawie nadano tryb pilny, a wszystkim policjantom poradzono, by nie czynili sobie z tego żartów

Okolo południa Garcia musiał umorzyć śledztwo w sprawie kradzieży czaszek, albowiem

doszło do prawdziwego morderstwa. Narkoman z wysp Bahama pociął kozikiem swego kolegę z pokoju, obrał go ze skóry jak makrelę i usiłował sprzedać zrobione z niego filety na giełdzie rybnej przy Bird Road. Była to tak osobliwa historia, że uruchomiono wszystkie organy ścigania — na miejscu przestępstwa zjawili się nie tylko policjanci i ekipa techniczna, ale także koronerzy, zastępcy prokuratora, urzędnicy emigracyjni, a nawet inspektor z departamentu sprawiedliwości. Zanim uprzątnięto jatkę, Garcia poczuł, że robi mu się niedobrze.

Gdy wrócił na komendę, czekały już tam na niego dokumenty z Nowego Orleanu. Gówniane zakończenie gównianego dnia. Decker schował się gdzieś niczym sznur i Garcia sterczał teraz jak palant przed przyczepą, nie mogąc się zdecydować, czy zostawić tu tych kretynów w mundurach, czy nie. Był pewien, że pozbawieni nadzoru chętnie zastrzelą Deckera albo przynajmniej skują mu mordę.

— Jedźmy napić się kawy, a potem spróbujemy jeszcze raz.

— Wróć — powiedział Decker, usłyszawszy, że samochody odjeżdżają.

Skink puścił go. Wciąż stali w ciemni. W czerwonej poświacie pomarańczowy kombinezon Skinka był niemal biały. Ten dziwak wyglądał teraz jeszcze mizerniej i bardziej flejtuchowato niż zwykle: w długim kucyku miał pełno gałązek i suchych liści, a spod czepka kąpielowego wystawały mu siwe kosmyki.

— Gdzie się podziewałeś? — spytał Decker. Kark wściekle go bolid, jakby mu wbito hak w podstawę czaszki.

— Dziewczyna — odparł Skink. — Powinienem był się domyślić.

— Chodzi ci o Lanie?

— Wróciłem do pokoju i ona tam była, półnaga. Powiedziała, że prosisz ją, by przylecia...

— Akurat.

— Tak myślałem — rzekł Skink. — Dlatego ją związałem, żebyś mógł sam zdecydować, co z nią zrobić. Przypuszczam, że ją uwolniłeś.

— Tak.

— I przeleciałeś?

Decker się nachmurzył.

— Tak myślałem — ciągnął Skink. — Musimy stąd spieprzać.

— Posłuchaj, kapitanie, ten gliniarz jest moim przyjacielem.

— Który? — Skink podrapał się w roztrągnięciu poczerńiałym palcem w krzaczastą brew.

— Ten Kubańczyk. Nazywa się Garcia.

— No i?

— On jest w porządku. Postara się nam pomóc.

— Nam?

— Tak, gdy dobierze się do nas poliqa z Nowego Orleanu. Załatwi to najlepiej, jak tylko się da.

Skink przypatrywał się Deckerowi.

— Cholera, chyba cię jednak śdsnąłem za mocno — rzekł.

Pojechali do baru Denny'ego na Biscayne Boulevard, gdzie Skink doskonale pasował do klienteli. Zamówił sześć surowych jaj i kilka parówek. Deckerowi coraz bardziej sztywniał kark, a głowa bolała tak jak nigdy w życiu.

— Czy musiałeś tak walić mnie w łeb? — zapytał z wyrzutem.

— Nie było czasu na grzeczności — odparł Skink obojętnie. — Zrobiłem to dla twojego dobra.

— A jak udało ci się wleźć do środka?

— Wcisnąłem się tylnymi drzwiami. Gdybym przyszedł dwie minuty później, twój serdeczny przyjaciel założyłby ci kajdanki. Zjedz coś, dobra? Czekają nas cholernie długa podróż.

Decker nie miał ochoty na żadną długą podróż, tak jak nie miał też ochoty zostać aresztowany za współudział w morderstwie. Postanowił, że nie wyda Skinka policji, ale będzie on musiał uciekać na własną rękę. Koniec spółki.

— Twoi sąsiedzi zrobią chryję z powodu zabitych psów — rzekł Skink.

— Co?!

— Nie było rady — odparł, zlizując żółtko z wąsów. — Działalem w obronie własnej.

— Zabiłeś bulteriery?

— Nie wszystkie. Tylko te, które mnie goniły. Nożem, nikt nic nie słyszał.

— Boże! — Deckerowi dzwoniło w głowie. Gdy chciał posmarować masłem suchar, zauważył, że drżą mu dłonie. Pomyślał, że nie jest zdrow i powinien pójść do lekarza.

Zamierzał się jednak najpierw dowiedzieć wszystkiego o zabójstwie Lockharta. Chciał poznać wersję Skinka na wypadek, gdyby prawda nigdy nie wyszła na jaw.

— Gdzie poszedłeś po wyjściu z motelu w Hammond? — zapytał.

— Wróciłem nad jezioro. Pożyczyłem sobie łódź i odnalazłem klatki Lockharta.

— Bujasz.

Skink uśmiechnął się promiennie z kawałkiem parówki w zębach.

— Wziąłem łódź Ozziego Rundella — wyjaśnił. — Głupi skurwiel zostawił kluczyki w stacyjce. I mapę w schowku.

— Z zaznaczoną pozycją zatopionych klatek? — spytał domyślnie Decker.

— Tak, zaznaczoną bardzo wyraźnie, flamastrem, żeby nic mu się nie poplątało.

Brzmiało to sensownie. Kiedy Dickie Lockhart świecił swoje

zwycięstwo, Rundellowie pewnie wypłynęli na jezioro, by usunąć dowody oszustwa. Lockhart był takim sknerą, że pewnie za każdym razem używał tych samych klatek.

— Ryby, które rzekomo złowił, były z Florydy — powiedział Skink. — Przywieźli je najprawdopodobniej z jeziora Jackson albo Rodman. W Maurepas, tej kałuży błota, nie ma tak pięknych okoni.

— Co zrobiłeś potem?

Skink odłożył widelec.

— Wyciągnąłem czop z łodzi Ozziego i wpław dotarłem do brzegu.

— A potem?

— Wytarłem dłonie po robocie i jestem tutaj.

W barze pojawiło się dwóch policjantów. Kowbojskim krokiem podeszli do jednego ze stolików. Gliniarze często jadali u Denny'ego, ale mimo to Decker poczuł niepokój. Usiedli. Zauważył, że zerkają nieprzychylnie na Skinka. Domyślał się, że próbują znaleźć powód, by się do nich przyczepić i sprawdzić im dokumenty. Położył dziesięć dolarów na stoliku i ruszył do wyjścia. Skink podążył za nim, wkładając parę sucharów do kieszeni kombinezonu. Nie zatrzymani wsiedli do samochodu. Ledwie zdążyli wyjechać na ulicę, gdy Decker zobaczył w lusterku drugi radiowóz. Podążył tuż za nimi, a więc najprawdopodobniej Garcia kazał go szukać. Kiedy policjanci włączyli migacz na dachu, posłusznie zjechał na bok i się zatrzymał.

— O cholera — mruknął Skink.

Kiedy obaj gliniarze wysiedli z samochodu i zrobili kilka kroków w ich kierunku, Decker nacisnął gaz do dechy.

— Czasami lubię twój styl — powiedział Skink.

Według oceny Deckera mieli około minuty przewagi.

— Skręć w Trzydziestą Szóstą — rzekł. — Kiedy się zatrzymam, wyskakuj.

— Jak to? — spytał spokojnie Skink.

Decker zmuszał starego plymoutha do największego wysiłku. Zdzierał opony hamując gwałtownie, przejeżdżał skrzyżowania na czerwonym świetle. W lusterku nic na razie nie dostrzegał, ale wiedział, że gliniarze zaraz wezwą posiłki.

— Może skręć gdzieś — zaproponował Skink.

— Dzięki za dobrą radę — odparł Decker, patrząc na wyłaniający się z przodu autobus. Skręcił w Trzydziestą Piątą i zahamował tak gwałtownie, że zaśmierdziało spaloną gumą.

— Zmykaj — powiedział do Skinka.

— Odbiło ci?

— Wysiadaj!

— Ty wysiadaj — odparł Skink. — To ciebie szukają.

Decker wrzucił wolny bieg.

— Posłuchaj, mnie ścigają tylko za bójkę, no i może jeszcze za drobne wykroczenie, bo uciekłem. Tymczasem ty oskarżony będziesz

morderstwo z premedytacją, jeśli sklecą wszystko do kupy.

Skink obrócił się ku niemu, szeleszcząc kombinezonem.

— O czym ty, cholera, gadasz?

— O zabójstwie Lockharta.

Zachichotał.

— Myślisz, że to ja go zabiłem? — spytał.

— To właśnie przyszło mi do głowy.

Skink gruchnął śmiechem i z uciechy walnął pięścią w deskę rozdzielczą. Najwyraźniej niezłe się ubawił. Parskał, rechotał

machał nogami, a tymczasem Decker siedział jak na szpilkach, albowiem chciał się go pozbyć i ruszać dalej.

— Ty nie masz pojęcia, co się naprawdę dzieje — rzekł Skink, gdy już się opanował.

Decker wyłączył światła i wcisnął się głębiej w fotel. Dygotał z nerwów, nie mogąc oderwać oczu od lusterka.

— O czym nie mam pojęcia? — spytał.

— O tym, co jest napisane w nakazie aresztowania. Jim Tile ma kopię. Przeczytał mi to dzisiaj rano i szkoda, że ciebie przy tym nie było. Bo tam jest napisane, że to ty zamordowałeś Lockharta.

— Ja?

— Tak jest napisane.

Decker usłyszał syreny policyjne i serce mu zamarło.

— Wrobili cię, chłopie, wrobili cię tak pięknie, że to niemal majstersztyk. Dziewczyna była na przynętę.

— Gadaj, co wiesz — rzekł głucho Decker. Usiłował sobie przypomnieć bajeczki Lanie, znaleźć w nich jakieś luki.

— Nawet nie myśl o tym, żeby się zgłosić na policję — ostrzegł go Skink. — Garcia może i jest twoim przyjacielem, ale nie jest cudotwórcą. A teraz może byśmy wreszcie wzięli nogi za pas, póki jeszcze czas? Resztę opowiem ci po drodze.

, Porzucili plymoutha na parkingu z przyczepami i pojechali autobusem na lotnisko, gdzie Decker w firmie Avis wynajął białego forda thunderbird. Skink nie pochwalał tego wyboru, uważał, że powinni wziąć porządnego jeepa, ale do wyboru były tylko samochody osobowe.

W gęstym ruchu jeździli przez dwie godziny wokół Little Havana. Decker wypytywał Skinka o wydarzenia nad jeziorem Maurapas.

— Kto stuknął Lockharta?

— Tego nie wiem — odparł Skink. — Wiem tylko tyle, ile powiedział mi Jim Tile i ile sam się dowiedziałem. Podczas gdy ty dogadzałeś siostrze Gaulta, ktoś załatwił Lockharta. Następnego ranka Gault przyleciał do Nowego Orleanu i złożył na policji zeznania pod przysięgą. Powiedział im, że były fotograf nazwiskiem Decker próbował szantażować Lockharta. I że ów Decker zgłosił się do niego z jakimiś zdjęciami i chciał stu tysięcy. Na potwierdzenie swych słów pokazał im nawet napisaną przez siebie kartkę.

— Jezu! — jęknął Decker. Chodziło o kartkę, którą napisał po pobiciu Gaulta, gdy kazał sobie podwyższyć honorarium do stu tysięcy dolarów.

— Gault powiedział im też — ciągnął Skink — że kiedy cię wyrzucił, poszedłeś do Lockharta. Początkowo Dickie ci płacił, w sumie — jak mówi Gault — trzydzieści patoli...

— Sprytnie — mruknął Decker. Tyle wynosiła zaliczka.

— ...ale później miał dość i powiedział „stop”. Poleciałeś więc do Nowego Orleanu, by z nim twardo porozmawiać. Zagroziłeś, że pokażesz zdjęcia z zawodów. Doszło do kłótni, szarpaniny... Resztę sam możesz sobie dopisać. Gliny już to zrobiły.

— A mój główny świadek to siostra prawdziwego zabójcy.

— Lanie też szybciotko złożyła zeznanie. Bardzo uczynna kobitka. Powiedziała, że wydmuchałeś ją, po czym odwiozłeś do Nowego Orleanu i wysadziłeś pod hotelem. I że jej powiedziałaś, że musisz się zobaczyć z Lockhartem w pewnej sprawie.

— Brawo — rzekł Decker kwaśno.

Skink poruszył się niespokojnie. Na jego twarzy widać było napięcie. Najwyraźniej zmęczył go ruch uliczny i hałas miejski.

— Byłbym zapomniał — odezwał się. — Mają też zdjęcia.

— Jakie zdjęcia?

— Zdjęcia, którymi szantażowałeś Lockharta, na których widać, jak wyciąga klatki z wody. Mnie też to zbiło z tropu. Ty jesteś ekspertem w tych sprawach, więc sam to rozgrzyż.

Decker nie mógł wyjść ze zdumienia.

— Mają prawdziwe zdjęcia?

— Tak przynajmniej mówi prokurator. Podobno wyraźne biało-czarne fotki.

— Kto je zrobił?

— Prokurator mówi, że ty. Odnaleźli pusty pojemniczek po rolce, która przysłała w dostawie hurtowej z Kodaka dla twojej byłej gazety. Ludzie w redakcji mówią, że to z partii filmów, które

zabrałeś, jak od nich odchodziłeś.

— Kapuję — rzekł Decker. Skink miał rację: to prawdziwy majstersztyk.

— Brakuje ci jakichś filmów? — spytał Skink.

— Nie wiem.

— A gdzie są te zdjęcia, które zrobiliśmy w Luizjanie?

— Chyba w torbie z aparatami.

— Chyba — zaśmiał się Skink chrapliwie. — Lepiej się upewnij, Miami. Nie tylko ty potrafisz czarować w ciemni.

Decker poczuł przemożne zmęczenie, chciał zamknąć oczy, zasnąć. Skink powiedział, że powinni pojechać autostradą do Alligator Alley i skręcić na zachód.

— W mieście będziemy bezpieczniejsi — odparł Decker. Nie czuł się na siłach przemierzyć cały stan; pulsujący ból w mózgu był trudny do zniesienia. Poza tym w Alley będzie się roiło od glin wypatrujących wynajęte sportowe wozy. — Gdzie chcesz jechać? — spytał.

— Big Cypres to dobre miejsce, żeby się ukryć — rzekł Skink, spoglądając na niego kątem oka.

— Nie mam siły na leśne podchody — odparł Decker. — Nie dzisiaj. Zostańmy w mieście.

— Znasz jakieś bezpieczne miejsce?

— Może.

— Żadnych hoteli — syknął Skink.

— Żadnych.

Decker zatrzymał samochód przy chodniku i przez dłuższą chwilę w milczeniu przypatrywał się domowi. Willa była zdumiewająco duża nawet jak na Miami Shores. Na półkolistym żwirowym dziedzińcu stały dwa auta: firebird i luksusowy jaguar. Palmy i krzewy skąpane były w łagodnym pomarańczowym świetle niskich lamp otaczających elegancki trawnik. Drzwi wejściowe, ocienione sklepieniem, zostały wykonane z drzewa w kolorze kawy. W oknie nie było krat, ale Decker dostrzegł czerwoną nalepkę informującą o systemie alarmowym.

— Będziemy tak tu sterczeć całą noc? — spytał Skink.

Wysiedli z samochodu i ruszyli alejką. Pod ich stopami chrzęścił żwir. Skink widział w swym życiu sporo takich willi i większość z nich należała do szanowanych i bogatych złodziei.

Gdy doszli do drzwi, Decker poprosił go bez ogródek, żeby cofnął się kilka kroków.

— Boisz się, że kojfną ze strachu? — spytał Skink.

Otworzyła Catherine.

— To ty — rzekła, wyraźnie zaskoczona. Miała na sobie obcisłe dzinsy z odciętymi

nogawkami i purpurową koszulkę bez stanika. Dlaczego doktor James pozwolił jej otworzyć drzwi w środku nocy? Przecież mógł za nim stać jakiś bandzior: morderca, porywacz albo zboczeniec. Trzeba być bardzo leniwym fagasem, żeby o wpół do dwunastej w nocy puścić żonę bez stanika do drzwi.

— Przepraszam, że nie zatelefonowałem — rzekł Decker — ale to pilne.

Catherine zerknęła na Skinka i najwyraźniej zrozumiała powagę sytuacji.

— Wejdźcie — rzekła przyjaznym tonem. Następnie nachyliła się do Deckera i szepnęła: — James jest w domu.

— Wiem — odparł Decker. W przeciwnym razie nie byłoby jaguara.

Do holu wbiegł pędem śnieżnobiały miniaturowy pudel, stukając pazurkami po marmurowych płytach. Na widok Skinka, zaczął warczeć. Chwycił zębami mankiet pomarańczowego kombinezonu i pociągnął wściekle. Skink bez słowa kopnął mocno psa, posyłając go z powrotem tam, skąd nadbiegł.

— Przepraszam — rzekł Decker speszony.

— Nie ma za co — odparła Catherine, prowadząc ich do kuchni. — Nienawidzę tego stworzenia. Sika mi w buty.

— Nie mamy gdzie przenocować — odezwał się nagle Skink.

Catherine skinęła głową.

— U nas jest dość miejsca — rzekła. To musi być rzeczywiście poważna sprawa, jeśli Decker gotów jest przebywać z Jamesem pod jednym dachem.

— No i Decker jest ranny — dodał Skink.

— Nic mi nie jest.

— Co się stało? — spytała Catherine.

— O mało nie złamałem mu karku — odparł Skink. — Niechący.

— To tylko kurcz — rzekł Decker.

Wtem do kuchni wszedł James. Miał na sobie szlafrok od Ralpho Laurena, sięgający białych kolan, oraz dobrane pod kolor, niebieskie kapcie. Decker poczuł przemożną chęć, by sprać go na kwaśne jabłko.

Gospodarz przyjrzał się gościom.

— Catherine? — odezwał się, czekając na wyjaśnienia.

Ponieważ Catherine i Decker całkiem zgłupieli, Skink wystąpił do przodu i rzekł:

— To jest były mąż twojej żony, a ja jestem jego przyjacielem.

— Aha. — James zaskoczony był obecnością takiego włóczęgi jak Skink, ale bohatersko

zapanował nad sobą, próbując zachować autorytet pana domu. Wyciągnął rękę do Deckera.

— R. J., tak? Zabawne, że się jeszcze nie znamy.

— Prześmieszne — odparł Decker, uściskawszy jego dłoń z całej siły.

— Zostaną u nas na noc — powiedziała Catherine. — De-ckerowi załało przyczepe.

— Przecież nie było deszczu — zauważył James.

— Pękła rura — odparła zniecierpliwiona.

„Dobra dziewczyna — pomyślał Decker. — Przytomna jak zawsze”.

— Zrobię herbatę — powiedziała. — A panów proszę do salonu.

W salonie znajdował się wielki telewizor, podobny do tego, jaki Decker widział w apartamencie Dennisa Gaulta. Z każdego krzesła, z każdej kanapy i stołka barowego widać było ekran. Kręgarz James właśnie oglądał na wideo Wojny gwiazdne.

— Mam na taśmie wszystkie trzy części — pochwalił się.

Decker powoli odzyskiwał równowagę ducha. Nie miał powodu nienawidzić faceta, chyba że za ten szlafrok. W końcu to Catherine dokonała wyboru.

James był szczupły i wysoki, wyższy niż Decker się spodziewał. Miał kształtny podbródek, wydatne kości policzkowe i bystre, zaczepne oczy, do tego lekko rude włosy i białawą skórę. Jego delikatne dłonie o długich palcach musiały się liczyć w świecie kręgarzy. Był przystojniejszy, niż Decker sądził.

— Widziałem kilka twoich zdjęć. Są bardzo dobre — rzekł do Deckera. — Catherine ma stary album — dodał.

Położył nacisk na słowo „stary”. W pewnym sensie Deckerowi było go żal. No bo i jak ma się zachować facet, któremu w środku nocy zwała się do domu dwóch nieznajomych chamów, a żona każe okazywać im gościnność?

James uśmiechnął się do Skinka, którego najbardziej widać było w pokoju dzięki fluoryzującemu kombinezonowi.

— A pan to chyba z ekipy drogowej? — spytał.

Catherine przyniosła na tacy cynamonową herbatę. Skink chwycił filiżankę i wypił duszkiem gorący płyn. Jego ciemnozielone oczy zabłysły.

Gdy Catherine mu dolewała, rzekł:

— Jesteś piękną kobietą.

Decker oniemiał. Kręgarz James zmartwiał. Skink uśmiechnął się promiennie i dodał:

— Mój przyjaciel jest idiotą, że pozwolił ci odejść.

— Dziękuję — odparła Catherine. Słowa Skinka wcale jej nie speszyły. Uśmiechnęła się

czarująco i domyślnie, jakby oboje za Skinkiem znali jakiś sekret dotyczący Deckera.

— Catherine — odezwał się stanowczym tonem James, zmieniając temat — czy widziałaś gdzieś Bambię?

— Przed chwilą bawił się w holu.

— Wyglądał na zmęczonego — dorzucił Decker.

— Bambi? — spytał Skink i skrzywił się pogardliwie. — Masz na myśli tego wypieszczonego kundla?

James znieruchomiał.

— To rasowy pudel — rzekł.

— To cholerny gryzoń — odparł Skink. — Z trwałą ondulacją zamiast sierści.

Catherine parsknęła śmiechem. Deckera trawiła zazdrość, ale musiał w duchu przyznać, że tworzą komiczną czwórkę.

James spojrzał gniewnie na Skinka i spytał:

— Jak pan się nazywa?

— Ichabod. W skrócie Icky.

Decker podejrzewał, że nie jest to prawdziwe nazwisko Skinka. Miał nadzieję, że nie zamierza on teraz wyjawiać wszystkich mrocznych tajemnic swej duszy. Ale Catherine znana była z tego, że mężczyźni całkiem tracili przy niej głowę.

— Ładny dom — rzekł do Jamesa, by zmienić temat. — Musisz mieć liczną klientelę.

— Kupiłem go, zanim zostałem lekarzem — odparł James, najwyraźniej zadowolony, że nie rozmawiają już o pudlu i urodzie żony. — Wtedy, gdy zajmowałem się nieruchomościami.

— A czym dokładnie? — spytał Skink.

— Budową kurortów.

— W systemie Timeshare — dodała Catherine.

Skink poruszył się głośno na kanapie.

— Timeshare — powtórzył. — Hm. A gdzie to?

Catherine wskazała ręką kilka dyplomów wiszących na ścianie.

— Przez trzy lata James był najlepszym agentem — rzekła. Wiedziała, że James i tak by o tym wspomniał.

— Ale gdzie to? — dopytywał się Skink.

— Na wybrzeżu, na północ od Smyrny — odpowiedział James. — To było pod koniec lat siedemdziesiątych, szło nam bardzo dobrze, ale potem wybuchł skandal w Tallahassee, media wzięły nas na cel i interes się skończył. Uznałem, że lepiej zająć się czymś innym.

— Raz na wozie, raz pod wozem — włączył się do rozmowy Decker. — Tak to jest na Florydzie. — Miał nadzieję, że to tylko pieniądze przyciągnęły Catherine do tego durnego chudzielca.

Skink podniósł się i szeleszcząc kombinezonem podszedł do ściany, by obejrzeć dyplomy. Catherine i James nie mogli oderwać od niego oczu. Nigdy jeszcze w ich domu nie było takiego dziwoląga.

— Jak się nazywało to przedsięwzięcie? — spytał Skink, bawiąc się swym siwym kucykiem.

— Sparrow Beach — odparł James. — Sparrow Beach Club. Dawne dzieje.

Skink nic nie odrzekł, tylko westchnął ciężko.

— Czy z twoim przyjacielem wszystko w porządku? — spytała później Catherine.

— Tak — odparł Decker. — On naprawdę woli spać na dworze.

W samym środku opowieści Jamesa o sukcesach w handlu

nieruchomościami Skink odwrócił się do Catherine i spytał, czy może spać w ogrodzie. Decker widział, że coś dziwnego dzieje się ze Skinkiem, ale nie miał okazji, by go spytać o to na osobności. Catherine dała Skinkowi stary koc, a on beznamytnym głosem podziękował jej za gościnę i poczłapał do drzwi. Jamesa zignorował zupełnie.

Wybrał sobie miejsce pod drzewem awokado. Decker widział go, jak siedzi oparty o pień, zwrócony twarzą do wąskiego kanału za domem. Poczłwał chęć, by również tam pójść i spędzić noc pod gwiazdami.

— Może James obejrzałby twoją szyję? — zaproponowała Catherine.

— Nie, nic mi nie będzie.

— Zaraz zobaczymy. Połóż się — polecił James. — Na brzuchu.

Chwilę później Decker leżał już na kanapie, a James pochylał się nad nim, uciskając mu kark. Catherine przyglądała się badaniu, siedząc ze skrzyżowanymi nogami na otomanie.

— Boli? — spytał James.

Decker jęknął. Owszem, bolało, ale uciskanie przynosiło mu ulgę. James wiedział, co robi.

— Ty naprawdę masz wybicie kręgu — rzekł.

— Co to znaczy?

— Przydałby ci się wyciąg. Temblaki i ciężarki. Terapia termiczna. Ultradźwięki. Jesteś za młody na Medicare, w przeciwnym razie od razu zaleciłbym ci trzymiesięczny program. — James przesuwiał palce wzdłuż kręgosłupa Deckera. Poczłwał się pewnie w roli lekarza badającego paq'enta. — Masz ubezpieczenie? — spytał.

— Nie.

— Nawet pracowniczego? A może należysz do jakiejś przychodni?

— Nie. — „Facet jest niemożliwy — pomyślał Decker — ów namolny upór, z jakim zadaje pytania, to chyba pozostałość z czasów, gdy wciskał ludziom domki.”

— Muszę cię ostrzec — ciągnął James. — Schorzenia tego typu powinno się leczyć. Masz wyraźnie skręconą szyję.

— Wiem o tym — odparł Decker, krzywiąc się z bólu pod jego dotykiem. — Powiedz mi, na czym polega różnica między tym, co robisz, a masażem?

— Ja jestem lekarzem, na tym polega różnica. Nie ruszaj się teraz, mam chyba w bagażniku jakąś klamrę.

Gdy James wyszedł, Catherine uklękła na podłodze przy Deckerze.

— Powiedz mi, co się stało.

— Ktoś próbuje mnie zrobić w morderstwo.

— Kto? Chyba nie Ryboludy?

— Obawiam się, że tak — odparł Decker. Przygotował się już na ostre wymówki, które były jej specjalnością, ale z jakiegoś powodu, pewnie litości, tym razem się powstrzymała.

— A ten facet...

— On jest w porządku.

— James się go boi.

— Podwójne oszustwo

— Ja też, ale tylko on mi pozostał.

Pocałowała go lekko w ucho.

— Mogę jakoś pomóc? — spytała.

Na ułamek sekundy Deckerowi przestało bić serce. A to wszystko z powodu zapachu perfum i jednego głupiego całusa w ucho. Poczul się tak cudownie, że niemal zapomniał, iż rzuciła go dla faceta, który nosi szlafroki za dziewięćdziesiąt dolarów.

— Chcę ci jakoś pomóc — rzekła.

— Czy James ma maklera? — spytał.

— Tak. Hutton, Shearson czy jakaś inna, równie duża firma. Na ostatnie Boże Narodzenie przysłali nam butelkę szampana.

— O coś takiego właśnie mi chodzi. Powiedz Jamesowi, że dostałaś cynk w salonie piękności...

— Daj spokój.

— Albo gdziekolwiek indziej. Powiedz, że dostałaś cynk na temat akcji giełdowych. Firma nazywa się Chrześcijańska Sieć Telewizyjna. Może jego makler przysłałby ich prospekt. Potrzebuję jeden egzemplarz jak najszybciej.

— Nigdy nie rozmawiamy z Jamesem o interesach.

— Spróbuj — upierał się Decker. — Zagraj słodką idiotkę, która chce powiększyć dochody

domu. Potrafisz to przecież.

— Ale z ciebie dupek. Taki sam jak dawniej.

— Az ciebie taka sama piękność. Czy twój mąż bardzo by się zdenerwował, gdybym cię rozebrał i zaciągnął pod prysznic? Powiemy mu, że to terapia wodna.

W tej chwili wrócił James, zbyt poruszony, by zauważyć, że żona w popłochu wycofuje się na otomanę. Trzymał w ręku klamrę wyściełaną gąbką, swego rodzaju kołnierz, który zakłada się na szyję.

— Ten człowiek — rzekł — rozpalił ognisko na środku ogrodu!

Catherine podbiegła do okna.

— Nie przesadzaj, kochanie. To nie ognisko, tylko rozeń, taki sam jak twój opiekacz.

— Ale opiekacz jest na benzynę — zaoponował James.

Decker zwał się z kanapy, by popatrzeć, co się tam dzieje.

Skink siedział pod drzewem w kucki, dogładając małego ognia.

— Wygląda jak włóczęga — rzekł James.

— Daj spokój — powiedziała ostro Catherine. — Przecież nie czyni nikomu krzywdy.

Decker zauważył, że Skink zrobił sobie pręt z suchej gałęzi i piekł na nim kawał mięsa.

— Co on tam ma? — spytała Catherine.

— Pewnie jakieś ohydztwo, które znalazł w śmietniku — odparł James. — Albo może złapał kaczkę na kanale.

Decker domyślił się, co jego przyjaciel przygotowywał sobie na kolację. Rzecz jasna, najspokojniej w świecie piekł ulubionego pudelka doktora Jamesa.

m

R. J. Decker położył się w jednym z pokojów gościnnych, ale nie mógł zasnąć. Na ścianach tańczyły owieczki w czerwonych kubraczkach — tapeta do pokoju dzieciennego, chociaż Catherine nigdy nie przepadała za dziećmi.

Gdy zamknął oczy, na miejsce owieczek pojawiła się twarz Dennisa Gaulta, a dokładniej mówiąc obraz kogoś, kto usiłował go udusić. Decker był ciekaw, czy bójka u niego w domu była z góry zaplanowana jak wszystko inne. Był ciekaw, czy Gault jest naprawdę taki cwany, czy sprawy po prostu same ułożyły się po jego myśli. Nie mógł się doczekać, kiedy go spotka i zapyta. Potem z przyjemnością ściśnie skurwysyna za szyję tak mocno, że mu oczy wypadną z orbit i potoczą się po szklanym stoliku niczym agaty.

Około trzeciej nad ranem Decker porzucił myśl o spaniu i wstał z łóżka. Wyjrzał przez okno, ale nie było widać ani ogniska, ani Skinka. Miał nadzieję, że leży on gdzieś w krzakach.

Przebywanie pod jednak dachem z Catherine działało Deckerowi na nerwy. Wprawdzie dom

należał do Jamesa, ale dominował jej gust — wyrefinowany, elegancki. Wszystko tu było takie kosztowne, że aż dziw, jak jemu, gołodupcowi zajmującemu się fotografowaniem, udało się utrzymać ją przy sobie tyle lat. Gdyby mogli teraz spędzić kilka chwil sam na sam. Ale jak to zrobić? Skink chciał, by wyruszyli przed świtem. Pozostało niewiele czasu.

Bosy, w samej bieliznie, szedł długimi korytarzami, w których pachniało perfumami Catherine. Musiał uważać na białe smugi fotokomórek, które zainstalowano na wysokości kolan w całym domu.

Alarmy antywłamaniowe na fotokomórkę były ostatnim krzykiem mody wśród zamożnych obywateli Miami, gdyż dzięki takiemu urządzeniu schwymano gang włamywaczy w rezydencji na Star Island. Gang składał się z dzielnych kubańskich uciekinierów, którzy byli mało zorientowani w amerykańskich realiach i nie wyszkoleni w podstawowych sposobach i technikach pracy nowoczesnego włamywacza. Podczas przetrząsania salonu jeden z nich spostrzegł smugkę światła wysyłaną przez zainstalowany w ścianie światłoczuły alarm i, rzecz jasna, wszyscy pomyśleli, że to promień lasera, który spaliłby ich na popiół, gdyby ośmielili się zrobić krok dalej. W rezultacie nie zrobili. Siedzieli na miejscu całą noc, a nazajutrz poddali się grzecznie policji. Historia ta znalazła się we wszystkich serwisach telewizyjnych. Światłoczułe alarmy stały się tak popularne, że włamywacze właśnie na nie zaczęli polować. W wielu domach, gdzie je zainstalowano, były cenniejsze od wszystkiego innego. Przez jakiś czas paserzy płacili za nie dwa razy tyle co za magnetowidy Sony, ale nawet dostając pięć stówek za sztukę, złodzieje nie mogli nadążyć z zaspokajaniem popytu.

Stąpając na palcach ponad smugami alarmów, Decker odnalazł sypialnię pana domu. Chwilę nadśluchiwał pod drzwiami, by się upewnić, że małżonkowie śpią. Poczul ulgę, gdy usłyszał chrapanie.

Wślizgnął się do środka. Zastony były zaciągnięte, panował gęsty mrok. Stał chwilę w miejscu, dopóki jego oczy nie oswoiły się z ciemnością, po czym ruszył powoli w stronę łóżka. Catherine obróciła się pod kołdrą na drugi bok. Decker ukląkł przy niej.

— Catherine — szepnął.

Spała dalej, pochrapując cicho. Przypomniawszy sobie, jak trudno bywało ją obudzić. Potrząsnął nią lekko za ramię i ponownie cicho zawołał po imieniu. Tym razem westchnęła i otworzyła zaspane oczy. Na widok Deckera usiadła natychmiast.

Złapała go za kark i przyciągnęła do siebie.

— Co ty tu robisz? — szepnęła.

— Ej, ostrożnie, moja szyja — powiedział cicho.

Zerknęła na męża, by się upewnić, że śpi. Decker liczył na to,

że James ma twardy sen. W przeciwieństwie do chirurgów czy położników kręgarze nie muszą zrywać się w środku nocy i pędzić do szpitala. Bóle pleców mogą zaczekać.

— Co się stało? — szepnęła Catherine. Miała zmierzwiłone włosy i lekko podpuchnięte oczy, ale i tak mu się podobała. Pocałował ją w usta i bezczelnie wsunął rękę pod jej koszulę nocną.

Catherine zamknęła oczy. Niektóre całowane kobiety zamykają oczy jedynie z uprzejmości, ale ona robiła to wyłącznie wtedy, gdy naprawdę odczuwała przyjemność. Jednak sięganie pod koszulę to już zupełnie co innego. Catherine zatrzymała jego rękę na swej piersi — tam była granica, której nie wolno przekroczyć.

Po chwili Catherine odsunęła się i rzekła:

— Jesteś stuknięty. Wynoś się stąd.

— Chodź do mojego pokoju.

Pokręciła głową, wskazując na męża.

— Zostaw go tu — powiedział.

— Zauważy, że mnie nie ma.

— Tylko na parę minut.

— Nie...

Znów ją pocałował. Tym razem mruknęła cicho, co Decker uznał za znak przyzwolenia. Ten pocałunek trwał dłużej niż poprzedni i Decker czuł, jak narasta w nim podniecenie. Wtem James przekręcił się na bok i rzekł:

— Cath?

Położyła się powoli na poduszce z ręką Deckera na piersi.

— Tak, najdroższy? — spytała.

„Cath! Najdroższy! Jakie to słodkie” — pomyślał Decker. — Oto próbka prawdziwego małżeńskiego szczęścia. Chciał zabrać rękę, ale mu nie pozwoliła. Uśmiechnął się w ciemności.

— Cath — odezwał się znowu sennie James. — Czy Bambi wrócił?

— Nie, kochanie. Prawdopodobnie został na werandzie. Śpij już.

Zaczekała bez ruchu, aż oddech Jamesa stał się głęboki i regularny. Wtedy ponownie obróciła się do Deckera. Rozmawiali twarz w twarz na brzegu łóżka.

— Wracaj do siebie — szepnęła. — Daj mi dziesięć minut.

— Grzeczna dziewczynka — powiedział Decker, wstając z kolan. — Jeszcze jeden buziak.

— Ćss — rzekła, ale pocałowała go, tym razem wsuwając mu język w usta.

— Potrzebujemy waszej łodzi.

Otworzyli szeroko oczy i spojrzeli na siebie w osłupieniu. To nie był głos Jamesa.

— Musimy mieć łódź — powtórzył Skink.

Catherine dostrzegła jego poraną twarz, wylaniającą się z ciemności nad ramieniem Deckera.

— Nie chciałem przeszkadzać — tłumaczył się — ale pod drzwiami jest policja.

Przerażony Decker zerwał się na nogi. To pewnie Al Garcia. Wiedział o nich i Catherine była pewnie jedną z pierwszych osób na jego liście. Dziwne tylko, że przyjechał w środku nocy. Skąd mógł wiedzieć, że Decker jest w środku?

No tak, ponieważ tego mógł się domyślić byle kretyn, widząc zaparkowany przed domem wynajęty samochód. Decker zastanowił się, czy przypadkiem w głębi duszy nie pragnie powrotu do więzienia, albowiem tylko w ten sposób mógł sobie wytłumaczyć własną głupotę. Skink dbał o nich w lasach, ale miasto było jego domeną. Tymczasem on popełniał tu jeden błąd za drugim.

— Wasza łódź — szepnął Skink do Catherine — jest przycumowana na kanale.

— Nie wiem, gdzie są kluczyki — odparła.

— Nie potrzebuję kluczyków — rzekł Skink zupełnie głośno. — Zostawimy ją w Haulover, ale poczekajcie trochę z jej odbiorem.

Wtem zadzwoniono do drzwi wejściowych i zapukano donośnie trzy razy.

James usiadł w łóżku i włączył lampkę na nocnym stoliku.

Popatrzył mętym wzrokiem na Deckera i Skinka.

— Co się tu dzieje? — spytał.

Catherine wyskoczyła spod kołdry i zaczęła się czesać przed lustrem.

— Lepiej już idźcie — rzekła do Deckera. — Zatrzymam ich w drzwiach.

— Musimy mieć trochę czasu.

— Nie martw się.

Znów zadzwoniono do drzwi. Pukanie przemieniło się w walenie.

Skink podał Deckerowi jego dzinsy i buty.

— Co się dzieje? — dopytywał się James. — Gdzie jest mój pies, do cholery?

Bracia Rundellowie musieli wracać na Florydę autobusem, ponieważ samochód, którym przyjechali na zawody, był zarejestrowany na nazwisko Dickiego Lockharta i nowoorleańska policja zatrzymała go tymczasowo wraz z innymi rzeczami zamordowanego. Podczas podróży rozmawiali głównie o dwóch sprawach — o śmierci idola i o tajemniczej kradzieży ich wspianej łodzi.

Nawet takie tępaki jak oni uświadamiali sobie, że niewiele da się już zrobić dla Dickiego, ale z łodzią była zupełnie inna historia. Została skradziona i zatopiona na środku jeziora, gdzie zlokalizował ją kapitan Coot Hough. Rundellowie zorganizowali amatorską ekipę ratunkową, składającą się głównie z wędkarzy, i wydobyli łódź za pomocą ręcznej wciągarki zainstalowanej na

wypożyczonej barce. Wynurzające się z wody, pokryte szlamem ich cudo wyglądało teraz bardzo żałośnie. Gorszy był jedynie widok sinego Dickie Lockharta, pływającego w koło w akwarium.

Podczas długiej podróży do domu Ozzie i Culver zastanawiali się zaintrygowani, kto ukradł ich łódź. Pierwszym podejrzanym był niezrównoważony samotnik, znany jako Skink. Osobliwie ubraną postać odpowiadającą jego wyglądowi widziano nad jeziorem, choć nie znalazł się żaden świadek zatopienia łodzi. Po co Skink pojawił się w Luizjanie, pozostawało zagadką, której Rundellowie nawet nie próbowali odgadnąć — był tu, to najważniejsze. Dobrze zapamiętali scenę wyprowadzenia go z samolotu w Nowym Orleanie i kryjący się w jego oczach obłęd. Z pewnością człowiek tego pokroju był w stanie ukraść łódź; tajemnicą pozostawał jedynie motyw. W wypadku takiego osobnika mogłaby nim być infantylna złośliwość, choć braciom nie bardzo chciało się w to wierzyć. Culver podejrzewał chęć zemsty lub też spisek przygotowany przez jednego z wrogów Lockharta. W świecie zawodowego wędkarstwa Rundellowie byli znani wszem i wobec jako jego najbardziej lojalni zwolennicy i zdaniem Culvera to mogło być przyczyną kradzieży.

Culvera rozwścieczyło zniszczenie drogocennej łodzi, a Ozzie

był zaskoczony i rozżalony, że Skink popełnił taką okropność bez wyraźnego powodu. Przez ostatnie kilkanaście lat, odkąd obdarty pustelnik zamieszkał nad jeziorem Jesup, Ozzie nie zamienił z nim więcej niż kilka zdawkowych słów. W tych rzadkich wypadkach, gdy Skink zjawiał się w miasteczku, kupował jedynie drewno, suchy prowiant oraz używane książki i ani razu nie zaszedł do sklepu Rundellów po sprzęt czy przynęty (choć podobno był zawołanym wędkarzem). Kontakty Ozziego ze Skinkiem ograniczały się właściwie do spotkań na autostradzie czy trasie, gdy skręcał gwałtownie, by nie potrącić przykucniętej postaci zeskrobującej z jezdni rozjechane zwierzę. Niemal każdy obywatel Harney natknął się kiedyś na drodze na Skinka. Jedynym człowiekiem utrzymującym z nim bliższe stosunki był poliŕant Jim Tile. Wędkarze widywali czasami Tile'a siedzącego przy ognisku ze Skinkiem, ale w Harney Tile również był postacią tajemniczą.

Dlatego Ozzie był zaskoczony, gdy jego brat oznajmił, że jak tylko wrócą do domu, złożą wizytę temu policjantowi.

— Wyciśniemy z czarnucha, co wie — rzekł Culver.

— Czy to takie konieczne? — wyjąkał Ozzie. Nie uśmiechała mu się tego rodzaju konfrontacja. Zabójstwo Lockharta pozbawiło Culvera rozsądku. Wygrażał wszystkim i kłął jak wówczas, gdy był pijany.

Ozzie Rundell miał ważny powód, by unikać spotkania z Tile'em. To przecież on był nad Trzęsawiskiem Morgana w noc, gdy zginął Ott Pickney, kiedy to Ozzie prowadził pikapa Toma Curla. Wyjeżdżając z leśnego duktu, dostrzegł poliŕanta przy krzakach. Miał nadzieję, że go Tile nie rozpoznał, ale nie chciał kusić losu. Czuł, że powinien wyjaśnić bratu, dlaczego wizyta u

policejanta jest ryzykowna, jak zwykle nie mógł skłecić zdania. Dzień po śmierci dziennikarza zapewnił Culvera, że nad trzęsawiskiem wszystko poszło, j[^]gnależy, i nie wspomniał o czarnym poli^q'ancie. Gdyby wyjawiał ter[®] prawdę, Culver dostałby szału. Zaprotestował więc tylko nieśmiało.

— Policjant reprezentuje prawo, nawet czarnuch.

Culver spojrział na niego krzywo i odparł:

— To się jeszcze zobaczy.

Jim Tile mieszkał samotnie na Washington Drive, w murzyńskim osiedlu Harney. Po trzech latach małżeństwa jego żona wyjechała do Atlanty, gdzie została wziętą modelką. Jim mógł również się tam udać, albowiem zaproponowano mu wspaniałą pracę w biurze dochodzeniowym, postanowił jednak zostać w poli^qi patrolowej Florydy. Jego lojalność nagrodzono służbą w najbardziej zacofanym rasistowskim okręgu tego stanu. Zatrzymanie samochodu za przekroczenie prędkości oznaczało zawsze wysłuchanie steku obrzydliwych wyzwisk — biali nienawidzili go za to, że jest czarny, czarni za to, że jest gliniarzem. Ostre słowa były na porządku dziennym, a zdarzało się nawet, że nocą ktoś podkradł się do jego radiowozu i przeciął mu opony. Rzadko jednak posuwano się dalej. Przez te trzy lata tylko jeden człowiek był na tyle nierozsądny, by wszcząć z Tile'em bójkę. Chłopak nazywał się Dekle, miał osiemnaście lat, był biały i wielki niczym trzykomorowa lodówka, i równie jak ona inteligentny. Dekle gnał sto kilometrów na godzinę w okolicach szkoły i zdążył jeszcze przejechać kota, zanim Tile doścignął go i zmusił do zatrzymania. Jim Tile był wtedy nowy w Harney. Dekle zauważył z przekąsem, że nigdy w życiu nie widział czekolady w mundurze. „No to teraz widzisz, odparł Tile, odwróć się grzecznie i połóż ręce na dachu samochodu.” Wówczas Dekle uderzył go z całej siły pięścią. Tile jedynie lekko się zachwiał, podczas gdy każdy inny runąłby jak kłoda. Walka nie trwała długo, może z trzydzieści sekund. Później Dekle chodził już stale z bezwładnie wiszącą ręką, podpierając się laską, którą matka zamówiła dla niego w sklepie wysyłkowym. Nawet w takim miasteczku jak Harney, gdzie wody i głupoty nie brakło, nikt nigdy nie upił się ani nie zgłupiał do tego stopnia, by zdrzeć z Jimem Tile'em. Większość ludzi, w tym Ozzie Rundell, nie odważyłoby się nawet pyskować.

Rundellowie wzięli samochód matki. Bez trudu odnaleźli mieszkanie na Washington Drive; przed domem stał policyjny ford Tile'a.

Culver zaparkował obok. Spod fotela wyjął pistolet i wcisnął go w tylną kieszeń drelichowych spodni.

— A to po co? — spytał przerażony Ozzie.

— To niebezpieczna okolica.

— Ze spluwą nie pójdę — powiedział płacząco Ozzie. — Nie pójdę!

— Dobra — odparł Culver. — Siedz sobie tutaj. Te małpy z ulicy chętnie dobiorą się do takiego tłustego białasa jak ty.

Ozzie się rozejrzył. Wokoło było pełno czarnych, w tym kilku muskularnych nastolatków, którzy rzucali piłkę do zardzewiałej obręczy przygwożdżonej do słupa telegraficznego. Ozzie uznał, że jednak lepiej nie zostawać w samochodzie. Poszedł razem z Culverem do mieszkania Tile'a.

Policjant właśnie kończył kolację i szykował się do nocnej zmiany. Otworzył drzwi nagi do pasa, ubrany jedynie w szare spodnie mundurowe. Rundellowie zapomnieli języka w gębie na widok jego potężnej klatki piersiowej i ramion.

— Chcemy pogadać o facecie znad jeziora — wyjąkał po chwili Culver.

— Nasz łódź zatonięła — zaszcebiotał Ozzie.

Jim Tile wpuścił ich do środka i wskazał im dwa krzesła przy stoliku. Rundellowie usiedli.

— Chodzi o tego Skinka — rzekł Culver.

— Co łączy tego obywatela z waszą łodzią? — spytał spokojnie Tile.

Ozzie zaczął coś mówić, ale stracił wątek i zerknął błagalnie na brata.

— Podobno to on ją zatopił — przyszedł mu z pomocą Culver.

— No cóż, pan Skink jest daleko stąd.

— To się stało podczas zawodów w Luizjanie.

— Czy byliście tam na policji?

— Nie — odrzekł Culver. Chciał iść, ale Thomas Curl powiedział, że to zły pomysł, że gliniarze są zajęci morderstwem Dickiego i nie warto zaprzętać im głowy. Poza tym owa łódź została odzyskana i można ją było wyremontować. Culverowi nie spodobał się taki pomysł. Chciał, żeby osobnik o nazwisku Skink kupił mu nową łódź.

— No więc jeśli nie złożyliście meldunku na policji w Luizjanie, zróbcie to teraz — rzekł Jim Tile. — Kiedy już będzie nakaz, jeden z ludzi szeryfa Lockharta pojedzie nad jezioro i aresztuje faceta.

Culver Rundell miał szczere wątpliwości, czy szeryfa Earleya Lockharta zainteresuje kradzież jakiejś łodzi teraz, gdy zamordowano jego słynnego siostrzeńca. Szeryf poleciał do Nowego Orleanu dwa dni po zabójstwie i jeszcze nie wrócił. Tuż przed

wyjazdem poinformował „Sentinel”, że jego obecność w Luizjanie jest niezbędna, by doprowadzić do końca śledztwo w sprawie morderstwa, ale tak naprawdę tamtejszym władzom chodziło jedynie o to, by ktoś przywiózł przebadane podczas sekcji zwłoki z powrotem na Florydę.

— To się stało na obcym terenie — rzekł Tile. — Nie mogę nic zrobić.

— Może pan zobaczyć się z tym Skinkiem — powiedział Culver.

— Po co? Wicie, gdzie mieszka, jedźcie tam sami.

Była to zdecydowana odmowa, ale Culver nie dawał za wygraną.

— Nie ma mowy — rzekł. — Podobno ma strzelbę i strzela do ludzi dla zabawy. Nie zna ani mnie, ani mojego brata i może zacząć w nas walić, jak się tam pojawimy. Za to pana zna. Nawet jeśli jest tak stuknięty, jak ludzie mówią, nie będzie strzelał do policjanta.

— Mówiłem już, że wyjechał — powtórzył Tile beznamiętnym tonem.

— Jedźmy zobaczyć.

— Nie — odparł, podnosząc się. — Muszę iść do pracy.

— Tam zostało auto mamy — nieśmiało bąknął Ozzie. — Może już chodźmy, co?

Culver zerknął na niego, wściekły.

— Nic mu się nie stanie — warknął.

— No nie wiem — powiedział Tile, rozsuwając palcami żaluzje. — To niebezpieczna okolica. Ozzie zamarł ze strachu.

— Uspokój się — powiedział do niego Culver, po czym zwrócił się do Tile'a: — Dlaczego nie chce pan pomóc, co? Przez tego skurwiela straciłem dwadzieścia tysięcy dolców!

Jim wciąż patrzył przez okno.

— A więc to pikap waszej matki? — spytał.

— Nasz zatrzymała policja w Nowym Orleanie — wyjaśnił Ozzie.

— Czerwony?

— Tak — sapnął Culver, zadowolony, że Tile pamięta kolor ich samochodu.

— A ten zielony? — spytał nagle Tile Ozziego.

Ozzie zbladł jak ściana. Zamrugnął oczami niczym mdlejąca dziewczyna.

— Jaki zielony? — spytał Culver, nic nie rozumiejąc.

— Ten, którym twój brat jechał w zeszłym tygodniu — odparł Tile. — Na autostradzie do Gilchirst. O świcie.

— Kiedy? — wyjąkał Ozzie. — To nie ja, nasz jest czerwony.

— Ty, ty. Ty i jeszcze dwóch innych facetów. A samochód był zielony, miał obce tablice.

— Ach, pamiętam. Pojechałeś z dwoma facetami łowić na trzęsawisko. Pamiętam, bo wziąłeś ze sklepu parę wędek i błyszczki Johnsona — zmyślał na poczekaniu Culver, widząc, jak jego brat coraz szerzej otwiera oczy.

Ozziemu krew odpłynęła z twarzy. Poruszał bezgłośnie ustami jak ryba i w końcu wykrztusił:

— No... taak.

— Pamiętam, że nie chciałeś żywej przynęty. Powiedziałeś, że wolisz tam łowić na blachę.

Jim Tile zapinał koszulę.

— A złapaliście coś, Ozzie? — spytał.

— Jasne — odparł Ozzie, zerkając na drzwi, jakby zamierzał uciec.

— A co?

— My mamy czerwonego pikapa — powiedział bez związku, oblizując wargi. Ręce mu drżały.

Miał rozbiegane oczy.

— Powiesz mi? — dopytywał się Tile. Stał pochylony, zawiązując buty.

— Tam jest samochód mamusi — zapiszczał żałośnie Ozzie. Rozkleił się zupełnie, ogarnięty śmiertelnym strachem. Culver pokręcił z obrzydzeniem głową.

— No powiedz mi, co złapaliście na Trzęsawisku Morgana — naciskał Tile.

Ozzie uśmiechnął się głupio.

— Dickie dał mi kiedyś pudełko ze swoim sprzętem — powiedział.

— Dobra, dosyć tego — wtrącił się Culver.

— Ozzie, powiesz mi wreszcie?

— Jak pojechaliśmy tym pikapem?

— Tak, tym zielonym.

— Ja tylko kierowałem, nic więcej. Nikogo nie utopiłem.

— Oczywiście, że nie — przytaknął Tile.

— Dosyć, kurwa mać. Zamknij się, Oz — warknął Culver.

W obu dłoniach trzymał pistolet wycelowany w serce policjanta. Tile zerknął przelotnie na broń, ale najwyraźniej przejął się nie bardziej, niż gdyby zobaczył rozpięty rozporek.

— Idziemy — powiedział Culver ochryłym szeptem.

Ale Jim Tile najspokojniej w świecie poszedł do sypialni, stanął przed lustrem i włożył na głowę kapelusz.

— Jazda! — wrzasnął Culver. Ozzie patrzył na broń, zatykając sobie uszy.

Jim Tile sięgnął po wodę kolońską.

— Czarnuchu, mówię do ciebie! — ryknął Culver. Dopiero wówczas Jim Tile zdecydował się poświęcić mu nieco

uwagi.

*

Była to łódź Aquasport, mająca sześć metrów długości, wyposażona w silnik firmy Evinrude o mocy dwustu koni mechanicznych. Ładnie wykończona, zwrotna i szybka. Skinkowi tak bardzo się spodobała, że postanowił nie porzucać jej w Haulover i płynąć aż do przystani w Fort Lauderdale. Nastął przejmująco chłodny ranek. Decker wolałby jechać samochodem, ale nie miał żadnego wyboru. Skink był w swoim żywiole; porywy wiatru szarpały jego siwy kucyk. Przy Dania Beach

przymknął gaz, zmniejszając znacznie prędkość.

— Co jest? — spytał Decker.

— Strefa krów morskich — wyjaśnił Skink.

Zimą olbrzymie krowy morskie migrują gromadnie wraz z młodymi do ciepłych i chronionych wód Intracoastal, by przeczekać w nich chłody. Wędkarze są wówczas zobowiązani pływać bardzo powoli, ale i tak każdego roku dziesiątki tych ssaków zostają przejechane i pocięte na kawałki śrubami łodzi prowadzonych przez lekkomyślnych turystów i nastolatków. Kara za takie przewinienie wynosi nie więcej, niż kosztuje puszka farby do pomalowania burty, więc nikogo to nie odstrasza. Pod koniec swej kadencji gubernator Clinton Tyree naciskał na wprowadzenie surowszych kar. Domagał się, by każdego, kto zabije krowę morską, czekał natychmiastowy wypadek łodzi (bez względu na jej wartość) oraz

zapłata dziesięciu tysięcy dolarów grzywny albo kara czterdziestu pięciu dni więzienia. Poprawka Tyree'ego przewidywała również obowiązek publicznego pogrzebania zabitego zwierzęcia przez zabójcę.

Nic więc dziwnego, że jego propozycja została odrzucona.

Decker nie miał o tym wszystkim zielonego pojęcia, był zatem zaskoczony, gdy Skink zajął się nagle łodzią, która o szarym brzasku pędziła po zalewie. Była to motorówka pomalowana na jaskrawe kolory, pełna młodzieży powracającej z popijawy w dokach. Skink machał do nich wściekle rękoma i wołał, by zwolnili i uważali na krowy morskie, ale oni tylko patrzyli na niego zaczerwienionymi oczami. Z wyjątkiem sternika, który popełnił fatalny błąd, pokazując Skinkowi, gdzie się zgina dziób pingwina. Później dziewczęta opowiadały patrolowi policji rzecznej, że ich chłopcy nad wyraz fałszywie ocenili siłę i temperament starego hipisa, podobnie jak szybkość jego łodzi. Gdyby nie jego towarzysz, który powstrzymał go, zakatowałby ich na śmierć. Zeznawały tylko one, albowiem ich mocno poturbowani bohaterowie byli w tym czasie prześwietlani w szpitalu. Lekarze nie mogli wyjść z podziwu, jak udało im się w takim stanie dotrzeć wpław do brzegu.

Skink pohamował się dopiero wówczas, gdy Decker pozwoli mu zatopić łódź rajdowców. Przestrzelił im trzykrotnie kadłub, a następnie w żółwym tempie popłynął do zatoki Port Everglades. Tam wcisnął gaz do dechy i wkrótce dotarli do Przystani. Decker był zmarznięty na kość, przemoczony i szczęśliwy, że może wreszcie zejść na ląd. Złapali taksówkę do hotelu Marnot, wynajęli pokój i zaraz poszli spać — Decker na królewskim łożu, a Skink na podłodze, zwinięty w kłębek. Obudzili się w południe i natychmiast zaczęli wydzwaniać w różne miejsca.

Jim Tile zjechał ze zmiany o dziewiątej rano. Wróciwszy do domu, przyrządził sobie cztery gotowane jaja, trzy plastry kanadyjskiego bekonu i kubek soku ze świeżych pomarańczy. Zdjął

spodnie, poszedł do łazienki i zmienił opatrunek na prawym udzie. Następnie włożył szary dres, zaparzył herbatę i usiadł, by poczytać gazetę. Wszystko to zrobił bez jednego słowa do braci Rundellów, którzy wciąż leżeli związani i zakneblowani na podłodze. Culver nie czuł

zbyt wielkiego poniżenia (w rzeczywistości nic nie czuł, ponieważ zemdlał z bólu wiele godzin wcześniej), natomiast Ozzie pragnął coś powiedzieć. Był wprost nieprzytomny ze strachu.

— Mmmm — wystękał.

Jim Tile odłożył gazetę i wyjął mu ręcznik z ust.

— Proszę pana, czy mój brat nie żyje?

— Żyje — odparł Tile.

— Ale dlaczego ma taką dziwną twarz?

— Bo ma złamaną szczękę. I palce u rąk. — Doszło do tego, gdy wrywał Culverowi pistolet po tym, jak strzelił on do niego i zniszczył mu zupełnie jeszcze dobre spodnie.

— To trzeba mu lekarza — rzekł Ozzie płacząco.

— Ano trzeba. — Jim Tile nie chciał aż tak pogruchotać Culverowi szczęki. Minie wiele dni, zanim Culver będzie mógł wydukać słowo. Wszystkie informacje trzeba teraz wydusić z Oz-ziego, jednego z najbardziej tępych i nierozgarniętych ludzi, jakich Jim Tile kiedykolwiek spotkał.

Culver jęknął i wyprężył się cały.

— O Jezu, jak go boli — powiedział Ozzie.

— Ano boli — potwierdził Tile. — Będziesz go mógł zabrać do lekarza, jak już porozmawiamy.

— Naprawdę?

— Obiecuję ci.

— Czy Culver pójdzie do więzienia?

— Usiłował zabić policjanta, a tu, na Florydzie, dostaje się za to dożywocie. Do tego groźby, napad z bronią w ręku i tak dalej.

— A ja?

— To samo dotyczy również ciebie. Przecież jesteś jego współnikiem, nie?

Ozziemu łzy napłynęły do oczu.

— Mama od tyłu godzin czeka na samochód.

— Tak, pewnie się zamartwia — zgodził się Jim Tile.

— Czy będziemy mogli sobie pójść?

Złożył gazetę i nachylił się nad Ozziem.

— Najpierw musisz odpowiedzieć na moje pytania.

— Dobrze, ale niech pan pyta powoli.

— Czy to Lockhart namówił was, chłopcy, do zabicia Bobby'ego Clincha?

— Podwójne oszustwo

— Nie, Boże, skąd! Słowo daję, że nie. — Ozzie zasmarkał się. — Lubiłem Bobby'ego, Culver też...

— Więc kto go zabił?

— Nie wiem. — Pociągnął głośno nosem, usiłując zlizać smark z górnej wargi. — Nie wiem. Jim Tile był skłonny mu uwierzyć.

— Opowiedz mi o panu Pickneyu — rozkazał.

— O kim? Nie wiem, kto...

— O facecie, który odstawił Pana Piernika na meczach.

— A, o tym dziennikarzu? Proszę pana, ja nikogo nie utopiłem.

— A kto?

Culver zabalgotał dziwacznie, otworzył oczy i znów je zamknął.

— Musimy oddać mamusi auto! — krzyknął Ozzie.

— Najpierw opowiedz, co się wydarzyło na Trzęsawisku Morgana — polecił Jim Tile.

Podsunał mu do ust filiżankę z herbatą. Ozzie siorbiąc głośno przełknął dwa łyki i zaczął mówić. Tile siedział wygodnie i słuchał, zachowując pytania na koniec.

— Kilka dni po tym, jak zginął Bobby Clinch, Tom i Lemus wpadli do naszego sklepu na kawę. Gadali, że ktoś próbuje zrobić Dickiego w morderstwo, a przecież był to wypadek. Nawet doktor Pembroke tak mówił. Ale Tom i Lemus gadali, że ktoś poszedł do gazety z historyjką, że to Dickie zabił Bobby'ego, no i przyjechał ten detektyw z Miami, wypytywał o Bobby'ego i o to, co się stało na jeziorze. Culver spytał, kto chciałby uwalić Bobby'ego, a Tom odpowiedział, że jest milion facetów zazdroszczących mu sukcesów, którzy zrobiliby to z uciechą. Powiedział, że będzie to wyglądało tak, jakby Bobby załapał Dickiego na oszukiwaniu na zawodach. Jak Culver to usłyszał, to się zmartwił, bo właśnie chwilę przedtem przyszedł do naszego sklepu ten facet z gazety i pytał o łądz Bobby'ego i o pogrzeb. Bo wie pan, oni zrobili z niej trumnę. Pan Piernik bardzo się tym interesował, więc Culver powiedział mu, żeby zaszedł do Larkina, bo to on odwalił całą robotę. Facet podziękował i poszedł. Jezu, jak Tom i Lemus to usłyszeli, to powiedzieli, że trzeba szybko zasuwać do Larkina. Culver miał klientów, więc mi kazał z nimi jechać. No i pojechałem. Po drodze Tom i Lemus powiedzieli, że jeśli szybko czegoś nie wymyślimy, to ten dziennikarz napisze, jak Dickie zamordował Bobby'ego, a to przecież nieprawda. I to by załatwiło Dickiego i straciłby program

w telewizji. Powiedzieli, że trzeba powstrzymać tego dziennikarza, a ja się z nimi zgodziłem, bo

nie wiedziałem, o co im naprawdę chodzi. Nie wiedziałem, co przez to rozumieją. Proszę pana, czy mógłbym dostać jeszcze herbaty?

Tile przystawił Ozziemu filiżankę pod nos.

— Tom i Lemus mają tego zielonego pikapa — powiedział Ozzie.

— Aha.

— Przyjeżdżamy do Larkina, a ten facet stoi przy kontenerze na śmiecie. Od razu go poznałem. Lemus pyta mnie, czy to ten. No to ja mówię, że ten. — Urwał na chwilę. — Przesiadłem się na tył.

— Pickney jechał z przodu? — spytał Tile.

— Tak. Na terenach Sumtera jest taki obóz dla myśliwych. Z szesnaście mil od miasta.

Zabraliśmy go tam na resztę dnia. Proszę pana, ja myślałem, że oni tylko będą mu zadawać pytania.

— Co widziałeś, Ozzie?

— Właściwie to zostałem w samochodzie.

— Więc co słyszałeś?

Ozzie spuścił wzrok.

— Jezu, nie wiem. Chyba tylko krzyki...

— Co Ott im powiedział? — spytał.

— Rozpaliliśmy ognisko, wypiliśmy trochę piwa i zasnęliśmy. Trzy godziny przed świtem pojechaliśmy nad trzęsawisko.

— Czy pan Pickney jeszcze wtedy żył?

— Tak. Był bardzo pobity, ale żywy. Proszę pana, ja myślałem, że oni go puszcza. Myślałem, że już z nim skończyli. Powiedzieli mi, żebym został w samochodzie, to i zostałem. Ale zimno mi się zrobiło i nie wiedziałem, czemu to tak długo trwa. Wysiadłem, żeby się rozruszać, i wtedy usłyszałem plusk.

— Nic nie widziałeś?

— To był cholernie głośny plusk. — Ozzie kichnął i znów się obsmarkał. — Tak po prawdzie, to nie chciałem patrzeć — przyznał się.

Jim Tile rozwiązał mu więzy na przegubach i kostkach i pomógł wstać. Razem zanieśli Culvera do samochodu i ułożyli go na platformie. Ozzie zamknął tylną klapę. Tile przyniósł z mieszkania poduszkę i koc.

— Najlepiej będzie, jak zawieziesz go do szpitala w Melbourne — poradził. — W tym mieście nikt mu nie złoży szczęki.

Ozzie skinął posępnie głową.

— Podjadę pod dom i zabiorę mamusię — rzekł. Wsiadł do samochodu i uruchomił silnik.

Jim Tile podszedł do okienka z jego strony.

— Ozzie, wiesz, co się stanie, jeśli będę was musiał aresztować?

— Tak, Culver pójdzie do więzienia — odparł Ozzie żalnym tonem.

— W którym spędzi resztę życia. Jak mu się polepszy, przypomnij mu o tym, dobrze?

— Tak. Proszę pana, przysięgam, że on wcale nie chciał pana zastrzelić.

— Ależ oczywiście, że chciał — odparł Jim Tile — ale jestem skłonny puścić całą sprawę w niepamięć pod warunkiem, że wy, chłopcy, nie będziecie mi wchodzić w drogę.

Ozzie poczuł wielką ulgę. Nie przeszkadzało mu nawet, że Murzyn mówi o nim i jego bracie „chłopcy”. Był szczęśliwy, że żyje. Przecież policjant mógł ich zastrzelić, a zamiast tego puszczał ich wolno jak prawdziwy chrześcijanin.

— Jeszcze jedno — rzekł Tile, kładąc czarną jak węgiel dłoń na klamce drzwiczek.

— Słucham? ^

— Gdzie mogę znaleźć Thomasa Curla?

Richard Clarence Lockhart został pochowany stycznia na cmentarzu Naszej Pani od Tropików pod Harney. Było to stosunkowo małe wydarzenie, jeśli się weźmie pod uwagę sławę, jaką Lockhart cieszył się w okręgu, ale niską frekwencję dawało się łatwo wytłumaczyć. Pechowym zrządzeniem losu dzień pogrzebu był również pierwszym dniem Zawodów w Łowieniu Okonia na jeziorze Okeechobee, tak więc niemal wszyscy przyjaciele i koledzy Dickiego pojechali na ryby. Jak powiedział pastor, on sam z pewnością by im to wybaczył, zwłaszcza że uczestnicy turnieju obowiązani byli wpłacić dwa tysiące dolarów bezzwrotnego wpisowego od załogi.

Dickiego Lockharta pochowano w eleganckiej orzechowej trumnie, nie w łodzi. Karawan wiozący ją na cmentarz eskortowały trzy policyjne radiowozy, w tym ford prowadzony przez niezbyt usatys-

fakcjonowanego tym zaszczytem Jima Tile'a. Trumnę zamknięto przed wyprowadzeniem zwłok. W zakładzie pogrzebowym nie potrafiło sobie poradzić z wyciągnięciem słynnych Dwoch Skrzydełek z wargi denata, gdyż w wilgotnej kostnicy haczyk zardzewiał, a skóra Dickiego stwardniała. Nie chcąc jeszcze bardziej pokaleczyć oblicza zmarłego, kierownik zakładu poradził jego siostrom, by nie otwierały trumny i zapamiętały brata takim, jakim był za życia.

Ozzie Rundell odetchnął z ulgą, gdyż nie zniósłby widoku zamordowanego idola.

Culver Rundell nie przyszedł na pogrzeb, albowiem leżał w szpitalu z nierdzewnym drutem w szczęce. W jego imieniu sklep z przynętami przesłał na cmentarz kwietną kompozycję zwieńczoną ceramiczną rybą znieruchomiałą w skoku. Wprawdzie był to pasiasty marlin, nie okoń, ale na szczęście nikt nie okazał się na tyle nietaktowny, by o tym wspomnieć.

Wielebny Charles Weeb też nie zjawił się na pogrzebie, posłał za to w imieniu Chrześcijańskiej Sieci Telewizyjnej wysoki na prawie dwa metry wieniec z mieczyków przystrojony białą wstęgą, na

której widniał napis: „Urwała się żyłka twego żywota, stary przyjacielu.” Ów slogan zwrócił największą uwagę podczas ceremonii. Nazajutrz, kończąc kolejny odcinek programu Jezus w twoim domu, Charlie Weeb pomodlił się za duszę swego drogiego, najdroższego przyjaciela, największego wędkarza w historii Ameryki, Dickiego Lockharta. Na ekranie pojawiła się twarz zmarłego, a zebrana w studiu grupa wiernych udawała, że śpiewa piosenkę Johnny'ego Casha Bliżej Ciebie, Boże mój. Pod koniec pieśni wszyscy płakali jak bobry, nawet Charlie Weeb, człowiek, który mówił o Lockharcie nie inaczej jak „ten mineciarz o kurzym mózdzku”.

Dwadzieścia pięć minut po skończeniu występu przed kamerami wielebny Charles Weeb wkroczył do sali konferencyjnej w Super-dome, którą wynajął na konferencję prasową. Jeśli nawet rozczarowała go skąpa frekwencja przedstawicieli mediów, nie pokazał tego po sobie. Uśmiechnął się szeroko, ubrany w kremowy garnitur ze śliwkową chusteczką wystającą z kieszonki na piersi. U jego boku szedł opalony mężczyzna o kręconych kasztanowych włosach,

uśmiechający się miło. Niektórzy z fotoreporterów od razu pomyśleli, że podobny jest do aktora Bruce Derna. Był to Eddie Spurling, wędkarz.

— Panie i panowie — rzekł Weeb. — Z wielką przyjemnością oznajmiam, że począwszy od tego tygodnia pan Eddie Spurling będzie nowym gospodarzem programu Taaka rybał

Na sali było tylko dwóch dziennikarzy, ale wielebny zaczął uprzejmie, aż zapiszą wszystko w swoich notatnikach. Po chwili mówił dalej:

— Jak państwo dobrze wiecie, pan Spurling prowadził własny, bardzo popularny program w konkurencyjnej sieci. Cieszymy się, że udało się nam go pozyskać, albowiem oznacza to, że z myślą

nadchodzącym sezonie wędkarskim do Chrześcijańskiej Sieci Telewizyjnej przyłączą się kolejne siedemdziesiąt cztery niezależne stacje. — Pozwolił sobie na dramatyczną przerwę. — I choć wszystkim nam będzie brakować Dickiego Lockharta, jestem przekonany, że miłośnicy Dickiego znajdą w cotygodniowym programie Eddiego Spurlinga równie dużo rozrywki, informacji i emocji.

Eddie zrobił krok do przodu. Wyglądał na bardzo zadowolonego i miał ku temu powody. Styczeń okazał się miesiącem jego ziszczonych marzeń. Nie wygrał ani jednego turnieju, Spurling podwoił swoje honorarium oraz widownię przed telewizorami, a także podpisał bardzo intratny kontrakt na setki tysięcy dolarów, dotyczący promocji wyrobów Happy Gland. Zamówienie reklamowe tej firmy (w prasie, w telewizji, radiu i na ulicznych tablicach ogłoszeniowych) było przedmiotem zazdrości wszystkich zawodowych wędkarzy, łakomym kąskiem, który w ostatnich pięciu latach dostawał się wyłącznie Dickiemu Lockhartowi. Wraz ze śmiercią Lockharta firma Happy Gland potrzebowała nowego gwiazdora. Wybór był oczywisty. I tak oto każda flaszeczka

Okoniowego Bolera, Makrelowego Piżma i Zębaczego Tanga miała nosić etykietkę z radosnym obliczem Szybkiego Eddiego.

— Czy są jakieś pytania? — spytał Weeb.

Dziennikarze spojrzeli po sobie. Każdy myślał to samo: że po powrocie do redakcji zamordują naczelnego za to, że ich tu wysłał.

— Najlepsze zachowałem na koniec — rzekł Weeb. — Drogie panie, wnieście nagrodę!

Na salę weszły dwie dziewczyny w opalizujących kostiumach kąpielowych, niosąc połączone trofeum wędkarskie olbrzymich rozmiarów. Miało ono co najmniej metr pięćdziesiąt wysokości. W rogach podstawy widniały sylwetki wędkarzy w pozach mitycznej walki z mieszkańcami odmętów. Trofeum zwieńczał oprawiony w metal okoń. Nie był wprawdzie nadzwyczajnym okazem, ale upozowany ze znanstwem, robił duże wrażenie.

— Oto jest! — rzekł Weeb.

— Za co pan to zdobył? — spytał Spurlinga jeden z dziennikarzy.

— Nie zdobyłem — odparł. — Jeszcze nie.

— Proszę państwa, proszę przeczytać, co tam jest napisane. Spójrzcie uważnie — namawiał Charlie Weeb. — Najprawdopodobniej tak wielkiego trofeum nikt jeszcze nie widział, nie wyłączając pana Spurlinga, który przecież zdobył już niejedno w swej karierze.

— Takiego dużego nie — przyznał Eddie z podziwem.

— Święta racja — rzekł Weeb. — Albowiem jest to największe trofeum wszechczasów, które czeka na zwycięzcę największego turnieju wędkarskiego wszechczasów. Proszę państwa, od dziś za trzy tygodnie na skraju legendarnych florydzkich bagien pięćdziesięciu najlepszych wędkarzy świata będzie walczyć o pierwsze miejsce w zawodach i o nagrodę wynoszącą dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

— Chryste — rzekł jeden z dziennikarzy. Nareszcie było o czym pisać.

— Najlepiej płatny turniej wszechczasów — ciągnął wniebowzięty Weeb. — Memoriał Wędkarski imienia Dickiego Lockharta!

[

Al Garda był ledwie żywy ze zmęczenia. Pracował od szóstej rano i teraz nawet po czterech filiżankach herbaty jego język przypominał kawał spleśniałego filcu. Bolało go lewe ramię. Przydałby się bardziej skuteczny lek, ale poprzestał na zwykłej aspirynie. Cztery tabletki na każdy atak bólu. Był to jeden z tych dni, kiedy się zastanawiał, dlaczego jeszcze nie odszedł na emeryturę z powodu trwałej niezdolności do służby i nie wyprowadził się do Ocala; jeden z tych dni, kiedy wszystko i wszyscy w Miami wkurzali go do ostateczności. Na przykład baba zbierająca opłaty na autostradzie, która wyrwała mu całego dolara za wątpliwą przyjemność przejażdżki do Key

Biscayne. Albo strażnik w tym bajeranckim wieżowcu: „Może byśmy pokazali jakieś dokumenty?”
A świadectwo chrztu nie wystarczy, dupku? Rzecz w tym, że facet — ubrany w popielaty mundurek, który musiał kosztować ze czterysta dolarów — na pewno pracował kiedyś dla skurwysyna Somozy. Ani chybi rozwałał kiedyś ludzi w imieniu nikaraguańskiej Gwardii Narodowej. Garda był o tym przekonany, a jednak musiał tam stać i szukać po kieszeniach odznaki i prawa jazdy, w przeciwnym razie ten kretyn by go nie wpuścił.

Jakby tego było mało, ten nadziany facet, którego miał przesłuchać, otworzył drzwi ubrany tylko w ciasne pedalskie slipy kąpielowe, w których człowiek wygląda, jakby miał pytona między nogami.

— Proszę wejść, sierzancie — rzekł Dennis Gault. — Niech no usłyszę te wieści.

— Jakie wieści? — spytał Garda. Rozejrzał się wokół i dopiero wtedy usiadł. Przytulny apartament. Gruby, puszysty dywan. Rozległy widok na Atlantyk. Pewnie kosztowało to wszystko ze trzy miliony.

— No i co z Deckerem? — spytał Gault. — Złapaliście go?

— Jeszcze nie.

— Sok z grejpfruta? Whisky?

— Kawa, jeśli pan ma. Wybiera się pan na plażę?

— Nie — odparł Gault. — Do sauny. — Nalawszy policjantowi kawy, rzekł: — Gdy pan zadzwonił, myślałem, że chodzi o Deckera. Miałem nadzieję, chłopcy, że już go złapaliście.

„Chłopcy! Dobra, niech mu będzie” — pomyślał Garcia.

— Prawie go mieliśmy wczoraj wieczorem.

— I co? Uciekł?

— Wymknął się. Ukradł łódź i popłynął przez zatokę. Kiedy włączyliśmy do akcji śmigłowiec, było już za późno.

— Wygląda na to, że spieprzyliście sprawę.

— Po prostu jedna stracona okazja — odparł Garcia z uśmiechem. — Bardzo dobra kawa.

Kolumbijska?

—*• Tak. — Gault wid sobie wódki do soku.

— Przyjechałem tu po to — rzekł Garcia — żeby mi pan opowiedział wszystko o tym Deckerze.

Gault usiadł i z irytacją poprawił slipy. Garda pomyślał, że pewnie wpijają mu się w tyłek.

— Cholera, przecież byłem w Nowym Orleanie specjalnie po to, żeby złożyć zeznania. Ile razy mam powtarzać to samo?

— Czytaliśmy pańskie zeznania, ale ja prowadzę tę sprawę tu, w Miami, i potrzebuję nieco

więcej szczegółów.

— Jakich szczegółów?

— Jak Decker do pana trafił?

— Sierżande, uczuda, jakie żywiłem do Dickiego Lockharta, nie były tajemnicą. Decker pewnie rozmawiał z różnymi wędkarzami, słyszał coś o tym. Kiedy już miał zdjąć, było logiczne, że we mnie upatrywał kupca. Wiedział, że nienawidzę Lockharta, że zależy mi na zdyskredytowaniu go. Poza tym wiedział, że jestem człowiekiem zasobnym, że stać mnie na zapłacenie jego ceny bez względu na to, jak jest niedorzeczna.

— I on to wszystko panu powiedział? — spytał.

— Nie, nie przypominam sobie, żeby mi to mówił. Pytał pan, jak mnie znalazł, więc odpowiadam, że to nie było zbyt trudne.

— Jak się skontaktował z panem po raz pierwszy?

— Zadzwoił.

— I pańska sekretarka tak od razu go połączyła?

— Oczywiście, że nie. Zostawił wiadomość. A właściwie to dzwonił z piętnaście razy. W końcu miałem tego dość i postanowiłem z nim sam porozmawiać.

— Rozumiem — rzekł Garcia. Z wewnętrznej kieszeni beżowej kurtki wyjął mały notes i coś w nim zapisał. — Piętnaście razy... Pańska sekretarka na pewno będzie to pamiętała. Chyba zanotowała też jego numer i nazwisko, nie sądzi pan?

— Nie wiem — odparł Gault. — To było dobrych parę tygodni temu. — Następnie opowiedział, jak to Decker zażądał od niego stu tysięcy dolarów za kompromitujące Lockharta zdjęcie, a Garda słuchał tego z otwartym notesem na kolanach. — Powiedziałem mu, że chyba zwariował. I żeby zjeżdżał, gdzie pieprz rośnie — zakończył.

— Ale widział pan zdjęcia?

— Tak. Był na nich Lockhart, wyciągający z wody klatki. Kant jak jasna cholera.

— Więc dlaczego ich pan nie kupił?

— Jak to dlaczego? Z oczywistych powodów — odparł Gault, udając oburzenie.

— Za drogo? — spytał Garcia. — No tak, dla mnie jest to oczywisty powód.

— Nie chodziło o pieniądze. Po prostu byłoby to nie w porządku.

— Nie w porządku?

— No, niechże pan tak na mnie nie patrzy — powiedział rozeźlony Gault. — Jakbym był pospolitym przestępcą.

„Może jesteś nawet kimś gorszym” — pomyślał Garda. Uznał już, że Dennis Gault kłamie. Ale jak daleko się posunie?

— A ta kartka o stu tysiącach...

— Dałem ją policji w Nowym Orleanie.

— Tak, wiem. Ale zastanawiałem się, co Decker miał na myśli. Pamięta pan, użył słowa „honorarium”. Jakby dla pana pracował. Napisał, że honorarium wzrosło do stówki.

— Dobrze wiem, co miał na myśli, cholera jasna.

— Tak, pewnie, ale tak sobie myślę... Dlaczego użył słowa „honorarium”? Przecież chodziło raczej o cenę za zdjęcia, prawda? Wydaje mi się to dziwne.

— A mnie nie.

— Kiedy zostawił panu tę kartkę?

— Tego samego dnia, kiedy pokazał mi zdjęcia. Chyba siódmego stycznia. — Gault wstał i wyszedł do łazienki. Kiedy wrócił, miał na sobie aksamitny szlafrok z monogramem. Jak powiedział Deckerowi, żeby spadał, poleciał natychmiast do Lockharta. To był zwykły szantaż: płać albo oddam zdjęcia moim kumplom w gazecie. Naturalnie Dickie zapłacił. Nie miał wyboru.

— Skąd pan to wszystko wie? — spytał Garcia.

Gault roześmiał się ironicznie.

— Od samego pana Deckera — odparł. — Powiedział o tym mojej siostrze Elaine. Zdaje się, że ją dmuchał. Zresztą, no-woorleańczycy wprowadzili pana w te szczegóły. Decker powiedział Elaine, że wydsnął z Dickiego trzydzieści kawalków i więcej się nie dało. Pojechał więc na zawody, żeby się z nim zobaczyć. Resztę pan zna.

— Ten Decker nie wygląda mi na zbyt rozbudowanego faceta.

— Więc jak to się dzieje, że jeszcze go nie złapaliście?

— Chodzi mi o to — rzekł Garcia spokojnie — że tak głupio wypaplał wszystko pańskiej siostrze.

Dennis Gault wzruszył ramionami i wstał.

— Wie pan, jak to jest, w łóżku człowiek gada różne rzeczy. Poza tym nie zna pan mojej siostry.

„Co za facet! — pomyślał Garcia. — Milioner stręczący własną siostrę!” Z każdą minutą pan Gault coraz mniej mu się podobał.

— Może Decker tylko się przechwalał? — spytał.

— Przechwalał się, grał na czas, czekał, aż mu kutas znowu stanie. Nie wiem. W każdym razie powiedział wszystko Elaine. A co z tym drugim? Z jego współnikiem, z tym szaleńcem Skinkiem?

— Nie wiemy nawet, czy to jego prawdziwe nazwisko.

— To wariat, poznałem go kiedyś. Niech pan powie swoim chłopcom, żeby na niego uważali.

— Dobra, powiem — rzekł Garda. Podniósł się. — Dziękuję za kawę. Bardzo mi pan pomógł.

Gault, owinięty w szlafrok, odprowadził policjanta do drzwi.

— Jak pan wie, nie kochałem Lockharta. Gdyby inaczej skończył — na AIDS, w kraksie samolotu, na raka prostaty — słowa bym nie powiedział. Jeszcze wydałbym przyjęcie. Ale morderstwo z zimną krwią... Nawet taki oszust jak on nie zasługiwał na taki koniec. Dlatego poszedłem na policję.

— Spełniając swego rodzaju obywatelski obowiązek — dopowiedział Garcia.

— Otóż to. — Gault już miał pożegnać policjanta, ale przyszło mu do głowy, że lepiej zakończyć rozmowę w sposób lekki, nie zobowiązujący. — Pan pochodzi z Kuby, prawda? — spytał.

— To dawne dzieje.

— Na południe od Hawany łowi się podobno niesamowite ryby. Sam Castro ma fioła na punkcie okoni, wie pan o tym?

— Coś kiedyś czytałem.

— Od lat poruszam sznurkami tu i ówdzie, by wycygnąć zaproszenie, ale ciężko o nie komuś takiemu jak ja. Wie pan, robię w cukrze. Ten brodacz nie przysłał mi pozdrowień.

— Jest pan dla niego konkurencją — rzekł Garcia.

— No właśnie, a marzę o tym, by się wybrać na kubańskiego okonia! Słyszałem, że zdarzają się ośmio-, dziewięciokilogramowe. Jak się nazywa to słynne jezioro?

— Nie pamiętam.

— Czy pan łowił, gdy pan tam mieszkał?

— Wyjechałem jako mały chłopiec — odparł Garcia. — Ale brat mego dziadka łowił.

— Tak?

— Merliny.

— O!

— Sprzedawał przynęty Hemingwayowi.

— Naprawdę?! — Gault był pod wrażeniem. — Widziałem kiedyś film o Hemingwayu — rzekł. — Z Pattonem w roli głównej.

Wróciwszy do komendy, Al Garcia usiadł za biurkiem i włożył do magnetofonu kasetę, na której widniała napisana ołówkiem data stycznia. Była to jedna z trzech kaset używanych w automatycznej sekretarce Deckera. Garda zabrał je z przyczepy, kiedy dostał nakaz rewizji.

Zamknął drzwi do swego pokoju, zapalił papierosa i włączył magnetofon.

Przez kilka sekund słychać było jedynie szum czystej taśmy, a potem zabrzmiał dzwonek telefonu. Po czwartym sygnale usłyszał głos Deckera: „Nie ma mnie w domu. Proszę zostawić

wiadomość".

Pierwszą dzwoniącą osobą była kobieta: „To ja. James znowu wyjechał, a ja mam ochotę na spaghetti. Może o dziewiątej u Rity?”

Garcia zapisał w notesie: „Była żona”.

Potem znów odezwał się głos kobiecy: „Cześć, R. J., mówi Barbara. Przepraszam, że wtedy nie mogłam. Może napijemy się czegoś, żeby to nadrobić?”

Garcia napisał: „Jakaś dziewczyna”.

Trzecim dzwoniącym był mężczyzna: „Panie Decker, prawdopodobnie mnie pan nie zna, ale ja o panu słyszałem. Potrzebuję prywatnego detektywa i właśnie pana mi rekomendowano. Proszę do mnie zadzwonić jak najszybciej, gwarantuję, że to się panu opłaca. Mój numer -. Nazywam się Dennis Gault”.

Garda zapisał w notesie: „Podejrzany facet”.

Przez kilka dni Decker i Skink nie wychodzili z pokoju hotelowego, czekając, aż wszystko trochę przycichnie. Decker wydzwaniał w setki miejsc i chciał jak najszybciej ruszać dalej. Skink z kolei zapadł w milczącą melancholię; najwyraźniej nie miał ochoty ani nic robić, ani nigdzie jechać. Ożywił się dopiero w dniu, gdy przyjechała do nich Catherine. Poszedł na plażę i zaczął strzelać do samolotów podchodzących do lądowania na lotnisku Fort Lauderdale-Hollywood. Catherine przywiozła najnowszy prospekt Chrześcijańskiej Sieci Telewizyjnej, która notowana była na nowojorskiej giełdzie pod nazwą ChrzestTel. Ponieważ Decker znał się na akcjach i kursach jak kura na pieprzu, zadzwonił wcześniej do znajomego dziennikarza, który pracował w dziale gospodarczym „Sun”. Dziennikarz ów przetrząsnął redakcyjne archiwa komputerowe i znalazł kilka bardzo interesujących artykułów na temat sied Weeba, których kopie Catherine odebrała od niego przez wyjazd z Miami. Z informacji giełdowych wynikało jasno, że gwałtowna ekspansja CST na rynku telewizji kablowej stanowiła dla Weeba niewyczerpane źródło kapitału, który wielebny i jego

doradcy inwestowali w budownictwo i handel nieruchomościami. W prospekcie zamieszczono kilka zagadkowych wzmianek o „bajecznym odsiedlu w krainie jezior przeznaczonym dla klientów średnich dochodach”, ale jednocześnie nie wyjaśniono, jakim cudem udało się uniknąć kontroli ekologów i planistów. Słowo „łapówka” nie pojawiało się nigdzie. Skinka również zainteresowała ta sprawa. Zapytał, gdzie powstaną Jeziora Okoniowe, a gdy usłyszał odpowiedź, wziął od Deckera prospekt oraz kopie artykułów i zaczął je czytać.

Skończywszy lekturę, nacisnął czepek na uszy, mruknął coś

wyszedł na dwór. Udał się na plażę. Pierwszy nadleciał linii Eastern z La Guardia, drugi DC- United Airlines z Chicago przez St Louis, a trzeci wahadłowiec Baham Air wiozący hazardzisz-

tów z Freeport. Żadna z maszyn nie spadła ani się nie zapaliła, niemniej Skink był pewien, że zrobił w stalowych brzuchach kilka dziur. Huk wystrzałów niemal całkowicie zagłuszyło wycie silników lotniczych oraz heavymetalowe porykiwania Jon Bon Jovi dochodzące z „kombajnu” jakiegoś nastolatka. Skink zdążył oddać z dziewięciomilimetrowego browninga nie więcej niż osiem strzałów, gdy spostrzegł dżipa ratownictwa wodnego, pędzącego plażą w jego kierunku. Ponieważ samochód znajdował się jeszcze daleko, pobiegł szybko do hotelu, wpadł do łazienki i zmienił nie do poznania swój wygląd.

Kiedy wszedł do pokoju, czepek kąpielowy i okulary przeciwsłoneczne miał w kieszeni, pomarańczowy kombinezon trzymał zwinięty pod pachą, natomiast długi kucyk ukrył pod kołnierzem koszuli. Na pytanie, co mu się stało, szczerze się do wszystkiego przyznał.

— Pięknie — rzekł Decker. — Poszukuje nas już poliq'a kryminalna, drogówka, policja rzeczna, ochrona lotnicza, FBI i do tego ratownicy. Czy o kimś zapomniałem?

Skink usiadł apatycznie na podłodze.

— R. J., musisz go wywieźć z miasta — powiedziała Catherine.

— Mój ojciec, świeć panie nad jego duszą, byłby dumny jak paw, że dochował się kryminalisty ściganego przez wszystkie służby w kraju.

— Przepraszam — rzekł z westchnieniem Skink.

Było to najżałośniejsze, co Decker kiedykolwiek usłyszał z jego

ust. Skink zachowywał się tak, jakby był na granicy załamania. Decker pochylił się ku niemu i spytał:

— Kapitanie, dlaczego strzelałeś do samolotów?

— Pomyśl, kogo one wiozą — odparł Skink. — Wiozą frajerów nad Jeziora Okoniowe.

Skretyniałych wielbicieli wielbnego Weeba. — Wydawało się, że braknie mu tchu. Skinął ręką na Catherine, by podała mu prospekt Chrześcijańskiej Sieci Telewizyjnej. Stwardniałym brązowym palcem wskazał widniejące tam nazwiska.

— Znam kilku z tych facetów — powiedział chrapliwie.

— Skąd? — spytała Catherine.

— To nieważne. Ważne jest dwadzieścia dziewięć tysięcy mieszkań w Everglades.

Chrześcijańskie miasto! To zbrodnia stulecia. Ci faceci są jak karaluchy, nie można się ich pozbyć.

— Za późno, kapitanie — rzekł Decker. — Już od roku meliorują tamte tereny.

— Jezu — jęknął Skink, zagryzając wargi. Włożył okulary i spuścił głowę. Siedział tak nieruchomo przez dłuższy czas. Decker zerknął na Catherine. Miała rację: muszą jak najszybciej wywieźć go z powrotem do lasu.

Z korytarza usłyszeli odgłosy stłumionej rozmowy. Następnie rozległo się pukanie do drzwi sąsiedniego pokoju; po chwili ponownie, tym razem naprzeciwko.

— Służba hotelowa — powiedział męski głos.

Decker bez słowa wskazał Skinkowi łazienkę. Skink kiwnął głową, wstał i ruszył tam zółwym krokiem. Zamknął za sobą drzwi. Decker zdjął szybko koszulę i zaciągnął zasłony.

— Zrzuć buty — szepnął do Catherine — i połóż się. — W lot pojęła, o co mu chodzi. Po chwili leżała już w łóżku w samych majtkach i staniku.

Rozległo się trzykrotne pukanie do drzwi.

— Kto tam?! — krzyknął Decker. — Proszę nie przeszkadzać.

— Służba hotelowa, niech pan otworzy.

— Ale my śpimy!

— Policja, otwierać! — rozkazał inny głos.

Decker podszedł do drzwi. Otworzył je na tyle szeroko, by widać było leżącą w łóżku Catherine.

— Co się stało? — spytał.

Na korytarzu stał mężczyzna w niebieskim garniturze z krótkofalówką w ręku oraz mundurowy policjant.

— Na plaży zdarzył się pewien incydent — powiedział człowiek z krótkofalówką. — Doszło do strzelaniny, ale na szczęście nikt nie został ranny.

— To po co nas nachodzicie? — spytał zniecierpliwiony Decker.

— Nie widział pan nikogo podejrzanego? — odezwał się policjant.

— Przez ostatnie parę godzin widziałem tylko gwiazdy — odparł Decker, ruchem głowy wskazując Catherine. Ochroniarz hotelowy wydawał się nieco speszony.

— To był wielki, niechlujny facet w jaskrawej czapce, z kucykiem. Ktoś widział, jak wbiegł do hotelu, więc radzimy gościom, by na razie pozostali w pokojach.

— Ja się nigdzie nie wybieram — odpowiedział Decker.

— Tylko dopóki go nie złapiemy — dodał ochroniarz.

Decker zamknął drzwi. Catherine usiadła w łóżku.

— Co widziałeś? — spytała. — Gwiazdy?

— Nie ruszaj się! — krzyknął Decker, dając nura do łóżka.

Thomasowi Curlowi daleko było do szczęścia. Wprawdzie w ostatnich dwóch tygodniach zarobił więcej pieniędzy niż trzy poprzednie pokolenia Curlów razem wzięte, ale mimo to nie dane mu było zaznać spokoju. Po pierwsze, zginął jego brat Lemus i przez dwa dni nie wiedział, co począć ze zwłokami. Ponieważ powiedział wszystkim, również tacie, że Lemus utonął, nie mógł

przywieźć do domu trupa z dziurą w głowie. Ludzie zadawaliby różne pytania, a udzielanie odpowiedzi nie było dla Toma rzeczą łatwą. Tak więc, odkrywszy napoczętego przez żółwie Lemusa, uwiązanego na żyłce w Trzęsawisku Morgana, przez dwa dni łamał sobie głowę, co z nim zrobić. „Niech to cholera” — powiedział sobie wreszcie i pochował go na piaszczystej łące po wschodniej stronie autostrady do Gilchirst. Kopiąc grób, miał wrażenie, że zleciały się tu myszolowy z całej Florydy, czekające, by urządzić sobie ucztę. Potem zdjął czapkę i bezskutecznie usiłował przypomnieć sobie jakąś modlitwę.

Niemal każdej nocy nachodziły go ponure myśli, jak marnie

skończył Lemus. Dlaczego pozwolił mu w pojedynkę pobiec do lasu? Kiedy nagle umilkł jego ruger, Tom, ogarnięty śmiertelnym strachem, wskoczył do pikapa i uciekł, przekonany, że jego brat nie żyje. Wrócił tu potem z pożyczonym psem myśliwskim i znalazł mnóstwo śladów krwi, ale ciała nie było. Myślał, że już nigdy nie zobaczy brata i gdy go później ujrzął, dostał mdłości. Kazano mu pojechać nad trzęsawisko, by sprawdził, czy wszystko jest, jak należy, czy ten czarnuch nie znalazł Otta Pickneya. No i Pickney tam był, w czarnej wodzie, tyle że do towarzystwa miał biednego Lemusa. Dopiero wtedy Thomas Curl uświadomił sobie zawziętość przeciwnika.

Tak więc pochował brata, spalił zwłoki Pickneya w upozorowanym wypadku samochodowym i pojechał prosto do Nowego Orleanu, gdzie sprawy znowu nie poszły tak gładko, jak się spodziewał. Polecono mu natychmiast wracać na Florydę. I w dodatku nie do Harney, lecz do Miami.

Nie bardzo mu się to podobało. Znał Miami. Kiedy uprawiał boks, trenował pewnego lata w sali gimnastycznej na Piątej Ulicy, tuż przy plaży. Wraz z dwoma innymi bokserami mieszkał w zawoszonym hoteliku. Upijał się co sobotę i z nudów wybijał zęby kubańskim uchodźcom, którzy mieszkali w parkach. Zapamiętał Miami jako gorące, nieprzyjazne miasto, ale był wtedy młodym chłopakiem, stęsknionym za domem i biednym jak mysz kościelna. Teraz przybyło mu lat, wagi, no a forsy miał jak lodu. Dla dodania sobie animuszu zatrzymał się w eleganckim hotelu Grand Bay. W pokoju czekał kosz ze świeżymi owocami. Curl brał właśnie kąpiel, zajadając soczystą nektarynkę, gdy zadzwonił Dennis Gault.

— Wiesz pan co, tu nawet w kiblu jest telefon — powiedział.

— Witamy w mieście, burasie — przywitał go Gault. Był w podłym nastroju. Ten kretyn nie dorastał Deckerowi do pięt.

— Był u mnie gliniarz — rzekł.

Curl wypluł pestkę na namydloną dłoń.

— Tak? No i co? Złapali ich?

— Nie. I sprawy przybrały taki obrót, że może lepiej będzie, jeśli ich nie złapią.

— Coś pan?

— Ten gliniarz, pieprzony Kubańczyk, nie wierzy w żadne moje słowo.

— Podwójne omutwo

— Co to szkodzi? Ważne, że w Nowym Orleanie panu wierzą.

— A słyszałeś kiedyś o ekstradycji? — warknął Gault. — Synu, ten facet może nam napisać biedy. Może nie puścić Deckera do Luizjany. Może tygodniami trzymać go u siebie, słuchać jego historyjek i nawet w nie uwierzyć.

— E tam!

— Nie wolno ryzykować.

— Ja i tak już dużo dla pana zrobiłem.

— Tym razem zrobisz to dla swego brata.

Curl odkręcił gorącą wodę, uważając, by nie zamoczyć telefonu.

— Musisz znaleźć Deckera, zanim zrobią to gliny — powiedział Gault.

— A co z tym kopniętym gorylem?

— Pewnie już dawno się rozdzielili.

— Nie chcę mieć z nim do czynienia. Culver mówił mi, że skurwysyn jest niebezpieczny jak zmija.

— Culver boi się własnego cienia. Poza tym z tego, co mówi Elaine, wynika, że Skink i Decker nie pasują do siebie. Na pewno się już rozdzielili.

Thomas Curl nie był o tym przekonany. Pamiętał elegancką dziurę po kuli w czole brata.

— Ile dostanę?

— Tyle co przedtem.

— Podwójnie, jeśli będę musiał zadrzeć z gorylem.

— Cholera jasna, powinieneś to zrobić za darmo — rzekł Gault. — Thomas, na miłość boską, przecież ci faceci zabili twojego brata! Deckera musimy się pozbyć, bo namąci nam w sądzie. Nie poszlibyśmy siedzieć na tydzień, wiesz o tym.

Thomasowi Curlowi nie uśmiechał się nawet jednodniowy pobyt w stanowym więzieniu. Natomiast w pomszczeniu śmierci brata widział coś romantycznego.

— Gdzie go szukać? — spytał.

— Niestety, Decker wziął dawno nogi za pas. Musisz go odnaleźć, bo sam ci w ręce nie wejdzie.

— Chyba że będę miał coś, na czym mu zależy — odparł Thomas Curl.

m

Nie mogę, gdy on tam siedzi w łazience — powiedziała Catherine. Wstała z łóżka i zaczęła się ubierać.

— Nie zwracajcie na mnie uwagi — mruknął zza drzwi Skink. Decker patrzył smutno, jak Catherine zapina bluzkę. „No

i mam to, na co zasługuję” — pomyślał.

— Tak, on rzeczywiście nie pozwala się skupić — rzekł.

— A w ogóle, co ja tu robię? — mówiła Catherine, wkładając różową halkę. — James i tak jest już wściekły, a ja miałam wrócić godzinę temu.

— Przepraszam.

— Zapnij mi ten suwak.

— Ładna spódnica. Jedwabna?

— Nie cierpię tych suwaków z boku. Decker spojrzał na metkę.

— Jezu, Catherine, to Gucci!

Podniósł się z łóżka, szukając po omacku džinsów. Za oknami zrobiło się ciemno, czas było ruszać. Z łazienki dochodziły jakieś stłumione odgłosy. Co ten Skink tam wyprawia?

Catherine uczesała się i pomalowała usta jasnoróżową szminką.

— Wyglądasz bosko — rzekł Decker. — Nieskazitelna niczym świeży śnieg.

— To nie twoja zasługa. — Odwróciła się od lustra i ujęła jego dłoń. — Ile bym dała, by zapomnieć o tobie, draniu.

— Spróbuj hipnozy.

Objęła go.

— Przestań się wyglupiać. Bardzo się boję. Nigdy w życiu nie byłam w większych tarapatach.

— Wierzę ci.

Pocałowała go w szyję.

— Uważaj na siebie — powiedziała. — I na niego też.

— Nic nam nie będzie — odparł Decker. Podał jej torebkę od Louisa Vuittona oraz sweter z czystego kaszmiru.

Wychodząc, odwróciła się i rzekła:

— Chcę, żebyś wiedział, że nie kochałabym się z tobą z litości. Po prostu miałam na to ochotę.

— Takie odniosłem wrażenie — odparł Decker.

Nie do wiary, jak bardzo wciąż ją kochał.

Skink w jemu tylko znany sposób wcisnął się między umywalkę a sedes, przeistoczywszy się w bezkształtną masę. W pierwszej chwili Decker nie mógł nawet zlokalizować jego głowy. Ukląkwszy, dostrzegł luskowatą twarz Skinka, wyzierającą zza rur. Skink wyglądał jak brodata iguana.

— Dlaczego zapaliłeś światło? — spytał.

— Żeby ci nie nadepnąć na przyrodzenie.

— Gorsze rzeczy się zdarzają.

„Freud miałby tu używanie” — pomyślał Decker.

— Posłuchaj, kapitanie, musimy zmykać.

— Tu jestem bezpieczny.

— Nie bardzo. Ukryłeś się za kibelem w luksusowym hotelu. Ktoś przyjdzie i będzie miał pretensję.

— Tak myślisz?

Decker skinął cierpliwie głową.

— O wiele bezpieczniej będzie w Harney — rzekł. — Jak zaraz się ruszymy, to o północy będziemy już nad jeziorem.

— Poważnie?

— Tak.

— Jeśli to jakaś pułapka, Miami, to cię zabiję. Wyrwę ci pęcherz moczowy i wplotę we włosy.

— To nie pułapka. Chodźmy.

Wyciągnięcie Skinka z rur zabrało Deckerowi czterdzieści pięć minut. W trakcie tej skomplikowanej operacji odpadła od podstawy umywalka. Decker zostawił ją na łóżku.

W recepcji wynajął forda escorta. Wyjechawszy z podziemnego parkingu, zatrzymał się przy wejściu dla pracowników, gdzie Skink czekał obok śmietnika. Decker zauważył, że trzyma on coś białego pod pachą.

— Co masz? — spytał.

— Mewę. — Skink podniósł ptaka za pomarańczowe nóżki. — Kojfnęła nie dawniej niż dziesięć minut temu. Zdjąłem ją z chłodnicy tamtej ciężarówki z rybami.

— Ale mamy szczęście — powiedział cierpko Decker.

— Jesteś głodny? Moglibyśmy się zatrzymać i upiec ją, jak już się zrobi luźniej na jezdni.

— Może później, dobra?

— Jak chcesz. Będzie świeża jeszcze z parę godzin.

Jadąc na zachód, minęli Port Everglades i oceanarium. Na ulicach panował duży ruch, między samochody nie dałoby się wcisnąć nawet szpliki. Niemal wszystkie auta miały nowojorskie tablice rejestracyjne. „Skretyniali styczniowi plażowicze” — pomyślał Decker.

Skink włożył mewę do schowka na rękawiczki i przykrył ją dokumentem wynajmu. Najwyraźniej czuł się już lepiej. Włożył okulary przeciwsłoneczne oraz czepek kąpielowy i odwrócił się w fotelu, chcąc sięgnąć po leżący z tyłu kombinezon. Wtem zauważył, że dwa samochody za nimi jedzie granatowy chrysler. Z policyjną lampą sygnalizacyjną na desce rozdzielczej. Nie świeciła się, ale była tam. Na wysokości ust niewidocznej za przyciemnioną szybą

twarzy kierowcy zarzył się maleńki punkcik.

— Czy twój kumpel Garcia pali? — spytał Skink.

Decker spojrział w lusterko.

— O cholera — mruknął.

Skink wcisnął się w kombinezon i poprawił okulary.

— No i co będzie, Miami? — spytał.

W tej chwili lampa zaczęła błyskać. Decker popatrzył bezradnie przed siebie; wszędzie jechały w zwartym szyku samochody, aż po horyzont. Nie było którędy udekać. Garda siedział mu na zderzaku i błyskał światłami. Decker uznał, że będzie miał większe szanse,

gdy spotka się z nim sam na sam, bez innych gliniarzy. Postanowił się zatrzymać.

Podjechał na parking przed sklepem monopolowym. Garcia zablokował wielkim chryslerem ich małego escorta. Nie wyłączył lampy. „Zły znak” — pomyślał Decker.

— Nie waż się wyjmować broni — powiedział do Skinka.

— Spokojna głowa. Moja spluwa śpi z rybkami.

Garda podszedł do nich wolnym krokiem. Nachylił się do okienka od strony Deckera i rzekł:

— R. J., jesteś największym pierdołą na świecie.

— Przepraszam, że wtedy zwałem — powiedział Decker.

— Szukają dę wszyscy z wyjątkiem Gwardii Narodowej.

— Skoro już o tym wspomniałeś, Al, to czy przypadkiem nie przekroczyłeś granic swego rewiru? To chyba okręg Broward, prawda?

— Jesteś poszukiwanym przestępcą, dupku, więc mogę cię ścigać, gdziekolwiek mi się podoba.

Tak mówi prawo. — Garda wypluł niedopałek i wtarł go butem w asfalt.

— Pewnie śledziłeś Catherine całą drogę z Miami, co? — spytał Decker.

— Zgrabnie jeździ, robiła co mogła.

— Al, ja nikogo nie zabiłem — powiedział.

— A ten Stevie Wonder obok debie?

Skink błysnął oczami zza okularów.

— Chodźde, przejeździemy się razem — rzekł Garcia. Zachowywał się tak uprzejmie, że nawet nie wyjął broni. Godne podziwu. „Żeby tylko Skink nie zrobił jakiegoś głupstwa” — pomyślał Decker.

Skink wyjął mewę ze schowka, a Decker zamknął samochód. Garcia czekał przy chryslerze.

— Kto chce jechać z przodu? — spytał.

— Myślałem, że jako bezlitośni mordercy będziemy siedzieć z tyłu, w klatce — rzekł Decker.

— Gdzie tam — skrzywił się Garda, gasząc lampę na desce rozdzielczej. Włączywszy się w

ruch uliczny, skręśli z Siedemnastej Ulicy w autostradę, następnie pojechali na zachód drogą, okropną szosą pełną ciężarówek. Decker zdziwił się, że Garda nie skręcił na skrzyżowaniu na południe.

— Dokąd jedziemy? — spytał.

— Nad jeziorem jest luźniej, nie? — rzekł Garcia.

— Nie bardzo — odparł Decker.

— On mówi o jeziorze Jesup — odezwał się z tyłu Skink. — O Harney.

— Zgadza się. A po drodze made mi opowiedzieć wszystko, co wie o łowieniu okoni — poledł policjant.

Wieści znad Jezior Okoniowych były fatalne.

— Wyzdychały — zakomunikował hydrolog, młodzieniec świeżo po uniwersytecie, wynajęty niedawno przez Weeba.

— Jak to wyzdychały? — spytał wielebny. — O czym mówisz?

Hydrolog mówił o rybach, o dwóch tysiącach rocznych okoni sprowadzonych za słone pieniądze z prywatnych stawów hodowlanych w Alabamie.

— Wykitowały — rzekł. — Co mogę powiedzieć? Ta woda jest bardzo kiepska. Garbniki ryby jeszcze zniosą, ale taki poziom fosforanów jest wręcz zabójczy. Nie ma tlenu, nie ma naturalnego przepływu wody. Ten, kto wykopał panu te kanały...

— Jeziora, do jasnej cholery!

— ...wykopał za głęboko. Ryby nie pożyją tu dłużej niż dwa dni.

— Jezu przenaświętszy! Więc jak to jest? Mam przez to rozumieć, że pływa tam teraz na powierzchni dwa tysiące zdechłych ryb?

— No nie, wynająłem kilka łodzi i kazałem je zebrać. W taką pogodę jak dziś nie jest jeszcze źle, ale jak nadejdzie cieplejszy front atmosferyczny, to będzie śmierdziało po Nowy Jork.

Weeb rzucił słuchawkę na widełki i jęknął.

— Co się stało, ojcze? — spytała leżąca obok niego dziewczyna.

— Żaden „ojcze” — warknął. — Nie jestem duchownym. — Nie miał siły na wywody teologiczne, poza tym i tak byłaby to strata czasu. Dziewczyna pracowała jako tancerka w lokalu w Gret-na. Powiedziała, że wraz z całą rodziną ogląda go co niedzielę w telewizji.

— Nigdy przedtem nie byłam z gwiazdorem — rzekła, przytulając się do niego. — W dodatku z takim wielkim.

Charlie Weeb słuchał jednym uchem. Tęsknił za Ellen 'Leary;

żadna inna nie wyglądała tak ponętnie w długich butach. Żadna inna nie potrafiła ukoić jego nerwów. Ale odeszła. Uciekła po morderstwie Lockharta. Kolejne rozczarowanie w tym czarnym tygodniu.

— Ile ci jestem winien? — spytał tancerkę.

— Nic, ojciec — odpowiedziała speszona. — Przyniosłam własne pieniądze.

— A to po co?

— Bo chciałabym o coś prosić — powiedziała szeptem. — I chcę za to zapłacić.

— O czym ty, u licha, gadasz?

— Chcę, żeby wielebny uzdrowił mojego tatusia. — Spojrzała na niego nieśmiało. — Tatuś ma podagrę.

— Nie, dziecko...

— Czasem nie może nawet wstać z łóżka.

Weeb poruszył się niespokojnie i zerknął na zegarek.

— Dam dwieście dolarów — rzekła dziewczyna.

— Mówisz poważnie?

— Tylko jedną modlitwę, bardzo proszę.

— Dwieście zielonych?

— Plus mineta, jeśli wielebny ma ochotę.

Charlie Weeb popatrzył na nią; to chyba prawda, co mówią potędze telewizji.

— Chodź tu, dziecko — rzekł łagodnie. — Módlmy się.

Zostawszy sam, wielebny Charles Weeb rozmyślał o dziewczynie

o jej prośbie. Może to jest odpowiedź, której szuka? Odnosiło skutek parę lat temu, może odniesie i teraz?

Wypił whisky i bezskutecznie próbował zasnąć. Ostatnimi czasy sen z powiek spędzała mu mroząca krew w żyłach świadomość, że z Jeziorami Okoniowymi, z jego wymarzonym osiedlem, jest coraz więcej kłopotów. Federalna Komisja Kontroli Bankowej, której rewidenci zawitali pewnego dnia do First Standard Eurobank of Ohio odkryła, że bank ten jest na granicy upadłości. Przyczyniło się do tego udzielanie kredytów bez żadnych ograniczeń. Chrześcijańska Sieć Telewizyjna była, rzecz jasna, jednym z głównych beneficjentów przyprawiającej o zawrót głowy szczodrości — otrzymała dwadzieś-

cia cztery miliony dolarów na zaprojektowanie i budowę osiedla. Na papierze — w samej umowie kredytowej i terminach spłaty — nie było nic niewłaściwego (jedenaście procent na dziesięć lat), ale w rzeczywistości niewiele pieniędzy jak dotąd zwrócono. Najwyżej sześć tysięcy

dolarów. W dziale spłat panował przeogromny bałagan — pracowali tam najcierpliwszi i najsympatyczniejsi chrześcijanie, jakich wielebny Weeb kiedykolwiek spotkał. Notorycznie nie uiszczal wyznaczonych dwumiesięcznych spłat, a oni stale mu mówili, żeby się nie martwił. No więc się nie martwił, bo przecież banki w dzisiejszych czasach nie ogłaszają upadłości. Kiedy Komisja Kontroli Bankowej dokonała nalotu na Eurobank, okazało się, że wykazywał on wielką cierpliwość nie tylko w stosunku do Chrześcijańskiej Sieci Telewizyjnej, ale również w stosunku do większości klientów i jedynie farmerzy zmuszeni byli spłacać pożyczki w terminie. Prezes banku i jego trzej zastępcy uciekli na Barbados, pozostawiając cały ten bajzel. Wkrótce rozeszły się niedobre wieści: Eurobank żąda zaległych spłat. Rozmaici przedsiębiorcy, jak kraj długi i szeroki, chowali się w mysich dziurach. Charlie Weeb też przez pięć dni umykał przed jakimś matolem z „The Wall Street Journal”.

Wielebny zamierzał spłacać pożyczkę w miarę sprzedaży lokali nad Jeziorami Okoniowymi. Na nieszczęście sprzedaż szła bardzo powoli. Charlie Weeb nie wiedział, co o tym myśleć. Wymienił ludzi od marketingu, wymienił ludzi od reklamy, wymienił ludzi z działu sprzedaży, ale nic to nie dało. Prawdziwy obłąd. Przecież makieta osiedla prezentowała się wprost przepięknie! Trzy sypialnie, wpuszczona w podłogę wanna, sauna, gotycki sufit, solarne ogrzewanie i wyposażona kuchnia w każdym lokalu — „Chrześcijańskie domostwa, o jakich można tylko pomarzyć!”, głosił slogan. Charlie Weeb z fanatycznym uporem używał słowa „domostwo”, które w tym wypadku stanowiło koniunkturalny eufemizm określenia „mieszkanie dwupoziomowe”. Problem polegał na tym — o czym wiedział byle kretyn — że nie można żądać stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów za „mieszkanie” odległe od oceanu o czternaście mil. Z tego powodu każdy zatrudniony przy promocji Jezior Okonio-wych agent, któremu wyrwało się to ohydne słowo, natychmiast kończył karierę. Termin „mieszkanie” nasuwa obrzydliwe skojarzenia, wbijał współpracownikom do głów Charlie Weeb. To nie miały

być obdrapane piętnastopiętrowe bloki mieszkalne dla emerytów, tylko eleganckie osiedle chrześcijańskie. Ze ścieżkami rowerowymi!

Mimo to w ciągu pierwszych czterech miesięcy sprzedano zaledwie sto sześćdziesiąt lokali. Sto sześćdziesiąt! Weeb wychodził z siebie, gdy o tym myślał. Zakładano, że w pierwszej fazie sprzeda się osiem tysięcy! Bez zakończenia pierwszej fazy nie może być mowy

fazy drugiej, a bez fazy drugiej można zapomnieć o zamiarze wybudowania dwudziestu dziewięciu tysięcy lokali. I po cholere te kredyty, wierzytelności, ciuciubabka z zarządami budowy dróg

komisjami planowania? Im dłużej ciągnęło się całe przedsięwzięcie, tym większe powstawało niebezpieczeństwo, że decydenci okręgowi, którzy łaskawie przyjęli od wielebnego

łapówki, wymrą albo skończą kadencję i trzeba będzie płacić nowej bandzie. W dodatku może się znaleźć jeden rycerz bez skazy i roboty zostaną wstrzymane.

Wielebny miał jeszcze większe zmartwienia. Na początku był tak pewien sukcesu, że złamał swą kardynalną zasadę i zainwestował w Jeziora Okoniowe trzy miliony własnych dolarów, ulokowanych dotąd bezpiecznie w banku na wyspach Bahama. Na myśl o ich utracie chwytały go mdłości. Leżąc w łóżku i zestawiając w głowie słupki wielocyfrowych liczb, doszedł do wniosku, że Chrześcijańska Sieć Telewizyjna prawdopodobnie nie jest na tyle silna, by przetrwać, jeśli Jeziora Okoniowe zbankrutują.

Musiał zatem zdobyć pieniądze, dużo pieniędzy. I to szybko. Właśnie dlatego należało jak najszybciej zorganizować Memoriał imienia Dickiego Lockharta. Jeziorom Okoniowym była na gwałt potrzebna reklama i promocja. Telewizyjna relacja z zawodów wędkarskich na pewno zwiększy sprzedaż lokali — pod warunkiem że zdąży się pomalować część budynków i posadzić kilka palm.

Weeb uważał, że przywiezienie dwóch tysięcy okoni było niezwykle sprytnym posunięciem. Żeby wszystko wyglądało autentycznie, postanowił nawet wpuścić do jezior na parę dni przed turniejem kilkadziesiąt wielkich florydzkich okazów. No i oczywiście nie miał wątpliwości, że to Eddie Spurling wygra memoriał, złowiwszy największego okonia, jakiego można sobie wyobrazić. Weeb musiał jeszcze przedyskutować z nim tę sprawę, ale był pewien, że się dogadają. Pewne szczegóły trzeba przygotować zawczasu. Nic nie może być dziełem przypadku, zwłaszcza gdy telewizja relagonyje wszystko na żywo.

W wielebnego wstąpił nowy duch, który jednak uleciał bez śladu, gdy nadeszły wieści o wymarciu ryb. Do głowy mu nie przyszło, że okonie mogą wyzdychać. Nie obchodziły go żadne mętne wyjaśnienia naukowe; wiedział jedno: pod żadnym pozorem nie wolno odwołać turnieju. Jeśli trzeba będzie, zakupi kolejną partię ryb i każe je wrzucić ukradkiem do jeziora na kilka godzin przed rozpoczęciem zawodów. Może ten jajogłowy hydrolog coś poradzi, przedłuży im życie o kilka godzin. Weeb był pewien, że coś się wymyśli.

Jako promocja Jezior Okoniowych, zawody wędkarskie zapowiadały się obiecująco. Tymczasem jednak trzeba było szybko zaradzić chwilowemu brakowi gotówki.

Rozwiązanie tego problemu podsunęła wielebnemu zatroskana o zdrowie tatusia tancerka.

Usiadł w łóżku i sięgnął po telefon.

— Poproszę z diakonem Johnsonem.

W słuchawce rozległ się zaspany głos.

— Izzy, obudź się, to ja — rzekł Weeb.

— Człowieku, jest trzecia w nocy.

— Gównu mnie to obchodzi. Obudziłeś się już?

— Tak.

— Izzy, chcę w najbliższą niedzielę dokonać uzdrowienia.

— Mówisz poważnie? — spytał Johnson po chwili ciszy.

— Śmiertelnie poważnie. Chyba że masz inny pomysł, jak szybko zdobyć pieniądze.

— Uzdrowianie to śliska sprawa, Charles.

— Cholera, mnie to mówisz?! Przecież dlatego dałem sobie z tym spokój. Ale nadeszły ciężkie czasy, Izzy. Postanowiłem, że nakręcimy jutro kilka piętnastosekundowych reklam, pchniemy sprawę ostro do przodu. Do końca tygodnia podniesiemy oglądalność i zarobimy z milion dolarów.

— Milion? — powtórzył zdziwiony Johnson. — Za głupiego barana?

— Jakiego barana? Uleczę człowieka.

Zapadła cisza.

— Co ty na to? — spytał Weeb.

— Charles, nigdy nie robiliśmy numerów z ludźmi.

— Nigdy też nie mieliśmy kłopotów ze spłatą dwudziestu

czterech milionów. Chcę, żebyś to przygotował tak samo jak ze zwierzętami. Znajdź mi kogoś odpowiedniego.

Johnson nie okazał wprawdzie entuzjazmu, ale był zbyt mądry, by się spierać.

— Znajdź jakieś dziecko — mówił Weeb — albo nastolatka. Żadnych starych dziadów ani rozhisteryzowanych bab.

— Postaram się — odparł Johnson. To przedsięwzięcie już teraz go przerażało.

— Blondyna, jeśli się da — ciągnął Weeb. Miał mnóstwo pomysłów i był pewien, że każdy z nich wyciśnie z widzów łzy i grube tysiączki. Wiedział to z własnego doświadczenia, przecież tyle czasu opowiadał na wizji tragiczną historię June-Lee i Melissy, swych mitycznych sióstr, sprzedanych w chińską niewolę. — Żadnych rudzielców — przestrzegł Johnsona. — Dasz mi jakiegoś ładnego jasnowłosego dzieciaczka, którego mógłbym uzdrowić, i przysięgam ci, że będziemy mieli co najmniej milion.

— A nie powinienes najpierw przeciwzyć tego choćby z kozą? — spytał Johnson.

m

Godzinę po wyjeździe z Fort Lauderdale Skink wziął się za oskubywanie mewy. Co chwilę wyrzucał za okno garść piór. Garcia poprawił lusterko i patrzył nań z niedowierzaniem. Gdy Decker wyjaśnił mu, o co tu chodzi, Garcia postanowił zatrzymać się gdzieś po drodze na koloqę. Wyrzucili Skinka niedaleko wiaduktu Delray Beach, żeby mógł na osobności upiec ptaka. Kiedy Skink wysiadał, Garcia chdał mu dać zapalki, ale on mruknął, że nie potrzebuje.

— Jedziemy do miasta na hamburgery — powiedział Decker. — Spotkamy się tu za godzinę.

— Dobra — odpiął Skink.

— Mam nadzieję, że będziesz czekał?

— Najprawdopodobniej.

Kiedy odjeżdżali, Skink zbierał już drewno na ognisko.

W kolejce do samochodowego Burger Kinga Garcia rzekł do Deckera:

— Więc chodzi o to, że mordują się oni nawzajem dla ryb?

— I dla pieniędzy, Al. Dla nagród, reklam, kontraktów telewizyjnych. Ryby stanowią tylko środek do osiągnięcia celu. I nie wszyscy z nich to leśne głupki.

— Pewnie masz rację — zaśmiał się policjant. — Załatwili dę, co?

— Tak, że lepiej nie można — przyznał Decker. Po drodze

opowiedział Garcii o Dennisie Gaulcie, o zdjęciach, o Dickiem Lockharcie i Lanie. O Lanie było mu najtrudniej mówić.

— Mogę się jedynie domyślać — rzekł — że pamiętała moje nazwisko z sesji zdjęciowej w Sanibel. Potem przeczytała pewnie o sprawie Bennetta, pisały przecież o tym wszystkie gazety. Bezlitosny „Sun” dał wówczas nagłówek: „Nasz fotograf uznany winnym pobicia gwiazdora futbolu.”

— Gault musiał zacierać ręce, kiedy jego siostra zaproponowała cię do roboty — rzekł Garcia. — Znany fotograf z ciemną przeszłością i dym charakterem. W dodatku pechowiec.

— Akurat taki człowiek był mu potrzebny — przytaknął ponuro Decker.

— A co ze zdjęciami Lockharta? Dostałem kserokopie z Nowego Orleanu. Wyglądają pięknie.

— To muszą być fotomontaże.

— Wykorzystałem nakaz i zabrałem z twojej przyczepy wszystkie filmy. Nasze laboratorium je wywołało.

— I co?

— Same śmiede. Jakies zdjęcia z za węglą dla firmy ubezpieczeniowej. Żadnych rybek, R. J.

No i proszę. Lanie musiała wyciągnąć mu film z torby w motelu w Hammond. Jej brat pewnie bez trudu znalazł laboranta, który spreparował odpowiednie odbitki.

— Jezu, Al, co ja mam robić? — spytał Decker.

— No cóż, jako stróż prawa stanu Floryda muszę ci powiedzieć, byś się oddał w ręce policji, zgodził się na ekstradycję i zawierzył wymiarowi sprawiedliwości. Jako przyjaciel radzę ci jednak, żebyś się trzymał z daleka od Luizjany, dopóki nie znajdziemy jakichś świadków.

— Znajdziemy? — spytał Decker zdziwiony. — Al, wsiąkniesz po same uszy, jeśli się dowiedzą, że mi pomagasz. Pewnie już jesteś w tarapatkach, bo samochodem policyjnym

przekroczyłeś granicę okręgu Dade.

Garda się uśmiechnął.

— Nie mówiłem ci? Od dwóch dni jestem na chorobie. Na razie bezterminowo. Lekarz mówi, że z moim 'amieniem kiepsko. Porucznik nie był uszczęśliwiony, ale CO tu ma zrobić? Połowa naszych ludzi bierze zwolnienie, jak tylko mają kaca, a mnie, gdy

dostałem z obrzyna z dwóch metrów, nie było w robocie tylko trzy tygodnie. Nie mają prawa psioczyć z powodu tygodnia chorobowego.

— Zwolnienie — mruknął Decker. — To wyjaśnia, dlaczego tak łagodnie się z nami obchodzisz.

— Nie wysilaj się, dupku. W tej chwili jestem jedynym przyjacielem, jakiego masz.

— Nie całkiem — odparł Decker.

Ozzie Rundell powiedział, że wuj Thomasa Curla, Shawn, mieszka pod Orlando. Zaledwie cztery mile od Centrum Disneya Shawn Curl prowadził ogród zoologiczny zwany Afrykańskim Safari. Ozzie chciał nawet narysować mapę, ale Jim Tile odparł, że nie trzeba.

Nietrudno było znaleźć podupadłe zoo. W ciągu ostatnich sześciu lat, od kiedy to Shawn Curl nabył interes od Leroya i Sheeny Barnwellów, wspaniała niegdyś menażeria egzotycznych zwierząt przeobraziła się w żalosne stadko złożone z jednego wycieńczonego lwa, dwóch wyłysiałych lam, trzech kozic, ślepego boa dusiciela i siedemnastu niezdyscyplinowanych szopów. Ogromna czerwona tablica ustawiona przy drodze głosiła, że „dzieci mogą głaskać okazy”, ale niestety nie było tam nic do głaskania, przynajmniej bez narażenia zdrowia i życia. Firma, w której Curl się ubezpieczył, pospieszenie wycofała polisę po tym, jak po raz dziewiąty złośliwy szop pokąsał turystę. Curl musiał więc postawić trzymetrowe ogrodzenie oddzielające zwiedzających od zwierząt. Jediną przynoszącą względny dochód atrakcją w Afrykańskim Safari była kabina z plastikowymi palmami, w której za jedyne trzy dolary siedemdziesiąt pięć centów turyści fotografowali się z wężem boa owiniętym wokół szyi. Zwiedzający nie wiedzieli, że biedak jest ślepy. Nie wiedzieli również, że olbrzymowi zszyto szczęki, pozostawiając jedynie kilkucentymetrowy otwór, przez który karmiono go za pomocą rury. Shawn Curl wolał nie ryzykować.

Zdziwił się bardzo, gdy pewnego dnia do jego sklepu z pamiątkami wszedł muskularny czarny policjant ze służby patrolowej, albowiem nigdy przedtem nie widział w Orlando Murzyna w mundurze drogówki. Iważył, że gość lekko utyka, i doszedł do wniosku, że pewnie przyjęto go do poliq'i, aby być w zgodzie z jakimiś durnymi przepisami zatrudniania inwalidów reprezentujących mniej-

szóści rasowe. Shawn Curl postanowił zachowywać się uprzejmie, żeby czarnuch nie doniósł na niego do Towarzystwa Przyjaciół Zwierząt.

— Czym mogę służyć, panie władzo? — zagadnął.

Jim Tile stanął przy ladzie i popatrzył na podrabiane myszki Miki, które dzierżyły w łapkach sztandary konfederatów.

— Made in Thailand — przeczytał głośno napis.

Shawn Curl odkaszlnął nerwowo.

— Aż dziewięć pięćdziesiąt?

— Dla pana pięćdziesięcioprocentowa zniżka.

— Zniżka?

— Wszystkim stróżom prawa obniżamy ceny.

Jim Tile odłożył maskotkę na półkę.

— Czy u Disneya wiedzą, że sprzedajesz to gównno?

Shawn Curl zagryzł wargi.

— Panie władzo, myślałem, że to jest legalne — odparł.

Jim Tile rozejrzał się po sklepie.

— Mogliby cię podać do sądu za wszystko, co tu jest.

— Ale ja przecież nic nie zrobiłem. O co chodzi?

Obejrzawszy półki zawałone kolorowymi kokosami, stosami gumowych aligatorów, pękniętych muszelek, rekinów do kąpielii i innych śmieci, Jim Tile ponownie wbił chmurny wzrok w podrabianą myszkę Miki.

— Nie wykręciłbyś się. Za samą flagę rebeliantów nasłaliby na ciebie adwokatów.

Rozeźlony Curl nadął policzki.

— Kto pana przysłał? — spytał.

— Szukam Thomasa.

— Nie ma go tu.

— To powiedz, gdzie jest.

— A ma pan nakaz?

— Nie, ale mam jego wuja — odparł Tile. — I trzymam go za mordę.

Do sklepu weszli klienci — rodzina na wakacjach. Dzieci wbiegły podniecone, matka niepewnie spojrzała na wystawiony towar, a ojciec zerknął przez okno na teren zoo. Jim Tile miał nadzieję, że niedługo tu zabawią. I nie pomylił się.

— Szopy, nic więcej — powiedział ojciec rodziny. — W Michigan mamy miliony szopów.

Zostawszy z powrotem sam na sam z Curlem, Tile rzekł:

- Shawn, masz mi natychmiast dać adres swego siostrzeńca w Nowym Orleanie.
- Proszę bardzo — odparł Curl, pisząc na odwrocie karty pocztowej — ale jego tam nie ma.
- A gdzie jest?
- Ostatni raz, gdy tu zajechał, był w drodze do Miami.
- Kiedy to było?
- Parę dni temu.
- Gdzie miał się zatrzymać?
- W jakimś dużym hotelu.
- Nie jesteś zbyt pomocny, Shawn. Chyba jednak będę musiał zadzwonić do Disneya.

Curlowi wcale się to nie uśmiechało. Adwokaci? Brrr!

- Hotel Grand Biscayne — odparł posępnie. — Nie pamiętam całej nazwy.
- Po co pojechał do Miami?
- W interesach.
- A jakie on ma interesy?

Curl wzruszył ramionami.

- Mówi, że to promocja — odrzekł.
 - Przypadkiem zauważyłem tu dużego niebieskiego oldsmobi-le'a. Wygląda jak nowy.
- Curl spojrzał na policjanta niepewnie.
- Nie, mam go już jakiś czas — powiedział.
 - Ale na szybie wciąż jest nalepka firmowa od dealera.
 - No to co?
 - Czy masz go od Thomasa?

Curl westchnął głęboko. „Świat schodzi na psy, jeśli czarnuchowi wolno tak do mnie gadać” — pomyślał.

- Może i od niego? Czy to zabronione?

— Nie, skąd — odparł Jim Tile. Podziękował Curlowi za to, że raczył mu poświęcić tyle czasu, i ruszył do drzwi. — Aha, byłbym zapomniał. Lew dobrał się do jednej z lam.

- O cholera! — krzyknął Curl i popędził na zaplecze po widły.
- Podwójne oszustwo

Chłopcy pojechali do szkoły na mecz koszykówki, ale nie zostali tam długo. Kyle, ten z podrobionym prawem jazdy, miał w bagażniku sześć puszek piwa i karabin ojczyma. Jeff i Cole, których postanowiono już wylać ze szkoły, jeszcze mniej niż on interesowali się sportem szkolnym. Mecz posłużył im jedynie jako pretekst do wyjścia z domu; musieli coś powiedzieć starym. Wyszli więc z sali gimnastycznej przed końcem pierwszej połowy i pojechali na swoje stałe miejsce, na

wysypisko śmieci poza miastem. Wyżłopali tam piwo, strzelając przy tym do butelek, puszek i nieszczęsnych szczurów. Kiedy już skończył się alkohol i naboje, pozostało tylko jedno do roboty. Jeff i Cole z lubością nazywali to „bęckami”, ale Kyle, najsilniejszy z nich, twierdził, że to on wynalazł i samą nazwę, i zabawę. Tak też mówili wszyscy w szkole: to musiał być jego pomysł.

Co roku z początkiem zimy na Florydzie zjawiają się gromady bezdomnych, równie regularnie jak turyści i ptaki wędrowne. Jest ich wprawdzie mniej niż turystów i ptaków, ale za to rzucają się w oczy: sypiają w parkach i bibliotekach publicznych, zebrzą na rogach ulic. Na południu Florydy klimat zimą jest tak łagodny, że niemal każdy kąt na wolnym powietrzu nadaje się do zamieszkania. Raj, tak wielu z nich to określa. Wprawdzie władze niektórych miast nie tolerują inwazji bezdomnych (na przykład w Palm Beach włóczęgostwo karane jest tak, jak zabójstwo za pomocą siekiery), ale zwykle poruszają się oni bez obawy o swą wolność. Powód jest bardzo prosty — na południu Florydy nie ma miejsca w więzieniach przepełnionych prawdziwymi przestępcami.

Tak więc w połowie grudnia włóczędzy zaczynają się pojawiać na ulicach. Bezbronni, samotni, nie lubiani, są idealnym celem ataku. Kyle i jego koledzy uświadomili to sobie już pierwszego razu. Pewnego dnia, założywszy się o pięć dolarów z Cole'em, Kyle skuł mordę bezdomnemu pijackowi pod mostem. Uciekli w popłochu, ale nic się potem nie wydarzyło. Rzecz jasna, bezdomny nie zgłosił napadu na policji — wyśmiano by go. Tydzień później dzielna trójka znowu się zabawiła, natknąwszy się w Boca Raton na śpiącego na polu golfowym starego hipisa. Tym razem to Jeff i Cole bili, Kyle zaledwie dołożył parę razy kolbą karabinu ojczyma. Znowu uciekli, ale już zaśmiewając się z uciechy.

Wkrótce „bęcki” stały się ich cotygodniową rozrywką, eks-

cytującym hobby, stałym zajęciem. Chłopcy nudzili się, nie byli popularni w szkole; zarówno szkolne ćpuny, jak i sportowcy trzymali się od nich z daleka. Tak więc kiedy tylko Kyle miał do dyspozycji samochód i trochę forsy na piwo, spotykali się z Jeffem i Colem. Strzelanie z karabinu zawsze wprowadzało ich w odpowiedni nastrój.

Tego dnia, jak tylko odjechali z wysypiska, zaczęli się rozglądać za jakimś bezdomnym. To Jeff zobaczył faceta leżącego pod wiaduktem Turnpike. Kyle zawrócił, minął go i zatrzymał się pięćdziesiąt metrów dalej. Chłopcy wysiedli i zaczęli się skradać. Wszystko było, jak należy — wieczór, kawałek nie oświetlonej drogi i prawie żadnego ruchu ulicznego.

Skink właśnie zasypiał, rozciągnięty na betonowym nasypie, zwrócony twarzą w przeciwną stronę. Usłyszał kroki, ale był pewien, że nadchodzą Decker i Kubańczyk. Zaniepokoiły go dopiero zduszone szepty. Spojrzał przez ramię, ale w tej samej chwili podbiegł Kyle i kopnął go z całej siły w głowę. Skink stoczył się z nasypu i leżał nieruchomo twarzą do ziemi.

— Przepraszam, szanowny panie, że potłukłem ci szkiełka — rzekł Kyle. Podniósł zbite

okulary, żeby pokazać je kolegom.

Jeff i Cole podeszli i zaczęli kopać Skinka w zębra.

— Podoba mi się jego gajer — powiedział Jeff. Był kościstym, pryszczatym chłopcem. — Świetnie by się w tym polowało — dodał, macając palcem pomarańczowy kombinezon.

— To se to weź — rzekł Kyle.

— Jasne, bierz — namawiał Cole — to nic, że jest na ciebie z dziesięć razy za duży.

— Będziesz wyglądał jak pomarańczowy wigwam — zadrwił Kyle.

Jeff ukląkł, próbując przekręcić Skinka na plecy.

— Ciężki skurwiel — stęknął. — Pomóżcie mi.

Przewróciwszy bezwładnego Skinka na wznak, rozebrali go.

— Wygląda, jakby kipnął — zauważył Cole.

— Pociągnij go za kuca, to ożyje — rzekł Jeff. Ubrał się w olbrzymi kombinezon. Kaptur opadał mu na oczy, a nogawki i rękawy były o pół metra za długie. Koledzy zaśmiewali się do łez, gdy zaczął tańczyć pod mostem. — Jestem włóczęga, jestem włóczęga — śpiewał. — Martwy włóczęga. Z gęby smród, z uszu miód...

Urwał, bo zobaczył jakiegoś mężczyznę, który gnał ku nim od strony szosy. Chciał ostrzec Kyle'a. Ale było za późno.

Nieznajomy skoczył, ścinając Kyle'a i Cole'a z nóg. Rozpętało się piekło. Uderzył Cole'a trzy razy w twarz, gruchocząc mu nos i kość policzkową, która trzasnęła jak skorupka jajka. Na ten dźwięk Jeffowi żołądek podszedł do gardła. Tymczasem Kyle, który był wyższy od napastnika, zdołał się podnieść i chwycił go z tyłu za szyję. Wciąż klęcząc, nieznajomy uderzył go mocno łokciami w pachwinę. Bliski omdlenia Jeff widział, jak jego kolega skręca się z bólu. Chwilę później tamten mężczyzna siedział już na nim i bił go z rozmachem po twarzy.

Jeff rzucił się do ucieczki, jednak nogi zaplątały mu się w obszernym kombinezonie i upadł. Wstał, ale po chwili znów się wyłożył jak długi. Jakaś ręka chwyciła go za kark i coś zimnego poczuł u podstawy czaszki. Lufa.

— Nie ruszaj się, mały skurwysynu — powiedział srogi, śniady facet z wąsami.

Zaciągnął Jeffa pod wiadukt, gdzie nieznajomy dryblas wciąż siedział okrakiem na Kyle'u i demolował mu twarz.

— Przestań! — wrzasnął wąsacz. — Decker, przestań!

Nie przestawał go bić, albowiem nic nie słyszał. Słowa Garcii odbijały się echem wśród betonowej konstrukcji, nie docierając do uszu Deckera. Widział tylko zniechęconą twarz i czuł przemożną potrzebę ukarania tego człowieka. Walił metodycznie startymi, zakrwawionymi, zdrętwiałymi od ciosów pięściami. Przestał bić dopiero wtedy, gdy czyjeś silne ręce złapały go pod

pachy i uniosły wysoko, jakby ważył tyle co piórko. Wisiał w powietrzu przez dobrą chwilę. Kiedy opadł z powrotem na ziemię i oprzytomniał wreszcie, najpierw usłyszał swój własny oszalały, chrapliwy oddech. Potem dotarły do niego słowa olbrzyma o wielkich dłoniach, który rzekł zmęczonym głosem:

— Dobra, Miami, już się popisałeś.

[

Skink siedział nieprzytomny na tylnym siedzeniu z głową opartą na ramieniu Deckera. Oddychał z trudem. Decker czuł przez koszulę ciepłą wilgoć krwi.

— Stracił oko — rzekł Garcia posepnie, prowadząc samochód z papierosem w ustach.

Tak, Decker to widział. Zamiast lewego oka Skink miał teraz galaretowatą papkę, a po policzku spływała mu biaława ropa. Ten dryblas miał na nogach podkute buty kowbojskie.

— On potrzebuje lekarza — rzekł Decker.

„Ci trzej gówniarze też — pomyślał Garcia — tylko że oni na pewno przeżyją.” Skink zdążył powstrzymać Deckera, który pozabijałby ich gołymi rękoma. Garcia był pewien, że szczeniaki nie powiedzą policji o napadzie — ten kostropaty gnój może by się wygadał, ale pozostali dwaj mu nie pozwolą. Pewnie wymyślą jakąś wzruszającą bajeczkę, którą opowiedzą w szkole. Garcia gotów był się założyć, że spędzą resztę roku szkolnego w szpitalu.

Decker był wyczerpany i przygnębiony. Bolały go ramiona, a knykie piekły. Dotknął twarzy Skinka i poczuł na jego brodzie zakrzepłą krew.

— Chyba powinienem się poddać — rzekł.

— Nie bądź kretynem — odparł Garcia.

— Zawieziemy go do lekarza, potem wysadzisz mnie na autostradzie i wrócisz do Dade. Nikt się niczego nie dowie.

— Odchrzań się.

— Al, nie warto.

— Nie przekonuj go. — To powiedział Skink. Podniósł głowę i wytarł twarz rękawem kombinezonu. Palcem wskazującym dotknął lewego oczodołu.

— Pięknie — mruknął.

— Przy drodze do St Lucie jest szpital. Zawieziemy cię tam — powiedział Garcia.

— Nie, jedź dalej — odparł Skink.

— Przepraszam, kapitanie — rzekł Decker. — Nie powinniśmy dę byli zostawiać samego.

— A ja właśnie lubię być sam. — Skink przechylił się na bok. Ukrył twarz w deniu.

Garda zjechał z trasy przy Fort Pierce i zatrzymał się pod sklepem. Decker wysiadł, by zadzwonić. Skink poruszył się na tylnym siedzeniu i wyprostował. W świetle pobliskiej latarni jego

twarz wyglądała na całkowicie zdeformowaną. Garda widział, że cierpi męki.

— Niech pan się trzyma, gubernatorze — rzekł.

Skink popatrzył na niego.

— Oho, chyba zdjęliśmy jakieś odciski palców? — spytał.

Garcia skinął głową.

— Z mosiężnej klamki w domu kręgarza Jamesa. Odpowiadały dokładnie innym, które dostałem od FBI z kartoteki osób zaginionych.

— To zamknięta sprawa.

— Raczej słynna sprawa.

Skink zerknął przez okno.

— Kto jeszcze o tym wie? — spytał.

— Nikt oprócz mnie i pewnego urzędnika z FBI.

— Aha.

— W zasadzie, panie Tyree, nie lubię ludzi, którzy się wycofują, ale chyba musiał pan mieć jakieś powody?

— Nie mam zamiaru się tłumaczyć — odparł Skink. A po chwili dodał: — Nie mów Deckerowi.

— Nie ma powodu, żeby mówić.

Decker wrócił z gorącą kawą i bułką. Skink powiedział, że nie jest głodny. Kiedy jednak znaleźli się znów na szosie, poprosił ich, by wypatrywali przejechanych zwierząt.

— Mam coś dla ciebie — powiedział Decker i podał mu brązową torbę.

Skink ją otworzył i uśmiechnął się.

Wewnątrz znajdowała się para nowych okularów przeciwsłonecznych.

Tuż przed północą jęknął i znów stracił przytomność. Decker podarł na kawałki swoją koszulę i przewiązał mu oko. Trzymał jego głowę na kolanach.

— Jedź szybciej — powiedział do Garcii.

Kilka minut po tym, jak wjechali do okręgu Harney, w lusterku pojawił się radiowóz. Wprost przykleił się do zderzaka chryslera.

— O cholera — mruknął Garcia.

Ale w Deckera wstąpiła otucha.

Diakon Johnson był z siebie dumny. Pojechał do biura opieki społecznej i znalazł tam dziewięcioletnią jasnowłosą dziewczynkę o imieniu Daria, która miała zwyrodniałe stawy łokciowe. Kiedy wysuwała do przodu kościste rączki, wyglądały one wprost groteskowo, co zostałyby dramatycznie podkreślona przez kamerzystów Weeba. Spytał matkę dziewczynki, czy

może wypożyczyć małą na kilka dni. „Jasne, za sto dolców, ale bez żadnych świństw” — odparła matka. Johnson odpowiedział, że nie ma się czym martwić, albowiem chodzi o chrześcijańskie przedsięwzięcie. Zaprowadził dziewczynkę do swojej limuzyny i pojechali do studia Chrześcijańskiej Sieci Telewizyjnej na spotkanie ze słynnym Charlesem Weebem.

Wielebny siedział za swym biurkiem i obracał w dłoni okulary przeciwsłoneczne. Miał na sobie jasnoniebieski pulower, białe workowate spodnie i czarne buty sportowe firmy Nike. Młoda kobieta o monstrualnym biuście przyszytych mu jego słynne cynamonowe brwi.

— Daria, pokaż wielebnemu, co potrafisz — poprosił Johnson dziewczynkę.

Daria zrobiła krok do przodu i wyciągnęła ręce, jakby czekając na założenie kajdanków.

— No i? — spytał Weeb.

Zamknęła oczy, natężyła siły i nagle jej łokcie wygięły się pod niewiarygodnym wprost kątem. Stawy trzasnęły lekko.

Piersiasta fryzjerka omal nie zemdląła.

— Bravo! — zawołał Charlie Weeb.

— Dziękuję — odparła grzecznie Daria. Powykrzywiane ręce zwisały jej teraz bezwładnie.

— No i co myślisz, Izzy? — spytał kaznodzieja Johnsona. — Chyba H. M., co?

— Heinemedina? — Johnson zmarszczył brwi.

— Dlaczego by nie?

— To bardzo rzadkie w dzisiejszych czasach.

— Tym lepiej.

— Ale przecież wiadomo, że przeciw temu są szczepionki.

— Nie w górniczych wioskach w Appalachach — odparł Weeb. — I nie dla biednej dziewczynki, która żywi się korzonkami i pije deszczówkę.

— Ale ja mieszkam w ładnym mieszkaniu z mamusią — zaoponowała Daria.

— Izzy, porozmawiaj z tym dzieckiem — polecił Weeb. — Wyjaśnij jej, jak działa telewizja.

Całe szczęście, że przy tych próbach nie było publiczności. Początkowo, by się popisać, Daria bez końca wykrzywiała łokcie, prostowała, wykrzywiała, prostowała. Uświadomienie jej, jak ważne jest odpowiednie zgranie czynności, zabrało Johnsonowi sporo czasu. Na dany znak dziewczynka miała wywrócić oczami, wystawić język i paść na scenę jak rażona gromem. Kilka minut później powinna była stanąć ponownie przed kamerą, wyleczona z choroby. Dla udowodnienia skuteczności modłów wielebnego, miała złapać rzuconą jej piłkę plażową.

Ustalono, że Daria upadnie wtedy, gdy Weeb podniesie ręce i powie błagalnym tonem: „Panie Jezu, ulecz tę biedną chrześcijańską istotę!” Jednak mała ciągle rzucała się na ziemię po słowie „Jezu”, co całkowicie odwracało uwagę od modłów wielebnego. Kiedy już diakon Johnson uporał

się z tym problemem, usiłował nauczyć Darię chwytac piłkę. Z początku w ogóle nie próbowała jej łapać.

Piłka odbijała się od jej klatki piersiowej, raz uderzyła nawet w mikrofon i inżynierowi dźwięku omal nie popękały bębni w uszach. Wielebny Weeb stracił w końcu chrześcijańską cierpliwość i nazwał dziewczynkę „sparaliżowaną cipą”, czego ona na szczęście nie zrozumiała. Kiedy zażądał, żeby powrócili do wstrzykiwania lidokainy, diakon Johnson zaproponował, by najpierw zjeść lunch.

Zrządzeniem opatrności niedzielna transmisja na żywo poszła gładko jak po maśle. Ekipa znakomicie wywiązała się z zadania, pokazując Darię jako blade, zmizerowane, nieuleczalnie chore dziecko. Na umówiony znak mała runęła pięknie na scenę i — po kilku klapsach poza kadrem — wstała ponownie, promienna, piękna niczym cherubin, całkowicie uzdrowiona. Oglądając później program na magnetowidzie, wielebny nie mógł się nadziwić, jak sprytnie mała nastawiła z powrotem stawy w łokciach. Dopiero przy zwolnionym przesuwie taśmy można było dostrzec, jak to robi. Na końcu złapała nawet piłkę. Charlie Weeb był tak wzruszony, że nawet nie potrzebował glicerynowych łez.

Po uleczeniu Darli przez pięć minut pokazywano na ekranie numer telefonu, pod który można było zgłaszać wpłaty. Wieczorem Charlie Weeb otrzymał ostateczny obrachunek wpływów do kasy i zadzwonił zaraz do diakona Johnsona.

— Zgadnij ile, Izzy.

— Nie wiem. Z milion?

Weeb zachichotał.

— Jeszcze raz, frajerze.

Johnson był zbyt zmęczony, by bawić się w zgadywanki.

— Nie wiem, Charles.

— Milion czterysta! — zawołał Weeb.

Diakon otworzył usta ze zdziwienia.

— Rany boskie! — wyszeptał.

— Ano właśnie — rzekł Weeb. — Czy myślisz to samo, co ja?

Thomasowi Curlowi bardzo dobrze mieszkało się w hotelu Grand Bay, był więc wściekły, gdy okazało się nagle, że musi się z niego wyprowadzić. Otóż pewnego ranka, jedząc w wannie śniadanie, odebrał dziwny i niepokojący telefon. Trzaski na linii

świadczyły o tym, że jest to połączenie międzymiastowe, lecz nie był to ani głos Dennisa Gaulta, ani wuja Shawna, jedynych ludzi, którzy wiedzieli, gdzie go znaleźć. W dodatku brzmiał nieco murzyńsko. Curl, do którego zwrócono się po imieniu, natychmiast odłożył słuchawkę i

postanowił wynieść się z hotelu. Obawiał się, że to ten dziki goryl Skink, dla którego włamać się do luksusowego hotelowego apartamentu i utopić człowieka w wannie to tak jak splunąć.

Thomas Curl wynajął sobie skromniejszy pokój w hotelu Marriot przy lotnisku. Przedstawił się sprytnie jako Juan Gómez, albowiem wydawało mu się, że w Miami nazwisko to stanowi odpowiednik Johna Smitha. Fakt, że nie wyglądał na Latynosa, wcale go nie martwił, tym bardziej że jego nowy podpis nie wzbudził żadnych podejrzeń w recepcjonście.

Jeszcze tego samego wieczora, po zjedzeniu podanego do pokoju steku, Thomas Curl wziął się do roboty. Adres R. J. Deckera znalazł bez trudu w książce telefonicznej. Pozostało tylko kupić porządną mapę okręgu Dade.

Doszedł do wniosku, że trasa szybkiego ruchu do Palmetto jest gorsza od najgorszej drogi w Nowym Orleanie, gorsza nawet od międzystanowej autostrady numer w Orlando. Uważał się dotąd za wyśmienitego kierowcę, ale tego dnia stracił wiarę we własne siły. Jechał ponad sto kilometrów na godzinę, a czuł się tak, jakby utknął w korku na środkowym pasie, mijany po obu stronach przez pędzące na złamanie karku ciężarówki, samochody sportowe z pourywanymi tłumikami i eleganckie limuzyny. Nieraz słyszał niewiarygodne opowieści o kierowcach z Miami, a teraz mógł stwierdzić, że wszystko to święta prawda.

Poczuł wielką ulgę, gdy dotarł do bocznej drogi, w którą miał skręcić, do normalnej drogi ze światłami na skrzyżowaniach. Parking przyczep znajdował się na końcu ślepej uliczki. Curl objechał go powoli, aż znalazł skrzynkę pocztową Deckera. W przyczepie było ciemno i cicho, tak jak się spodziewał. Na zwirowej ścieżce stał szary samochód, dodge albo plymouth. W tylnych oponach było mało powietrza, jakby nikt nim od dłuższego czasu nie jeździł. Curl zaparkował obok i wyłączył światła. Spod fotela wyjął wielki śrubokręt. Nie był doświadczonym włamywaczem, ale wiedział, że z przyczepami nie ma zwykle żadnych trudności.

Żelazna reguła fachu włamywaczy brzmiała: zostaw broń w samochodzie, chyba że w razie wpadki chcesz mieć większy wyrok. Thomas Curl zwątpił w jej słuszność, gdy wbiwszy śrubokręt między framugę i drzwi przyczepy Deckera, ujrzał kilka metrów od siebie bulteriera, który przydreptał zobaczyć, co się dzieje. Spostrzegłszy obcego, pies warknął i obnażył zęby. Curl pomyślał, że przydałby się teraz pistolet albo karabin, które zostały w bagażniku samochodu.

Pies runął na Curla z całym impetem. Tracąc dech, Curl uderzył plecami w aluminiowe drzwi, udało mu się jednak utrzymać równowagę. Bulterier przysiadł do kolejnego skoku; w gardle mu bulgotało. Najwyraźniej był zdumiony, że nie zdołał zbić przeciwnika z nóg, ale Thomas Curl był krzepkim, krępy męczyzną.

Gdy pies skoczył po raz drugi, Curl cofnął się do drzwi i zasłonił twarz prawą ręką. Zrobił to w samą porę, albowiem ułamek sekundy później wbiły się w nią żółte kły. W pierwszej chwili nie czuł

bólu. Patrzył na psa i nie mógł uwierzyć własnym oczom: wielkie ślepie i jasny pysk zbrukany jego własną krwią. Oszałałe zwierzę wisiało w powietrzu, wijąc się i obracając, próbując oderwać mięso od kości.

Curl zdusił w sobie krzyk. Lewą ręką rozpaczliwie szukał unieruchomionego w drzwiach śrubokrętu. Wyrwał go ze stęknieniem i ścisnął mocno w dłoni. Następnie z wysiłkiem podniósł prawą rękę na wysokość twarzy, tak że bulterier wisiał teraz przed jego oczami, spieniony i rozszalały. Pewnym ciosem wbił zwierzęciu śrubokręt w gardło i z całej siły pociągnął do dołu, rozpruwając mu brzuch. Psie ślepie natychmiast zaszyły mgłą, a tylne łapy przestały wierzczać. Tylko szczęki wciąż mocno wpijały się w ramię. Curl stał sztywno przez dłuższą chwilę, czekając, aż umierającej bestii zwiotczają mięśnie. Lecz nawet gdy już wszystkie parujące wnętrzności wypłynęły na ziemię, szczęki nadal pozostały zaciśnięte.

Curl opanował atak mdłości. Śrubokręt wypadł mu z dłoni i odbił się ze stukiem od betonowego stopnia.

Nad drzwiami pobliskiej przyczepy zapaliło się światło, po czym wyjrzał z niej starszy mężczyzna w długim podkoszulku. Curl szybko odwrócił się do niego plecami, żeby nie widać było wiszącego mu u ramienia psa. W promieniu światła zauważył, że udało mu się wyważyć zasuwkę. Zdrową ręką przekręcił gałkę u drzwi i wszedł chwiejnym krokiem do przyczepy Deckera.

Położył się na wznak na kanapie z psem na piersi. Pozostał w tej pozycji chyba przez godzinę, ale w końcu nie potrafił dłużej znieść ugniatającego mu klatkę piersiową ciężaru oraz duszącego odoru krwi. Było ciemno, więc mógł się jedynie domyślać, jak wygląda jego prawe ramię. Czuł piekące swędzenie — pierwszy objaw zakażenia krwi — oraz rwący ból rozszarpanych mięśni. Był świadom tego, że wkrótce ciało psa zeszywnieje i wtedy w ogóle nie uda mu się wyłamać szczęk. Zaciśniętą w pięść lewą dłonią, nie podnosząc się, z całej siły uderzył w psi łeb. Rozległ się lekki stuk, lecz nie było żadnego efektu. Curl uderzył raz jeszcze. Zamknawszy oczy, wyobraził sobie, że jest na sali gimnastycznej i bije serią lewych prostych. Podczas zajęć z workiem treningowym jego trener puszczał z głośników Midnight Rambler. Curl nucił teraz w myślach tę piosenkę i walił raz po raz martwego psa w łeb. Za każdym uderzeniem ból zmasakrowanego ramienia rozdzierał mu mózg, tymczasem bul-terier zachowywał się jak nieczuły worek treningowy. Curla ogarnął strach, że psie szczęki ściska jakaś nadprzyrodzona siła.

Podniósł się z wysiłkiem i zapalił światło w kuchni. Zaczął demolować przyczepę w poszukiwaniu jakiegoś narzędzia. Drewniany kij od szczotki okazał się za słaby na demoniczne kły, z kolei młotek spowodował jeszcze większą jatkę. Wreszcie Curl znalazł w szafce piłkę ręczną. Wcisnął się do wąskiej łazienki i ukląkł. Wsunął omdlewającą rękę wraz z psem do kabiny z prysznicem i spojrzał półprzytomnym wzrokiem na makabryczne dzieło. Czy to od skrajnego

wyczerpania, czy to pod wpływem obłędu, który zaczął go ogarniać, nie poznawał, gdzie się kończy jego ramię a zaczyna zwierzę. Od poszarpanych mięśni aż po różowy ogon wszystko wydawało mu się jednym, ohydny kawałem ścierwa. Lewą ręką poszukał piły. Wymacał palcami zęby ostrza, wziął głęboki oddech i zrobił to, co musiał zrobić.

Catherine leżała w łóżku, gdy ktoś zadzwonił do drzwi.

James wyjechał poprzedniego dnia, tym razem na targi do Montrealu. Zgodził się wraz z kilkoma innymi kręgarzami promować nowy wyrób terapeutyczny — wibracyjną leżankę. Żegnając się z Catherine, obiecał przywieźć jej kasety wideo z tej wspaniałej

uroczystości. Z góry mu podziękowała i cmoknęła w policzek. James zapytał, jaka leżanka pasowałaby do ich salonu, w szkocką kratę czy w różyczki, ale ona odparła, że nie życzy sobie w domu takiego urządzenia. James odjechał w zwarzonym nastroju.

Usłyszawszy dzwonek, wstała, włożyła kusą podomkę z szyfonu i bosy podeszła do drzwi. Było już jasno, zegar we wnęce wskazywał wpół do dziesiątej. Znów zasnęła.

Przez okno zobaczyła zaparkowanego na dziedzińcu szarego plymoutha. Uśmiechnęła się — znowu to samo. Przyglądziła włosy przed lustrem. Otwierając drzwi, rzekła:

— Jak zwykle w samą porę, Decker.

Stojący tyłem do niej mężczyzna odwrócił się. To nie był R. J., lecz obcy krępy facet, ubrany w jego skórzaną kurtkę, którą Catherine kupiła w sklepie kowbojskim w Denver. Miał ją zarzuconą na ramiona jak pelerynę. „Może to jednak nie jest kurtka Decke-ra” — pomyślała z nadzieją.

— Dzień dobry — odezwał się nieznajomy. — Pani Decker?

— Stuckameyer. Panią Decker byłem kiedyś.

Miał rzadkie, płowe włosy, złamany nos i niewielkie, matowe oczka. Wręczył jej brązową kopertę z plikiem dokumentów w środku. Catherine zerknęła na zawartość i podniosła wzrok.

— O co chodzi? To są moje papiery rozwodowe.

— Ale to pani jest Catherine Decker, tak?

— Skąd pan to ma? — spytała poirytowana.

— Znalazłem w domu pana Deckera.

Przypatrzyła się bliżej nieznajomemu. Zauważyła, że ma na sobie również jedną z koszul Deckera. Bez słowa spróbowała zatrzasać drzwi, ale on zablokował je nogą.

— Nie bądź głupią cipą — rzekł.

Catherine już chciała uciekać, gdy nagle zobaczyła wystający spod kurtki, wycelowany w nią pistolet. A powyżej, na ramieniu mężczyzny, jakąś okrągłą narośl, która wyglądała jak piłka z uszami.

— O Jezu! — jęknęła.

— Niech się go pani nie boi. On nie gryzie.

Mężczyzna wepchnął się do środka i zatrzasnął za sobą drzwi. Przełożył broń do lewej dłoni i schował przystrojoną psim łbem rękę pod kurtkę.

— Decker wpadł po uszy w gówno — powiedział.

— Ale ja nie wiem, gdzie on jest — odparła Catherine, naciągając na siebie podomkę.

— Wiesz, po co tu przyszedłem? — spytał Thomas Curl.

— Nie, ale wiem, kim jesteś. Jednym z Ryboludów, prawda?

m

Jim Tile minął radiowozem chryslera Garcii i pilotował ich ulicami miasta, w którym było ciemno jak na cmentarzu. Pojechali prosto do lekarza. Oczyszczył on i opatrzył krwawiący oczodół Skinka. Decker i Garcia w milczeniu patrzyli, jak doktor — Murzyn w starszym wieku — długo świeci w jego zdrowe oko.

— Tego człowieka natychmiast musi zbadać neurolog. Najlepiej w Gainesville.

Gdy zawieźli Skinka do chaty, zwinął się w kłębek na materacu i usnął. Jim Tile rozpalił ognisko. Al Garcia usiadł na dębowym pieńku.

— I co teraz? — spytał. — Będziemy sobie opowiadać bajki?

— On tu mieszka — rzekł Decker.

— Trudno w to uwierzyć — mruknął Kubańczyk.

Jim Tile poszedł do radiowozu i wrócił z dwiema czarno-białymi fotografiami.

— To od przyjaciół z jeziora — powiedział, podając je Deckerowi.

— Chryste — mruknął Decker. Były to zdjęcia oszustów zrobione przez niego na jeziorze Maurepas, tyle że jeden z nich miał teraz zgrabnie dopasowaną głowę Dickiego Lockharta. Pamiętał twarz mistrza dzięki serii zdjęć, które zrobił na zawodach podczas ważenia połowów. Poczuł, jak narasta w nim wściekłość.

— Ktoś zakosił mi ten film i spreparował go w ciemni — powiedział do Tile'a. — Ale widziałem już lepsze podróbki.

— Wystarczyło, żeby oszukać dochodzeniówkę z Nowego Orleanu.

— Mogę znaleźć dziesięciu ekspertów, którzy zaświadczą, że to kant — warknął Decker.

Al Garcia wziął od niego zdjęcia.

— Ciekawe — rzekł. — To w ten sposób oszukują?

— Tak, używając klatek.

— Jak długo ryby w nich żyją?

— Chyba ze dwa, trzy dni — odparł Decker, wzruszając ramionami.

— Jest jeszcze coś, o czym powinniście wiedzieć — rzekł Jim Tile. Zrelacjonował im rozmowę z Ozziem Rundellem i jego wersję zabójstwa Otta Pickneya.

— Twierdzi też, że to nie Lockhart załatwił Clincha.

— Wierzysz mu? — spytał Decker.

Tile skinął głową.

— W takim razie to Gault — powiedział Al Garcia.

— I mnie się tak wydaje — rzekł Murzyn. — Tylko nie wiem, po co by to robił.

R. J. Decker zastanowił się. Dlaczego Dennis Gault zleciłby zabicie człowieka, którego wynajął do pracy? Może Lanie coś wie?

— Jest taki facet o nazwisku Thomas Curl, prawdziwy bandzior — powiedział Jim Tile. — On i jego brat zabili twojego przyjaciela, Otta Pickneya. Daję głowę, że to również oni stuknęli Clincha.

— Chłopcy z Luizjany — rzekł Decker.

— Co ciekawsze, Lemus Curl zaginął. Rodzina utrzymuje, że utonął w jeziorze Okeechobee.

Garcia spojrzał pytająco na Deckera, który nawet okiem nie mrugnął.

— A ten drugi Curl, Thomas — ciągnął Tile — jest w Miami.

— O cholera — rzekł Garcia.

— Będę zgadywał — powiedział Decker. — Pewnie mnie szuka?

— Najprawdopodobniej — odparł Jim Tile. — Zadzwoiłem do niego, gdy mieszkał w pewnym luksusowym hotelu, ale później zniknął.

— Co go łączy z Gaultem?

— To Gault zapłacił za pokój — wyjaśnił Tile.

Z kieszeni na piersi wyjął kartkę, rozłożył ją i podał Deckerowi.

— Tymczasem pan Gault pojechał na ryby — rzekł.

Była to ulotka reklamująca Memoriał Wędkarski imienia Di-ckiego Lockharta. W blasku ogniska Garda przeczytał ją głośno ponad ramieniem Deckera:

— Turniej o największej w historii puli nagród. Wpisowe wynosi trzy tysiące dolarów i wystartować może jedynie pięćdziesiąt łodzi.

Decker nie mógł uwierzyć w nedorzecznosc świata wędkarskiego.

— Trzy patole — mruknął.

— Zdumiewające — przyznał Jim Tile. Dawno już uznał, że nie zrozumie mentalności tutejszych ludzi. Był dekaw, czy Kubańczyk też ma z tym problemy.

— Gaulta jeszcze potrafię rozgryźć — rzekł Garda. — To egoista, który chce zastawić cały pokój trofeami. Ale na czym polega reszta tego gówna?

Decker wyjaśnił mu, na jakiej zasadzie funkcjonuje Chrześcijańska Sieć Telewizyjna i jak

wielką stawką w grze jest rozwój Jezior Okoniowych.

— Wykorzystują telewizję, żeby pchnąć do przodu sprzedaż mieszkań. Wszyscy to dzisiaj robią. Mazda inwestuje w golfa, Lipton w tenisa, a CST w okonie. Oglądalność rośnie jak na drożdżach.

Al Garda nie mógł wyjść ze zdumienia.

— Chcesz mi powiedzieć — rzekł — że dorośli ludzie siedzą godzinami przed telewizorem i patrzą, jak inni dorośli ludzie łowią ryby?

— Miliony — odparł Decker. — Każdego tygodnia.

— I niech mi ktoś jeszcze raz powie, że to my, Kubańczycy, jesteśmy stuknięci.

Przez twarz Jima Tile'a przebiegł deń uśmiechu.

— Problem jest z Gaultem — rzekł Murzyn poważnie. — To on może wsadzić Deckera do więzienia.

— Prędzej każe go zabić — rzekł Garcia.

Decker wiedział, że jego przyjadel ma raqę. Dennis Gault na

— Podwójne oizuitwo

pewno już rozumiał, że proces sądowy może spalić na panewce. Dowody przeciw Deckerowi miały charakter wyłącznie poszlakowy i złożenie zeznań w sądzie byłoby dla Gaulta dużym ryzykiem. Istniał lepszy sposób, by zamknąć sprawę o morderstwo: usunięcie głównego podejrzanego. To pewnie zlecono Thomasowi Curlowi.

— Musimy złapać Gaulta, zanim on złapie ciebie — rzekł Garcia do Deckera.

— Świetny pomysł, Al.

— A masz lepszy, dupku?

— Tak, żebyś wiedział. Posadzisz tu i popilnujesz naszego chorego przyjaciela. — Decker zwrócił się do Tile'a. — Zrobiłbyś coś dla mnie?

— Jasne. Od dziś mam urlop.

— Świetnie. Chciałbyś pojechać na plażę?

Jim Tile zaśmiał się.

— Oczywiście — odparł. — Parawan i kąpielówki mam już przygotowane.

Crescent Beach znajduje się kilka kilometrów na południe od miasteczka St Augustine. Szeroka plaża ma kolor śnieżnobiały i jest tak twarda, że można dojechać autem do samej wody bez obawy, iż utknie się w piasku. Przez długie lata Crescent Beach i okoliczne miejscowości cieszyły się rzadkim w dzisiejszych czasach, niezmaconym spokojem. Leżąca na południu Daytona zyskała wielką popularność wśród przyjezdnych, zaś plaża w Jacksonville pozostawała na tyle czysta, że w weekendy mieszkańcy nigdzie nie ruszali się z miasta. Jednak kiedy w latach siedemdziesiątych

nadeszła koniunktura, przedsiębiorcy poczęli na gwałt szukać nadmorskich terenów, które nadawałyby się pod zabudowę, i uznali Crescent Beach za ideał — doskonałe miejsce na ucieczkę od wielkomiejskiego zgiełku. „Zobaczcie Florydę w jej nieskazitelnym stanie!” „Zakosztujcie romantycznych spacerów po plaży wzdłuż szumiącego Atlantyku!” „Odpocznijcie wśród wydmy!” Właśnie wydmy stały się główną atrakcją północnoflorydzkich plaż, albowiem na południu Florydy zrównano je z ziemią spychaczami już w latach pięćdziesiątych. To prawda, że w oczach przybyszów z północy Stanów Zjednoczonych florydzkie wydmy — w rzeczywis-

tości spore kupki piasku — nie warte były wzmianki w listach do domu, ale przemysł turystyczny uczynił z nich cud natury i klienci uznali je wreszcie za malowniczą ciekawostkę. Gdy koniunktura budowlana zawładnęła południowym Jacksonville, a nadmorską okolicę gęsto zabudowano ekskluzywnymi ośrodkami wypoczynkowymi, wieżowcami i klubami golfowymi, władze stanowe zmuszone były wykupić pozostałe tereny, zbudować parkingi i wznieść prowadzące na plażę mola, żeby ocalić ostatnie wydmy. Wielu turystów gotowych było przejechać pół stanu i zapłacić za możliwość popatrzenia na niewielkie stożki piasku z kilkoma kępkami morskiej trawy — czyli na zachowany pośród domków autentyczny kawałek dzikiej przyrody.

Lanie Gault nie wybrała miasteczka Crescent Beach ze względu na wydmy; właściwie w ogóle go nie wybrała. Po prostu kochanek podarował jej tu mieszkanie w dniu Świętego Walentego w roku. Był cudownym, niekłopotliwym mężczyzną; mid własne towarzystwo ubezpieczeniowe. Lanie wcale nie przeszkadzało, że był żonaty. Nie należał do tych, którzy chcieliby mieć utrzymankę dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wystarczył mu co drugi weekend. Trwało to około dwóch lat, aż w końcu jego żona się dowiedziała — ktoś życzliwy zadzwonił do niej i podał pikantne szczegóły. Lanie wiedziała, że uczynił to jej brat. Wprawdzie Dennis nigdy się do tego nie przyznał, ale nie miała żadnych wątpliwości. Dennis nie cierpiał kochanka siostry i miesiącami nalegał, by z nim zerwała, bo facet jest niewyraźny. „Nic podobnego” — odpowiadała Lanie, myśląc sobie, że jest tylko trochę nudny. Kiedy jego żona się dowiedziała, Lanie poczuła jakby pewną ulgę. Kilka dni później luby pojawił się u niej mówiąc, że chce się pożegnać, bo wyjeżdża na stałe do St Louis. Lanie przez łzy odparła, że rozumie go, i spytała, czy ma zwrócić mieszkanie. Odrzekł, że za żadne skarby świata, że należy ono do niej, tylko żeby nikomu nie mówiła, skąd je ma. Tydzień później Lanie kazała położyć nową wykładzinę w kolorze bordo i doszła do wniosku, że jakoś przeżyje rozstanie.

Apartament znajdował się na dziewiątym piętrze wschodniego skrzydła wielkiego bloku i wyróżniał się balkonem w kształcie muszli z rozległym widokiem na ocean. Lanie zadowolona była z tego mieszkania między innymi ze względu na system ścisłej

ochrony budynku — bezpieczeństwa strzegła nie tylko portiernia przy bramie, ale też uzbrojony strażnik w holu oraz kamery z monitorami. Nikt nie mógł wejść na górę nie sprawdzony, a strażnicy mieli wyraźne polecenie, by bez względu na okoliczności dzwonić do lokatorów, zanim kogoś wpuszczą. Zrozumiała więc, że Lanie poważnie się zaniepokoiła, gdy pewnego ranka obudziło ją pukanie do drzwi. Przeczłogała się przez wielkie łożo i złapała za telefon. Zadzwoiła na dół.

— To policja, proszę pani — odparł strażnik. — Musiałem ich wpuścić.

Otworzywszy drzwi, zrozumiała, w czym rzecz. Stał przed nią Jim Tile w mundurze.

— Czym mogę panu służyć?

— Mnie niczym, ale mojemu przyjacielowi owszem.

Zza pleców policjanta wyjrzał R. J. Decker.

— Pamiętasz mnie? — spytał. — Nie tak dawno doszło między nami do dość intymnego spotkania.

Lanie najwyraźniej była zaskoczona jego widokiem.

— Cześć — rzekła niepewnie.

Weszli do środka. Jim Tile zdjął grzecznie kapelusz, a Decker zamknął za sobą drzwi.

— Widzę, że się zastanawiasz, jak rozegrać tę scenkę, ponieważ nie wiesz, co ja wiem — rzekł do Lanie.

— O czym ty mówisz?

Rozsunął zasłony, nie komentując ani słowem wspaniałego widoku za oknem.

— Pierwszy sposób, to zagrać zakochaną gołębicę. Znasz to przecież: „Gdzie byłeś? Tak za tobą tęskniłam! Dlaczego nie zadzwoniłeś?” Ale to mogłoby się nadać tylko pod warunkiem, że nie wiem, iż poszłaś na policję. Pod warunkiem, że nie wiem, iż pomogłaś braciszkowi mnie zrobić.

Lanie usiadła i bawiła się bezmyślnie włosami. Jim Tile poszedł do kuchni i nalał do trzech szklanek soku pomarańczowego.

— Drugi sposób — ciągnął Decker — to udawać zastraszonego świadka morderstwa.

Podgrzany o dokonanie tego przestępstwa wpada do twojego mieszkania i grozi, że cię zabije.

„Proszę, nie rób mi nic złego! Uczynię wszystko, co każesz, nie skrzywdź mnie.” Ale to tylko w wypadku, gdybyś chciała przede mną udawać, że

naprawdę wierzysz, iż to ja zabiłem Lockharta. A ty wiesz, że to bzdury.

Lanie uśmiechnęła się blado.

— Jest jeszcze jakaś ewentualność? — spytała.

— Spróbuj powiedzieć prawdę — poradził jej Decker. — W ramach eksperymentu.

— Ma pani magnetofon? — wtrącił się Tile.

— Jest na balkonie przy rzeczach, które zabieram na plażę. — Pokręciła przecząco głową,

kiedy chciał jej podać szklanę soku.

Tile przyniósł magnetofon i postawił go na stoliku w pokoju. Kasetą była w środku. Włączył zapis.

— Chyba nie ma pani nic przeciwko? — spytał.

— Ej, zaraz, pan mi kasuje Neila Diamonda — zaprotestowała Lanie.

— Mała strata — rzekł Decker.

Tile ustawiał głośność.

— Ładne pudełko — pochwalił. — Z graficzną regulacją barwy dźwięku i innymi bajerami.

— Zacznijmy od Dennisa — powiedział Decker.

— Daj spokój, R. J.

— Ona ma rację — wtrącił Tile. — Nie zaczynajmy od jej brata. Zacznijmy od Roberta

Clincha.

Lanie spojrzała wilkiem na potężnego Murzyna.

— Mogę ci napytać biedy — wycodziła przez zęby.

— Pochlebiasz sobie — odparł policjant. Jej groźba nie zrobiła na nim żadnego wrażenia.

— Dobra, księżniczko — rzekł Decker. — Kto zabił Clincha?

— Dickie Lockhart.

— Pudło.

— No to kto?

Jim Tile wstał i otworzył szklane drzwi balkonu. Zimny powiew poruszył zasłonami. Lanie zadrżała.

— Oczywiście Dennis nie miał nic przeciwko twojemu romansowi z Clinchem, co? Nie przeszkadzało mu, że babka z taką klasą zadaje się z byle tępakiem łowiącym rybki?

— Co? — spytała Lanie, wyraźnie poruszona.

— To twój brat zabił Roberta Clincha — rzekł Jim Tile. — Wynajął do tego dwóch ludzi.

Czekali na Clincha na trzęsawisku,

dorwali go, a potem rozwalili jego łódź, żeby wyglądało to na wypadek.

— Nie — rzekła Lanie ze łzami w oczach.

„Ona naprawdę mało wie — pomyślał Decker. — Albo gra rolę swego życia.”

— Bobby nie mógł nic znaleźć na Lockharta — powiedziała głucho. — Ludzie Lockharta byli za sprytni. Dennis się niecierpliwił, naciskał na Bobby'ego. No i wtedy...

— Dowiedział się, że ty i Bobby kombinujecie razem?

Lanie roześmiała się sztucznie.

— Mogłabym spać co noc z innym facetem i słowa by nie powiedział. Ale gdy tylko zaczynam

z kimś na poważnie, od razu wariuje. Tak jak wtedy, gdy Bobby powiedział, że zostawi żonę i wyjedzie ze mną. Dennis dostał szału. Mimo to nie byłby w stanie zrobić czegoś takiego. Nigdy!

— Lanie, zrozum, że ty bardziej mu byłaś potrzebna niż Clinch — rzekł Decker.

— Do czego? Do czego mu byłam potrzebna?

— Do skaptowania mnie! — zawołał Decker.

Polały się łzy. Grała przekonująco, choć widział już lepsze sceny płaczu.

— Co ty mówisz? — wykrztusiła, szlochając. — Myślisz, że kurwiłam się dla własnego brata?!

Zależało mi na Bobbym, naprawdę, ale ty i tak mi nie wierzysz.

Jim Tile patrzył na nią obojętnie. Nie od wczoraj wypisywał mandaty; słyszał już wszystkie łzawe historie, jakie tylko ludzie zdolni są wymyśleć.

— Kiedy ostatni raz z nim rozmawiałaś? — spytał.

— Z Bobbym? Widziałam się z nim ostatniego wieczora przed jego śmiercią. Pojechaliliśmy do baru do Wabasso.

— Powiedział ci, że wybiera się rano na jezioro?

— Oczywiście. Był bardzo podekscytowany. Dostał cynk, że Lockhart trzyma klatki z rybami na Trzęsawisku Szopów. Nie mógł się doczekać, kiedy je odnajdzie i zawiadomi Dennisa.

— A skąd miał ten cynk? — spytał Decker.

— Od jakiegoś faceta, który do niego zadzwonił. Nie przedstawił się.

— To była pułapka — rzekł Tile.

— Zaraz, chwileczkę — zaprotestowała Lanie, wpatrując się w magnetofon.

„Czas kończyć” — pomyślał Decker. Usiadł obok niej i rzekł:

— Bardzo jestem ciekaw, dlaczego mnie wrobiłaś?

Nie odpowiedziała. Decker ujął delikatnie jej dłoń.

— To był pomysł twojego brata, prawda?

— Najpierw mówił o szantażu — odparła. — Spytał, czy znam jakiegoś dobrego fotografa, który mógłby śledzić Lockharta i zrobić mu dyskretnie zdjęcia. Pomyślałam o tobie i Dennis nie miał nic przeciwko. Powiedział, żebym zaostrzyła twój apetyt, a ja się zgodziłam, bo chciałam za wszelką cenę odplacić Lockhartowi za to, co zrobił.

— Za to, co myślałaś, że zrobił — poprawił ją Decker.

— Dennis powiedział, że to Lockhart zabił Bobbygo. Uwierzyłam mu, bo wszystko pasowało. Czemu miałabym mu nie wierzyć?

— No dobra, potem Lockhart został sprzątnięty. Co się dalej dzido? — wtrącił Tile.

— Dennis zadzwonił do mnie do Nowego Orelanu.

— A po co tam, do cholery, przyjechałaś? — spytał Decker.

— On mnie wysłał. Miałam dopilnować, żebyś niczego nie sknocił. Był wkurzony, bo nie chciałeś mu nic powiedzieć przez telefon.

— No więc zaciągnęłaś mnie do łóżka i ukradłaś film?

— Kto kogo zaciągnął? — spytała Lanie oburzona. — Jeśli zaś chodzi o film, to przepraszam. Podle postąpiłam. Ale Dennis powiedział, że nie może się nań doczekać, że i tak te zdjęcia należą do niego.

Wzburzony Decker ścinał mocniej jej dłoń.

— I ty naprawdę w to wszystko wierzyłaś? Czy te polecenia nie wydały ci się trochę dziwne? Żadne ostrzegawcze światełko nie zapaliło się w twoim kurzym mózdzku?

— Nie — warknęła Lanie. — Żadne.

— Wracając do zabójstwa Lockharta... — przywołał ich do porządku Jim Tile.

— No właśnie — rzekła Lanie, spoglądając na niego. — Tego ranka bardzo zdenerwowany Dennis zadzwonił do mnie do Nowego Orleanu. Powiedział, że Decker zabił Lockharta. Bał się.

— Powiedział ci, że mogą go podejrzewać? — zgadywał Tile.

— Tak. I że Decker próbował go zrobić. Poprosił więc, bym poszła na policję.

— I skłamała?

— Jezu, przecież to mój brat! Nie chciałam, żeby trafił do więzienia przez jakieś morderstwo i głupie ryby. Wystarczyło mi, że Bobby zginął. Nie chciałam jeszcze utracić Dennisa. Poszłam więc na policję i złożyłam zeznanie. — Spojrzała na Deckera. — Powiedziałam, że wysadziłeś mnie po drodze na spotkanie z Lockhartem. To wszystko, nic więcej.

— Wystarczyło — rzekł Decker. — Nie wiem, jak ci dziękować.

— Dennis był zdesperowany.

— Miał powód.

— I tak ci nie wierzę — powiedziała Lanie.

— Ależ owszem, wierzysz — wtrącił Tile.

Decker z trudem hamował wściekłość.

— Czy wyświadczyłaś braciszкови jeszcze jakieś inne przysługi, których powinniśmy wiedzieć? — spytał.

— Możecie to zabrać?

Jim Tile wyłączył magnetofon.

Lanie wstała i zaprowadziła ich do drugiej sypialni. Otworzyła cicho drzwi. W pokoju panowała nieprzenikniona ciemność: nie tylko zaciągnięto zasłony, ale jeszcze przylepiono je taśmą do ściany. Lanie zapaliła światło.

Na łóżku leżała młoda długowłosa kobieta pod zaciągniętym pod szyję różowym kocem.

Niebieskawe powieki miała przymknięte; oddychała ciężko otwartymi ustami. Na stoliku leżały jakieś pigułki

stała do połowy opróżniona butelka wódki.

Jim Tile spojrzął na R. J. Deckera.

— Widziałem ją już kiedyś — rzekł Decker. — Na zawodach w Nowym Orleanie.

— Nazywa się Ellen 'Leary — powiedziała Lanie ściszone głosem. — Kiepsko się czuje.

Decker wpadł we wściekłość. Przycisnął Lanie Gault do ściany, przytrzymując jej rękę.

— Koniec zabawy — warknął. — Kim jest ta dziewczyna?

— Nie wiem — odparła płaczliwie.

— Chcesz powiedzieć, że wróciłaś pewnego wieczora do domu, a ona już tu była, leżała nieprzytomna w łóżku?

— Nie, pewien mężczyzna ją przywiózł z polecenia Dennisa. Dennis prosił, bym się nią zaopiekowała.

— Elaine, jesteś bardzo niebezpieczną kobietą — powiedział Decker.

— Spokojnie — upomniał go Jim Tile. Usiadł na łóżku obok Ellen O'Leary i zerknął na nalepki na buteleczkach. — Środki nasenne — rzekł.

— Coraz lepiej. Miała się już nie obudzić? — spytał Decker.

— Ależ dałam jej to, żeby się wyspała. Nic jej nie będzie. Odwalcie się ode mnie, dobrze?

Decker chwycił Lanie za rękę i wyprowadził z pokoju. Jim Tile wrzucił pigułki do muszli klozetowej i poszedł do kuchni, żeby zrobić nieznanym dziewczynie kawę. Był ciekaw, czy to już koniec osobliwych niespodzianek.

Decker kipiał z gniewu. Najchętniej skrzyłby Lanie kark.

— Co twój brat powiedział o tej dziewczynie?

— Kazał mi ją mieć na oku. Kazał trzymać ją w łóżku, z dala od świata. Powiedział, że stanowi ona zagrożenie dla samej siebie i dla innych.

— Jasne.

Lanie zapytała, czy może się ubrać. Decker skinął głową, ale nie miał zamiaru spuszczać jej z oka. Zdjęła swobodnie podomkę i stanęła naga przed lustrem. Czesła włosy, podczas gdy Decker patrzył na nią obojętnie. Wreszcie włożyła dzinsy i bluzę z nadrukiem „University of Miami”.

— Znasz niejakiego Thomasa Curla? — spytał.

— Pewnie, to on przywiózł tu Ellen. Pracuje dla Dennisa.

Teraz przekonał się, że Lanie rzeczywiście nie zna prawdy.

Nawet ona nie zagrałaby tak dobrze.

— To właśnie Thomas Curl zabił Clincha — rzekł.

— Przestań! — krzyknęła. — Co ty mówisz? — Po wyrazie jej twarzy widać było, że w końcu zaczyna kojarzyć fakty.

Tymczasem Jim Tile zaniósł Ellen pod prysznic. Trzymał ją przez dziesięć minut pod lodowatą wodą, aż w końcu obudziła się i zwymiotowała. Wtedy wytarł ją ręcznikiem i położył z powrotem do łóżka. Kiedy doszła nieco do siebie, uniosła się na łokciach i wypila łyk kawy.

Jim Tile zamknął drzwi.

— Możesz mówić?

— Gdzie ja jestem? — wyszeptała z trudem.

— Na Florydzie.

— Chyba się rozchorowałam. Czy nie zdążyłam?

— Na co nie zdążyłaś?

— Na pogrzeb Dickiego?

— Nie zdążyłaś, pogrzeb już się odbył.

— O rany! — Łzy nabiegły jej do oczu.

— Czy Dickie był twoim przyjacielem?

— Tak, proszę pana.

— Od jak dawna go znałaś?

— Krótko, tylko parę dni. Ale jemu na mnie zależało.

— Kiedy go widziałaś po raz ostatni?

— Zanim to się stało.

— Mówisz o zabójstwie?

— Tak. Byłam z nim w hotelu. Świętowaliśmy jego zwycięstwo w zawodach, gdy nagle przyszedł Thomas Curl i powiedział, że natychmiast musi się widzieć z Dickiem.

— I co się dalej działo, Ellen?

— Poszli gdzieś razem i Dickie już nie wrócił. Ja usnęłam... bo wypiliśmy mnóstwo szampana. Nazajutrz usłyszałam w radiu, co się stało.

Jim Tile dolał jej kawy.

— I co zrobiłaś potem? — spytał.

— Byłam tak roztrzęsiona, że zadzwoniłam do wielbnego Weeba i poprosiłam, by się pomodlił za jego duszę. Ale wielbny powiedział, że zrobi to tylko wtedy, gdy przyjadę i uklęknę razem z nim.

— A ty pewnie nie byłaś w nastroju do takich rytuałów?

— No właśnie — przytaknęła. Nie wiedziała, skąd ten czarny policjant wie o osobliwych zwyczajach wielbnego Weeba, ale była wdzięczna za okazane jej współczucie.

Jim Tile otworzył drzwi i zawołał Deckera i Lanie.

— Ellen — rzekł — powiedz pani Gault, kto przyjechał po Dickiego Lockharta tego wieczora, gdy zginął-

— Thomas Curl — odparła dziewczyna.

Lanie wyglądała na wstrząśniętą.

— Jesteś pewna? — spytała.

— Znam go jeszcze ze szkoły.

— Boże!

Ellen podłożyła sobie pod głowę drugą poduszkę.

— Czuję się już lepiej — powiedziała.

— A ja znacznie gorzej — rzekła Lanie.

Wtem zadzwonił telefon. Jim Tile kazał jej podnieść słuchawkę i skinął głową na Deckera, by podsłuchiwał rozmowę z aparatu w kuchni.

Był to Dennis Gault.

— Cześć — powiedziała Lanie, czując na plecach oddech Tile'a.

— Jak leci, siostrzyczko? — spytał Gault.

— Dobrze. Ellen wciąż śpi.

— Świetnie.

— Dennis, chciałabym wyjść na słońce, zrobić zakupy. Jak długo mam ją niańczyć?

— Nie wiem, Lanie. Gliniarze nie złapali jeszcze Deckera.

— Coś takiego — rzekła z sarkazmem. Decker z podziwem pomyślał, że mogłaby zostać dobrą aktorką. — A jeśli go nie złapią?

— Nie bądź głupia.

— Dennis, ja chcę, żeby Tom ją zabrał.

— Już niedługo. Wysłałem go do Miami w pewnej sprawie. Odbierze Ellen, kiedy wróci.

Uspokój się, skarbie.

— Do Miami — powtórzyła Lanie.

— Tak. Szykujemy się na wielkie zawody.

— Brawo — rzekła. Pomyślała natomiast: „Mam nadzieję, że się utopisz, morderco.”

Ognisko przygasało. Al Garda pogrzebał nieumiejętnie patykiem w żarze, próbując wskrzesić płomień. Nad jeziorem wisiała szara mgła, otulająca je szczelnie niczym wilgotny koc. Dokoła przemykały zwierzęta leśne i każde trzaśnięcie gałązki przypominało mu, że znajduje się poza swoim żywiołem, poza miastem. Z wody również dochodziły jakieś odgłosy — pluski i bulgotania.

Nawet nie chciał się zastanawiać, co tam pływa. Ciekawe, czy żyją tu niedźwiedzie. Ciężący pod pachą kolt dodawał wprawdzie otuchy, ale Garcia wiedział, że ta pukawka nie nadaje się na misie. Nie należał do amatorów leśnych wędrówek i jego jedynym kontaktem z dziką przyrodą było oglądanie starych odcinków *The American Sportsman*. Najlepiej zapamiętał właśnie te duże, krwiożercze niedźwiedzie oraz sielskie sceny przy ognisku, gdzie pito piwo i zjadano pieczone. Przypomniawszy sobie również, że wokół prowadzącego program było zawsze co najmniej dziesięciu uzbrojonych po zęby facetów, do tego ekipa telewizyjna. A on tu sterczał sam w ciemnościach.

Zebrał naręczę patyków i rzucił je na ognisko. Pstryknął zapalniczką, lecz drzewo zajęło się jedynie na ułamek sekundy, po czym zgasło. Wtedy odkręcił zaworek zapalniczki i polał gałęzie benzyną. Gdy przyłożył zapaloną zapalniczkę, ogień buchnął mu w twarz.

Zerwał się na równe nogi, a po chwili znów usiadł z poczuciem bezradności. Uważnie pomacał twarz i przekonał się, że niezbyt ucierpiał — osmalił sobie tylko brwi i wąsy. Nagle Garda drgnął, słysząc za plecami cichy rechot: w drzwiach chaty stał Skink.

— Ale z ciebie ofiara.

Za kilka minut ogień znów płonął. Skink zaparzył kawy. W wyglądzie byłego gubernatora zaszła jakaś zmiana, ale Garda dopiero po dłuższej chwili zorientował się, na czym ona polega.

— Oko — rzekł do Skinka.

— Fajne?

Z oczodołu patrzyło nowe oko. Było zadziwiająco duże, o żółtej tęczówce i źrenicy wielkością monety półdolarowej.

— Skąd je masz? — spytał Garda.

— Dobrze wygląda?

— Świetnie. Bardzo ładnie.

Skink poczłapał do chaty i po chwili pojawił się z wypchaną sową, znieruchomiałą we władczej postawie.

— Przywiązuję ją na dachu, żeby odstraszać wrony i szpaki — wyjaśnił.

— Czy teraz też będzie odstraszać? Z jednym okiem?

— Jasne, cholera. Nawet jeszcze lepiej. Spójrz tylko, jaką zieje nienawiścią.

Garda przyznał w duchu, że sowa zachowała złowrogie spojrzenie. Skink również wzbudzał respekt: jego nowe oko nie poruszało się i dzięki temu przyciągało uwagę.

— Zobaczę, jak się będzie spisywać — powiedział Skink i założył okulary przedwsłoneczne.

Gdy skończyli pić kawę, wziął latarnię i zaprowadził Garcie nad wodę. Poleciał mu wsiąść do łodzi. Policjant przycupnął na dziobie, tuż obok starego blaszanego wiadra, w którym znajdowała się zwinięta nylonowa sieć. Odbili od brzegu. Skink wiosłował energicznie, nucąc przy tym

piosenkę, którą Garcia gdzieś już słyszał: „Nikt nie wie, jak to jest być być smutnym...” „Raczej «butnym»” — pomyślał policjant.

Skąd Skink miał tyle sił do wiosłowania? Przecież został tak bestialsko pobity. Dziób łodzi pruć wodę. Odkąd znaleźli się w głuszy, Skink zmienił się nie do poznania. Jeśli nawet nadal czuł ból, nie okazywał tego po sobie. Nie posiadał się z radość, że jest z powrotem u siebie, na jeziorze.

Po dwudziestu minutach skierował się ku małej zatoczce u północnego brzegu, w dalszym ciągu wiosłował energicznie. Zerkając przez ramię zdrowym okiem utrzymywał kurs na mały strumień, który wpadał do jeziora między dwoma prastarymi dębami. Garcii wydawało się, że ten strumień jest zbyt wąski nawet dla ich łodzi, ale wpłynęli weń bez trudu. Przez jakiś czas strumień kluczył wśród podmokłych łąk, rozdartych piorunami cyprysów i dziwacznie splątanych wąsów hiszpańskiego mchu. Garcia z zapartym tchem podziwiał dziewiczą scenerię, nic nie mówiąc, by nie zakłócić dszy. Skink dawno już przestał śpiewać.

Wreszcie strumień doprowadził ich do głębokiego stawu, obramowanego liliami wodnymi i usianego gnijącymi pniami drzew.

Skink zdjął z twarzy okulary i schował do kieszeni kombinezonu. Odwrócił się na ławce i wskazał palcem sieć. Garcia podał mu ją niezręcznie; ołowiane dężarki niemało ważyły i trudno było z nimi sobie poradzić. Stanąwszy w rozkroku, Skink śdsnął linkę między zębami i zarzucił sieć, która rozpostarła się płynnie w powietrzu, po czym opadła na wodę delikatnie niczym babie lato. Gdy ją wciągnął po chwili do łodzi, pełna była ryb, które błyszczały w jej okach niby kawałki rozbitego lustra. Skink napełnił wiadro wodą i wpuścił do niej złowione ryby. Następnie zwinął sieć i usiadł twarzą do Gardi.

— Karpiki — rzekł. Chwycił jednego i połknął żywcem.

Garda patrzył zaintrygowany.

— Jak to smakuje? — spytał.

— Normalnie. — Skink złapał drugą rybę i zabił ją lekkim uderzeniem o burtę.

— Uważaj teraz — powiedział.

Wychylił się i z głośnym kłaśnięciem uderzył otwartą dłonią

powierzchnię wody. Powtórzył to kilkakrotnie, po czym nagle cofnął rękę i zawołał: „Tuuu, maleńka!” Wrzucił do wody martwego karpika i nagle tuż obok zabulgotało — olbrzymia ryba, brązowa

potężna niczym lufa armatnia, błyskawicznie połknęła przynętę.

— Cristo! — wyrwało się Gardi.

Skink patrzył na rozchodzące się po wodzie kręgi, uśmiechając się z dumą.

— Tak, jest to solidny okaz — powiedział. Wrzucił do wody kolejnego karpika i głębia znów

ożyła.

— To okoń? — spytał Garcia.

— Największy okoń wszechczasów, prawdziwy potwór. Zgadnij, ile waży.

— Nie mam pojęcia. — W chybotliwym świetle latarni Garda wypatrywał ryby, ale nie mógł jej dostrzec. Woda była mętna, miała barwę nie oczyszczonej ropy.

— Nazywa się Królowna — rzekł Skink — i waży co najmniej czternaście kilogramów.

Wrzucił do wody jeszcze trzy karpiki, które rozochocony okoń pożarł natychmiast, opryskując łódź.

— A więc to jest twoje domowe zwierzątko — rzekł Garcia.

— Nie, skąd. To jest mój wspólnik. — Podał policjantowi wiadro. — Spróbuj, ale uważaj na palce.

Garda ogłuszył karpika i wrzucił go do wody. Nic się nie stało, lustro stawu pozostało nie zmacone.

— Uderz w wodę — poledł Skink.

Garda spróbował nieśmiało, czyniąc więcej piany niż hałasu.

— Głośniej! — rzekł Skink. — O, właśnie tak. Teraz szybko wrzucić rybę.

Trzepoczący się karpik nie zdążył jeszcze wpaść do wody, gdy potwór go pożarł.

— Lubi cię — rzekł Skink. — Jeszcze raz.

Garda rzucił kolejną rybę i patrzył, jak znika ona w paszczy.

— Nauczyłeś się tego w cyrku? — spytał Skinka.

Skink puścił pytanie mimo uszu.

— Dawaj wiadro — rzekł. Rzucił okoniowi wszystkie karpiki, zostawiając tylko jednego, którym niczym srebrną pałeczką zaczął kreślić na wodzie ósemki. Olbrzymi okoń wypłynął powoli z odmętów. Garda dopiero teraz mógł się przypatrzeć bestii, podziwiać jej wielkość oraz przerażający pysek. Ryba zbliżyła się powoli do trzymanego przez Skinka karpika. Skink puścił przynętę, która momentalnie zniknęła w białej paszczy. Nie cofnął jednak ręki, a okoń nie odpłynął. Ku zdumieniu Garcii złapał potężną rybę za dolną szczękę, poddał ją z wysiłkiem do góry i położył sobie ostrożnie na kolanach. — Dobrze, dobrze, malutka — powiedział.

Ociekająca wodą ryba poruszała skrzelami, chwyciła pyskiem powietrze, ale nie stawiała oporu. „Wspaniała, ujarzmiona bestia” — pomyślał Garcia.

— Sierzande, przywitaj się z Królowną — poledł Skink.

Garcia nie miał ochoty na rozmowę z rybą.

— No — ponaglił go Skink.

— Cześć, Królewno — powiedział policjant bez przekonania. Był zadowolony, że przełożeni go nie widzą.

Trzymając zakrzywiony kciuk w ogromnej paszczy, Skink wsunął drugą rękę pod błądy, opasły brzuch okonia. Podniósł rybę i położył ją sobie na ramieniu niczym beczkę. Miał rybi pysk tuż przy swojej twarzy i na Garcia patrzyło teraz czworo oczu: dwoje ryby, jedno człowieka i jedno wypchanej sowy.

Skink czule przytulił policzek do łuskowatych płetw skrzelowych.

— Poznaj nowego szefa — szepnął do okonia. — Jest taki sam jak stary.

Al Garcia nie miał pojęcia, o czym on, u licha, gada.

Kiedy wielbny Charles Weeb przybył nad Jeziora Okoniowe, mógł się na własne oczy przekonać, jak umierają ryby z drugiej dostawy. Jego hydrolog był przybity. Powiedział, że nic się nie da zrobić. Weeb stał obok niego i liczył okonie wypływające na powierzchnię do góry brzuchami. Doszedłszy do siedemdziesięciu pięciu odwrócił się, kierując swe kroki do lokalu, który służył za biuro zawodów wędkarskich imienia Dickiego Lockharta.

— Odwołaj jutrzejszy pokaz dla prasy — warknął do Johnsona. Diakon chwycił notes, by zapisać polecenie.

— Jak długo żyły? — spytał hydrologa.

— Osiemnaście godzin.

— Jasna cholera. He trwała podróż z Alabamy?

— Około dwóch dni.

— Jasna cholera.

Jeziora Okoniowe pochłonęły już cztery tysiące młodych okoni, a nie pływała w nich ani jedna żywa ryba. Charlie Weeb bardzo się tym martwił. Teraz myślał już tylko w kategoriach doraźnych celów.

— Mogę sprowadzić jeszcze dwa tysiące — powiedział do hydrologa.

— Odradzałbym, proszę pana. Woda jest poniżej normy.

— Poniżej normy? Czy to znaczy, że te ryby mają większe szanse w ściekach niż tu?

— Aż tak dosadnie bym tego nie określił.

— Dobra, pogadajmy bez ogródek — powiedział Weeb i zamknąwszy drzwi, wskazał hydrologowi krzesło. — Podoba ci się ten domek? Rozsuwane drzwi, sklepienie gotyckie. Już nie wspominam o ogrzewaniu solaraym. Widzisz, mam dwadzieścia dziewięć tysięcy takich cudeniek i jak dotąd sprzedaż ich idzie bardzo opornie. A ustanie całkiem, jeśli mi tu wypłyną martwe rybki, kapujesz? — Włożył do ust dwie gumy miętowe. — Synu, ja tu sprzedaję nową Florydę. Ostatnie metry pogranicza. Moi klienci to prości ludzie, którzy wolą łowić ryby, niż smażyć się na plaży.

Jezióra Okoniowe to ich marzenie, ich Ziemia Obiecana. Będą mogli wyjść sobie z wędką do ogródka i złowić coś na obiad. Tak to sobie wyobrażałem, ale teraz...

— Proszę pana, to jest dół kloaczny — powiedział prosto z mostu hydrolog. —

Przeprowadziłem parę dodatkowych testów, skomplikowanych chemicznych badań. W tych wodach jest tyle toksyn, że w porównaniu z nimi Tamiza to krystaliczny źródło. Największe stężenie jest na mulistym dnie. Rekord Guinnessa w zanieczyszczeniu.

— Jak to?! — zawył Weeb. — Jak to możliwe, że woda jest tak zanieczyszczona, skoro dopiero co wszystko wykopano!

— Ja też się nad tym zastanawiałem i w końcu sprawdziłem to w aktach sądowych. Tu była zwalka, proszę pana, właśnie tu, gdzie są jeziora.

— Zwalka? Znaczą się wysypisko śmieci?

— Jedno z największych i najgorszych — odparł ponuro hydrolog. — Cztery tysiące akrów odpadów, gumy, dioksyn, co pan chce. Związek Ekologów nigdy się o tym nie dowiedział.

— Dobry Boże! — wykrzyknął Charles Weeb. Tej inwokacji używał jedynie w studiu telewizyjnym.

— Przekładając to na język laika — ciągnął hydrolog — kiedy wykopał pan Jeziora Okoniowe, dotarł pan do składowanego od dwudziestu czterech lat kwasu akumulatorowego.

Wielebny wypluł gumę do kosza na śmieci. Miał natłok myśli. Ujrzał oczami wyobraźni sensacyjne tytuły w gazetach. Koszmarna wiga. Zwymyślał siebie w duchu za to, że uległ florydzkiej gorączce budownictwa mieszkalnego, choć przecież mógł działać bez ryzyka, skupując zwolnione od podatku obligacje — zarząd Chrześcijańskiej

— Podwójne oszustwo

Sieci Telewizyjnej pozostawił tę sprawę do jego uznania. Z trudem docierał teraz do niego głos hydrologa, który wyjaśniał, jak można oczyścić jeziora, tyle że przedsięwzięcie trwałoby lata i kosztowałyby miliony...

„Najpierw to, co najważniejsze” — pomyślał Weeb. Plakat na ścianie przypominał mu, że do zawodów zostały zaledwie cztery dni. Trzeba natychmiast sprowadzić świeże ryby.

— Jeśli cysterna przyjechałaby o świcie, to czy przeżyłyby w wodzie do wieczora? — spytał.

— Prawdopodobnie tak.

— Dzięki Bogu, że to zawody jednodniowe — powiedział, myśląc głośno.

— Nie wiem tylko, czy będą jeszcze zdrowe — ostrzegł hydrolog. — Mogą wcale nie brać.

— Nie muszą — odparł Weeb, czym wprowadził go w osłupienie. — Zabierz pan te wszystkie śnięte ryby sprzed moich oczu, co do jednej.

Hydrolog wyszedł pospiesznie, by wyprawić na jeziora kilka łodzi.

Kolejną pozycją w porządku dnia wielbego Weeba była rozmowa z Edem Spurlingiem. Mistrz wędkarstwa wszedł ubrany w połyskliwą, srebrną kurtkę od producentów żyłek oraz czapkę reklamującą przynęty zapachowe. Policzek wypchany miał prymką tytoniu firmy Red Man, tak wielką, że udławiłaby się nią hiena. Weeb robił, co mógł, by ukryć obrzydzenie; Eddie Spurling był najohydniejszym prostakiem, jakiego spotkał w życiu.

— Po wodzie pływają śnięte ryby — powiedział Spurling smutnym tonem.

— Zauważyłeś?

— A jak mogłem nie zauważyć?

— Nie martw się tym — rzekł Weeb. — Siadaj.

— Serce mi się kraje, że tak umierają.

„Nie bardziej niż mnie” — pomyślał smutno wielbny.

— Eddie — rzekł — czy zastanawiałeś się, jak rozegrasz turniej? Wiesz już, jak wygrać?

Mistrz przesunął tytoń językiem do drugiego policzka.

— Myślałem, że najlepiej się nadadzą muszki, ale teraz to nie wiem. W tych wodach nie ma za wiele kryjówek dla ryb. Właściwie

to w ogóle nic w nich nie ma. Nie widziałem nawet belon, a one pływałyby choćby w kiblu.

Weeb zmarszczył brwi.

— Tak więc pozostają gumowe robale — stwierdził Spurling z ustami pełnymi brązowej śliny.

— Oporządzi się je po teksańsku i będą najlepsze, proszę pana.

Charlie Weeb usiadł prosto i włożył okulary.

— Eddie, musisz zwyciężyć — powiedział.

— Postaram się — odparł mistrz wędkarski, błysnąwszy ciemnymi od tytoniu zębami. —

Warto wygrać taką forszę.

— To bardzo dobrze, że się postarasz. Ale tym razem musimy zrobić coś więcej. Trzeba się zabezpieczyć.

Spurling spojrział na niego zdziwiony.

— Jesteś nowym gwiazdorem telewizji — wyjaśnił. — Jeśli wygrasz, wszyscy wygramy.

Jeziora Okoniowe też. To niebywała okazja, Eddie.

— No jasne.

— Taka okazja nie trafia się co dzień. — Odchylił się do tyłu i splótł dłonie za łową. — To jest moje marzenie, a ty grasz w nim główną rolę.

— Tak?

— Tak. Opowiem ci o nim: świeci słońce, jeziora są piękne i czyste. Tysiące nowych lokatorów stoją na brzegu i jest też telewizja. Czekają na finał turnieju. Są już wszyscy wędkarze, tylko ciebie

nie ma.

— O rany!

— I wtedy nagle, na kilka sekund przed zamknięciem zawodów, widzimy, jak mkniesz po jeziorze. Podpływasz z szerokim uśmiechem na twarzy, wysiadasz i machasz ręką do kamer. A potem wyciągasz z łodzi największy połów okoni, jaki kiedykolwiek widziano. Wszyscy szaleją, Eddie, a ty tam stoisz, pod emblematem Jezior Okoniowych, trzymając w górze gigantycznego okonia. Boże, ale to jest wizja, co?

— Jasne, to byłoby spełnienie marzeń.

— Eddie, to będzie spełnienie marzeń — poprawił go z naciskiem Weeb. — Sprowadzam kilka ogromnych okoni z Alabamy. Są twoje, współniku.

— Jak to, zaraz...

— W Jeziorach Okoniowych jest tak brudna woda, że nie mogę trzymać w nich ryb — ciągnął Weeb. — Nie mogę ryzykować. — Rozłożył mapę na stole. — Jesteśmy tu — wskazał palcem — a tu jest zaporą Everglades. Musisz tylko przywiązać łódź przy przepuście, przeskoczyć przez groblę i wyciągnąć klatki.

— Klatki? Z rybami?

— Nie, z tygrysami, Eddie. Jezu, a coś ty myślał?

— Ja nie będę oszukiwał.

— Słucham?

— Rozejrzę się po jeziorze, wrzucę parę zawad do wody. Zaznaczę miejsca i na dzień przed zawodami wpuszczę tam parę okoni. Co tam, cholera, każdy to robi. Tak będzie dobrze?

Charlie Weeb pokręcił głową.

— Ryby kipną, Eddie, w tym cały problem. W noc przed zawodami sprowadzę dwa tysiące młodych okoni i będziemy mówić o szczęściu, jeśli nie wykitują do wieczora. Możesz być jedynym, który wróci z żywymi rybami.

— Nie będę oszukiwał.

Wielebny uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Eddie, kupiłeś niedawno dużą posiadłość pod Tuscaloosa, ile tam tego jest, z sześćdziesiąt akrów? I zauważyłem, że twoja żona jeździ nowym eldorado... Patrząc na ciebie i widząc człowieka zadowolonego z życia, mam rację? Widzę człowieka, który lubi być najlepszy. A nie wszyscy są tacy. Niektórzy mają szansę i jej nie wykorzystują. Pomyśl o Lockharcie.

Eddie Spurling nie chciał myśleć o tym kretynie. Lockhart był na szczycie, bo miał fart, tylko tyle. Nowy mistrz roztałał zębami tytoń na miazgę.

— Gdzie mogę to wypluć? — spytał.

— Do zlewu — odparł Weeb.

Rozeźlony Spurling pozbył się prymki.

— No więc jak będzie? — spytał Weeb. — Chcesz nadal być gwiazdorem czy nie?

Tego samego popołudnia diakon Johnson zapukał do kuchni, w której wielebny Charles Weeb dyktował niedzielne kazanie w trakcie masażu pleców.

— Kogo znalazłeś do uzdrowienia? — wystękał pod dłońmi masażystki ugniatającymi mu bezlitośnie piegowate łopatki.

— Niestety żadnych dzieci — odparł ponuro diakon. — Floryda to nie Luizjana, Charles. Władze zagroziły, że zamkną nam telewizję, jeśli będziemy do tego wykorzystywać dzieci.

— Pogańskie dupki!

Na dzień zawodów wędkarskich wielebny zaplanował wspaniałe uzdrowienie. Obok stanowiska sędziowskiego właśnie wznoszono okazałą mównicę.

— I co teraz będzie? — spytał.

— Jadę jutro rano do domu weterana, żeby znaleźć jakiegoś kalekę.

— Ale chyba nie prawdziwego?

— Nie. Wśród żołnierzy zawsze się trafi ktoś odpowiedni. Jak tylko się potkną, zaraz dostają wózek inwalidzki — to banda hipochondryków.

— Bądź ostrożny — przestrzegł Weeb. — Tylko tego brakuje, żeby jakiś stuknięty Rambo przypomniał przed kamerami o swych wyczynach w Namibii.

— Nie martw się — uspokoił go Johnson. — Charles, myślę, że chciałbyś usłyszeć dobre nowiny?

— Jak najbardziej.

— Dziś zgłosiła się pięćdziesiąta załoga.

— Dzięki Bogu.

Sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów z wpisowych miało pokryć prawie wszystkie koszty organizacyjne.

— Ktoś znany? — spytał Weeb.

— Nie, dwóch braci. Eddie powiedział, że nigdy o nich nie słyszał. Nazywają się Tile. James i Chico.

Wielebny zachichotał i przekręcił się na plecy.

— Ważne tylko to, żeby ich czek miał pokrycie — rzekł.

[

Nie do wiary — powiedziała zaskoczona Catherine.

Gdy przejeżdżali skrzyżowanie Golden Glades, kobieta pobierająca w budce opłaty drogowe

ledwo spojrzała na Lucasa.

Siedzący za kierownicą Thomas Curl spojrzął na Catherine wilkiem.

— A co miała powiedzieć? — spytał.

Kiedy kilka minut wcześniej podjechali do budki, wyciągnął po bilet przystrojoną psim łbem rękę. Kobieta w budce zerknęła obojętnie na bulteriera, który ulegał już widocznemu rozkładowi.

— Życzę miłego dnia — rzekła.

— Dziękuję — odparł Thomas Curl i wcisnął pedał gazu.

Nazwał psa imieniem Lucas.

— Dlaczego nie Lukę? — spytała Catherine.

— Co za głupie imię dla psa!

W lewej dłoni ścisnął pistolet, dlatego właśnie sięgnął po bilet prawą ręką. Dlatego też prawą ręką trzymał kierownicę. Catherine widziała, że jego ramię jest potwornie spuchnięte. Skóra zszarzała, poprzecinana czerwonymi jak błyskawice smugami.

— Powinieneś pójść do lekarza.

— Zrobię to, jak już się spotkam z Dennisem. I z twoim cholernym mężem — odparł Curl. Był spocony jak ruda mysz.

— On nie jest już moim mężem.

— Mimo to nadal zamierzam go zabić. Za Lemusa.

— Mało mnie to interesuje — odrzekła Catherine, patrząc przez okno i udając, że jazda sprawia jej przyjemność.

Thomas Curl nie wiedział, co o niej myśleć. Przecież powinna być śmiertelnie przerażona.

— Zobaczmy, co będzie, kiedy się dowie, gdzie jesteś.

— Decker? Jego to nic nie obchodzi — skłamała.

Curl zaśmiał się chrapliwie.

— Obchodzi. Ma chyba z milion twoich zdjęć.

— Moich?

— Od groma. Pod łóżkiem, w szafce, pewnie też w szufladzie z gaciami. Nie wiedziałaś?

Nie wiedziała. Była ciekawa, które zdjęcia Decker zatrzymał, które najbardziej lubi.

— Mój mąż jest lekarzem — rzekła. — Mógłby wieczorem obejrzeć twoją rękę. — Kolejny błąd: James zemdlełby na widok tej rany.

— Nie ma mowy. Jedziemy do Lauderdale. — Curl spojrzął na psi łeb i uśmiechnął się. — Prawda, Lucas?

Oczywiście pies milczał.

— Lucas, słyszysz, co mówię? — spytał groźnie Carl. — Odpowiedz, kundlu!

Psi łeb bezgłośnie wgryzał się w jego ramię.

Curl wcisnął lufę pistoletu w łaciate ucho.

— Proszę, nie — powiedziała Catherine, podnosząc ręce.

Nie zwracając uwagi na to, co się dzieje na drodze, Curl spojrział na Lucasa i wyszczerzył złowrogo zęby.

— Tatuś mi mówił, że trzeba im od razu pokazać, kto rządzi. Psy są jak baby, mawiał, nie można im popuścić, bo wejdą człowiekowi na głowę. Prawda, Lucas?

Znów brak odpowiedzi.

Odbezpieczył pistolet.

— Niegrzeczny jesteś, Lucas!

Catherine zakryła dłonią usta i warknęła cicho,

Curl z uśmiechem nachylił się ku niej.

— Słyszałaś? — spytał.

Warknęła ponownie. Uznała, że to lepsze, niż pozwolić mu strzelać w samochodzie jadącym z prędkością stu kilometrów na godzinę.

— Grzeczny piesek — rzekł Curl, udobruchany. Położył pistolet na kolanach i pogłaskał psi łeb.

— Hau! — szczeknęła Catherine.

Skink złowił w sieć więcej karpików i kazał Garcii ćwiczyć z okoniem niemal do świtu. Wreszcie popłynęli z powrotem. Gdy wyciągali łódź na brzeg, Garcia zauważył dwa samochody zaparkowane pod chatą obok wozu Skinka. Jeden należał do Jima Tile'a. Drugim była pomarańczowa korweta.

— Mamy towarzystwo — rzekł Skink, zdejmując czepek.

Przy ognisku siedzieli: Decker, Tile, Lanie Gault i jeszcze jedna dziewczyna, którą nie znał. Decker przedstawił ją jako Ellen 'Leary.

— Jak oko? — zagadnął Tile.

Skink wyszczerzył zęby w uśmiechu i zdjął okulary.

— Jak nowe, co?

Wszyscy zaczęli go zapewniać, że jest bardzo ładne.

— Chcede jeść? — zapytał Skink. — Wezmę samochód i poszukam czegoś na autostradzie.

— Nie, po drodze wstąpiliśmy do baru — odparł Decker.

— Dziękujemy — dołączyła się Lanie.

Skink kiwnął głową.

— Bo ja trochę jestem głodny — rzekł. — Moglibyście przesunąć samochody, żebym

wyjechał?

— Weź mój — zaproponowała Lanie, wyjmując kluczyki z kieszeni džinsów. — Albo jeszcze lepiej, pojedę z tobą.

— Rzeczywiście, tak będzie najlepiej — rzekł Decker z przekąsem.

— Jeśli ty nie masz nic przedwko, to ja też nie — powiedział do niego Skink.

— Tylko żadnych numerów z wiązaniem — zastrzegła Lanie. Decker znów usłyszał jej kokieteryjny ton. Usiadła w fotelu pasażera, a Skink wdsnął się za kierownicę.

— Mam nadzieję, że ona lubi omlety z oposów — rzekł Decker do pozostałych.

Skinka i Lanie nie było bardzo długo.

Al Garcia przedstawił Deckerowi plan działania, zaczynając od słów:

— Facet jest kompletnie stuknięty.

— Dzięki za informację — odrzekł kwaśno Decker.

— On zna się na tym. Możecie mu zaufać — powiedział Jim Tile.

Plan Skinka zakładał całkowitą plajtę zawodów wędkarskich imienia Dickiego Lockharta. Zakładał też, że widzowie przy telewizorach dowiedzą się całej prawdy o Jeziorach Okoniowych.

— A my będziemy razem łowić — rzekł Garcia do Jima Tile'a.

— Wystąpimy na zawodach?

— Wpładł już nasze wpisowe. Najlepsze jest to, że mamy być hermanos. Braćmi.

Jim Tile pokręcił głową, uśmiechając się pod nosem.

— Bardzo mi się podoba ten pomysł — odparł.

— Niezbyt jesteście do siebie podobni — zauważyła słabym głosem Ellen 'Leary.

— Oczy mamy takie same — powiedział Garcia z poważną miną. — To będzie zabawa.

Zabawa? R. J. Decker nie określiły tego w ten sposób. Sprawy niebezpiecznie wymknęły się spod kontroli; nagle o wszystkim miał decydować ten jednooki padlinożerca niespełna rozumu. Co gorsza, Garcia najwyraźniej był gotów przystać na to. Decker zastanawiał się, co się tu dzido, kiedy on i Jim Tile byli u Lanie.

— To wszystko jest bardzo fascynujące — rzekł — i życzę wam powodzenia na zawodach, ale mnie przede wszystkim chodzi o Dennisa Gaulta. Jestem oskarżony o morderstwo z premedytacją, pamiętacie?

— Siostrę Gaulta już mamy. A także jej spowiedź — powiedział Jim Tile i pokazał kasetę magnetofonową.

— Dobra robota — pochwalił Kubańczyk i zwrócił się do Ellen: — A co z panią?

Dziewczyna spojrzała smutno na Jima Tile'a.

— Dzięki jej zeznaniom oskarżymy o to morderstwo Thomasa Curla i Dennisa Gaulta —

odparł czarny policjant.

— Nieźle — rzekł Garda. — R. J., nie bardzo kapuję, dlaczego się tak martwisz? Na moje oko wszystko wygląda świetnie.

— Chwileczkę — zaoponował Decker. — Gault wrobił mnie w morderstwo. Zlecił również zabójstwo mojego przyjadela Otta Pickneya. W tej chwili szuka mnie nasłany przez niego zabójca.

Wolałbym nie czekać trzy czy cztery miesiące, aż prokuratura w Nowym Orleanie przygotuje sprawę.

— Dobra, rozumiem, chico. Słuchaj, to może ja naskoczę na Gaulta podczas zawodów?

Wściekłby się, co?

— I widzieliby to ludzie w telewizorach — zauważył Jim Tile.

— Pod jakim zarzutem? — spytał Decker.

Garcia zapalił papierosa.

— Falszywe zeznania. Okłamał mnie, a ja tego nie lubię. Utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości to kolejny dobry pretekst.

— To wszystko zawracanie głowy, Al — rzekł Decker.

— Lepsze niż nic — odparł Jim Tile.

Garda patrzył na błękitny dym unoszący się pod korony pobliskich dębów.

— To najlepsze, co możemy zrobić — powiedział — dopóki nie znajdziemy Thomasa Curla i nie pogadamy z nim poważnie.

— Sądzisz, że puści farbę? — spytał Decker.

— Jasne — odrzekł Kubańczyk z uśmiechem. — Jeśli go ładnie poproszę.

Gdy znaleźli się na autostradzie do Gilchrist, Skink wydsnął z korwety sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Wiedział, że druga taka okazja może już mu się nie trafić. To był naprawdę niezły wóz.

Lanie siedziała obok z podwiniętymi długimi nogami i zerknęła na niego kątem oka. Nie podobało się to Skinkowi, ale nic nie mówił. Od dawna nie był sam na sam z piękną kobietą; oto cena pustelniczego życia. Pamiętał jednak, jak łatwo wtedy o zaćmienie umysłu, i powtarzał sobie w duchu, że trzeba uważać, bo czeka go jeszcze robota. W dodatku łeb mu pękał; ból powrócił, jak tylko odjechali od jeziora. Na wizytę u lekarza nie było jednak czasu.

Lanie włączyła kasetę z piosenkami Whitney Houston i poruszała nogami do taktu. Nie odrywając oczu od drogi, Skink wyjął kasetę z odtwarzacza i cisnął ją przez okno.

— Masz coś Creedence Clearwater Revival? — spytał.

Lanie obróciła się w fotelu i patrzyła przez tylną szybę, jak

aseta Whitney Houston odbija się od asfaltu, pęka i rozlatuje na awalki.

— Jesteś kopnięty! — wrzasnęła na Skinka. — Musisz mi ją kupić!

Skink nie zwracał na nią uwagi. Dostrzegł coś leżącego daleko na drodze: brązową, nieruchomą masę. Nacisnął ostrożnie hamulec, żeby nie wpaść w poślizg i nie stracić kontroli nad samochodem. Kiedy stanęli na wzniesieniu, włączył światła pozycyjne i wysiadł. Pamiętał, by zabrać ze sobą kluczyki.

Na drodze leżał martwy pancernik. Obejrząwszy zwierzę, Skink chwycił je za czarny ogon i zaniósł do samochodu.

Lanie struchlała. Rzucił zdobycz na tylne siedzenie i włączył silnik.

— Jadłaś kiedyś coś takiego? — spytał.

Pokręciła gwałtownie głową.

— Świetna z tego zupa. Pancierz można wykorzystać jako wazę, jeśli się wie jak. Mieści się w nim z dziesięć litrów.

Lanie zerknęła za siebie, chcąc sprawdzić, czy nie zabrudziła się tapicerka.

— Jest świeży, nie bój się — uspokoił ją Skink. Zawrócił samochód i ruszyli w drogę powrotną.

— No dobra, kim ty naprawdę jesteś?

— Przecież wiesz.

— Ale przedtem. Musiałeś być... kimś. Na pewno nie wychowałeś się na zbieranym ścierwie.

— Niestety nie.

— Lubię cię — powiedziała. — Zwłaszcza twoje dłonie. Zwróciłam na nie uwagę już pierwszego dnia, kiedy mnie wiązałeś linką.

— Żyłką, a nie linką — poprawił ją Skink. — Cieszę się, że nie żywisz urazy.

— Ale nie możesz się dziwić, że jestem ciekawa.

— Mogę. Nie twoja sprawa, kim jestem.

— Cholera, ale się z tobą rozmawia!

Skink nacisnął mocno hamulec. Samochodem zarzuciło gwałtownie. Wylecieli z drogi i po chwili nie kontrolowanej jazdy zatrzymali się na środku suchej łąki.

— Pięknie — rzekła Lanie, bardziej zmartwiona niż przestraszona. — Moja korweta wylądowała w krowich placach.

Skink zdjął dłonie z kierownicy.

— Chcesz wiedzieć, kim jestem? — spytał. — Jestem facetem, który przegapił szansę, by to uratować.

— Co uratować?

Skink zrobił szeroki gest ręką.

— To wszystko — odparł. — Wszystko, co się w jakiś sposób liczy. Mogłem to uratować, ale zamiast tego uciekłem. Teraz już wiesz.

— Może trochę dokładniej?

— Nieważne, to stare dzieje.

— Byłeś kiedyś sławny?

Skink się roześmiał.

— Co cię tak śmieszy? — spytała Lanie, podziwiając jego wspaniały uśmiech.

— Żadnych pytań więcej.

— Tylko jedno — rzekła. — Czy mnie nie pocałujesz?

Nie skończyło się na tym. Skink był pod wrażeniem jej energii i zwinności — niełatwo się rozebrać, siedząc w głębokim fotelu korwety. Kiedy szarpał suwak swego kombinezonu, Lanie zdjęła już dzinsy i majtki, a potem objęła go długimi nogami. Skink z podziwem patrzył na jej opaleniznę. Wcisnęła guzik i fotel się rozłożył.

Usiadłszy na Skinku, który stopy w olbrzymich buciorach oparł o deskę rozdzielczą, zaczęła muskać piersiami jego twarz. Widziała, że sprawia mu to przyjemność.

— Co najbardziej lubisz? — spytała.

— Światowe numery.

— Świetnie. Zrobimy to, a potem położymy się razem i pogadamy, dobra?

— Jasne.

Położyła się na nim całym ciężarem i zaczęła kręcić biodrami.

— Musimy się lepiej poznać — rzekła.

— Dobry pomysł.

Nachyliła się i wciskając mu język w ucho poprosiła:

— Nie zdejmuj okularów, dobrze?

Nawet tak wyuzdanej kobiecie jak Lanie Gault sowie ślepie nie pozwoliłoby się skupić.

Tego samego popołudnia, kiedy Lanie już odjechała, a Jim Tile umieścił Ellen 'Leary w swoim mieszkaniu, Skink wyruszył pikapem do miasta. Wrócił holując wysłużoną przyczepę. Leżał na niej sześciokonny silnik Mercury, pamiętający lepsze czasy. Oprócz tego Skink przywiózł stuosiemdziesięciolitrową, plastikową beczkę, dwa i pół metra węża gumowego i cztery tuziny baterii, które kupił w Harney.

Właśnie majstrował przy beczce, gdy podszedł do niego Decker i spytał:

— Dlaczego ją puściłeś?

— Nie było powodu, by ją trzymać.

Zdaniem Deckera powód był i to oczywisty.

— Pobiegnie prosto do brata — rzekł.

— I co mu powie?

— Gdzie mnie można znaleźć.

— Nie zostaniesz tu długo — odparł Skink. — Jedziemy na południe. Czy Jim Tile i Kubańczyk ćwiczyli dzisiaj?

— Cały dzień. Ale Garda jest beznadziejny.

— A więc będzie kapitanem.

Decker pragnął dowiedzieć się jeszcze czegoś, ale nie chciał urazić Skinka.

— Ona nie zna chyba naszych planów, co? — wydukał w końcu.

Chciał wysondować, co się wydarzyło w korwedzie. Jednak Skink zbył go krótko.

— Niektórzy umieją się pieprzyć bez gadania. Nie, nie zna naszych planów.

Decker poczuł, że Skink jest wśdekły: może po pobiciu do reszty zwariował i zaraz sięgnie po broń, co, jak wiadomo, miał w swoim zwyczaju? Decker czym prędzej odszedł i poprosił Tile'a, by zawiózł go do miasta, skąd chciał zadzwonić w kilka miejsc. Al Garcia też się z nim wybrał, ponieważ skończyły mu się papierosy.

— Wyprawa do Harney to nie najlepszy pomysł — rzekł po drodze czarny policjant. — Ludzie nie powinni widzieć nas razem. Mniej więcej osiem mil stąd jest przydrożny sklep.

— Jim, słuchaj... — odezwał się Decker. — Czy jesteś pewien, że ten pomysł Skinka...?

— To jego ostatnia szansa — odparł Tile. — Widziałeś przecież, jak źle wygląda.

— Więc zawieźmy go do szpitala.

— Tu nie chodzi o jego oko. Ani o to, że został pobity. On jest cały poturbowany w środku. Sam to sobie zrobił, rozumiesz?

Al Garcia nachylił się z tylnego siedzenia i rzekł:

— Co ci to szkodzi, R. J.? Facet chce coś udowodnić, więc pozwól mu to zrobić.

— Skinka to jeszcze rozumiem — odparł Decker. — Ale dlaczego wy się w to ładujecie?

— Może też chcemy coś udowodnić — powiedział Jim Tile.

Decker dał za wygraną.

— Nie martw się — powiedział Garcia. — Tacy dwaj starzy gliniarze jak my potrzebują czasem przerwy w monotonii.

Gdy dojechali do sklepu, Jim Tile został w samochodzie, Kubańczyk poszedł po papierosy, a Decker do telefonu. Uznał, że powinien zadzwonić do domu i sprawdzić informacje nagrane na automatycznej sekretarce, ponieważ gdy już ten koszmar się skończy, nadal będzie musiał jakoś

zarabiać na życie. Nakręcił swój numer, a następnie kod uruchamiający odgrywanie taśmy.

Usłyszawszy pierwszy głos, skrzywił się boleśnie. Lu Zicutto z firmy ubezpieczeniowej.

„Ej, pęta, masz szczęście, że Nunez przysłał do sądu zwolnienie lekarskie. Mamy odroczenie o dwa tygodnie. I wtedy nie chcę słyszeć żadnych wymówek — masz być na sali z negatywami. Inaczej od razu leć do sklepu i kup sobie wózek inwalidzki. Zrozumiałeś?”

Przyjemnie z kimś takim pracować.

Drugiego głosu Decker nie rozpoznał.

„Panie Decker, mam pańską żonę. Jest śliczna jak laleczka. Zrobimy więc handelek: jej dupka za pana. Niech pan zadzwoni do mnie w piątek, do Holiday Inn w Coral Springs. Podamy się za państwo Gómezów.

Decker odwiesił słuchawkę i oparł się ciężko o ścianę.

Al Garcia, który pogwizdując wyszedł akurat ze sklepu, złapał go za ramię.

— Co ci jest?

Jim Tile wysiadł z samochodu i podtrzymał Deckera z drugiej strony.

— On ma Catherine — powiedział Decker głucho.

— O kurwa! — Garcia splunął na chodnik.

— Tom Curl — rzekł Jim Tile.

Decker usiadł na błotniku samochodu i przez dłuższy czas wpatrywał się w milczeniu w ziemię.

Wreszde zwrócił się do policjantów:

— Czy gdzieś tutaj można kupić aparat fotograficzny?

Gdy wrócili nad jezioro, Jim Tile opowiedział Skinkowi, co zrobił Thomas Curl.

Skink schwycił się za głowę i przysiadł na zderzaku pikapa. Decker zrobił krok w jego kierunku, ale Jim Tile powstrzymał go gestem.

Po dłuższej chwili Skink spojrzał do góry i rzekł:

— To moja wina, Miami.

— To niczyja wina.

— Ja zastrze...

— To niczyja wina — przerwał mu Decker — więc się zamknij. — Im mniej mówili o Lemusie Curlu, tym lepiej. Zwłaszcza w obecności policjantów.

— Ten Curl może nam wszystko zepsuć — powiedział Skink chrapliwym głosem.

— Zgadza się — mruknął Al Garcia.

Skink zdjął okulary. Zdrowe oko miał zaczerwienione i załzawione. Spojrzał na Deckera i powiedział dcho łamiącym się głosem:

— Nie możemy zmienić naszego planu. Już za późno.

— Róbcie to, co musicie — odparł Decker.

— Później go zabiję. Obiecuję d.

— Dzięki, ale nie będzie trzeba.

— Ta sprawa... — zaczął Skink. Uderzył pięścią w błotnik. — Ta sprawa jest dla mnie bardzo ważna. Muszę to zrobić — dokończył.

— Wiem, kapitanie.

— Zrozumiałbyś, gdybyś wiedział o wszystkim. Wtedy dostrzegłbyś sens tego, co robię.

— W porządku — starał się uspokoić go Decker. — Realizujcie swój plan. Ja mam własny. Skink się uśmiechnął.

— Zuch! — wykrzyknął. — To lubię.

Al Garcia i Jim Tile spojrzeli po sobie. Plan Deckera był nie mniej szalony niż plan Skinka.

Niczym chirurg dokonujący przeglądu swych instrumentów, Dennis Gault rozłożył na wełnianym dywanie przygotowany na zawody sprzęt: sześć kołowrotek Bantam Magnumlite GT, osiem wędek firmy Shimano, cztery grafitowe Ugly Stiks, trzy buteleczki przynęty zapachowej Happy Gland, nóż firmy Randall, nierdzewne szczypce Sargent, diamentową ostrzałkę do haczyków, teleskopowy podbierak, dwie pary okularów Polaroid (zielone i bursztynowe), wagę Chatillion z certyfikatem i, rzecz jasna, kasetę z osprzętem. Kasetę, Piano Model , była wielkości nesesera i miała dziewięćdziesiąt przegródek. Podobnie jak wszystko inne w arsenale Gaulta, przynęty były nowe. Na połowy powierzchniowe zaopatrzył się w Bang-O-Lures, Shad Raps, Sio Dancers, Hula Poppers i Zara Spooks, natomiast na głębinę przygotował Wee Warts, Whopper Stoppers oraz groźnego Lazy Ike'a. Na walkę w wodorostach i zawadach miał Jig-N-Pig, słynne Dwa Skrzydełka, Bayou Boogie, Eerie Dearie oraz tęczową kolek'ę Mister Twisters. Jeśli chodzi o „gumki”, na których najbardziej mogą polegać łowicy okonia, Dennis Gault zebrał ich aż półtora kilograma. Łapał ryby na każdy kolor, więc zapakował wszystkie: czarno-granatowe raki, błyszczące szare jaszczurki, purpurowe komarnice, ciemnobrunatne połyskliwe węże wodne, słowem: wszystko.

Gault układał je z lubością. Miejsca było dosyć.

Najważniejszą decyzją, którą musiał podjąć, nad czym zawsze zastanawiał się najdłużej, był wybór odpowiedniej żyłki. Żyłka ma

li — Podwójne oszustwo

istotne znaczenie, to właśnie ona łączy wędkarza z jego cenną zdobyczą. Im dłużej okoń wisi na niej, tym większa szansa, że ucieknie. Jako że każda ryba, która zrywa się z haczyka, oznacza stracone pieniądze, profesjonalny wędkarz stara się nie dopuścić do tego. Na zawodach nikt nie daje

rybom szans. Podczas zacieklej rywalizacji nie ma miejsca na romantyczne zapasy, akrobatyczne skoki. Taktyka polega na tym, by szarpnąć z całej siły i przyciągnąć zaskoczoną rybę do łodzi tak szybko, jak to tylko możliwe. Na zawodach nierzadko widuje się, jak bezradne ponad dwukilogramowe okonie są w ten sposób ciągnięte po powierzchni wody.

Tak więc wytrzymała żyłka była niezbędną. Na memoriał Dickiego Lockharta Dennis Gault wybrał różową żyłkę firmy Andes — na tyle elastyczną, by przy lekkim wietrze można było zarzucić przynętę na sporą odległość, a jednocześnie na tyle mocną, by wytrzymała opór każdego okonia.

Gault właśnie wyciągał czapkę z naszywką Stowarzyszenia Okoniowego, gdy rozległ się sygnał telefonu. Dzwoniła Lanie z parkingu między Harney a Fort Lauderdale.

— Straciliśmy Ellen 'Leary — powiedziała. — Zjawił się u mnie Decker i zabrał ją.

— Świetnie — skwitował uszczypliwie Gault.

— A co miałam zrobić? Przyszedł z nim ten wielki Murzyn, policjant z Harney.

Gault nie chciał sobie psuć odświętnego nastroju.

— Nie martw się — rzekł.

— A co w Nowym Orleanie?

— Zapomnij o tym i o Deckerze też. Tom Curl zajmie się wszystkim.

Lanie wiedziała, co to oznacza, ale nie czas teraz było na wyrzuty sumienia.

— Dennis, musiałam im powiedzieć o moich zeznaniach, o tym, że kłamałam.

Myślała, że brat się wścieknie, ale nic takiego się nie stało.

— To nie ma znaczenia.

Chciała, żeby powiedział coś więcej, lecz on zamilkł. Chciała dowiedzieć się czegoś o zawodach, jaki sprzęt zamierza zabrać, gdzie się zatrzyma. Chciała, żeby przynajmniej udawał, że cieszy się

z jej telefonu, ale on mówił znudzonym tonem. Dla niego wszystko było tylko interesem.

— Muszę się pakować — powiedział.

— Na zawody?

— Tak.

— Mogę pojechać z tobą?

— To nie jest dobry pomysł, Elaine. Jestem podenerwowany.

— Ale ja mam dla ciebie niespodziankę.

— Jaką?

— Cynk, dzięki któremu wygrasz memoriał.

— Daj spokój, Elaine — odparł, wyraźnie jednak zaintrygowany.

— Słyszałeś o jakimś Skinku? — spytała.

— Tak. Jest zdrowo kopnięty.

— Nie sądzę.

Po drugiej stronie linii zapadła pełna napięcia cisza. Dennisowi Gaultowi przyszedł do głowy różne sprośne myśli dotyczące siostry i tego dziwnego odludka. Czy to matka popełniła jakiś błąd w wychowaniu Elaine?

— Dennis, on ma olbrzymią rybę.

— Ma?

— Nie wierzysz? Jak chcesz.

— Nie, nie, dokończ swoją bajeczkę.

— Wyhodował olbrzymiego, gigantycznego okonia. Według niego to chyba światowy rekord.

— Skąd może to wiedzieć?

— Później powiedział, że jego przyjaciele biorą udział w zawodach.

— Później? To znaczy po herbacie i ciasteczkach?

— Przestań, Dennis. Myślisz, że łatwo było coś z niego wycisnąć?

— Co jeszcze powiedział?

— Że wybiera się gdzieś z tą rybą pod koniec tygodnia.

Gault prychnął.

— Z rybą! Mają randkę?

Lanie dała mu czas, żeby się nad tym zastanowił.

— Chce podrzucić rybę na Jeziora Okoniowe — doszedł do wniosku Gault. — Żeby jego kumple wygrali zawody.

— Tak właśnie sobie pomyślałam.

— Nieźle wykombinował, nawet jeśli trzeba będzie potem podzielić forszę na trzech.

— Zamiast na dwoje.

— Co?

— Między ciebie i mnie. Po połowie. Jeśli wygrasz dzięki rybie Skinka.

Dennis Gault nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Ale numer z jego kochanej siostry.

— Umowa stoi? — spytała Lanie.

— Jasne, po połowie — odparł. I tak nie zależało mu na pieniądzach.

— Ja tym nie jadę — rzekł Al Garda.

— Tylko to udało mi się znaleźć. Nic innego nie miało zaczepu — wyjaśnił Jim Tile.

— Jim, to jest śmiedarka! Jedenastotonowa śmieciarka!

— Doskonała — rzekł Skink. — Pasuje do was jak ulał.

Umocował wysłużoną drewnianą łódź na starej przyczepie.

Nawet wraz z silnikiem był to lekki ładunek. Jedną ręką założył zaczep przyczepy na hak holowniczy.

Garcia patrzył na to z przerażeniem. Już sama łódź prezentowała się wystarczająco żałośnie, natomiast ze śmierzdarką tworzyła osobliwość rodem z pchlego targu.

— Nawet Cyganie nie pojechaliby tym draństwem. Co się stało z furgonetką twojego kuzyna? — spytał Tile'a.

— Pękła oś.

— Więc wynajmijmy normalny pikap.

— Nie ma czasu — rzekł Skink.

— No to pojedziemy razem z tobą.

— Nie ma mowy — odparł Skink. — Nie mogą nas widzieć razem. Od tej chwili nie znade mnie, a ja nie znam was. Działacie na własną rękę.

— A jeśli coś się wydarzy? — spytał Garda. — Jak dę znajdziemy?

— Będę w pobliżu. Macie mapę?

— Tak. — Garcia uderzył się po kieszeni spodni.

— Dobrze. Pamiętajcie, weźcie jeden z tych dużych pojemników na wodę.

— Wiem, piętnastolitrowy.

— Tak. I pompkę do akwarium.

— Wszystko mamy spisane — odparł Jim Tile.

Skink uśmiechnął się smętnie. Wsadził siwy kucyk pod kołnierz kombinezonu. Tile poradził mu, by to zrobił, gdyż inaczej poliqa bez powodu może go zatrzymać na drodze. Długie włosy działały na gliniarzy jak czerwona płachta na byka.

— Czy Decker tam dzwonił? — spytał Skink, wsiadając do swojego pikapa.

— Tak — odrzekł Tile. — Już pojechał.

— Boże, to jedyna sprawa, której nie jestem pewny — westchnął Skink. — Lubię tego chłopaka. — Wcisnął czepek głęboko na głowę. Uniósł lekko okulary na nosie i wsunął pod nie palec, by poprawić sobie oko.

— Jak się czujesz? — spytał Tile.

— Coraz lepiej. Dzięki za troskę. A ty, pamiętaj...

— Będę się z nią obchodził delikatnie, nie martw się.

— ...bo jeśli ona zdechnie, będę musiał kogoś zakatrupić.

Po tych słowach Skink zapuścił silnik i ruszył wyboistą dróżką dla bydła w kierunku Szlaku Mormonów.

Na platformie jego pikapa stała mocno przywiązana sznurami plastikowa beczka z zasilaną bateriami pompą, z której wystawały życiodajne węże gumowe. W beczce znajdowało się sto trzydzieści pięć litrów najczystszej, świeżo utlenionej wody z jeziora Jesup, a w niej pływała ryba zwaną Królewną. Największy okoń świata.

Gdy już znaleźli się w pokoju hotelowym, Thomas Curl lazał Catherine się rozebrać. Zdjęła wszystko prócz majtek i stanika.

— Masz być goła. Wtedy mi nie zwiejesz — rzekł, wymachując pistoletem.

— Ale będzie mi zimno — zaprotestowała.

Curl wziął z szafki wełniany koc i rzucił jej.

— Masz.

Catherine pomacała materiał.

— Strasznie szorstki — powiedziała.

Thomas Curl odbezpieczył pistolet i zaczął nim groźnie wymachiwać.

— Zdejmuj wszystko.

Zrobiła, co kazał. Wiedziała, że ma do czynienia z chorym człowiekiem. Był rozkojarzony, nienaturalnie ożywiony, a chwilę później popadał w odrętwienie. Porzucił wszelkie próby pozbycia się psiego łba. Byli teraz przyjaciółmi.

Patrzył uważnie, jak Catherine owija się kocem i siada na łóżku.

— Masz ładne cycki — powiedział.

— Pewnie mówisz to każdej porwanej kobiecie.

— Chętnie bym cię przeleciał.

— Może kiedy indziej.

Powoli, milimetr po milimetrze, niczym ślepia sennego kameleona, zamykały się jego opuchnięte oczy. Głowa opadła mu na ramię i wsparła się na lufie pistoletu. Catherine pomyślała już, że za chwilę będzie musiała ścierać z włosów strzępy jego mózgu, gdy nagle się ocknął. Zabezpieczył broń i wsunął ją za pasek. Wskazał ręką telefon na stoliczku.

— Zadzwoń do swego mężusia. Tego nowego. Powiedz mu, że wszystko jest cacy.

Catherine nakręciła numer hotelu w Montrealu, ale Jamesa nie było w pokoju. Odłożyła słuchawkę.

— Czy możemy otworzyć okno? — spytała.

— Połóż się.

— Po co?

Zdrową ręką pchnął Catherine na łóżko. Używając porwanego na pasy prześcieradła, przywiązał ją do materaca. Następnie odłączył telefon i wziął go pod pachę.

— Nie próbuj żadnych numerów — ostrzegł.

— Wychodzisz?

— Lucas musi iść na spacer.

Skinęła głową.

— Zabieram telefon.

— Mógłbyś przynieść coś do jedzenia? Umieram z głodu.

Zarzucił sobie na ramię kurtkę Deckera.

— Będą ci musiały wystarczyć hamburgery.

— W Wendy jest bar sałatkowy.

— No dobra, niech będzie.

Nie był głodny. Wziął kilka frytek, podczas gdy Catherine jadła sałatkę i piła colę. Po powrocie do hotelu, nie mógł sobie poradzić z rozwiązaniem supełów, więc po prostu poprzecinał prześcieradło scyzorykiem.

— Czy Lucas ucieszył się ze spaceru? — spytała.

— Był bardzo grzeczny — odparł Curl, głaszcząc psi łeb. — Grzeczny, posłuszny piesek.

Podłączył telefon do gniazdka i kazał Catherine jeszcze raz zadzwonić do Montrealu. Tym razem usłyszała głos Jamesa.

— Jak tam zjazd? — spytała. — Dobra zabawa?

Curl przysunął się bliżej i dla przestrogi wyjął pistolet.

— Dzwonię, żebyś się nie martwił, że nie będzie mnie w domu — mówiła. — Jadę na kilka dni do siostry do Boca. — Rozmawiali kilka minut o pogodzie i lawinie zamówień na elektryczne leżanki.

— Bardzo ładnie — pochwalił ją Curl, kiedy odłożyła słuchawkę. — Lubisz go tak samo jak Deckera?

— James jest słodki. Jeśli chodzi ci o pieniądze, zapłaci każdą sumę, by mnie odzyskać.

— Nie potrzebuję pieniędzy.

— Rozumiem.

— Więc doktorek nie będzie się martwił, że cię nie ma?

— Nie, wybiera się na bal. Udzielił też wywiadu „Vertebrae Today”.

Curl czknął.

— A co to takiego?

— Czasopismo kręgarskie — wyjaśniła. Szczerze mówiąc, sama też nie uważała tego za wielkie wydarzenie.

Zadzwonił telefon. Catherine chciała odebrać, ale Curl uderzył ją pistoletem w rękę. Podniósł

słuchawkę.

— To ja, Decker — odezwał się męski głos.

— Już jesteś?

— Jestem w drodze. — Decker był na stacji benzynowej w Fort Pierce, gdzie musiał zatankować paliwo.

— A więc dokonamy transakcji?

— Jak najbardziej. Jak się miewa pani Gómez? Curl przyłożył Catherine słuchawkę do policzka.

— Powiedz mu, że nic ci nie jest — rozkazał.

— R. J., wszystko w porządku.

— Catherine, przepraszam cię za to.

— Nie ma sprawy...

Curl wyrwał jej słuchawkę i powiedział do Deckera:

— Ma to być jednoczesna wymiana.

— Zgoda, ale ja wybieram miejsce.

— Odchrząń się.

— Inaczej nie da rady. Muszę mieć pewność, że puścisz ją wolno. Curl potarł czoło. Chciał być twardy, ale nie przychodziły mu

do głowy żadne argumenty. Jego mózg skwierczał w gorączce. Gdy Decker poinstruował go, kiedy i gdzie ma jechać, powtórzył to głuchym, załamującym się głosem. Na szczęście Catherine zapisała przekazane informacje, albowiem Curl zapomniał wszystko, jak tylko odłożył słuchawkę.

— Głodny jesteś, Lucas? — spytał. Otworzył papierową torbę. Wstąpił po drodze do sklepu i kupił psu przysmaki.

Catherine zerknęła na torbę.

— Psie hamburgerki? — spytała.

— Bardzo je lubi — odparł. Odwinął z papieru kotlecik i wepchnął psu między szczęki, wciąż wpite nieubłaganie w jego ramię. Czerwone mięso przylgnęło do żółtych kłów. — Smaczne, co, piesku?

— Tom, on nie jest głodny — rzekła Catherine.

— Chyba masz rację. To pewnie od tej jazdy samochodem.

iaakon Johnson zapukał lekko do drzwi. Przynajmniej raz w życiu wielebny był sam.

— Charles, chodź zobaczyć.

— Co znowu? — spytał poirytowany kaznodzieja.

Johnson zaprowadził go do przystani na brzegu Jeziora Okonio-wego Numer . Przyjechało już wielu wędkarzy i nad wodą roiło się od smukłych łodzi przyholowanych przez różnej marki dżipy. W samym środku wielobarwnego tłumu widniała olbrzymia ciemnozielona śmieciarka ze starą, drewnianą łódką na przyczepie.

Niedbale oparci o śmieciarkę stali dwaj mężczyźni: wysoki, zgrabny Murzyn i krępawy Latynos. Wędkarze przyglądali się im ukradkiem i chichotali pod nosem.

Charlie Weeb podszedł do śmieciarki:

— Jeśli szukacie wysypiska, to musicie jechać drogą . — Wskazał ręką na zachód, w kierunku zapory. — O, tam.

— Przyjechaliśmy na zawody — odparł Jim Tile.

— Na zawody? — powtórzył Weeb, przyglądając się pogardliwie drewnianej łodzi. — Przykro mi synu, ale ten turniej nie jest dla każdego.

— Też tak myślimy — zgodził się z nim Al Garcia. — Jesteśmy braćmi Tile. — Wręczył Weebowi rachunek za wpisowe. Nie spojrzawszy nawet na dokument, wielebny podał go Johnsonowi.

— Tak, to oni — przyznał diakon. — Łódź numer pięćdziesiąt. Wszystko zapłacone.

— Nie wyglądacie na braci — rzekł podejrzliwie Weeb.

— Sí, es verdad — odpowiedział Jim Tile.

— My urodzić się bracia — dodał Garcia.

Przećwiczyli to w drodze. Tile'owi o wiele lepiej szła nauka hiszpańskiego niż Garcii nauka murzyńskiej mowy. Mimo to razem osiągnęli pożądany efekt.

Charlie Weeb wydał policzki i niecierpliwym ruchem wypięlegnowanej dłoni poprawił jasne włosy.

— Przepraszam panów na chwilę — rzekł i odciągnął Johnsona na stronę.

— To chyba jakiś żart? — wybuchnął.

— Żaden żart, Charles.

— Murzyn i Latynos braćmi? Jeśli to nie żart, to co? — Był tak rozeźlony, że aż się opluwał, gdy to mówił. — Izzy, przyjedzie tu dzisiaj tysiąc potencjalnych kupców lokali w osiedlu chrześcijańskim. Obiecałem im uzdrowienie, obiecałem im, że obejrzą światowej klasy zawody wędkarskie i że ich uśmiechnięte twarze ukążą się w telewizji kablowej. Wszystko po to, by sprzedać te cholerne domki.

— Ciszej, Charles — syknął Johnson. Chwycił go za ramię i odprowadził na bok.

— Wzięliśmy od nich pieniądze, więc musimy im pozwolić na start.

— Mam gdzieś to ich wpisowe. Oddaj im forszę.

— Dobra, jak chcesz, ale kiedy gazety o tym napiszą, to ty się będziesz tłumaczył, nie ja. Na myśl o złej prasie Charliego Weeba przeszły ciarki.

— Izzy, ludzie, którzy przyjadą do tego chrześcijańskiego raj — zaczął ugodowym tonem — nie chcą oglądać tu tych czarnuchów. Ludzie, którzy oglądają mój program, też nie. Jestem tu po to, żeby zdobyć widzów i klientów. A moi klienci to najbielszy odcień bieli. Jak tylko zobaczą tamtych, będzie po herbacie. Pomyślą, że wszystko, co słyszeli o Florydzie, że pełno tu czarnych i Kubanosów, to prawda. Nawet na jeziorach.

— Charles, w tych zawodach weźmie udział jeszcze czterdzieści dziewięć innych łodzi. Powiedz kamerzystom, żeby nie filmowali tej drewnianej łódki. A śmieciarkę każemy zaparkować poza terenem.

ożyczymy im jakiś normalny samochód, żeby mogli się poruszać po okolicy. Jak ktoś o nich spyta, to powiemy, że tu pracują.

— Dobry pomysł — zgodził się Weeb. — Na przykład powiemy, że kładą asfalt. Wspaniale. — Czasem nie wiedział, co by zrobił bez Johnsona.

— Nie martw się — uspokajał go diakon. — Tylko spójrz na nich; nie mają żadnych szans. Będzie cud, jeśli ta ich drewniana skorupa nie zatoni na środku jeziora.

Weeb nie posiadał się z oburzenia.

— Kto słyszał, żeby kolorowi brali udział w zawodach wędkarskich? — zadał sobie retoryczne pytanie.

Ale tajemniczy bracia Tile już spuszczały łódź na wodę.

Nazajutrz był dzień treningu. Zgodnie z tradycją wędkarze zebrali się przed świtem na przystani, by wymienić opinie i wymyślić wymówki na wypadek niepowodzenia. Jako że nikt jeszcze nie łowił na Jeziorach Okoniowych, przeważały tu czyste spekulacje. Okonie będą pływać ławicami. Nie, będą siedzieć na dnie. Skądże znowu, zostaną na płyciznach.

Jedynie Charlie Weeb i jego ludzie znali prawdę: w jeziorze pływały tylko martwe ryby. Świeże były dopiero w drodze.

Eddie Spurling wiedział, jak jest, ale nie rzekł ani słowa. Zamiast pić z kolegami kawę w rzednących ciemnościach, wybrał się na spacer brzegiem jeziora. Był małomówny i posepny. Nie okazał najmniejszego zainteresowania dźwiękową przynęta Duke'a Puffina ani nową mechaniczną błyszczką Toma Jericho. Gdy przedrzeźniacze obwieszczały wschód słońca, stanął nad brzegiem i wpatrzywszy się w brązowe kanały, powiedział do siebie:

— Cholera, ta woda, nie jest dobra.

Al Garcia i Jim Tile wypłynęli na połów jako ostatni. Ich start został opóźniony, gdy niejaki Billie Radcliffe, biały człowiek z Georgii, rzekł do Tile'a:

— Ej, czarnuchu, powinieneś zbierać bawełnę, a nie wędkować.

Policjant poczuł się zmuszony nauczyć tego faceta dobrych manier: połamał mu wszystkie wędkę znajdujące się w ślicznej,

wykonanej na zamówienie łodzi. Uczynił to metodycznie, ze stoickim spokojem, przez nikogo nie powstrzymywany, jako że całą operację nadzorował Al Garda z koltem w ręku. Od tej chwili nikt nie wchodził braciom Tile w drogę.

Treningi na jeziorze Jesup na nic się zdały. Garcia okazał się najniebezpieczniejszym wędkarzem świata. Cztery razy zarzucając wędkę omal nie oskalpował Jimiego Tile'a. Trzykrotnie złapał sam siebie, raz tak solidnie, że Tile musiał mu wyciągać haczyki z uda.

Zarzucanie ciężkiej wędkę wymagało wyczucia w kciuku. Garcia albo za wcześnie zwalniał żyłkę, albo za późno. Przynęta czasem trafiała w dno łódki, odbijając się rykoszetem jak pocisk, albo wlatywała prosto w górę i musieli wtedy uważać na głowy. Gdy kilkakrotnie udało mu się trafić w wodę, Tile nagrodził to oklaskami. Po pewnym czasie doszli zgodnie do wniosku, że Garcia powinien tylko sterować łodzią.

Ponieważ mieli słaby silnik, podróż po kanałach zabrała im więcej czasu niż pozostałym zawodnikom, ale około południa dopłynęli wreszcie do miejsca, o którym powiedział im Skink, na zachodnim krańcu Jeziora Okoniowego Numer Siedem. Wynajęci przez Charlesa Weeba specjaliści od rzeźby terenu nie dotarli aż tak daleko i na brzegu piętrzyły się zwały wykopanej ziemi. Kanał kończył się przy starej śluzie, która oddzielała florydzkie Everglades od betonowej cywilizacji. To była granica imperium Weeba.

Jak przewidział Skink, Jim Tile i Al Garcia mieli dla siebie całe Jezioro Numer Siedem. Było zbyt odsłonięte i zbyt daleko położone, by dotarli tu inni wędkarze.

Garda skierował łódź do brzegu. Jim Tile wysiadł i wziął kilka suchych gałęzi pozostawionych przez buldożery. W łodzi, ukryte pod brezentem, czekały drewniane skrzynki po pomarańczach, które przywieźli z Harney w przepastnym brzuchu śmieciarki. Garcia związał je razem, a Tile powpychał suche gałęzie między deszczułki. Razem opuścili skrzynki do wody. Garcia zmierzył głębokość żyłką — dziesięć metrów. Zaznaczył miejsce, pozostawiając na brzegu dwie puszki po piwie.

Tu miała zamieszkać Królowna podczas pobytu poza domem.

„Powszechnie znana rzecz w tym fachu — powiedział Skink dwa dni wcześniej. — Duże okonie uwielbiają zatory. Wylegują się

w nich i zjadają głupie cierniki. Znajdziesz zawadę, to znajdziesz i rybę. Zrobisz zawady, wygrasz zawody”.

Taki był plan.

Poszło im jak z płatka: w zasięgu wzroku nie było ani jednej łodzi.

Był natomiast prywatny śmigłowiec.

Bracia Tile nie spojrzeli nawet do góry, gdy przeleciał nad ich głowami.

Ten jeden przelot wystarczył pilotowi Dennisa Gaulta, by zaznaczyć na mapie miejsce. Czym prędzej skierował się na lotnisko, by przesłać informację szefowi.

Wieczorem, po zakończeniu treningu, na przystani panował nastrój przygnębienia i całkowitego zniechęcenia. Nikt nie złapał ani jednej ryby, choć, rzecz jasna, nikt się do tego nie przyznał. Chodziło nie tylko o poczucie dumy — takie były wymogi rywalizacji. Tam, gdzie chodziło o ćwierć miliona dolarów nagrody, wieloletnia przyjaźń nie była warta splunięcia. Nie dzielono się informacjami, nie porównywano taktyk, nie wymieniano wskazówek. W rezultacie nikt nie zdawał sobie sprawy, że kanały zwane Jeziorami Okoniowymi to zupełnie bezrybie. Kilku wędkarzy natknęło się u brzegów na martwe młode okonie, lecz znaleźli, na to proste wytłumaczenia: wyciek azotu, zrzut fosforanów, kwitnienie alg, pestycydy. To nie obecność kilku śniętych ryb, lecz brak żywych okazów niepokoił zawodników: wraz z upływem dnia tracili resztę optymizmu. Przyjechali tu najlepsi wędkarze kraju, którzy potrafili ocenić, czy woda jest czysta, czy nie. Przez cały ranek bezskutecznie próbowali namierzyć ryby echosondami. Brzegi wszędzie były jednakowo strome, dno jednakowo płaskie, a woda jednakowo wymarła. Nawet Dennis Gault się martwił, choć miał asa w rękawie.

O zmierzchu wędkarze powrócili na przystań, gdzie powiewały już flagi, dźwięczała muzyka country i wzniesiono prostokątną scenę z różową mównicą na jednym końcu, a tablicą wyników na drugim. Cały ten teren był jasno oświetlony przez kamerzystów Chrześcijańskiej Sieci Telewizyjnej. Nad mównicą pysznił się transparent z wypisanym czerwonymi literami hasłem JEZUS W TWOIM

DOMU — BEZPOŚREDNIA TRANSMISJA O PIĄTEJ! Nad tablicą wyników wisiał drugi, ogłaszający wszem i wobec: JEZIORA OKONIOWE GOSZCZĄ MEMORIAŁ DICKIEGO LOCKHAR-TA. W obiektywy kamer wpychały się wszechobecne znaki firmowe sponsorów, którzy wyłożyli pieniądze na nagrody.

Gdy już wszystkie łodzie zawinęły do przystani, wielebny Charles Weeb wyszedł na środek sceny z bezprzewodowym mikrofonem w ręku.

— Witamy was, zawodnicy! — rzekł.

Odpowiedziały mu głuche pomruki wędkarzy.

— Wiem, że dziś było ciężko, ale nie martwcie się! Pan mówi mi, że jutro będzie świetny dzień!

Zasilane wzmacniaczem głośniki wyolbrzymiały skutecznie entuzjazm kaznodziei, więc wędkarze bez przekonania uśmiechnęli się i nagrodzili jego słowa oklaskami.

— Tak, panowie. Rozmawiałem z Panem dziś po południu. Rzekł mi: „Jutro będzie dobry dzień. Jutro okonie będą głodne!”

— A czy mówił, jakie wziąć przynęty? — krzyknął Duke Puffin.

Wszyscy ryknęli śmiechem, a wielebny Weeb uśmiechnął się ze zrozumieniem. Ważne, by ci frajerzy się rozluźnili.

— Jak wiecie — rzekł — dziś zapraszam was na kolację. Żeberka, kurczaki, ryby i tyle piwa, ile zdołacie wypić!

Zapowiedź darmowej wyzerki wywołała pierwsze szczere oklaski tego wieczora.

— Tak więc — ciągnął wielebny — czekają już na was dwa klimatyzowane autokary, które zawiozą was do klubu. Bawcie się dobrze, wypocznijcie, a jutro spiszcie się na medal, by można było wpisać na tej tablicy wyniki, na które czeka cały kraj!

Wędkarze pospiesznie załadowali się do autokarów. Jim Tile i Al Garcia usiedli na samym przodzie. Nikt nie odezwał się do nich słowem.

Jak tylko autokary odjechały, Weeb rzucił mikrofon jednemu z pracowników, zaciągnął młodego hydrologa za scenę i spytał:

— Są?

— Tak, proszę pana, czekamy tylko na pański znak.

— Odwróćcie te światła! — ryknął do ekipy technicznej. — Oświetlcie przystań! Szybdej, nie ma czasu!

Z ciemności wyjechała błyszcząca stalowa cysterna. Wyglądała jak zwykła cysterna do przewozu paliwa. Kierowca wjechał ostrożnie tyłem na przystań i z sykiem hamulców zatrzymał samochód metr od wody.

— Ładnie to zrobił — pochwalił go hydrolog.

Kierowca wyskoczył z kabiny, wymachując zleceniem.

— Dwa tysiące świeżych okonków — powiedział. — Kto podpisze?

Po kolacji Jim Tile i Al Garcia wrócili wypożyczonym samochodem na kwaterę, gdzie czekały na nich złe wieści.

Akcja oddziału antyterrorystycznego z Broward nie powiodła się.

Policjanci wpadli do pokoju w Holiday Inn w Coral Springs i aresztowali Juana Gómeza, podejrzanego o porwanie kobiety. Niestety, ów Juan Gómez okazał się prawdziwym Juanem Gómezem, dostawcą oprogramowania komputerowego. Ponadto młoda dama, z którą figlował na łóżku, nie była porwaną Cat-herine Stuckameyer, ale dziewiętnastoletnią córką właściciela firmy

Floppy World, jednego z głównych odbiorców detalicznych pana Gómeza.

Zanim połapano się w tym wszystkim na komendzie i policja wróła do hotelu, fałszywy Juan Gómez, który naprawdę nazywał się Thomas Curl, odjechał w nieznaną. Technicy przez wiele godzin analizowali w laboratorium znalezione w jego pokoju resztki psich kotletów.

Al Garda zlecił tę akcję bez powiadomienia Deckera, który stanowczo sprzedawał się włączeniu policji. Uparł się, że załatwi sprawę osobiście, ponieważ w grę wchodziło życie Catherine. Gdy tylko Decker wyjechał z Harney, Garcia zadzwonił do swego przełożonego w Miami, który z kolei zatelefonował do biura szeryfa w Broward. Policyjna biurokracja opóźniła wszystko o kilka godzin, głównie dlatego, że nie zgłoszono zaginięcia żadnej Catherine Stuckameyer i policjanci podejrzewali, że to tylko jeszcze jednej kobiecie znudziło się dostatnie życie u boku męża. Gdy oddział antyterrorystyczny wkroczył do akcji, było już za późno.

— Schrzanili robotę — powiedział Garcia do Tile'a, rzucając

słuchawkę na widelki. — Nie do wiary, jeszcze mają do mnie pretensje! Jakiś głupi kapitan, gringo, gada, że ich ośmieszyłem i że nadal nie ma dowodów na porwanie. To nie moja wina, że ci uzbrojeni po zęby komandosi w kominiarkach wleźli do innego pokoju.

— Ładnie — rzekł Tile. — Straciliśmy Curla, była żoną Deckera i jego samego.

— A więc ten szaleniec zrobi to w końcu po swoim. Został tylko jego zwariowany plan. — Garcia cisnął czapkę na ziemię i zaklął.

— Co możemy jeszcze zrobić? — spytał.

— Jechać na ryby — odparł Murzyn. — Nic więcej.

Było już dobrze po północy, gdy ktoś zapukał do drzwi pokoju, w którym spał Dennis Gault. Gault nie miał pojęcia, kto to może być. Postanowił nie zatrzymywać się w kwaterach dla wędkarzy wraz z innymi, ponieważ byłoby tam głośno i nie można by się skupić, a także dlatego, że inni zawodnicy jak zwykle by go ignorowali. Ponadto w takich kwaterach zawsze śmierdziało świeżą farbą, gdyż przygotowywano je przed samymi zawodami.

Gault wynajął apartament w hotelu Hilton Everglades, gdzie zawsze się zatrzymywał podczas pobytu w Fort Lauderdale. Jedynie Lanie, jego sekretarki i kilka zaprzyjaźnionych z nim pań wiedziało, gdzie go można znaleźć. Dlatego też nieoczekiwana wizyta bardzo go zaniepokoiła.

Przystawił ucho do drzwi i usłyszał chrapliwy oddech i dche bzyczenie.

— Kto to? — spytał.

— Ja, proszę pana.

Rozpoznał głos. Wściekły, otworzył drzwi i osłupiał na widok tego, co zobaczył.

— Matko Jezusowa!

— Cześć, szefie — rzekł Thomas Curl. — Fajna piżamka. — Wszedł chwiejnym krokiem i

zwalił się na fotel.

— Boże, Tom...

— Co jest, szefie?

Gault patrzył na niego oniemiały. Curl wyglądał jak śmierć. Zamiast oczu miał opuchnięte szparki, twarz znaczyły purpurowe plamy. Czoło miał mokre od perlistego potu, a z kącików ust sączyła się spieniona ślina.

— Co z tobą?

— Pani Decker leży grzecznie w bagażniku, niech się pan nie martwi — uspokoił go Curl, wycierając wargi rękawem. — Rany, szefie, takiej pizamy nie widziałem w życiu!

Gault spojrział na jego ramię.

— Co... co to jest? — wyjąkał.

— Wabi się Lucas. Dobry piesek.

— O Chryste! — Dopiero teraz Gault zrozumiał, skąd się wzięło owo bzyczenie pod drzwiami.

Wokół psiego łba roило się od much.

— Wychowałem się wśród psiaków — powiedział Curl. — Przeważnie były to kundle.

— Niedobrze, że tu przyszedłeś.

— Mam kilka godzin czasu.

— Przed spotkaniem z Deckerem?

— Tak. — Dostrzegł karafkę z koniakiem na kredensie. Gault podał mu ją jak automat. Curl pociągnął zachłannie trzy łyki z butelki. Oczy mu zabłyśły. — Potrzebuję łodzi — rzekł, mlaskając wargami.

Gault napisał na serwetce numer telefonu.

— Trzymaj, ten facet ma starcrafta.

— Wystarczy byle co.

— Dobrze się czujesz?

— Nic mi nie będzie. Załatwię to raz na zawsze. — Curl zauważył rozłożony pieczołowicie na dywanie sprzęt wędkarski. — Ale cacka. Jak z katalogu.

— Tom, idź już lepiej. Muszę jutro wcześniej wstać.

— Szefie, ja teraz też mało śpiam. Lucas ciągle chce się bawić.

Dennis Gault z trudem oddychał, gdyż smród zatykał gardło.

— Zadzwoń do mnie jutro — rzekł. — Będę coś miał dla ciebie.

— Fajno.

— I jeszcze jedno, Tom, to bardzo ważne. Chodzi mi o Deckera.

— Spokojna głowa.

— Dasz sobie radę sam?

— Podwójne oszustwo

— To mój braterski obowiązek.

Na progu Curl w pijackim geście wyciągnął prawą rękę na pożegnanie.

— No to na razie, szefie.

Gault z odwróconą w bok głową, uściśnął mu dłoń.

— Dobra, zagle na maszt! — rzekł Curl, salutując po marynar-sku. Zrobił to nieporadnie, ale z animuszem.

— Dziękuję ci, Tom — odparł Gault. Zamknął drzwi, wyrzucił do śmieci karafkę z koniakiem i popędził do łazienki.

[

Gdy tylko zgasili światło i położyli się spać, rozdzwoniły się telefony.

— Wracaj do Miami, brudasio — usłyszał Garcia męski głos.

— Żebyś mi nie pokazywał tej czarnej mordy na jeziorze — powiedział ktoś do Jima Tile.

Po czwartym telefonie Garda zapalił lampkę i usiadł w łóżku.

— Nie dość, że dali nam najgorszy pokój, to jeszcze teraz to — rzekł.

— Ale mamy przynajmniej ładny widok na śmietnik — podeszył go Jim Tile. Gdy wystawił nogi spod kołdry, Garda zauważył bandaż na jego udzie.

— To nic, przeszła gładko na wylot — wyjaśnił Murzyn.

— Jeden z okoniowych świrów?

Skinął głową.

— Cholera — mruknął Garcia. — Może powinniśmy potraktować te telefony poważnie?

— Próbują nas tylko nastraszyć.

Znów zadzwonił telefon. Jim Tile zawahał się przez chwilę, zanim podniósł słuchawkę.

— Jutro będziesz zardem dla aligatorów, asfalde — wycedził jakiś mężczyzna.

Tile odłożył słuchawkę. Zadsnął zęby i zmarszczył czoło.

— Zaczynam mieć tego dość — powiedział.

— Ja też — przyznał Garcia. Chwycił wiszące na krześle spodnie i zaczął szperać po kieszeniach w poszukiwaniu zapalniczki.

— Teraz moja kolej — rzekł, gdy zadzwoniono po raz kolejny.

Znów głos z południowym akcentem:

— Chcesz, małpo, banana?

Garcia rzucił słuchawkę na widelki.

— Dlaczego żaden z nas nie ma na tyle rozsądku, by wyłączyć telefon?

— Nie możemy — odrzekł Jim Tile. Martwił się o Skinka i o Deckera. Spodziewał się, że może któryś zadzwoni.

— Nie rozumiem. Czy te fagasy boją się, że wygramy? Przecież widzieli, jaki mamy sprzęt — zastanawiał się Garcia. — Czego oni się boją?

— Naszego widoku — odparł Tile. Położył się wpatrzony w sufit. Garcia palił papierosa i przeglądał broszurkę o Jeziorach Okoniowych, którą otrzymał w klubie od jakiejś kobiety.

Było wpół do trzeciej, gdy ktoś strzelił z karabinu w ich okno.

Rozwścieczony Jim Tile złapał za telefon.

— Do kogo dzwonisz, chociż Do Związku Wędkarskiego ze skargą? — spytał Garcia, strząsając z koca kawałki szkła.

Aby dotrzeć do grobli, Eddie Spurling musiał pojechać na zachód drogą, a następnie na północ autostradą, w kierunku obozu wędkarskiego w Sawgrass. Wał grobli był tak wąski, że mieścił się na nim zaledwie jeden samochód, ale mistrz nie przewidywał dużego ruchu na takim odludziu o trzeciej w nocy. Jechał w żółwym tempie, wyprzedzany przez chmary owadów tańczących w świetle reflektorów samochodowych. Co jakiś czas musiał hamować, by nie wpaść na zahipnotyzowane ostrym blaskiem rubinowookie zwierzęta: króliki, szopy, rysie. Raz dostrzegł nawet grubą starą wydrę. Był zdziwiony mnogością i różnorodnością fauny w takiej bliskości wielkiego miasta.

Zatoczenie koła i dojechanie do miejsca, gdzie śluza stykała się z Jeziorem Okoniowym Numer Siedem, zabrało mu godzinę. Dotarłszy tam, wyłączył silnik, zgasił światła, opuścił szybę w oknie i wyjrzał na zachód. Noc nad Everglades była przepiękna i wszech-

ogarniająca. Nie umywało się do niej nic, co Spurling do tej pory widział na Południu.

Gdy spojrział na wschód, zobaczył lampy uliczne oraz długą bladą szramę powstającej autostrady i jej trzech skrzyżowań, budowanych z myślą o osiedlu Charlesa Weeba. Nic w tym nie było pięknego. Odwrócił głowę. Włożył czapkę, zapiął kurtkę i wysiadł, otoczony delikatnym poszumem nocy.

Woda mieniła się światłem po obu stronach grobli. Przykryte cienką warstwą mgły, Jezioro Okoniowe było płaskie i nieruchome jak tafla lodu, podczas gdy mały staw po stronie Everglades tętnił życiem od dokazujących cierników i latających ponad nimi owadów. Otaczały go bujne zarośla i lilie wodne z kruchymi, owalnymi liśćmi wielkości pizzy. W wodzie znajdowało się coś jeszcze — plastikowa butelka po wybielaczu, uwiązana na lince.

Wyglądała jak rzucony śmieć i bardzo psuła krajobraz. Ten widok rozżłościł Spurlinga; niech diabli wezmą Weeba i jego dostawy z Alabamy! Ostrożnie zszedł po stromym brzegu, ślizgając się

po świeżo usypanej ziemi. Nad samą wodą znalazł patyk, którym przyciągnął pływającą butelkę.

Chwycił linkę. Klatka z rybami okazała się nadzwyczaj ciężka, jakby była z ołowiu. Pomyślał, że musiała się zaplątać w wodorosty.

Gdy wreszcie wyłoniła się z wody, odrzucił patyk i chwycił palcami drucianą siatkę. Wyciągnął klatkę na brzeg.

Poświecił latarką.

— Mój Boże! — wyszeptał zdumiony. Nie mógł uwierzyć własnym oczom — w klatce znajdował się rdzawoczarny okoń gigantycznych wprost rozmiarów, wielki niczym morski wargacz. Na oko ważył z piętnaście kilogramów. Ryba spojrzała na człowieka nieruchomym wzrokiem i szarpnęła się gniewnie w drucianej celi. Spurling patrzył jak zahipnotyzowany. „To chyba sen” — pomyślał gorączkowo.

Po drugiej stronie stawu coś się poruszyło. Serce skoczyło mu do gardła. Usłyszał trzask repetowanego karabinu.

— Puść to — rozległ się gruby głos.

Spurlingowi wyszło w gardle. Ledwo mógł się poruszać ze strachu.

Padł strzał i leżąca u jego stóp butelka rozpadła się w drobny mak.

— Szybko — usłyszał, gdy już przebijało echo.

Drżąc jak osika, opuścił klatkę do wody, przepuszczając przez palce mokrą linkę.

Strzelec wychynął z szuwarów. Po zarysie jego sylwetki widać było, że jest postawnym człowiekiem. Grozy dodawało to, że był w ubraniu wojskowym, a na oczach miał dziwną maskę. Przeszedł przez płytką wodę i wspiął się na groblę kilkanaście metrów dalej. Spurling pomyślał o ucieczce. Ale dokąd uciekać? Przyszło mu do głowy, by wskoczyć do wody, bał się jednak węży i aligatorów.

— Zgaś latarkę — rozkazał — człowiek z karabinem.

Był na tyle blisko, że Spurling mógł mu się przyjrzeć dokładniej. Miał długie ciemne włosy, niechlujną brodę oraz czepek w kwiaty na głowie. Osobliwa maska okazała się ciemnymi okularami. W ręku trzymał remingtona.

— Jestem Szybki Eddie, Eddie Spurling.

— A co mnie to obchodzi?

— Musi mnie pan znać z telewizji.

— Nie oglądam telewizji.

Spurling spróbował z innej beczki.

— Czy pan chce pieniędzy? — spytał. — Może samochód? Niech pan sobie weźmie, proszę bardzo.

Mężczyzna odwrócił się i bez słowa strzelił w przyciemnioną szybę dzipa.

— Mam własny, nie potrzebuję twojego — odparł i dwoma kolejnymi strzałami rozbił reflektory przeciwmgłowe.

Na Spurlinga uderzyły siódme poty.

— Niezła ryba, co? — spytał nieznajomy.

Spurling pokiwał energicznie głową.

— Największa, jaką widziałem — przyznał.

— Nazywa się Królowna.

— Bardzo ładnie — pochwalił zrozpaczony. Był pewien, że ten człowiek zaraz go zabije.

— Pewnie się zastanawiasz, co się stało z twoimi?

— One właściwie nie były moje.

Nieznajomy zaśmiał się nieszczerze.

— Chcesz powiedzieć, że przyjechałeś tu tylko po to, by się z nimi przywitać?

— Nie, proszę pana, przyjechałem, żeby je wypuścić.

— Daj spokój. Co powiesz na to, że odstrzelę ci fiuta i skończymy już tę rozmowę?

— Nie, proszę, nie — błagał Spurling. — Ja naprawdę chciałem

je wypuścić. Niech pan sprawdzi samochód, jeśli mi pan nie wierzy. Gdybym miał je zabrać, wziąłbym ze sobą sadz, prawda?

Wyglądało na to, że nieznajomy się zastanawia.

— I po co przyjeżdżałbym tu na tyle godzin przed zawodami i ryzykował, że mi wykitują? — ciągnął Spurling.

— Nie jesteś jednym z tych kanciarzy?

— Nie... i nie chcę być. Nie mogłem się na to zgodzić. Pieprzę Weeba.

Nieznajomy opuścił karabin.

— Uwolniłem twoje ryby — oznajmił.

— Bardzo się cieszę.

— Były trzy „byczki”. Jeden miał z sześć kilo.

— Może go kiedyś złapię, jak jeszcze urośnie.

— A Królowna? Co byś z nią zrobił?

— Też bym ją puścił — odpowiedział bez wahania Spurling.

— Akurat.

— Po co miałbym ją zabijać, proszę pana? Załóżmy, że zabrałbym ją do domu i wypchał trocinami. Za każdym razem, gdy wchodziłbym do pokoju, patrzyłaby na mnie ze ściany, a ja widziałbym prawdę w jej purpurowych oczach. Po co mi to? Nie mógłbym z tym żyć. Nie musiał

pan strzelać, i tak bym ją wypuścił.

Długowłosa mężczyzna stał nieruchomo, nic po sobie nie pokazując. Spurling z przerażeniem wpatrywał się w ciemne szkła jego okularów.

— Proszę pana, mam dziewięcioletniego syna — mówił. — Myśli pan, że potrafiłbym go okłamać? Przecież nie powiedziałbym mu, że złapałem taką rybę, kiedy wcale jej nie złapałem.

— Niektórzy potrafiliby to powiedzieć.

— Ale nie ja.

— Wierzę panu, panie Spurling. A teraz niech pan stąd zjeżdża.

Mistrz posłusznie wdrapał się na groblę. Wskoczył do dziapa, nie zgarnawszy nawet z siedzenia kawałków rozbitej szyby.

— Da pan radę wykręcić?

— Tak — odparł. — Ma napęd na cztery koła. — Złapał drżącą ręką za tkwiące w stacyjce kluczyki.

— Granica wszechświata — rzekł w zamyśleniu mężczyzna. — Ta grobla to moralna granica wszechświata.

— Tak, jest wąska — przytaknął głupio Spurling.

— Zło po jednej stronie, dobro po drugiej — powiedział nieznajomy, wskazując na boki remingtonem.

Spurling wystawił głowę przez okno i odezwał się bardzo grzecznie:

— Czy mogę spytać, co pan chce zrobić z tym pięknym okoniem?

— Chcę go za chwilę wypuścić. — Mężczyzna nie zdradził gdzie, po której stronie grobli.

Spurling wiedział, że nie powinien kusić losu, że powinien jak najszybciej się wynosić, ale nie mógł się powstrzymać.

— Ile on waży? — spytał.

— Trzydzieści i pół kilo.

— O mój Boże!

— No dobra, spadaj pan. I życzę powodzenia w zawodach.

Gdy Spurling odjechał, Skink wyciągnął klatkę ze stawu. Postawił ją sobie na ramieniu i zaniósł na drugą stronę grobli, nad Jezioro Okoniowe. Włożył ją do wody, a następnie ruszył brzegiem w poszukiwaniu dwóch puszek po piwie, które oznaczały miejsce, gdzie Jim Tile i Al Garda zatopili skrzynki.

Znalazszy puszki, wrócił po klatkę i przeniósł ją. Tym razem wyjął okonia, skierował go ku zanurzonym w wodzie skrzynkom i delikatnie wypuścił do wody. Ryba uderzyła ogonem, mącąc tafłę jeziora i znikła.

— Do wieczora — rzekł Skink. — Wieczorem wracamy do domu.

Skink przez dwie godziny stał na grobli z karabinem w ręku

i patrzył, jak bledną gwiazdy. Na Everglades hałasowało w sitowiu ptactwo wodne. Po drugiej stronie wału panowała niezmacona dsza i bezruch. Skink czekał, że wreszcie w Jeziorze Okoniowym coś się poruszy — żółw, belona, cokolwiek. Na próżno.

Głęboko zafrasowany udał się tam, gdzie zostawił samochód. Na wschodzie, nad brudnymi murami miasta, wstawało słońce.

W tym samym czasie R. J. Decker zaparkował samochód za rzędem przyczep budowlanych ustawionych nad Jeziorem Okoniowym. Świt był najlepszą porą, gdyż większość dozorców śpi wówczas słodko. Decker zauważył tylko jednego umundurowanego strażnika,

pulchnego, rumianego faceta, który wyszedł na chwilę na dwór za potrzebą i zaraz wrócił do przyczepy.

Jeszcze raz sprawdził aparat fotograficzny. Była to minolta, kupiona po przecenie w sklepie w West Palm Beach, gdzie przyjmowano karty kredytowe. Wystarczyłby mu byle jaki aparat, ale musiał brać, co było, bo bardzo się spieszył. Otworzył tylną pokrywę i obejrzał mechanizm przesuwania filmu. Następnie przyjrzał się układowi napędowemu.

Usatysfak'onowany, zakrył obiektyw, schował aparat do pokrowca i włożył do samochodu. Następnie wyjął z bagażnika przegubowe szczypce do cięcia metali, podkrał się do magazynu i usunął zawieszoną na drzwiach kłódkę.

Start w memoriale imienia Dickiego Lockharta wyznaczony był na godzinę szóstą trzydzieści rano, ale zawodnicy przybyli do przystani znacznie wcześniej, by spuścić na wodę łodzie, sprawdzić sprzęt i otrzymać darmowe gadzety od przedstawicieli firm wędkarskich. Wiedzieli, że ten, kto wygra dzisiejszy turniej, być może już nigdy nie będzie musiał moczyć wędki, i to nie tyle z powodu wysokiej nagrody za pierwsze miejsce, co z racji kontraktów reklamowych, które byłyby tego konsekwencją. Przynęta, na którą złapie się największy okoń tych zawodów, z pewnością będzie najbardziej poszukiwanym artykułem wędkarskim w kraju. W tych prawidłach rynku nie było za grosz logiki, albowiem okonie zżerają wszystko, również swoje młode. Zanim dano sygnał do startu, agenci firm obdarowali zawodników spławikami, błyszczkami i, rzecz jasna, gumowymi przynętami, przechowywanymi w ogromnych plastikowych beczkach.

Ranek był pogodny i rześki, ale zapowiadano, że w południe zrobi się upalnie. Ochotnicy z Pierwszego Zielonoświątkowego Kościoła Odkupienia Pańskiego rozdawali biblijne cytaty oraz częstowali gorącymi ciasteczkami, jednakże zawodnicy byli zbyt podekscytowani, by jeść czy się modlić.

Punktualnie o szóstej zajechał wiśniowy rolls royce. Wysiedli z niego Dennis i Lanie Gault.

Lanie ubrana była w luźną czerwoną kurtkę, obcisłe skórzane spodnie i długie buty do konnej jazdy. Mężczyźni nie mogli oderwać od niej oczu.

Pewnymi wytrawnymi ruchami Dennis Gault odłączył przyczepę i spuścił na wodę pięciometrową łódź firmy Ranger. Pieczołowicie ułożył w łodzi wszystkie swoje wędkę, następnie przyniósł skrzynkę z narzędziami i ogromną kasetę z osprzętem. Przykucnąwszy za tablicą rozdzielczą, sprawdził zegary wskazujące temperaturę wody, przechył, trym, szybkość, stan paliwa, ładowania akumulatora, ciśnienie oleju. Włączył akustyczny ichtiolokator i ekran zajaśniał zielonym światłem. Olbrzymi silnik Johnsona zaskoczył od pierwszego razu rycząc jak wściekły tygrys. Kiedy silnik się rozgrzewał, Dennis Gault stanął za sterem i poprawił swą błękitną kurtkę. Spryskał płynem czyszczącym szkła bursztynowych okularów i wytarł je chustką. Następnie włożył sztormiak z monogramem i wziął do kieszeni buteleczkę przynęty zapachowej. Zgodnie z wędkarską modą obrócił czapkę na głowie daszkiem do tyłu. W ten sposób wiatr jej nie zwieje, gdy będzie pędził siedemdziesiąt kilometrów na godzinę.

Spodziewał się usłyszeć zwykle docinki na temat rolls royce'a i jego właściciela, ale tym razem wędkarze zostawili go w spokoju. A on sam był tak pochłonięty przygotowaniami, że omal nie przegapił głównego wydarzenia tego poranka.

Na wschodzie pojawiła się nagle dziwnie pulsująca luna, która gwałtownie rosła i zbliżała się do przystani szybciej niż wstający dzień. Wszyscy patrzyli na to zaskoczeni. Sądziło, że któreś z przedsiębiorstw wędkarskich przygotowuje imprezę reklamową z okazji zawodów. Rzeczywiście, miała to być impreza, tylko nieco innego rodzaju.

W tej chwili na ogromnym ekranie za sceną ukazała się twarz wielebnego Weeba, który zamierzał dokonać poświęcenia memoriału; był to obraz z taśmy, jako że Weeb rzadko wstawał przed dziesiątą. Nikt jednak nie miał ochoty słuchać tego, co Stary Testament mówi o łowieniu ryb, albowiem uwagę zgromadzonych pochłonęła kolumna aut jadąca wolno ku przystani.

Był to konwój szesnastu radiowozów policyjnych — z migającymi na dachach lampami.

Na końcu tej osobliwej procesji wlokła się zielona śmieciarka z łodzią na przyczepie.

Gault był zaniepokojony tym widokiem. Obawiał się, że gliniarze przyjechali kogoś aresztować, może nawet jego. Zerknął na Lanie, ale ona tylko wzruszyła ramionami.

Dojechawszy do przystani, pierwsze osiem wozów policyjnych skręciło lekko w prawo i zatrzymało się zderzak w zderzak; pozostałe osiem wozów ustawiło się dokładnie tak samo, tyle że po lewej stronie, tworząc w ten sposób aleję w kształcie litery V, w którą wjechała śmieciarka Ala Garda i Jima Tile'a.

Policjanci stanęli przy swoich radiowozach. Mieli kamienne twarze i nie reagowali na to, że

kamery CST filmują ich przybycie. Wszyscy byli młodzi, wyprostowani jak struny, barczyśd, muskularni i uzbrojeni. Wyglądali na najlepszych przyjadól Jima Tile'a i byli biali, co najwyraźniej zrobiło dokoła spore wrażenie.

Wodowanie starej drewnianej łodzi odbyło się bez żadnych incydentów.

Diakon Johnson wstał wczesnie. Był w pełni świadom, jak ważny to dzień, i miał powody, by się martwić. Włożył ulubiony beżowy garnitur sportowy. Przetarł irchą kremowe pantofle i przydał wystające z nosa włoski. Zasiadłszy w posępnym nastroju do śniadania, zjadł bułeczkę z rodzynekami i zerknął na kolumnę sportową porannej gazety, by się przekonać, czy właściwie opisano otwarcie memoriału. Następnie zadzwonił po limuzynę.

Postanowił raz jeszcze spróbować szczęśda w szpitalu dla weteranów wojennych.

Tym razem w recepcji siedziało dwóch lekarzy.

Johnson uśmiechnął się do nich i wydał rękę na powitanie, ale lekarze spojrzeli na nią jak na grzechotnika.

— Proszę stąd wyjść — rzekł jeden z nich.

— Zburzył pan spokój pacjentów swoją poprzednią wizytą — dodał drugi.

— Czy nie ma nikogo, kto chdałby wystąpić w chrześdjańskiej telewizji? — spytał Johnson.

— Mówili, że proponował im pan pieniądze.

— Musiałem, takie są przepisy.

— Pieniądze — ciągnął lekarz — za oszukiwanie na temat ich chorób.

— Nie za oszukiwanie — poprawił go z oburzeniem diakon — tylko za udramatyzowanie. To zasadnicza różnica.

— Nasi pacjenci byli bardzo oburzeni.

— Zapewniam, że nie miałem złych zamiarów.

— Wspominali nawet o przemocy — powiedział drugi lekarz, najwyraźniej psychiatra.

— O przemocy?

— Dlatego właśnie nie możemy pana do nich wpuścić.

— Był tam niejaki kapral Clement, który wyraził zainteresowanie występem u boku wielebnego Weeba.

Lekarze wymienili spojrzenia.

— Clement — powtórzył diakon, sylabizując nazwisko. — Miał coś z kolanami.

— Kapral Clement wylądował na szóstym piętrze — odparł psychiatra.

— Zdaje się, że był operowany — wyjaśnił drugi lekarz.

— Nie będzie więc mógł na razie występować w telewizji — dodał psychiatra. — Proszę już iść, bo zawołam ochronę.

Diakon Johnson wsiadł do limuzyny i się zasepił.

— Dokąd teraz? — spytał szofer.

— Zna pan to miasto?

— Od urodzenia.

— Dobrze, niech pan jedzie tam, gdzie można znaleźć jakichś bezdomnych.

Charlie Weeb będzie wściekły, mówił przecież, żeby nie brać nikogo z ulicy, bo to zbyt ryzykowne. Tak, tak, ale na przegląd i selekcję talentów nie ma czasu. Zostało zaledwie kilka godzin do przedstawienia.

Szofer zawiózł Johnsona na odległą plażę w Fort Lauderdale, znaną jako Strip, ale tam wszyscy bezdomni mieli spłowiałe od słońca włosy i wspaniałą opaleniznę.

— Za zdrowo wyglądają — stwierdził Johnson.

— Na Sunrise Boulevard jest darmowa jadłodalnia.

— Dobra, spróbujmy.

Gdy dojechali na miejsce, od razu spostrzegł, że szofer miał raq'ę: pełno tu było obijających się o ściany pijaczków, bezzębnych włóczęgów o ziemistej cerze i tłustych włosach. Najgorsi z najgorszych. Niektórzy byli tak wynędzniali, że żadni spece od charak-teryzaq'i nie zdążyliby ich przygotować do występu. Co gorsza, większość miała takiego kaca, że nie mogła zrozumieć, o co chodzi. O pieniądzech chętnie słuchali, ale gdy przechodził do

sprawy odpowiedniego ubioru i prób, rzecz okazywała się nie na ich głowy.

— Chodzi o telewizję! — wołał zniecierpliwiony Johnson.

A oni tylko szczerzyli zęby w uśmiechu i czochrali się tam, gdzie ciało swędziało ich z brudu.

Zrozpaczony diakon wybrał chudego żula znanego tutaj jako Clu, który jeździł na wózku inwalidzkim. Szofer posadził włóczęgę na tylnym siedzeniu limuzyny, złożył jego wózek i schował go do bagażnika.

— Czy na pewno możesz wstać? — upewnił się diakon Johnson w drodze nad Jeziora Okoniowe.

— Jasne.

v— Na dany znak?

— Jasne.

Clu miał na twarzy łobuzerski uśmiech, który nie dawał Johnsonowi spokoju.

— Więc jak to jest z twoimi nogami?

— Nijak.

— To dlaczego jeździsz na wózku?

— Zamieniłem się na niego — odparł Clu. — Dałem trzy puszki piwa i wełniane skarpety.

Dobry interes, nie?

- W rzeczy samej. A kiedy to było?
- W osiemdziesiątym pierwszym — odrzekł, wciąż uśmiechnięty.
- I odtąd cały czas siedzisz na wózku?
- Tak, bez przerwy. Po co mam wstawać?

Diakon Johnson kazał szoferowi się zatrzymać.

- Wsiadaj — rzekł do bezdomnego.
- Po co?
- To taki sprawdzian. Wsiądź i przejdź się dokoła samochodu.

Gdy szofer otworzył drzwi, Clu runął twarzą na chodnik. Szofer chciał mu pomóc, ale Johnson pokręcił głową.

- Synu, czy możesz wstać? — spytał.

Clu wyteżył wszystkie siły, aż się zrobił czerwony na twarzy, ale wychudzone nogi nie chciały go unieść.

- Co jest, do cholery? — wystękał zdziwiony.
- Tak myślałem — rzekł oschle Johnson.

Clu leżał na chodniku i sapał z wysiłku.

- Pozwólcie mi poćwiczyć chwileczkę — poprosił.
- Oddaj mu ten cholerny wózek — warknął diakon do szofera. — I jedźmy.

Kiedy już wszystko wskazywało na to, że zapowiedziane w telewizji wielkie uzdrowienie będzie musiało zostać odwołane albo przynajmniej ograniczone do wyleczenia baranka lub kota, diakon Johnson spostrzegł ślepcę.

Siedział on samotnie na ławce przy przystanku autobusowym, tuż obok zjazdu nad Jeziora Okoniowe. To, że znajdował się tutaj właśnie o tej porze, zakrawać by mogło na cud, ale diakon Johnson nie wierzył w cuda. Po prostu szczęśliwy zbieg okoliczności. Kazał kierowcy zatrzymać limuzynę.

Niewidomy nie miał ani psa-przewodnika, ani białej laski, tak więc Johnson liczył na to, że może nie jest on całkiem ślepy.

Podszedł do siedzącego i zagadnął go. Ślepiec ani drgnął.

- Chciałbym spytać, jeśli wolno — zaczął — czy jest pan niewidomy?
- Tak przypuszczam.
- A jak bardzo niewidomy?
- Zależy, co pan ma na myśli.
- Czy widzi pan, co tam jest napisane? — spytał, wskazując ręką dużą reklamę Toyoty.

— Ani słowa.

Zbliżył dłoń do twarzy mężczyzny.

— A to pan widzi?

Ten skinął głową.

— Bardzo dobrze — pochwalił Johnson. Bogu dzięki. Takiego niedowidzącego łatwo będzie przyuczyć. W dodatku, co stanowiło kolejny atut, facet był tak zaniedbany, jak bezdomni w jadłodalni.

Diakon Johnson przedstawił się i rzekł:

— Czy słyszał pan o Chrześcijańskiej Sieci Telewizyjnej?

— Tak — odparł ślepiec.

— Więc pewnie słyszał pan też o wielbnym Charlesie Weebie, o tym, że uzdrawia ludzi w telewizji?

— Nie oglądam telewizji.

— Tak, oczywiście, ale przynajmniej słyszał pan o wielbnym,

prawda? I o jego mocach uzdrowicielskich? Pytam dlatego, że dziś właśnie będzie uzdrawiał. Tutaj, zaraz za bramą.

— Uzdrawiał?

— Tak, i będzie to transmitowane na żywo przez telewizję satelitarną. Czy byłby pan zainteresowany?

Ślepiec skubał brodę.

— Za pięćset dolarów — rzekł Johnson.

— A czy zostanę uzdrowiony?

— Wielbny ma na swoim koncie wspaniałe wyniki. Z boską pomocą, ma się rozumieć. — Johnson obszedł ławkę, by ocenić wygląd ślepca. — Wydaje mi się, że Bóg życzyłby sobie, by pana ogolić — powiedział. — No i skrócić włosy, bo ten kucyk może rozpraszać uwagę.

Ślepiec wyciągnął rękę i pokazał diakonowi figę.

— Widzi pan to? — spytał.

Diakon zaśmiał się cicho.

— Najwyraźniej pana nie doceniłem — rzekł. — Dobra, niech będzie tysiąc.

— Za tysiąc dolców gotów jestem nawet wziąć prysznic — odparł ślepiec.

Wstał. Był dużo większy od diakona. Włożył na głowę czepek w kwiaty, a następnie chwycił Johnsona za łokieć stwardniałymi, grubymi palcami.

— Niech pan prowadzi — rzekł.

Gdy łodzie ruszyły z hukiem silników, Al Garda był pewien, że zaraz utoną wraz z Tile'em, że

fale wywróca drewnianą łódź do góry dnem.

Nic takiego się nie stało. Ich łódź okazała się stabilna. Płynęła za to rozpaczliwie wolno, obdążona dużym zbiornikiem ze świeżą wodą, który zabrali z myślą o Królownie. Mieli tu też sprzęt wędkarski, bak z benzyną, kotwicę i przynęty (kilka kilogramów zamrożonych karpików z Harney, ulubione danie Królowny), co okazało się za wiele dla zmęczonego życiem silnika.

Garda skierował łódź prosto na Jezioro Okoniowe Numer Siedem. Jedną ręką sterował, w drugiej zaś trzymał beztrząsco żyłkę wędkarską, z zanurzoną w wodzie przynętą. „Wygląda jak gówn

słonia” — powiedział Garcia agentowi firmy, który dał mu ją na przystani.

Była to długa, nudna jazda. Ukołysany rytmicznym terkotem silnika, Garcia właśnie zapadał w drzemkę, gdy nagle poczuł szarpnięcie. Otworzył oczy i zobaczył, że trzymana przez niego żyłka napręża się i niki w wodzie. Pamiętając nauki Skinca, pociągnął mocno dwa razy. Lekki opór. Po chwili bez większego wysiłku udało mu się wciągnąć do łodzi rzucająca się czarną rybą mającą nie więcej niż trzydzieści centymetrów długości.

— To chyba mały okoń — rzekł Jim Tile.

— A niech to cholera — mruknął Garcia. — Wrzuć go do zbiornika z wodą.

— Po co?

— Żebyśmy mogli pokazać gubernatorowi, że złapaliśmy go uczciwie.

— Okropnie mały — powiedział Tile, ale zrobił to, co mu kazano.

— Ryba to ryba — stwierdził filozoficznie Kubańczyk. — No, ruszamy.

Ale silnik kaszlnął dwa razy, bluznął kłębamie niebieskiego dymu i zgasł. Al Garcia zdjął pokrywę i przez dziesięć minut gmerał w środku bez rezultatu. Potem zamienili się miejscami z Jimem Tile'em, żeby on spróbował szczęścia.

Murzyn szarpał za linkę rozrusznika, ale silnik zachowywał się tak, jakby właśnie przed chwilą oddał oddał ostatnie tchnienie. Po dziesiątej próbie Tile skapitulował.

Łódź stała nieruchoma na kanale.

— Mamy jeszcze spory kawał drogi do przepłynięcia — powiedział Garcia.

Jim Tile, którego nagle coś tknęło, odłączył przewód paliwa i powąchał go.

— Coś nie tak — stwierdził.

Garcia się skrzywił.

— Nie mów tylko, że zabrakło benzyny.

Jim Tile otworzył bak z paliwem, zajrzał do środka i pociągnął nosem.

— Benzyny mamy mnóstwo — rzekł ponuro — tylko że ktoś do niej naszczał.

m

\

Noc obojgu dała się we znaki.

Catherine była wściekła, albowiem zdrętwiała od długiego leżenia w bagażniku. Miała obtarte kolana, a jej włosy śmierdziały gumą od zapasowego koła, którego użyła jako poduszki. Na widok pistoletu Thomasa Curla znów zebrało się jej na płacz, ale myśl o Deckerze pomogła jej powstrzymać łzy.

Curl wyglądał znacznie gorzej, niż się spodziewała, jakby jedną nogą był już w grobie. Prawą ręką w ogóle nie mógł poruszać: mięśnie i staw łokciowy były tak czarne i martwe jak psi łeb, który wciąż się w nie wgryzał. Z oczu i nosa ciekła mu ropa, a język spuchł w ciągu kilku nocnych godzin do takich rozmiarów, że wyglądał jak egoztyczny purpurowy owoc, którego nie może pomieścić w ustach. Płynąc łodzią, w ogóle nie zwracał uwagi na Catherine, mruzczał natomiast bez przerwy do rozdziawionego psiego pyska, głaszcząc go co chwila. Catherine przywykła już do tego wszystkiego, nawet do smrodu.

Od bladego świtu Curl pił alkohol i prawdopodobnie tylko dzięki temu mógł znieść ostry ból, wywołany zakażeniem krwi. Prowadził łódź powoli, sterując kolanami i mrużąc oczy w promieniach słońca. Minęli kilku wędkarzy łowiących na kanale, ale żaden nie zauważył pistoletu przystawionego Catherine do piersi. Jeśli zaś spostrzegli łeb bulteriera, nie dali tego po sobie poznać.

— Podwójne oszustwo

— Jestem bogaty, Lucas — rzekł Curl do psa. — Mam forsy na dziesięć takich motorówek.

— Tom, to już tu — powiedziała i poczuła, jak lufa pistoletu głębiej wbija się w jej ciało.

— Lucas, piesku kochany, to już tu — powtórzył Curl.

Łódź gwałtownie wbiła się w sitowie, a potem usiadła na błotnistym brzegu.

— To tutaj — stwierdził Thomas Curl.

— Niezupełnie — odparł Catherine.

— Znajdzie nas, nie martw się. Ma nosa na twoją cipkę.

— Pięnie powiedziane. Powinieneś zostać pisarzem.

Otarła rąbkiem spódnicy pociętą trzcinaми twarz. Curl wysiadł z łodzi chwiejnym krokiem. W lewej dłoni wciąż trzymał pistolet.

— Nie musisz zabierać smyczy — powiedział do Catherine.

— Dobrze — odparła. Oczywiście nie było żadnej smyczy. Postawiła stopę na ziemi i natychmiast przeklęła w duchu Curla za to, że nie pozwolił jej założyć butów. Dokoła rosły pokrzywy.

Pochyliła się, by podrapać swędzącą piętę. Curl przekrzywił głowę i przystawił do ucha dłoń z pistoletem.

— Co to? — spytał.

Catherine spojrzała na Curla, ale okazało się, że nie do niej były skierowane te słowa.

— Co to, piesku?

Gdzieś w chorym mózgu Thomasa Curla zaszczekał jego wierny pies. Curl ukucnął.

— Lucas coś usłyszał — oznajmił ściszym głosem.

Catherine też już coś słyszała. Serce zabiło jej mocniej, gdy

spozstrzegła nagle Deckera, idącego brzegiem kanału z rękami w kieszeniach.

Pomachała do niego i spróbowała zawołać, ale żaden dźwięk nie wydobył się z jej ust. Decker też pomachał do niej i się uśmiechnął, tak jak to robił zawsze, gdy się długo nie widzieli. Jakby wszystko było w porządku, jakby żaden trawiony gangreną szaleniec nie przyciskał jej pistoletu do piersi, krzycząc jednocześnie do upiłowa-nego psiego łba:

— Do nogi, Lucas, waruj!

— Spokojnie, Tom — powiedział Decker.

— Zamknij się, chujozo.

— Oho, wstaliśmy lewą nogą.

— Powiedziałem, żebyś się zamknął. I nie podchodź bliżej.

Decker stanął w odległości trzech metrów od Curla. Miał na

sobie dzinsy, flanelową koszulę, sportowe buty, a na szyi wiszącą na cienkim pasku minoltę.

— Mieliśmy układ — przypomniał Curlowi. — Prosta wymiana: ja za nią.

— A Lemus jaki miał z tobą układ?

— To nie ja zastrzeliłem twojego brata. Ale dostał to, na co zasłużył.

— Ty też dostaniesz, chujozo.

— Tak, wiem.

R. J. Decker widział, że z Curlem dzieje się coś okropnego, że jest bardzo chory. Spojrzał na jego prawą rękę.

— To pies? — spytał.

— A co, nie widać?

— Tak, pies — potwierdziła Catherine. — Chyba bulterier.

— Znałem kiedyś takiego psa — powiedział Decker spokojnie. — Mieszkał na moim parkingu.

Nazywał się Poindex-ter.

— Ten wabi się Lucas — rzekł Thomas Curl.

— Zna jakieś sztuczki?

— Tak, odgryza jaja takim chujozom jak ty.

— Aha.

— Boli, Tom — jęknęła Catherine.

— Przestań w nią celować — powiedział spokojnie Decker. — Puść ją, taki był układ.

— Ja wam pokażę ten układ — odparł Curl. Obrzmiałym językiem oblizał lufę pistoletu i dotknął nią czoła Catherine, tam, gdzie schodziły się brwi. Pokręcił pistoletem, zostawiając na jej czole okrągły ślad. — Taki układ dostał Lemus — rzekł. — W samo czołko. — I znów przystawił jej broń do piersi.

Catherine zadrżała pod dotykiem zimnej stali. Pomyślała że zaraz zemdleje. Dlaczego ten Decker tak stoi beczynnie? Zwykle pogardzała przemocą, ale w tej sytuacji z zachwytem patrzyłaby, jak jej były mąż dusi Thomasa Curla gołymi rękoma.

— Muszę zabić was oboje — oznajmił Curl. Próbował opano-

wać drgawki. Z czoła skapywały mu ogromne krople potu; oddychał chrapliwie i nieregularnie.

Gdyby ten facet nie celował w Catherine, Decker załatwiłby go bez trudu jednym ciosem. Och, Catherine! Musiał się hamować, bo ręce go świerzbiły.

— Była umowa — powiedział.

— Za cholereę nie mogę jej puścić.

— Ona nic nie powie. Musi dbać o męża.

Curl zaczął się lekko bujać, jakby stał na pokładzie statku.

— Kończymy z tym. Nie czuję się zbyt dobrze.

Pchnął Catherine w kierunku Deckera, który przytulił ją do siebie obiema rękami.

— Lucas, kto pierwszy?

— Tom, chwileczkę, zrób mi jeszcze małą przysługę.

— Zamknij się.

— Cyknij nam zdjęcie, dobra? Mnie i Catherine.

Curl zachichotał.

— A po cholereę? — spytał.

— Bo ją kocham — wyjaśnił Decker — i jest to nasza ostatnia wspólna chwila.

— To racja.

— Proszę cię — powiedział Decker.

Catherine uściśnęła jego dłoń.

— Ja też cię kocham — rzekła. Jej słowa zabrzmiały w uszach Deckera niczym niebiańska muzyka, ale nie wiedział, jak je potraktować w tych okolicznościach: pod groźbą pistoletu ludzie mówią różne bzdury.

Zdjął z szyi minoltę. Thomas Curl wcisnął pistolet pod pachę i lewą ręką wziął aparat. Przyjrzał mu się bezradnie.

— Mój tata ma polaroida — powiedział.

— Poradzisz sobie — uspokoił go Decker. — Musisz spojrzeć przez to małe okienko.

— Tak? — Curl przyłożył aparat do oka.

— Widzisz nas?

— Nie.

Decker odciągnął Catherine dwa kroki do tyłu.

— A teraz?

Curl zarechotał.

— Tak, teraz widzę.

— Dobrze. Wystarczy przycisnąć ten czarny guziczek na górze.

— Zaraz, coś niewyraźnie.

— Nie szkodzi.

— Nie szkodzi? To ostatnia fotka, musi być dobra. Jak się ustawia ostrość?

Catherine ścisnęła Deckera za ramię.

— Dość tych bzdur — szepnęła. — Zabierz mu pistolet.

— Ostrość to ten czarny guzik — rzekł Decker.

— Ten sam?

— Tak, bo to automat, musisz tylko przycisnąć.

— Niech mnie cholera.

— Niezłe, co?

— Tak, niezłe — odrzekł Curl. — A gdzie wychodzi zdjęcie?

— Jezu — jęknęła Catherine.

— Pod spodem — skłamał Decker. Po raz pierwszy w jego głosie słyhać było lekkie zniecierpliwienie.

Curl odwrócił aparat do góry nogami.

— Gdzie, nie widzę?

— Tam pod spodem, możesz mi wierzyć.

— No dobra. — Ponownie podniósł minoltę do twarzy.

— Lucas, czy oni nie wyglądają słodko? — Zaśmiał się z charkotem. — Najpierw strzelę wam zdjęcie, a potem strzelę wam w łeb.

Drżącym palcem znalazł przycisk.

— No dobra, chujozycy jedne, uśmiechnąć się.

— Żegnaj, Tom — powiedział Decker.

W aparacie zamiast filmu było czterdzieści deko żelu wodnego, plastiku, używanego do burzenia budynków. Iskra elektryczna z baterii stanowiła dostatecznie silny zapłon.

W chwili gdy Curl nacisnął czarny guzik, aparat eksplodował; nie było błysku, tylko silny huk, który targnął powietrzem i urwał mu trawioną gorączką głowę, posyłając ją — niczym piłkę — wysokim łukiem na odległość piętnastu metrów prosto do kanału. Rozległ się donośny plusk.

Catherine patrzyła oniemiała, jak dużo czasu potrzebowało bezgłowe ciało, by upaść na zbryzgane krwią błoto. W gryzącym dymie wybuchu wszystko rozgrywało się jakby w zwolnionym

tempie: R. J. wrzucający pistolet do wody, ciągnie trupa do łodzi, spycha łódź na wodę i, wreszcie, niesie ją, Catherine, na rękach w bezpieczne miejsce.

Zmieniali się przy wiosłach. Za każdym razem gdy mijali jakąś łódź, odprowadzały ich drwiące spojrzenia.

— Mam to w dupie — rzekł Al Garcia do Jima Tile'a. — Zauważyłeś, że oni chyba nic nie złowili?

Faktycznie tak było, ale policjantów nie zastanawiali się nad tym zbytnio. Natomiast innych zawodników z pewnością zainteresowałoby to, co powiedział Weebowi hydrolog: że przywiezione okonie przestaną brać z powodu zanieczyszczonej wody. Jednak nawet gdyby o tym wiedzieli, mało prawdopodobne, by dali za wygraną i spakowali manatki — gra toczyła się o zbyt dużą stawkę. Głęboko w duszy każdy profesjonalny wędkarz wierzy w swoje siły, co każe mu ślęczeć z wędką nad wodą na przekór zdrowemu rozsądkowi, dowodom nauki, ruinie finansowej, a nawet klęskom żywiołowym. Oglupieni kampanią reklamową Jeziora Okoniowych zawodnicy opróżnili kasety z osprzętem, próbując łowić na wszystkie sposoby. Żadna tajna broń nie pozostała w arsenale. Około południa stało się jednak jasne, że nawet najbardziej zaawansowana technologia wędkarska na świecie nie zmusi ryb do połknięcia przynęty.

Płynąc wolno siecią długich kanałów, Jim Tile i Al Garcia dostrzegali udrękę na twarzach zawodników.

— Nie wygląda na to, by dobrze się bawili — zauważył Kubańczyk.

— Oni nawet nie wiedzą, co to dobra zabawa — odparł Tile, zmieniając go przy wiosłach. — To, co my robimy, to dopiero zabawa.

Z każdą chwilą coraz bardziej widoczna była nieunikniona prawda: nawet jeśli dotrą do zatopionych skrzynek i zrobią to, co kazał im Skink, prawdopodobnie nie zdążą wrócić przed zachodem słońca.

Musieli jednak próbować.

W tym czasie przy zachodnim brzegu Jeziora Okoniowego Numer Siedem Dennis Gault

studiował wodoodporną mapę, którą

dostał od swego pilota. Lanie siedziała na dziobie, przeglądając plik czasopism, które zabrała ze sobą dla zabicia czasu. Jej nosek błyszczał od kremu do opalania.

Dennis Gault chuchnął na okulary i przetarł chusteczką higieniczną. Spojrzał przez nie na słońce i dopiero wtedy włożył na nos. Rzuciwszy okiem na swój arsenał, wybrał wędkę wraz z nowiuteńkimi Dwoma Skrzydełkami, uwiązanymi na końcu żyłki. Paznokciem kciuka sprawdził ostrość haczyka i uśmiechnął się z zadowoleniem. Następnie pokropił Skrzydełka przynętą zapachową.

Był gotów. Zamachnął się i zarzucił wędkę w miejscu, gdzie powinien być zator.

— No dobra, a teraz chwytaj — powiedział.

m

Wyjaśnij mi — polecił wielebny Weeb, siedząc na krześle fryzjerskim — skąd się to wzięło w transmisji?

— Chodzi ci o transmisję z otwarcia? — spytał diakon Johnson.

— Tak, Izzy, i o radiowozy policyjne.

— Robiliśmy to na żywo, Charles, tak jak chciałeś. „Przerywamy nasz stały program, by mogli się państwo przenieść na memoriał Dickiego Lockharta, gdzie tra-ta-ta...”

— Szesnaście radiowozów! Izzy, to wyglądało jak nalot na melinę narkotykową, a nie zawody wędkarskie.

— My ich nie zapraszaliśmy.

— Nie, ale zrobiliście coś gorszego. Pokazaliście ich milionom ludzi.

— Zapłaciliśmy wcześniej za czas satelitarny — wyjaśnił Johnson. — Nie mogliśmy zrezygnować. Zresztą, chyba przesadzasz, Charles.

Weeb kręcił się niecierpliwie, podczas gdy fryzjer doprowadzał do porządku jego krzaczaste brwi. „Może Izzy ma rację — pomyślał — może te radiowozy nie były takie złe? Może widownia będzie zaintrygowana i zwiększy się oglądalność?”

— Mam go wprowadzić? — spytał Johnson.

— Jasne. — Strzyżenie dobiegło końca. Weeb dał fryzjerowi sto dolarów i odprawił go.

Przyjrzał się sobie w lustrze i spryskał old

spice'em. Następnie podszedł do szafy i wyjął ulubiony połyskliwy malinowy garnitur. Właśnie wkładał spodnie, gdy wrócił Johnson z grzesznikiem.

— Ho, ho, nie jesteś pan ułomkiem — rzekł do nieznajomego.

— Chyba nie — odparł mężczyzna.

— Diakon Johnson mówi, że jest pan niewidomy.

— Nie do końca.

— Oczywiście, że nie do końca — zgodził się wielebny. — Żadne dziecko boże nie jest niewidome zupełnie, w sensie duchowym. Oczy Pana są twymi oczami.

— Dobrze to wiedzieć, cholera jasna.

— Jak się nazywasz, grzeszniku?

— Zwą mnie Skink.

— Skink? Co to za nazwisko? Skandynawskie? — Weeb zmarszczył czoło. — Czy nie miałby pan nic przeciwko temu, by na dziś przyjąć imię biblijne? Na przykład Jeremiasz?

— Jasne, że nie.

— To wspaniale. — Wielebnemu nie przypadły do gustu zebrane w kucyk włosy na karku tego człowieka. Wyraził to wymownym gestem, zerkając na Johnsa.

— Pióra zostaną — powiedział Skink.

— Nie wygląda tak źle — wtrącił diakon. — Podobnie czeszą się chłopcy grający w zespołach kościelnych.

Charlie Weeb uznał ten argument.

— Spodziewam się, że wyjaśniono panu, jak to się odbywa — rzekł do Skinka. — Za dwadzieścia minut mamy próbę. Czy widział pan kiedyś uzdrawianie transmitowane przez telewizję?

— Nie.

— Ludzie płaczą, krzyczą, dostają drgawek, padają na ziemię. To bardzo, bardzo radosna chwila.

— Ja chcę tylko wiedzieć — rzekł Skink — czy naprawdę zostanę wyleczony?

Wielebny Weeb uśmiechnął się dobrotliwie i strząsnął pyłek z kłapy malinowego garnituru.

— Proszę pana, są dwa rodzaje uzdrowienia: jedno — w sensie fizycznym, drugie — w sensie duchowym. Tylko Bóg wie, co się wydarzy dzisiejszego popołudnia — prawdopodobnie prawdziwy

cud. Ja mogę obiecać, że zostanie pan wyleczony przynajmniej w sensie duchowym.

— Ale to nie pomoże mi zdać egzaminu na prawo jazdy, co?

Charlie Weeb odchrząknął.

— Czy diakon Johnson nie wspomniał, że płacimy gotówką?

Punktualnie o piątej po południu pojawił się na ekranach transmitowany na żywo program Jezus w Twoim domu Chrześcijańskiej Sieci Telewizyjnej. Na różowej mównicy stał, uśmiechając się promiennie, wielebny Charles Weeb. Powitał Amerykę w bajecznej scenerii nowego osiedla o nazwie Jeziora Okoniowe.

— Szczególnie cieszymy się, że są z nami setki braci i siostr w Chrystusie, którzy przybyli tu z całego kraju, by razem z nami przeżyć ten pasjonujący dzień. Dziękujemy za waszą miłość, wasze modlitwy i wasze datki... Jak sami widzicie, Floryda to wciąż raj na ziemi, kraina nie zmaconego spokoju, oaza sprzyjająca wewnętrznej refleksji, gdzie sławi się stworzenie boże poprzez sławienie natury...

Kamera numer jeden spojrzała w niebo.

— I gdy tak mówię — ciągnął Weeb — nad nami, nad tym rajem, szybują orły!

Wysoko w górze leciały pospolite myszołowy, nie orły. Kamerzysta miał wyraźną instrukcję, by unikać zbliżeń.

Kamera numer dwa objęła publiczność — sztywne, skupione twarze. Tylko jeden człowiek się wyróżniał. Miał na sobie źle dopasowany wełniany garnitur, wystrzępiony słomkowy kapelusz i okulary przeciwsłoneczne. Nie wyglądał jak szczęśliwy wyznawca Chrystusa. Kamera szybko przesunęła się dalej.

Charlie Weeb wezwał go dopiero dwadzieścia minut później. Do tego czasu publiczność popadła już w egzaltację. Jak przewidział wielebny, kobiety padały zemdlone, a dorośli mężczyźni płakali jak dzieci.

Na skinienie Weeba dwaj diakoni w śnieżnobiałych garniturach poprowadzili ślepcę do sceny.

— Biedny, marny grzeszniku — rzekł kaznodzieja. — Jak się zwiesz?

— Jeremiasz Skink.

— Ach, Jeremiasz!

Publiczność zawyła.

— Jeremiaszu, czy wierzysz w cuda?

— Tak, bracie Weeb. Wierzę.

— Czy wierzysz, że Pan się tu zjawił, nad Jeziorami Oko-niowymi?

— Wierzę, że jest tu z nami — odparł Skink, recytując swój tekst, drastycznie okrojony ze względu na jego słabą pamięć, co wyszło na jaw podczas próby.

— Czy wierzysz, że opiekuje się swymi dziećmi?

— Tak, i kocha je.

— Jesteś ślepy. Od jak dawna?

— Oj, od dawna, bardzo dawna.

— I lekarze nie dają ci żadnych szans ozdrowienia?

— Najmniejszej, przewielebny.

— I ty sam też już straciłeś nadzieję, prawda, bracie?

— Tak, przewielebny — odpowiedział Skink. Był wściekły na siebie, że zgodził się włożyć

garnitur i kapelusz.

Wielebny Weeb otarł czoło chusteczką i położył Skinkowi na ramieniu pulchną, różową dłoń.

— Jeremiaszu — rzekł dobitnie — w tym pełnym chwały dniu, którym obdarował nas Bóg, w dniu, w którym chrześcijańscy sportowcy rywalizują o fortuny na tych prastarych wodach za naszymi plecami, w takim dniu Bóg pragnie, byś przejrzał. Chce, byś ponownie ujrzął Jego chwałę kryjącą się w słońcu, niebie i zapierającym dech w piersiach pięknie nowych domów o przystępnej cenie. Czy chciałbyś to zobaczyć, Jeremiaszu? Czy chciałbyś przejrzeć?

— Głupie pytanie — odparł Skink, wypadając nieco z roli.

Wielebnemu drgnęły brwi, ale nie stracił rezonu.

— Jeremiaszu — ciągnął — teraz poproszę dobrych chrześcijan, którzy są z nami nad Jeziorami Okoniowymi, by wzięli się za ręce. A także wy wszyscy przy telewizorach, odłóżcie Biblie i chwycie się za ręce w waszych domach. A ja złączę dłonie z tobą, Jeremiaszu, i razem będziemy błagać Opatrzność, by przywróciła ci dar widzenia.

— Amen — odrzekł Skink.

— Amen! — odpowiedział jak echo tłum.

— Niechże ten grzesznik przejrzy! — zawołał Weeb do nieba.

— Niech przejrzy! — odkrzyknęła publiczność. — Niech przejrzy!

Skinka zaczęło wciągać to przedstawienie.

— Przejrzy, wejrzy! — ryknął ile sił w płucach.

— Przejrzy, wejrzy — odpowiedzieli zgodnie zebrani. Wprawdzie był to nowy zwrot, ale miał dobrą kadencję.

Wielebny Weeb pospiesznie skierował modlitwę na bardziej konwencjonalną formułę.

— Boże, uratuj tego nieszczęśnika! — krzyknął.

— Uratuj!

Niczym zółw złapany na autostradzie, skulił się i zamrugnął oczami. Pozostawał w transie przez dobrą minutę i dopiero wtedy ponownie otworzył usta. Wyrzucił w górę ręce i rzekł:

— Czas się wypełnił! Jezus przybył do waszych domów!

Publiczność czekała w uniesieniu. Kamera przysunęła się do wielebnego tak blisko, że można było policzyć pory na jego nosie.

— Jeremiaszu — rzekł — powtarzaj za mną: Jezu, pozwól mi ujrzeć twoją twarz.

Skink powtórzył.

— Jezu, pozwól mi ujrzeć światło dnia.

— Jezu, pozwól mi ujrzeć światło dnia.

— Jezu, pozwól mi ujrzeć Jeziora Okoniowe, które chrześcijanie stworzyli na chwałę Twego

imienia.

— Jak wyżej — skwitował Skink. Zaczynała się prawdziwa zabawa.

— Pan przemówił — stwierdził Weeb. — Jeremiaszu, mój bracie w Chrystusie, Pan usunął ciemność z twoich oczu!

Skink zdjął okulary i włożył je do kieszeni na piersi. Przez salę przetoczył się szmer. Podczas przygotowań do występu Skink nie pozwolił charakteryzatorom nawet dotknąć swej twarzy.

Kamera szybko odjechała do tyłu.

Odwróciwszy oczy, wielebny ryknął:

— Jeremiaszu, czy zostałeś uzdrowiony?!

— Tak, bracie.

— I co widzisz?

— Wspaniałego człowieka w malinowym garniturze.

Publiczność szalała. Wielu ludzi wykrzykiwało dziękczynne modlitwy do nieba.

Rozpromieniony Weeb brnął dalej:

— Jeremiaszu, ponad moją głową widnieje radosny napis, którego jeszcze kilka minut temu nie mógłbyś przeczytać. Powiedz nam, co tam jest napisane.

To miał być triumfalny finał występów Skinka, fanfara zapowiadająca rozpoczęcie transmisji z finału zawodów wędkarskich. Ponieważ przypuszczano, iż po uzdrowieniu jego wzrok nie poprawi się zbyt wiele, poproszono go przed występem, by nauczył się napisu na pamięć i udawał na scenie, że go czyta. Tekst brzmiał: „Jeziora Okoniowe goszczą wędkarski memoriał imienia Dickiego Lockharta”.

Ale Skink miał co innego do powiedzenia.

Charlie Weeb czekał długą chwilę.

— Jeremiaszu? — ponaglił. — Jeremiaszu, co tam jest napisane?

— Tam jest napisane: „Złap mnie za cycuszki, kochasiu.”

Wokół zrobiło się cicho, jak makiem zasiał. Na twarzy wielebnego pojawiło się przerażenie.

Opadła mu szczeka. Nie mógł wydusić z siebie ani jednego słowa.

Barczysty ślepiec o wynędzniałej twarzy zaczął płakać.

— Dzięki ci, Panie, dzięki ci, bracie Weeb. Dzięki za wszystko — szlochał.

Następnie obrócił się do kamery.

I mrugnął.

A kiedy to zrobił, szklane sowie oko wypadło mu z oczodołu i potoczyło się po scenie. Donośne stuknięcie słyhać było w najdalszych rzędach.

— Znowu widzę, bracie Weeb — zawołał były ślepiec. — Niechże was wezmę w ramiona, tak jak mnie wziął Pan.

Wyciągnął długie małpie ręce, chwycił kamerę i przyciągnął ją do twarzy.

— Złap mnie za cycuszki, kochasiu! — zawył, po czym przyssał się ustami do szkła obiektywu.

Trzynaście kobiet runęło zemdlnych z krzeseł na ziemię.

Tym razem nie udawały.

— Chcesz piwa? — spytała Lanie.

— Nie — odparł Dennis Gault.

— A wody mineralnej? — Włożyła rękę do turystycznej lodówki.

— Cicho bądź.

Od dłuższego czasu zarzucał wędkę bez powodzenia. Wypróbował już każde cudo ze swego arsenału, a nawet kilka eksperymentalnych połączeń, aż w końcu sięgnął ponownie po Dwa Skrzydełka. Była to przecież ulubiona przynęta Dickiego Lockharta, każdy o tym wiedział, więc właśnie z jej pomocą Gault pragnął wygrać turniej. Pokazałby tym skurwielom, że ich król naprawdę nie żyje i że ma godnego następcę.

Wiedział, że jest we właściwym miejscu, ponieważ jego echosonda ukazywała szczegółowo topografię dna kanału. Zator jawił się jako nierówna czarna plama na monotonnym tle. Obok pulsowała mała czerwona kropka.

Ryba.

Z rozmiaru kropki Dennis Gault wnosił, że okoń jest bardzo duży.

Olbrzym nie pozostawał w jednym miejscu, pływał powoli wokół zatopionych skrzynek. Właśnie tam Gault zarzucał przynętę.

— Dlaczego to cholerstwo nie bierze? — spytała Lanie.

— Nie mam pojęcia — odparł Gault. — Ale wolałbym, żebyś siedziała cicho.

Skrzywiła się i wróciła do czytania czasopism. Zależało jej na zwycięstwie, ale nie rozumiała, dlaczego brat traktuje to tak śmiertelnie poważnie — zwłaszcza że nie potrzebował pieniędzy. Bobby Clinch miał powody do tego, by denerwować się na zawodach: musiał dbać o to, by lodówka żony i bak podarowanego kochance auta były zawsze pełne.

W czterometrowej głębi olbrzymią rybę ogarnął niepokój. W jej prymitywnym układzie nerwowym zapaliła się ostrzegawcza lampka. Nie wiedziała, że powodem tego było zmniejszenie się ilości tlenu w wodzie, ale zareagowała tak, jak reagują wszystkie okonie, gdy wyczuwają zmianę w otoczeniu.

Postanowiła się nazreć.

Niczym kłoda drzewa, oderwała się od dna i znieruchomiła niewidzialna pod cieniem na powierzchni. Czekala pod łodzią na znany jej rytmiczny plusk dłoni i wypatrywała przyjaznej twarzy stworzenia, które zawsze przynosiło karpiki. Głód zaczął palić jej wnętrzności.

— Mój Boże, ta bestia jest tuż pod nami — rzekł Dennis Gault, zerknąwszy na ekran echosondy.

— Ja jej nie widzę — odparła Lanie.

— Jest pod samą łodzią, tutaj.

Ryba była tak blisko, że nawet nie musiał zarzucać wędki. Po prostu spuścił przynętę do wody, policzył do dwunastu i zaczął powoli zwijać żyłkę. Przynęta z cichym terkotem kołowrotka sunęła ku powierzchni. Jej gumowa powłoka tańczyła, a blaszane piórka wirowały. Ta zabawka nie była podobna do żadnego żywego stworzenia. Mimo to olbrzymia ryba połknęła łąpczywie przynętę.

Dennis Gault nigdy w życiu nie spotkał się z czymś takim. Kiedy okoń zaatakował, odpowiedział trzema szarpnięciami, ciągnąc z całej siły. Wędka wygięła się, napięta żyłka zabręczała, ale ryba nie ustąpiła. Ciężła w wodzie niczym bal drzewa.

— Jezu! — krzyknął Gault. — Elaine, mam ją!

Lanie rzuciła czasopismo i zaczęła szukać podbieraka.

— Jeszcze nie!

Wielka ryba zaczęła robić to, czego Dennis Gault jeszcze nigdy nie doświadczył podczas wędkowania: połykała żyłkę. Czyniła to metodycznie, zawzięcie. Przycisnął kciukiem żyłkę przy kołowrotku i wrzasnął z bólu, gdyż zdarł sobie naskórek do krwi. Okoń nie popuszczał.

Wolną ręką Gault włączył silnik i wrzucił wsteczny bieg: postanowił zmęczyć bestię, jakby walczył z marlinem albo tuńczykiem.

— Co mam robić? — spytała Lanie, przechodząc na rufę.

— Kiedy ci powiem, złap ster.

Ryba wystrzeliła na powierzchnię w odległości czterdziestu metrów od łodzi. Miotła się z przynętą wbitą w dolną szczękę. Była tajemnicza i złowroga jak aligator. Gault nie próbował nawet określić jej wagi. Paszczę miała wielką niczym miednica.

— Cholera — rzekła oszołomiona Lanie.

— Chwytaj — powiedział Gault, wskazując ster ruchem głowy. — Jedź prosto na tego skurczybyka. — Wstał i oparł sobie koniec wędki o brzuch, napinając mięśnie. Ryba była pochłonięta walką. Na każde pół metra żyłki, którą Gault odzyskiwał, gigantyczny okoń wrywał mu metr.

— Szybciej — polecił Gault siostrze. Lanie nigdy przedtem nie sterowała łodzią motorową, ale uważała, że nie może się to zbytnio różnić od prowadzenia samochodu.

Płynąc na wstecznym biegu, łódź powoli zbliżała się do potwora. Szarpnąwszy kilka razy, ryba zanurkowała głęboko i przyczaiła się na dnie, by odzyskać nadwątlone siły.

Gault pokładał bezgraniczną wiarę w swój kosztowny sprzęt wędkarski oraz znajomość rybich zwyczajów. Coraz szybciej zwijał żyłkę. Nie chciał pozwolić rybie na kolejne odejście. Taktyka ta sprawdziłaby się w wypadku każdego innego okonia: żyłka była wyjątkowo mocna, grafitowa wędka giętka, ale wytrzymała. Wkrótce ryba powinna gonić resztkami sił.

Zablokował kołowrotek, a następnie zaczął ponownie zwijać żyłkę.

— Chyba wypływa — rzekł do Lanie. — Boże, ten skurwiel daje za wygraną.

Wielka ryba szarpnęła głową, stawiając opór, ale mimo to Gaultowi udało się ją unieść z dna. W przeciwieństwie do sprytnych okoni ze stawów hodowlanych i jezior turystycznych, nigdy w życiu nie zaznała bólu od haczyka, nigdy nie walczyła z niewidzialnymi ostrymi wąsami. Nie nauczyła się żadnych sztuczek, które mogłaby wykorzystać w walce z Dennisem Gaultem i jego potężną, hałaśliwą maszyną. Jej jedynym atutem była siła fizyczna, którą szybko traciła w zanieczyszczonej wodzie.

Gault z radością poczuł, że ryba słabnie. „Gdyby Lockhart żył — pomyślał — padłby trupem na widok tej bestii dyndającej na końcu mojej wędki.” Sprawdził, czy podbierak leży w zasięgu ręki.

W tej chwili żyłka zwisała luźno.

Przez krótką, okropną chwilę Gault myślał, że ryba się zerwała, ale rychło zrozumiał, co się dzieje. Okoń szybko wypływał. Gault zaczął w szaleńczym tempie zwijać żyłkę, by się znów naprężyła.

— Elaine, ona płynie na nas! Szybko, cała naprzód! — krzyknął.

Lanie wrzuciła bieg i łódź targnęła się w przeciwną stronę, burząc wodę.

Wielka ryba sunęła ku powierzchni — wyglądała jak duża, brązowa rura tuż za rufą. Gault dopiero teraz uświadomił sobie, jak jest ogromna, i poczuł falę gorąca. To był bez wątpienia rekord świata. Już widział swoje nazwisko w gazetach. Już widział rybę na ścianie za swoim biurkiem; preparator rozjaśniłby jej boki, pod-malowałby skrzela, na powrót tchnąłby w zmatowiałe oczy trochę życia.

Kiedy pociągnął za żyłkę, okoń posłusznie podpłynął do łodzi.

— Łap podbierak! — krzyknął Gault do siostry. — Dawaj podbierak, cholera!

I wtedy, zamachnąwszy się ogonem, ryba uderzyła.

— Wsteczny!

Lanie z całej siły szarpnęła gaz. Potężny silnik ryknął. Mając już łódź nad sobą, wielka ryba

wykazała wielki spryt. Zmieniła kierunek.

— Nie, nie, nie! — wrzeszczał Gault.

Łódź płynęła w jedną stronę, a okoń w drugą. Gault oparł kolana o burtę. Natężył wszystkie siły.

Żyłka naprężyła się, a wędka wygięła, aż jej koniec dotknął wody.

— Stój! — wystękał Gault. — Stój, ty tłusty, tępy, świński skur...

Wielka ryba nie posłuchała.

Gault nie mógł popuścić żyłki, ponieważ zablokował wcześniej kołowrotek. Mógł jedynie stawiać opór.

— Puść ją! — krzyknęła błagalnie Lanie.

— Za nic. Ta ryba jest moja.

Patrzyła bezradna, jak brat wylatuje przez rufę do wody. Tylko mignęły podeszwy jego butów.

Rozległ się straszny jęk, gdy Gault zawadził o śrubę napędową, obracającą się cztery tysiące razy na minutę, której trzy wklęsłe nierdzewne ostrza cięły jak szable. To było tak, jakby dostał się do szatkownicy.

Lanie zgasiła silnik i zerwała się na równe nogi.

— Dennis! — krzyknęła. Ze strachem patrzyła na wodę, która szybko zabarwiła się na czerwono.

Na powierzchnię wypłynął kawał błękitnej tkaniny z wędkarskiej kurtki Gaulta. Wtedy Lanie zrozumiała, że nie ma sensu nurkować za bratem. Uchwyciła się obiema rękami burty i zwymiotowała.

Sto metrów dalej, w miejscu gdzie kanał Charliego Weeba dochodził do grobli, wielka ryba wychynęła na powierzchnię, potrząsnęła głową i wypluła haczyk.

—

]

Siedzieli na masce samochodu, który stał między dżipami wędkarzy. Mieli dobry widok na scenę, na stanowisko ważenia, na przystań i całe nadbrzeże. Słońce kryło się powoli za niską warstwą rdzawych chmur. Niektóre łodzie już wracały.

— Wszystko w porządku? — spytała Catherine. Wzięła prysznic, uczesała się i zmieniła ubranie. Decker zatrzymał się po drodze w kompleksie handlowym i kupił jej spodnie oraz seledynową bluzkę. Była wzruszona, że pamiętał jej rozmiar.

— W porządku — odparł Decker, ale nie mógł zapomnieć obrazu Thomasa Curla.

— James w to nie uwierzy — powiedziała.

Decker spojrzał na nią dziwnym wzrokiem. Poczowała wyrzuty sumienia, że wspomniała o mężu.

— Widzisz teraz, ile tracisz, nie będąc ze mną? — spytał.

— Inaczej to pamiętam.

— A ja właśnie tak. — Uśmiechnął się i uściśnął jej dłoń. Catherine poczuła ulgę; doszła do wniosku, że nic mu nie będzie. Zsunęła się z maski samochodu i ruszyła do ustawionego obok sceny bufetu, by rozejrzeć się za czymś do jedzenia.

Nagle obok Deckera wyrósł jak spod ziemi Skink.

— Ładne szmatki — rzekł Decker.

— Od lat nie miałem na sobie garnituru.

— Kapelusz też jest cacy.

Skink wzruszył ramionami.

— Przegapiłeś przedstawienie — powiedział.

— A wydarzyło się coś?

— Kaznodzieja próbował mnie uzdrowić.

Usłyszawszy, co się stało, Decker się zaśmiał.

— Teraz rozumiem, gdzie się podzieli wszyscy ludzie — rzekł.

— Rozbiegli się jak karaluchy. A najgorsze, że zgubiłem to cholerne oko. Potoczyło się gdzieś.

— Kupimy ci nowe.

— Ale nie sowie. Wolałbym niedźwiedzie, ślepie jednego z tych dużych skurwieli.

Decker, który patrzył przed siebie na powracające łodzie, teraz odwrócił się do Skinka.

— Mam kłopoty, kapitanie — rzekł cicho.

Skink cmoknął językiem.

— Zabiłem go.

— Domyśliłem się.

— Nie miałem wyboru.

Skink spytał, co się stało z ciałem, i Decker wszystko mu powiedział. y

— Nie martw się — uspokoił Deckera. — Dobrze zrobiłeś.

— Nie martwić się?

Decker westchnął. Widział wszystko jak przez mgłę, z oddali, jakby opuścił ciało. Miał wrażenie, że siedzi na wysokim drzewie i patrzy z góry na siebie i na tego flejtucha w słomkowym kapeluszu, źle skrojonym garniturze i w okularach. Z tej pozycji wyszedłby wspaniały portret Skinka.

Decker zdecydował, że powie mu, dlaczego wrócił nad przystań. Skink i tak spytałby o to.

— Kapitanie, po uwolnieniu Catherine zacząłem myśleć o Den-nisie Gaulcie.

— Spokojna głowa. To jego będą chcieli w Nowym Orleanie — odparł Skink. — Wszystko było grubymi nićmi szyte, zapomnij o tym. Jesteś czysty.

— Nie myślałem o Nowym Orleanie. Myślałem o Bobbym Clinchu, Otcie Pickneyu i Lockharcie. Właśnie w związku z Gaultem.

— I o Catherine.

— Tak, i o Catherine.

— Prawda — przyznał Skink. — Pan Gault to obrzydliwa figura.

Decker wciągnął w płuca powietrze i rzekł:

— Myślałem o tym, żeby go zabić.

— Bo już masz wprawę, co?

Poczuł się dotknięty sarkazmem Skinka. „A ty jesteś święty?” — pomyślał.

— Nie wiem, co zrobię, kiedy go zobaczę. Być może nie będę się mógł powstrzymać — mruknął.

— Nie zgrywaj się na niepoczytalnego wariata. Naprawdę chcesz to zrobić? Czy tylko chciałbyś chcieć? Przemyśl to sobie. Curl to zupełnie inna historia — twoja dziewczyna była w niebezpieczeństwie, ratowałeś ją. Teraz zaś mówisz o zemście. Nawet taki jednooki czubek jak ja widzi, że nie masz do tego jaj. I bardzo mnie to cieszy.

Decker odwrócił głowę.

— Ale najważniejsze, że nie ma konieczności go zabijać — ciągnął Skink.

— Może masz rację — zgodził się Decker.

— Chyba nie rozumiesz, co mówię.

— To nie ma znaczenia. — Decker zeskoczył z maski, bo zobaczył, że Catherine wraca z hot-dogami. — Myślę, że lepiej będzie, jeśli znikniemy stąd przed finałem — powiedział znużonym tonem.

Skink pokręcił głową.

— Lepiej zostańcie do końca — rzekł. — Poza tym chciałbym, żebyś mi wyświadczył przysługę.

— Naturalnie.

— Wiesz, jak się obsługuje te cholerne kamery telewizyjne?

Później, kiedy „The Wall Street Journal” i inne gazety analizowały upadek Chrześcijańskiej Sieci Telewizyjnej, niektórzy z kolego oraz konkurentów Weeba mówili, że postąpił głupio nie przerywając transmisji z Jezior Okoniowych w chwili, gdy Skink złożył namiętn pocałunek na obiektywie kamery. Jednak w tego rodzaju osądac

nie brano pod uwagę faktu, że wielebny znajdował się pod olbrzymią presją sponsorów, którzy wyłożyli olbrzymie pieniądze, by sfinansować zawody, i oczekiwali, że zobaczą je (a także swoje

wyroby wędkarskie) w ogólnokrajowej telewizji. Dla tych biznesmenów nieudana próba uzdrowienia była jedynie niestosownym, irytującym wstępem do głównego wydarzenia dnia. Przy stanowisku sędziowskim zjawili się wszyscy dyrektorzy firmy produkującej przynętę zapachową Happy Gland, którzy przylecieli z Elijay w stanie Georgia z nadzieją, że Eddie Spurling, ich nowy gwiazdor, wygra memoriał z rękoma w kieszeniach. Charlie Weeb zapewnił ich o tym w sposób jak najbardziej przekonujący.

Tak więc nawet po występie Skinka nie brano pod uwagę możliwości przerwana transmisji. Finał zawodów nastąpił tak szybko, że Weeb nie miał czasu zastanawiać się nad rozmiarami swojej klęski, emitowanej na cały kraj. Zdawał sobie jednak sprawę, że jest bardzo źle: dziesięć pierwszych rzędów pod sceną było w tej chwili zupełnie pustych, a parę wywróconych krzeseł świadczyło dobitnie o pośpiechu, z jakim publiczność opuściła widownię. Kilka osób kręciło się koło przystani, podczas gdy inni skupili się wokół darmowego bufetu. Większość jednak umknęła do wynajętych autokarów, gdzie recytowano stosowne fragmenty Biblii. Ludzie nie mogli się doczekać, kiedy pojedą do domu.

Gdy Skink zeskoczył ze sceny w pogoni za toczącym się okiem, Charlie Weeb kazał dać film reklamowy i wybrał się na poszukiwanie diakona Johnsona, który wyczuwszy pismo nosem, wsiadł do limuzyny i odjechał w nieznane. Wielebny chciał mu zadać tylko jedyne pytanie, okraszone potokiem przekleństw: dlaczego uznał, że Jeremiasz Skink nadaje się do uzdrowienia? Weeb był zdania, że Skink jest bardziej niepoczytalny niż niewidomy, co Johnson, któremu płacono dwieście tysięcy rocznie, by nie dochodziło do takich blamażów, powinien był natychmiast zauważyć.

Nie znalazłszy Johnsona, Weeb wrócił na scenę, by ratować sytuację. Jego autorytet uzdrowiciela został poważnie nadszarpnięty, być może nieodwracalnie, ale to martwiło go znacznie mniej niż coraz realniejsza groźba ruiny finansowej. Dotarła do niego informacja, że wielu klientów, którzy podpisali umowy wykupu lokali nad Jeziorami Okoniowymi, ogarnęły wątpliwości, a kilku zażądało nawet zwrotu pierwszej raty.

Jedynym sposobem uratowania Jezior Okoniowych był teraz słoneczny, pogodny finał zawodów wędkarskich, z promiennym, opalonym, sympatycznym Spurlingiem w roli głównej, dzierżącym ogromne okonie. To poprawiłoby atmosferę.

Tak więc, kiedy łódzie wracały, Charlie Weeb złapał mikrofon i zaczął gadać jak najęty. Prawił o słońcu, łagodnym klimacie, spokojnych wodach, balsamicznym powietrzu, dostosowanych do każdego portfela hipotekach, ścieżkach rowerowych, salach odnowy, niskich kosztach utrzymania, basenach o olimpijskich wymiarach, słowem o wszystkim tylko nie o rybach.

Albowiem ryb nie było.

Wędkarze powracali z pustymi rękoma. Reporter CST podsuwał im mikrofon pod nos, a oni

poprawiali czapki, spluwali tytoniem i mruczeli, że to jeden z tych pechowych dni. Facet uśmiechał się krzywo i życzył im więcej szczęścia następnym razem.

Publiczność zebrana nad wodą — głównie sponsorzy, przedstawiciele firm i krewni zawodników — uznała, że to czarny dzień wędkarstwa. Nawet wtedy, gdy na południu Stanów Zjednoczonych szalał huragan Kamila, łowiło się lepiej.

Skink też był zaniepokojony tym, co widział, ale mógł jedynie czekać. Z pewnością ktoś w końcu przywiezie ryby.

Z każdą chwilą Weebowi coraz trudniej przychodziło zapanować nad biegiem wypadków. Stanowisko ważenia nie mające nic do roboty było okropnie nudnym widokiem, nawet jak na standardy telewizji kablowej. Aby wypełnić czas antenowy do przybycia Spurlinga, wielebny polecił dać na antenę instruktażowy film dostarczony przez producentów sprzętu wędkarskiego.

Gdy zimowe słońce na dobre skryło się za horyzontem i zostało zaledwie dziesięć minut do końca zawodów, w przystani stało już czterdzieści siedem łodzi. Pusta tablica wyników drwiła z Weeba. Wielebny nie miał odwagi spojrzeć na dyrektorów Happy Gland.

„Gdzie jest Spurling i jego okonie?” — myślał gorączkowo.

Za kulisami podszedł do niego hydrolog.

— Złe wieści — rzekł. — Woda dzisiaj jest gorsza niż kiedykolwiek.

— Zejźdź mi z oczu — odparł Weeb. Nie przejmował się wodą: ryby Eddiego są w doskonałym stanie, albowiem pochodzą z Everglades.

— Będzie pan miał poważny problem — powiedział ponuro hydrolog.

— A ty będziesz miał zaraz mikrofon w dupie, więc spadaj.

Nagle zatrzeszczało w słuchawce Weeba: „Jak długo jeszcze?” —

rozległ się głos reżysera.

— Zostały trzy łodzie — odparł kaznodzieja. — Cierpliwości, warto poczekać.

Rzeczywiście, warto było.

Naturalnie to Skink pierwszy usłyszał warkot silnika. Zeskoczył z maski samochodu i poszedł nad przystań. Kibice rozstąpili się przed nim, rozpoznając obłąkanego cyklopa, którego próbował uzdrowić wielebny Weeb. Gdy stał nad wodą, dołączyli do niego trzymający się za ręce Decker i Catherine.

— Posłuchajcie — rzekł.

Decker usłyszał terkot. Łódź najwyraźniej płynęła bardzo powoli, co praktycznie się nie zdarza wśród zawodowych wędkarzy.

— Wysiadł silnik? — spytał.

Skink pokręcił głową i uśmiechnął się tajemniczo.

Wtem przystań załało ostre światło — włączono lampy. Kamerzysta Chrześcijańskiej Sieci Telewizyjnej, żyłasty młody człowiek z kręconymi rudymi włosami, zszedł pospiesznie nad wodę z kamerą na ramieniu. Bez słowa wyjaśnienia wręczył ją Deckerowi i odszedł.

— Ustalone zawczasu — wyjaśnił Skink. Catherine wydawało się, że mrugnął zdrowym okiem, ale nie była pewna, albowiem miał na nosie okulary.

Decker nastawił ostrość, a Catherine założyła mu na głowę słuchawki. Natychmiast usłyszał wrzaski reżysera, który wzywał kamerę numer dwa do gotowości.

— Prosta sprawa — rzekł. — Dziecko by sobie poradziło.

Skink zatarł szorstkie dłonie.

— Światło! Kamera! — padła komenda.

Decker skierował obiektyw na jezioro i czekał. Wkrótce ujrzał łódź. Był to Eddie Spurling. Płynął bardzo powoli. Nietrudno było odgadnąć dlaczego.

Holował dwie inne łodzie.

„Czy to Spurling?” — warknął reżyser w słuchawkach Deckera.

— Mhm.

Wieść szybko dotarła do Weeba. Wielebny złapał mikrofon i przez głośnik poprosił wszystkich, by udali się nad przystań. Nawet ci, którzy puciekali do autokarów, wrócili zobaczyć finał. „Nie spuszczaaj obiektywu z mistrza, Muddy” — polecił reżyser i Decker zrobił to, czego domagano się od rudego kamerzysty.

Kiedy ta procesja łodzi wolno zbliżała się ku przystani, niektórzy ludzie, zwłaszcza ci, którzy mieli lornetki, zaczęli wydawać zdumione okrzyki. Zaintrygowany Charlie Weeb zszedł ze sceny i dołączył do swej trzódki nad wodą.

R. J. Decker zupełnie dobrze radził sobie z kamerą. W wizjerze wszystko było widać jak na dłoni.

Najpierw zobaczył Eddiego Spurlinga odwróconego bokiem, gdy sprawdzał, czy zepsute łodzie nie urwały się z liny holowniczej.

Za nim płynęła drewniana łajba — a w niej Al Garcia i Jim Tile, siedzący na rufie. Na widok kamer usieśli tryumfalnie dłonie z puszkami piwa.

Charlie Weeb stęknął.

— Matko Boska, to Tile'owie — wyszeptał. Zupełnie zapomniał tej parze kolorowych. — Nie filmujcie ich! — krzyknął.

R. J. Decker powoli namierzył drugą łódź i omal nie usiadł z wrażenia.

Był to niebieski „Starcraft”. Wyglądał jednak zupełnie inaczej niż wtedy, gdy spuszczano go na

wodę.

— Nie — jęknęła Catherine i schowała się za Deckera. Oparła głowę o jego plecy i zamknęła oczy.

W łodzi roilo się od myszołowów.

Było ich co najmniej dziesięć. Brązowe, o gołych różowych szyjach i bystrych, okrutnych ślepiach. W strumieniu oślepiającego światła skrzeczały i dreptały nerwowo po burtach. Nie odleciały jednak. Były zbyt obzarte.

— Wylizują miski do czysta — szepnął Skink do Deckera.

Oszołomiony Decker zajął kamerą do wnętrza łodzi. Nie zwracał uwagi na głos w słuchawce, wrzeszczący mu prosto do ucha. Myszołowcy stały na kupie ludzkich kości, białych i zupełnie nagich, lecz mimo to co chwila któreś ptaszysko pochylało się dziobało je władczo. Największy okaz, samiec z nastroszonymi

piórami i zboczonym krwią, zakrzywionym dziobem, trzymał w szponach nagą żółtą czaszkę.

— Wygląda jak łeb psa — rzekł zdziwiony Skink.

— To Lucas — odparła Catherine. — Ja chcę do domu.

Gdy tylko Eddie Spurling uwiązał łodzi, Charlie Weeb podbiegł do niego.

— Po coś przyholował tych skurwieli?! — zawołał z gniewem.

— Bo mnie prosili.

— Gdzie ryby?

— Nie ma ryb. Miałem pecha.

Weeb zagryzł wargę. Musiał uważać na to, co mówi, albowiem w pobliżu stał spory tłumek gapiów i zbliżyli się pozostali zawodnicy, by zobaczyć, jak poszło mistrzowi.

— Jak to nie ma? To niemożliwe — rzekł zduszonym głosem. Świdrował Spurlinga wzrokiem. Nie mógł spytać wprost, co się stało z przygotowanymi zawczasu okoniami.

— Nie chciały brać.

— Będziesz miał kłopoty, Eddie.

— Nie wydaje mi się.

Reporter CST podsunął Spurlingowi mikrofon i spytał go, jak poszło.

— To jeden z tych pechowych dni — mruknął gwiazdor Taakiej ryby — kiedy człowiek czuje, że ryby wystrychnęły go na dudka.

Al Garcia i Jim Tile wysiedli ze swojej łodzi. Na brzegu czekał już na nich Skink.

— Nie dotarliśmy do Królewny — rzekł Garcia.

— Wiem.

Kubańczyk spojrział na Jima Tile'a, a potem na Skinka.

— Coś mi się zdaje, chłopcy, że mieliście problem z silnikiem.

— Nie, to niemożliwe — powiedział zaskoczony Garcia. — Po co to zrobiłeś?

— Zmiana planów w ostatniej chwili — odparł Skink.

Jim Tile się zastanowił.

— „Starcraft” nie brał udziału w zawodach — odezwał się.

— Nie — przyznał Skink. — Ale o to spytaj Deckera.

— To znaczy, że na jeziorze jest jeszcze jedna łódź — wywnioskował Garcia.

— Zgadza się — powiedział Jim Tile. — Dennis Gault.

Skink wyglądał na zadowolonego.

— Chłopaki, nawet jak na gliniarzy jesteście bardzo bystrzy. — Al Garcia przypomniał sobie, co Skink powiedział mu o olbrzymim okoniu.

— Coś ty, cholera, narobił? — spytał.

— To nie ja, señor. Ja tylko wszystko zaaranżowałem. — Skink otworzył wieko pojemnika i zobaczył złapanego przez Garcie okonka, miotającego się w czystej wodzie. — No, sierżancie, jestem z debie dumny.

— Gubernatorze, jest coś, o czym powinien pan wiedzieć — rzekł Jim Tile.

— Za chwilę, panie władzo. Najpierw zanieśmy to sędziom. — Skink podniósł ciężki pojemnik i zaczął przedzierać się przez tłum. — Nie uwierzyde — powiedział przez ramię do idących za nim poliq'antów — ale jesteście chyba jedynymi, którzy złapali rybę.

— To właśnie usiłowaliśmy ci powiedzieć — rzekł rozeźlony Garcia.

Skink wszedł na scenę i zbliżył się do stanowiska ważenia. Wyjął okonia i położył go delikatnie na szali. Za jego plecami zaświeciła sześciocyfrowa tablica elektroniczna: czterdzieści trzy dekagramy.

— Cha, cha — zarechotał. Chwydł mikrofon. — Uwaga, kibice! Mamy zwycięzcę!

— Cholera! — mruknął Weeb. Czy to głos tego niewidomego wariata? Najpierw stado myszołowów, a teraz co?

Oglupiały kaznodzieja ruszył za kamerzystą w kierunku sceny, nagle uświadomił sobie, że to nie jest rudzielec Muddy, tylko jakiś całkiem nieznamy facet.

Kiedy wszedł na scenę, nie zastał na niej ślepca. Czekala go za to kolejna przykra niespodzianka.

Bracia Tile.

— Hola! — odezwał się do Weeba Jim Tile. — Es muy grandę ryba, nie?

— Sprawdź sobie, koleżko — dodał Al Garcia.

Wielebnemu świat wirował przed oczami.

— Wygląda na to, że rzeczywiście jesteście zwycięzcami — rzekł. Kamera zaglądała mu prosto w twarz — patrzyła na niego cała Ameryka. Zdołał się jakoś opanować i podniósł do obiektywu małą rybkę. Dwie dziewczyny w pomarańczowych kostiumach bikini odsłoniły olbrzymie trofeum, a dwie inne wniosły na scenę gigantyczną kopię czeku opiewającego na dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

— Śliczny — pochwalił Garcia — ale gdzie jest prawdziwy?

Jak Weeb miał powiedzieć przed kamerami, że czeku nie ma?

Że on i diakon Johnson byli jedynymi ludźmi na świecie, którzy znali szyfr do sejfu, i że diakon się ulotnił?

— Donde esta el cheque? — spytał Jim Tile, wyczuwając, że coś jest nie tak.

— Przepraszam, ale nie mówię po kubańsku — odparł Weeb.

— Gdzie jest, kurwa, nasz szmal, por favour? — przetłumaczył Al Garcia.

Wielebny próbował coś wyjaśniać, ale nie było to przekonujące i nie zmieniało faktu, że obiecał wręczyć zwycięzcom czek podczas finału. Widzowie, a zwłaszcza inni zawodnicy, zaczęli wrzeszczeć i domagać się nagrody. Wprawdzie nie cierpieli braci Tile, ale nie mogli pozwolić, żeby ktoś tak wystawił wędkarzy do wiatru. Nawet dyrektorzy Happy Gland przyłączyli się do awantury.

— Przykro mi — rzekł wreszcie Weeb, podnosząc ręce — ale jest mały problem.

Al Garcia i Jim Tile spojrzeli po sobie.

— Ty pełnisz honory — rzekł Kubańczyk.

Murzyn wyjął z kieszeni odznakę policyjną i parę kajdanków.

Wydawało się, że bujne brwi kaznodziei nagle zwiędły. Przez tłum przetoczył się szmer.

„Stop, Muddy, stop!” — wrzeszczał reżyser Deckerowi w ucho, ale on kręcił dalej.

— Panie Weeb — odezwał się Jim Tile doskonałą angielszczyzną — jest pan aresztowany pod zarzutem oszustwa...

— I korupcji — wszedł mu w słowo Al Garcia — oraz wszystkiego, co tylko może przyjąć człowiekowi do głowy.

— Ma pan prawo milczeć...

W tej chwili od strony wody rozległ się żaloszny, rozpaczliwy

krzyk. Kubańczyk skulił się i zadrżał. Jim Tile zwiesił głowę. Usiłował przecież powiedzieć to Skinkowi.

Decker cisnął kamerę i pobiegł ku przystani.

Skink klęczał w płytkiej wodzie. Wszędzie dokoła na powierzchnię wypływały śnięte ryby, w konwulsjach, brzuchami do góry.

Skink zgarnął dłonią okonia, który miotał się obok w agonii, i podniósł go ociekającego wodą, by Decker i inni mogli zobaczyć.

— One umierają — zaskomlał.

— Niech pan weźmie moją łódź — zaproponował Spurling. — Mam ich sześć.

— Dziękuję — odparł chrapliwie Skink. Za nim wsiedli Decker i Catherine.

— Mam nadzieję, że ją pan znajdzie! — zawołał Spurling do odpływającej motorówki.

Wiedział, że nigdy nie zapomni widoku wspaniałej bestii w klatce. Nie mógł znieść myśli, że ta ryba umrze w zanieczyszczonej wodzie, ale wydawało się to nieuniknione.

Skink stanął w rozkroku i dodał gazu. Najpierw pęd zdmuchnął mu słomkowy kapelusz, potem okulary. Najwyraźniej nie zwracał na to uwagi. Nie zauważał też komarów i chrząszczy, które roztrzaskiwały się o jego twarz. W szarym bezmiarze wczesnej nocy Skink płynął zakosami, jakby znał kanały na pamięć albo był wiedziony instynktem. Łódź mknęła niczym rakieta. Decker zobaczył, że szybkościomierz wskazuje dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Zacisnął zęby modląc się, by nie wjechali na aligatora albo bał drzewa. Catherine ukryła się w jego ramionach. Gdyby nie mroząca krew w żyłach szybkość, byłaby to urocza chwila.

Na wycie silnika nałożył się nagle krzyk Skinka.

— Walka — ryknął — jest istotą natury! — Rozpuścił zebrane w kucyk siwe włosy, które rozwiały wiatr. — Walka to rytm życia! W przyrodzie jeden gatunek występuje przeciw drugiemu walcząc o przetrwanie!

Decker pomyślał, że nie było tu bezpieczniej niż w porwanym przez wariata samolocie.

— Uważaj, kapitanie, gdzie płyniesz! — krzyknął.

— Jeśli chodzi o Dennisa Gaulta, to ja tylko doprowadziłem do walki. Nie różniącej się niczym od tysiąca innych potyczek, które

rozgrywają się każdego dnia i każdej nocy, niewidoczne i nie opiewane przez nikogo. Znałem instynkt Gaulta tak dobrze, jak znałem instynkt mojej ryby. Pozostawało jedynie doprowadzić do konfrontacji. Tylko tyle, Miami.

Uderzył wściekle pięściami w koło sterowe, aż łódź przechyliła się niebezpiecznie na burtę.

— Ale niech to szlag trafi, nie wiedziałem nic o tej wodzie!

Decker dyskretnie wcisnął kolano pod koło sterowe, tak na wszelki wypadek.

— Oczywiście, że nie wiedziałeś! — krzyknął. Schylił się mimo woli, gdy przemknęli pod mostem.

— A więc płyniemy po truciźnie — rzekł Skink z niedowierzaniem. — Wybudowali to cholerne osiedle nad trującą wodą.

— Tak, kapitanie.

— To moja wina.

— Nie bądź śmieszny.

— Nic nie rozumiesz! — wrzasnął Skink i odwrócił się ku Catherine. — On nic nie rozumie — powtórzył. — Kochasz go? Więc spraw, żeby zrozumiał. To moja wina.

Oslaniając twarz przed zimnym powiewem, Catherine odparła:

— Jesteś dla siebie zbyt surowy.

Skink się uśmiechnął. Na jego pięknych zębach tu i ówdzie poprzyklejały się martwe komary.

— A ty jesteś wyjątkową kobietą — rzekł. — Chciałbym, żebyś cisnęła w cholerę doktora i wróciła do...

Nagle tuż przed nimi pojawiła się jakaś łódź — płaski nieruchomy cień na środku kanału. Na dziobie siedział ktoś skulony w żółtym sztormiaku.

Skink miał głowę zwróconą do Catherine, która otworzyła usta do krzyku. Decker rozpaczliwie szarpnął koło sterowe i przymknął gaz. Motorówka Szybkiego Eddiego omal nie wyleciała w powietrze musnąwszy rufę tamtej łodzi. Zanim Decker wyłączył zapłon, dwa razy obróciła się gwałtownie wokół własnej osi.

Skink wstał i się rozejrzał.

— To tutaj — rzekł.

Decker poczekał, aż uspokoi mu się serce, a potem zawołał do osoby w żółtym sztormiaku:

— Wszystko w porządku?

— Odchrzań się!

— Lanie?

— Jak zwykle ostra w języku — stwierdził Skink, zdejmując tani wełniany garnitur, w który ubrał go diakon Johnson.

— Co to za kobieta? — spytała Catherine.

— Siostra Gaulta — wyjaśnił Decker.

— Odchrzańcie się obaj! — zawołała Lanie. Stała teraz na dziobie i wygrażała im pięścią.

— Gdzie Dennis? — spytał Decker.

— Zmień lepiej temat — poradził mu Skink. Był już nagi. Klęczał przy burcie, uderzając dłonią w powierzchnię wody.

— Mam nadzieję, że twoja ryba zdechnie! — krzyknęła do niego Lanie. — Jak wszystkie inne! — Głos jej się załamał. — Jak Dennis.

Skink wyłowił śniętego małego okonia i z furią cisnął go na brzeg. Walił dłonią w wodę, ale olbrzymia ryba nie podpływała do jego ręki.

Decker zaczął szperać w schowku i w końcu znalazł latarkę. Zapalił ją i metodycznie oświetlał kanał, podczas gdy Skink wciąż tłukł dłonią w wodę i wołał Królową. W pewnej chwili nieopatrznie zaświecił Lanie w oczy. Zakłęła i odwróciła się plecami.

Zaraz potem dostrzegł ciało dryfujące przy grobli. Włączył pedałem mały silnik i skierował łódź wzdłuż żółtego snopu światła.

Catherine wyciągała szyję, by zobaczyć, co tam pływa w wodzie, ale on położył jej ostrzegawczo rękę na ramieniu.

Elegancki Dennis Gault miał rozharatany brzuch i oplątany był własną żyłką.

— Rytm walki — skwitował Skink. — W pewnym sensie podziwiam tego skurwiela.

Decker wiedział, że nic nie da się tu zrobić.

Skink i Decker równocześnie dostrzegli wielką rybę. Wyłynęła na powierzchnię na płask, leniwie, w pobliżu napuchniętych nóg Gaulta. Jej skrzela zmieniły kolor z czerwieni na róż, a boki poczerniały. Umierała.

— Nie, nie! — wrzasnął Skink i skoczył na głowę do wody; wszedł w nią niczym igła.

Catherine stanęła obok Deckera; patrzyli razem. Ich oddechy łączyły się na mroźnym powietrzu w skłębione, aksamitne opary.

— Mam ją! — krzyknął Skink. — A niech to diabli!

Nie mógł wyplątać się spod zwłok Gaulta. Wyglądało tak, jakby ze sobą walczyli. Catherine patrzyła z przerażeniem, albowiem zdawało jej się, że Gault ożył. Skink cierpiał katusze, ponieważ skażona chemikaliami woda paliła go w poraniony oczodół. Nagle poszedł pod wodę.

Decker chwycił bosak Spurlinga i wbił go mocno między łopatki Gaulta. Szarpnął z całej siły, ciągnąc brutalnie trupa ku sobie. Skink kopnął martwe ciało i uwolnił się z jego objęć. Wziął śniętą rybę w ramiona. Płynął na plecach z uniesioną głową, niczym wydra. Z trudem oddychał.

— Dzięki, Miami — stęknął. — Uważaj na siebie.

Cztery uderzenia nogami i już był na brzegu. Wtaszczył rybę na stromy stok. Decker bez latarki widział, jak ociekający wodą, nagi Skink mknie wałem. Śpiewał przy tym, choć z takiej odległości trudno było uchwycić melodię.

Decker włączył silnik i podpłynął do brzegu. Wskoczył z łodzi i podał rękę Catherine. Razem pobiegli za Skinkiem, który znacznie ich wyprzedził. Mimo że dźwigał rybę, pędził szybciej niż oni.

Z tyłu, z kanału, zawołała Skinka Lanie Gault. Decker usłyszał dwa wystrzały i instynktownie pociągnął Catherine na ziemię. W górze eksplodowały rakiety, zabarwiając noc cynobrem. Deckerowi przypomniał się ciepły blask czerwonej lampki w ciemni. Dlaczego Lanie je wystrzeliła? Nie miał pojęcia.

Zerwali się na nogi i rzucili dalej biegiem, ale kiedy dotarli na drugą stronę grobli, Skinka już nie było. Rakiety się dopalały i wkrótce nad bagniskami znów zapanowała atramentowa noc.

Na spokojnej wodzie stawu rozpływały się koncentryczne kręgi. Kumkały żaby, cykały świerszcze, w sitowiu dokazywały owady. Ani śladu wielkiej ryby, ani śladu człowieka.

— Słyszysz coś? — spytał Decker Catherine.

Odgoniła ręką komary i nadstawiła ucha.

— Chyba nie.

— Coś tam płynie — rzekł Decker. Wyczuł jakiś ruch w głębi Everglades. Był pewny, że się nie myli.

— Czekaj — rzekła Catherine, chwytając go zj^raęcę. — Xeraz słyszę.